

PETRA HAMMESFAHR

SEFOWA

Die Chefin

Przełożyła Magdalena Ilgmann

BELLONA



Petra Hammesfahr, urodzona w 1951 roku, mieszka i tworzy w Kerpen w pobliżu Kolonii. Jej nieznana w Polsce powieść „Der stille Herr Genardy” została przetłumaczona na kilka języków i z powodzeniem przeniesiona na ekran. Powieści „Grzesznica”, „Grabarz lalek”, „Matka” i „Lukas Erbe” znalazły się na liście bestsellerów. Powieści Petry Hammesfahr sprzedano dotychczas w nakładzie ponad trzech milionów egzemplarzy.

ROZDZIAŁ 1

Kiedy Thomas Lehnerer wszedł do pokoju, mężczyzna w fotelu był już nieprzytomny. Bardziej zwisał, niż siedział po jednej stronie, opierając się jedynie na poręczy. Głowę przechylił na bok, z na półotwartych ust ciekła cienka strużka czerwono zabarwionej śliny. Thomas Lehnerer wcale tego nie zauważył, bo od drzwi nie widział ani brody, ani górnej połowy ciała mężczyzny. Prawa, silnie owłosiona dłoń zwisała nad podłogą jak tłusty czarny pająk. Lewa dłoń spoczywała na kolanach mężczyzny, obejmując szyjkę pustej butelki po wódce. Tak czy owak, widok był odrażający.

Mimo że w pokoju nie było zbyt ciepło, bo przez otwarte drzwi napływało chłodne powietrze, Thomas oblał się potem. Jeszcze bardziej niż wcześniej, jak gdyby pot wypływał ze wszystkich jego porów. Otrząsnął się, zupełnie tego nie rejestrując.

Na niskim stoliku przed sofą stała szklanka z resztką wody, obok leżało puste opakowanie po lekach. Nie mógł odczytać nazwy. Nie patrzył zresztą długo w tę stronę, jego spojrzenie powędrowało zaraz dalej, do kuchennego noża. Był to raczej nożyk, z uchwytem zrobionym z żółtego plastiku, o lekko zaokrąglonym ostrzu, jakiego używa się do obierania i krojenia owoców. Wyglądał całkiem niewinnie. Mimo to zrobiło mu się niedobrze. Wiedział, co ma zrobić tym nożem. Wiedział też, że nie może tego zrobić, próbował o tym zapomnieć. Znowu skierował spojrzenie na opakowanie po lekach.

- Ile mu dałaś? - spytał kobietę.

Czekała już na niego. Niecierpliwie go witając, podniosła się z sofy.

- Nie bardzo się spieszyłeś, już prawie wpół do szóstej.

Powoli podeszła do stołu, wydawała się nadal rozdrażniona i zdenerwowana z powodu jego rzekomego spóźnienia. A przecież musiała zdawać sobie sprawę, że mimo najlepszych chęci nie mógł tu być wcześniej. Ona sama na krótko przed czwartą, mówiąc mu przez telefon, że właśnie zajechał przed dom samochód jej męża, jeszcze raz napomniała Thomasa: - Wszystko musi się odbyć całkiem zwyczajnie, jak zawsze. Żadnych odstępstw. O zwykłej porze pojedziesz do domu, przebierzesz się i pójdziesz biegać.

Tego się trzymał i był cholernie szybki. Może tylko dlatego była taka rozdrażniona, że

sytuacja ją przerastała.

- Wszystkie - odpowiedziała w końcu na jego pytanie, ale zaraz się poprawiła: - To znaczy nie, cztery wzięłam sama. Powinno wystarczyć, normalnie biorę dwie. A i to tylko wtedy, kiedy mam naprawdę silną migrenę.

Uśmiechnęła się przelotnie, obserwując jego nieruchomą twarz. Mężczyznę w fotelu usilnie albo i celowo starała się ominąć wzrokiem. Thomas Lehnerer uważał, że to nienaturalne. Bardzo się starała sprawić na nim wrażenie spokojnej i opanowanej. Ale nie mogła być przecież spokojna i opanowana, nie w takiej okropnej sytuacji.

- A więc - powiedziała - cztery dla mnie, dla niego pozostało dwadzieścia sześć tabletek. I to powinno wystarczyć, razem z wódką. Opróżnił całą flaszkę, a i przedtem sporo już wypił. Szkoda, że go nie widziałeś, jak tu wszedł. Ledwo się trzymał na nogach. To cud, że w tym stanie w ogóle dojechał tu cały.

- Były jakieś... - Thomas Lehnerer się zająknął. Nadal stał koło drzwi na taras, nie mógł się przemóc, by wejść dalej, w głąb wielkiego pokoju. - Były jakieś kłopoty?

Potrząsnęła głową, znowu się uśmiechając pogardliwie. - Najmniejszych - stwierdziła - większość połknął nawet bez mojej pomocy. Kilka razy mu powtórzyłam, by wziął lepiej dwie tabletki, bo jutro nie będzie mógł przejrzeć na oczy. I tak też zrobił. Tylko przy ostatnich czterech czy pięciu musiałam mu pomóc. Był tak pijany, że nie był w stanie ich wyjąć z pudełka.

Wzruszyła ramionami, dając w ten sposób do zrozumienia, że uważa temat za wyczerpany. Tego, że po siódmej tabletkie musiała przystawić do skroni mężczyzny naładowany pistolet, żeby go skłonić do połykania, Thomas nie musiał już wiedzieć. Ani tego, że przez sekundę poważnie rozważała możliwość pociągnięcia za spust.

Byłaby to szybka i pewna śmierć dla mężczyzny w fotelu, jej męża. Potem wetknąć mu do ręki broń, naprowadzić jego palec na spust, samej się postrzelić w miejscu, gdzie co prawda wyglądałoby to groźnie, ale nie byłoby śmiertelne, na przykład w ramię. Tak jednak nie uczyniła i miała po temu dobre powody. Zbyt dużo niepewnych elementów, respekt dla medycyny sądowej. Ktoś mógłby odkryć, że kanał pocisku w jego ciele wymagałby nienaturalnego ustawienia ręki czy coś w tym stylu. A co się tyczy jej samej, to obecnie było zupełnie wykluczone, by na kilka dni czy tygodni została w szpitalu. Trudno było raczej założyć, że jakiś lekarz byłby gotów ambulatoryjnie leczyć ranę postrzałową.

Teraz żałowała swojego wahania. Thomas był zbyt miękki. Sto razy to wszystko omawiali i byli zgodni w każdym punkcie. A tu raptem zdawał się mieć skrupuły. I tak tam stał w tych drzwiach.

- Chodź już - pogoniła go. - Rozbierz się, to przeniesiemy go do samochodu. Czy chcesz jeszcze dłużej tak stać?

Thomas Lehnerer czuł na czole chłodny powiew z zewnątrz, zapach wilgotnej ziemi, woń pobliskiego lasu, czuł to intensywniej niż dotąd, jak gdyby wyostrzyły mu się nagle wszystkie zmysły. Zdawało mu się nawet, że czuje zapach śmierci i nie był w stanie podejść do fotela.

Siedzący w nim mężczyzna sądził pewnie jeszcze tego ranka, że są dobrymi przyjaciółmi. Owszem, byli nimi kiedyś, wieki temu, przed trzydziestu, trzydziestu pięciu laty. Razem chodzili do szkoły, razem skakali do jakichś sadzawek, najchętniej do takich, gdzie znajdowały się wielkie tablice z napisem „Zakaz kąpieli! Śmiertelne niebezpieczeństwo!”.

Zawsze wynosili całą skórę i nienaruszone kości z tych eskapad. A potem zakochali się w tej samej kobiecie. Od tego momentu też upłynęło już ponad dwadzieścia lat. Była wtedy młodą dziewczyną. Skończyła dopiero szesnaście lat, ale było to dostatecznie dużo, by wybrać tego mężczyznę, który miał pieniądze. Tak to wyglądało - na pierwszy rzut oka.

Na drugi rzut oka jednak już całkiem inaczej. Thomas Lehnerer dokładnie wiedział, że jej ówczesna decyzja była uzasadniona wyłącznie jego zachowaniem, jego ociąganiem się i niezdecydowaniem. Często o tym rozmawiali w ostatnich latach. Nie chodziło jej o pieniądze.

Ani o władzę, ani też o wybicie się na pozycję władczyni małego imperium. O tym także nie mogła myśleć. Nie w wieku szesnastu lat! To dopiero się okazało z biegiem czasu. Firma! Była sensem jej życia. Dla niej oddychała, dla niej tyrała, dla niej ponosiła każdą ofiarę. Thomas Lehnerer nigdy do końca nie zrozumiał, co nią kierowało i po co właściwie żyła. To już zresztą nie było ważne.

Teraz miała trzydzieści pięć lat. I teraz zdecydowała, że jej mąż musi umrzeć. Trudna decyzja, ale nieodzowna. Thomas Lehnerer musiał jej przyznać rację w każdym punkcie jej argumentacji. Niewiele pozostało po dobrym przyjacielu z dzieciństwa. Mężczyzna w fotelu był pijakiem i hazardzistą, osobnikiem bez charakteru, pijawką pozbawiającą innych podstaw egzystencji. Nie uznawał poczucia obowiązku i odpowiedzialności. Dbał tylko o siebie i swoje przyjemności.

Mimo to!

- A co z twoimi odciskami palców? - spytał, by zyskać jeszcze kilka sekund czasu. - Jeśli dałaś mu resztę tabletek, to musiałaś dotknąć opakowania. Jeśli je zbadają...

Tego się bała, dobrze o tym wiedział. Śledztwo! Policja kryminalna! Zabezpieczanie śladów. Ludzie, którzy tak dokładnie prześwietlali życie, że potrafili dotrzeć do najgłębszego

zakątką. Laboratoria kryminalne, gdzie na podstawie jednego włoska, niteczki czy jednej kropli krwi można było odczytać całą katastrofę. Tygodniami wyjaśniała mu, co może ich spotkać, jeśli popełnią choćby jeden błąd. A teraz wyróciła oczami.

- I co z tego? Naturalnie, że go dotknęłam! To moje tabletki, sama kilka wzięłam. Dotknęłam też butelki i noża. Moje odciski palców są tutaj wszędzie. Muszą przecież być, bo tutaj mieszkam i stale czegoś dotykam. Na jego marynarce znajdzie się mnóstwo moich włosów, jeśli ktoś sobie zada trud, by ich poszukać. I włókna z mojej spódnicy, wszystko się na to składa, mój drogi. Tylko w tym, co się tyczy ciebie, będziemy ostrożni. A teraz, proszę, rozbierz się nareszcie.

Jeszcze kończąc tę przemowę, wyciągnęła z bocznej kieszeni swojej szarej spódnicy biały kąpielowy czepek i parę cienkich, plastikowych rękawic. Były to takie rękawice, jakie dołączano w drogeriach do płukanek do włosów. Thomas Lehnerer wiedział, że regularnie rozjaśnia sobie włosy. Na srebrny blond, z natury nie była aż tak jasną blondynką. Wyciągnęła do niego rękawice wraz z czepkiem.

- Masz - ponowiła żądanie. - Rusz się wreszcie. Muszą ci pasować. Jest tylko jeden rozmiar. Włóż je lepiej od razu. I załóż to na głowę.

Poczuł mdłości letnią falą zalewającą mu żołądek. Dwa kroki za nim zdawał się zaczynać inny świat. Trawnik, ogrodzenie wysokości człowieka, za nim las, wszystko tak spokojne pod kiczowato już zaróżowionym wieczornym niebem. Słyszał, jak mężczyzna w fotelu oddycha. Brzmiało to prawie jak chrapanie. A może już rżenie? W każdym razie nie brzmiało normalnie. Śmieszny, grzechotliwy gwizd jak u astmatyka. Butelka wódki, niemal trzy czwarte litra oprócz tego, co już wypił wcześniej, to z pewnością nie było mało. Do tego dwadzieścia sześć tabletek paramedu.

Już same tabletki były zabójcze. Dowiedziała się tego w aptece, pytając przy okazji, niewinnie. Już kilka miesięcy temu, kiedy po raz pierwszy powiedziała: - Thomas, tak dalej być nie może. Nie mogę przecież beczynnienie się przyglądać, jak on do cna rujnuje firmę. Nie po to pracowałam, nie po to. Muszę coś przedsięwziąć.

Naturalnie, że musiała. Thomas Lehnerer doskonale o tym wiedział. W ogóle wiedział mnóstwo rzeczy. Tylko ta jego wiedza nie zmieniała niczego w fakcie, że istniała pewna różnica. Mówienie o tym - owszem! Rozważanie takiej możliwości, planowanie szczegółów to była jedna strona medalu. Działanie było zupełnie czymś innym.

A przy tym nie musiał szczególnie dużo robić. Wystarczyło jej pomóc przenieść męża do samochodu, odprowadzić pojazd w ustronne miejsce. A przed odjazdem powinien ją pobić i zadać jej kilka ran nożem. Wszystko to omówili. A teraz stał koło drzwi, jakby wrósł w

ziemię i po prostu nie mógł ruszyć się z miejsca.

Wiedziała, co się z nim dzieje, wystarczająco dobrze go знаła i starała się opanować ogarniającą ją panikę. Gdyby Thomas zostawił ją teraz na łasce losu! Powinna była strzelać, póki był po temu czas. Teraz już było za późno. Nawet byle jak pracujący lekarz sądowy musiał rozpoznać, co było w ciele siedzącego w fotelu mężczyzny, oprócz kuli. I kto by zrobił coś takiego - najpierw się truć, a potem jeszcze strzelać?

Pewnie nawet można by było stwierdzić, że w momencie nastąpienia zgonu sam nie był już w stanie strzelić. A następnie stwierdzono by, że o szóstej wieczorem nie był już w stanie prowadzić samochodu. Zostawało coraz mniej czasu. Już od ponad pół godziny był nieprzytomny. Jeśli w ciągu następnej półgodziny nie dotrze tam, gdzie powinien...

Jej myśli pędziły jak oszalałe w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia. Jeszcze jedna próba z Thomasem. Zmusiła się do uśmiechu. Ktoś kiedyś powiedział, że może dostać od mężczyzny wszystko, jeśli tylko w odpowiedni sposób się do niego uśmiechnie. Że przekonałaby największego sceptyka, osiągnęła każdy cel i że wyrażała uśmiechem tak szerokie spektrum uczuć i nastrojów, że druga strona zupełnie przestawała myśleć.

Tym razem jej uśmiech był łagodny, pełen zrozumienia. A przy tym smutny, zatroskany, niemal lękliwy, miękki i bezbronny. Z tym uśmiechem podeszła do niego, położyła mu dłoń na ramieniu. W drugiej ręce trzymała rękawice i czepek. - Co się dzieje? - spytała.

Również jej głos był łagodny, pełen zrozumienia, smutku, troski i lęku. - Masz raptem skrupuły? - Ciche, drżące westchnienie, a potem mówiła dalej, szybciej, z większym naciskiem: - Thomas, już przecież po wszystkim. W każdym razie nie da się już tego cofnąć. I wiesz tak samo dobrze jak ja, że to była jedyna możliwość. Co miałam innego zrobić? Ogłosić upadłość? I co by się stało z ludźmi? Jeszcze kilku bezrobotnych, tak? Przy paru milionach cóż znaczy tych sześćdziesięciu pięciu? W statystyce nie robi to różnicy, ale dla mnie oni są ważni. Większość z nich ma rodziny, a starszych nikt już przecież nie zatrudni.

Kiedy nie odpowiadał, głośno wciągnęła i wypuściła powietrze, drzenie się nasiliło. Jej uśmiech zniknął, a głos drżał, kiedy stwierdziła: - Przeceniłeś się.

Głośno przełknęła ślinę, skłoniła lekko głowę w jedną stronę, jak gdyby musiała się zastanowić. Po kilku sekundach wzruszyła ramionami, mówiąc ze słyszalną rezygnacją w głosie: - Dobrze, idź już. Błędem było cię w to wciągać. Powinnam była wiedzieć, że nie potrafisz tego zrobić. Myślałam jednak, Thomas nie musi wiele robić, a tę odrobinę... Ach, zostawmy to. Sama też dam sobie radę.

To było niemożliwe. Mężczyzna w fotelu ważył ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. Może mogłaby go wywlec i doholować do samochodu, ale to zostawiłoby ślady. A potem musiałaby gdzieś pojechać tym samochodem, wiele kilometrów stąd, i musiałaby wrócić piechotą. To by za długo trwało, zniszczyłoby cały jej plan. Wiedziała o tym tak samo dobrze jak i on. Zobaczył, że zagryza usta. Jej spojrzenie stałe krążyło pomiędzy mężczyzną w fotelu a nim.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział.

Ponownie wzruszyła ramionami, na jej twarzy wyraźnie malowała się rozpacz. - Ja dużo mogę - stwierdziła. - Nie mogę go stąd zabrać. Muszę go zostawić tu, w fotelu. A potem muszę być po prostu trochę dłużej nieprzytomna. Chodzi tylko o to, żeby mi uwierzyli. Guz na głowie w takim wypadku nie wystarczy. Ale postrzał wystarczy, w ramię. Czy od tego nie traci się przytomności?

Jej głos nabral histerycznego brzmienia. - Może lepiej w brzuch? Jak myślisz? To bardziej wiarygodne, nieprawdaż? Siedział tu i groził, że się zastrzeli. Chciałam mu odebrać broń. Padł strzał. Straciłam przytomność. A on był zbyt tchórzliwy, żeby strzelić także do siebie. Zdecydował się na tabletki.

- Oszalałaś - mruknął, kiedy znowu zamilkła.

- Nie, Thomas. - Potrząsnęła głową. - Szalona byłam wtedy, gdy zdałam się na to, że ty mi pomożesz.

Wyglądała na taras, omijając go wzrokiem. Jej spojrzenie gubiło się gdzieś w zieleni lasu, która tymczasem przybrała już niemal czarną barwę. Widział, jak drga jej twarz, jak gdyby walczyła z napływającymi łzami. Po kilku sekundach przegrała tę walkę.

Po raz pierwszy Thomas Lehnerer widział ją płaczącą, naprawdę płaczącą. Znowu patrzyła mu w twarz, grzbietem jednej ręki ocierała policzki, na moment mocno zagryzła wargi.

- Najlepiej już idź. Jakoś dam sobie radę. W ciągu ułamków sekund jej plecy się wyprostowały, a twarz przybrała zdecydowany wyraz. - Wetknę mu do ręki pistolet, a potem nacisnę spust. Nigdy nie wolno się zdawać na innych. Gdy przychodzi co do czego, tchórzą.

Kiedy zbierała się, by wyjść na korytarz, ujął ją za ramię i zatrzymał. - Betty, chyba nie mówisz tego poważnie. Bądź rozsądna. Nie możesz sobie strzelić w brzuch. Mogłabyś przy tym zginąć.

- Będę uważać - oznajmiła przekornie i jeszcze raz otarła policzki. Łzy rozmazały jej makijaż. Pod oczami były czarne obwódki z tuszu do rzęs. Czubkiem palca przeciągnęła pod prawym okiem, ale tylko rozmazała tusz.

- Thomas, uczyni mi tę grzeczność - zażądała - i znikaj stąd natychmiast, bo stracę nad sobą panowanie. Już dosyć natraciłam nerwów.

Wtedy wreszcie wyjął jej czepek i rękawice z dłoni, zdjął marynarkę i spodnie, naciągnął rękawice i czepek. Całkiem automatycznie. Starał się nie patrzeć w obwisłą twarz mężczyzny, kiedy ujął go pod pachy i podciągnął ciało do siedzącej pozycji.

Głowa opadła do przodu, broda schowała się pod klapą. Thomas Lehnerer nie zwracał na to uwagi. Nie zauważył też zakrwawionej otoczki, którą uczyniła ślina na marynarce. Najgorsze było to, że czuł się jak kompletny idiota. Rozebrany aż po slipy, w śmiesznym czepku kąpielowym na głowie i w rękawicach, które zaraz przykleiły mu się do rąk.

Betty stała jeszcze przez sekundę, jakby nie mogła pojąć czy uwierzyć, że jednak był gotów jej pomóc. Potem także podeszła do fotela i ujęła męża za nogi.

Wynieśli go przez taras za róg domu, do jego samochodu. Czarny lamborghini. Jedne i drugie wahadłowe drzwi były już szeroko otwarte, o to zatroszczyła się wcześniej. Obydwa siedzenia były pokryte mocną plastikową folią. Pomyślała o wszystkim. Wspólnie umieścili mężczyznę w samochodzie w ten sposób, żeby leżał na kolanach, z przodu, przed siedzeniem pasażera, z twarzą ukrytą w folii.

- Gdyby zwymiotował - powiedziała. - Miejmy nadzieję, że nie zrobi tego w czasie jazdy. Kto wie, jak zadziałają te tabletki, jeśli połowę z nich zwymiotuje. Kiedy usuniesz go z samochodu, wtedy nie będzie problemu. W każdym razie połów go na plecy. Wtedy się udusi. I pamiętaj o tym, by zabrać ze sobą folię. Nie zapomnij też o jego odciskach palców.

Zamknęła drzwi samochodu, a Thomas Lehnerer zażądał:

- Musisz umyć klamkę przy drzwiach. - Wewnętrznie był całkiem chłodny, niemal obojętny, jakoś mu się udało odsunąć to od siebie. Współudział w morderstwie - tak sformułowałby to sędzia, gdyby kiedyś doszło do procesu.

Była przekonana, że nigdy do tego nie dojdzie. Wszystko było zbyt dobrze przemyślane. Nie nazywała też tego morderstwem, tylko wyjściem awaryjnym, na dodatek w ostatniej chwili. I dokładnie rzecz biorąc, było to wyjście awaryjne.

Roześmiała się cicho i nieco nerwowo. - Jak myślisz, kogo zdziwiłyby moje odciski palców na drzwiach samochodu? Jeszcze w piątek siedziałam w środku i trzymałam w ręku klamkę. - Potem pobieżnie wytarła rękawem bluzki drzwi, mruknąwszy przy tym: - Kto wie, kto jeszcze po mnie w nim siedział.

Szła przed nim, weszła przez taras do salonu i zaraz podeszła dalej, do stolika. Tam sięgnęła po kuchenny nóż, podczas gdy on szybko naciągał marynarkę i spodnie. Kiedy podetknęła mu nóż, potrząsnął głową.

- Przykro mi, Betty, ale naprawdę nie mogę tego zrobić.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy Betty przeciągnęła ostrzem noża po swojej lewej dłoni. Tylko raz drgnęła, zacisnęła krwawiącą rękę w pięść i spojrzała na niego wyzywającym wzrokiem.

- Czy mam sobie też sama przyłożyć w głowę? Czy przynajmniej to dasz radę zrobić?

Nie czekała na jego odpowiedź. Ukłękła przed stolikiem, wpatrzona w jego twarz. Jej głos brzmiał niemal tak, jakby go wabiła. - Thomas, no już, to nie takie straszne. Ja dużo mogę wytrzymać. Tylko raz o kant stołu. I to już będzie wszystko.

Krew z jej ręki skapywała na białą terakotę. Nie mógł na to patrzeć, spoglądał w górę, na sufit, wolno do niej podchodząc i ujmując jej głowę w obie ręce. Skłonił się ku niej, pocałował ją z zamkniętymi oczami. - Kocham cię - szepnął. A potem uderzył jej głowę, kierując ją nieco w bok i na dół. Aż nazbyt dokładnie usłyszał to uderzenie. Zdawało mu się, że jego żołądek wywinął koziołka.

Kiedy wreszcie był w stanie na nią spojrzeć, jej oczy były również zamknięte. Przez moment obawiał się, że ją zabił. Gdyby przynajmniej jęknęła! Ale ona po kilku sekundach zamrugła oczami i mruknęła:

- Leci krew?

- Nie.

- Muszę krwawić - wyszeptała. Brzmiała jak ogłuszona. - To bardziej wiarygodne. Uderz jeszcze raz. Albo lekko natnij skórę głowy nożem. Nie martw się, to nie boli. Właściwie nic z tego nie czuję.

Kiedy kilka minut później ją zostawił, siedziała koło stolika na podłodze i sprawiała wrażenie apatycznej i dezorientowanej. Cienka strużka krwi sączyła się z boku jej głowy poprzez włosy. Rzeczywiście udało mu się uderzyć jej głowę o kant stołu, tym razem mocniej. Krwawiła także nadal jej lewa ręka. W prawej ręce trzymała słuchawkę telefonu, przyciskając ją do zdrowej części głowy.

Na zewnątrz zabrzmiał silnik samochodu, głośno zaryczał w panującej ciszy i szybko się oddalił. Dopiero kiedy zupełnie umilkł, wcisnęła jeden z przycisków telefonu i wysłuchała wolnego sygnału. Kiedy zrealizowano połączenie i odezwał się kobiecy głos, jęknęła, odjęła słuchawkę od ucha i zostawiła ją wiszącą na kablu, powoli kołyszącą się w tę i w tę, kilka centymetrów nad podłogą.

Jeszcze przez kilka minut siedziała na podłodze, po czym z trudem się podniosła. Kręciło jej się w głowie, miała poczucie, jakby mózg przesuwiał się jej w czaszce. Przed oczami tańczyły punkciki, nie wiedziała dokładnie, czarne czy kolorowe. Ale bólu prawie nie

czuła, ani dłoni, ani głowy. Cztery tabletki, które zażyła profilaktycznie, zagłuszały tymczasem wszelkie poczucie bólu. Nie wierzyła, by rana, którą zadał jej Thomas, mogła mieć groźne skutki. Jej jedynym zmartwieniem był samochód, a szczególnie mężczyzna za kierownicą. Żeby tylko Thomas wytrzymał!

Poczwała, jak żołądek ściska jej się na myśl o tym, co jeszcze mogło pójść nie tak. Nawet perfekcyjny plan ma słabe punkty, a Thomas był jednym z nich. Jedynym, jak sądziła.

Pierwsze, co dostrzegł Georg Wassenberg u Betty, były jej nogi. Smukłe, idealne w kształcie, w matowo połyskujących nylonach. I fragment spódnicy, jasnoszarej, wąskiej, modnie krótkiej. Odsłaniała kolana i część ud. Kobieta leżała na sofie z białej skóry. Dużo było bieli w tym pokoju. Dużo bieli, szkła, trochę chromu, kilka odłamków szkła na podłodze koło drzwi na taras i kilka malowniczo bujnych roślin, porozstawianych jakby przypadkowo.

W jej życiu nie było jednak przypadków, tylko staranne plany, ambicje, pilność i żelazna wola. Georg Wassenberg szybko to pojął. I zdawało mu się, że rozpoznaje pewne podobieństwo charakterów, podobieństwo ze sobą. Mimo to była dla niego tym, co nazywają przeciwieństwem. A przeciwieństwa, jak to mówią, się przyciągają. Zanim upłynęła godzina, można było wyczuć tę siłę przyciągania. A późną nocą trudno mu się było z nią rozstać.

Kiedy wszedł do jej domu, minęła akurat dziewiąta wieczorem. Wówczas sprawiała wrażenie bezradnej, nie całkiem jeszcze przytomnej. Przed sofą stał pochylony starszy człowiek, jej lekarz domowy. Zasłaniał górną połowę jej ciała i twarz, był zajęty opatrywaniem rany głowy. Od czasu do czasu poklepywał ją po policzkach, żądając: - Pani Theissen, budzimy się, budzimy. - Jak gdyby tylko przysnęła. A ona została pobita, we własnym salonie, przez własnego męża.

Pół godziny wcześniej nie było to jeszcze takie jasne. Centrala telefonów alarmowych przekazała zgłoszenie o usiłowaniu zabójstwa na młodej kobiecie. A ponieważ Georg Wassenberg był jeszcze w biurze, więc pojechał pod wskazany adres. Sam, nie było żadnych wskazań, by brać do towarzystwa kolegę. Na miejscu było dwóch funkcjonariuszy z policji prewencyjnej, którzy zupełnie wystarczyliby do poświadczenia pierwszych zeznań ofiary, jeśli byłaby zdolna do złożenia zeznań. A usiłowanie zabójstwa to fraszka w porównaniu z tym, co normalnie należało do ich obowiązków.

Dwa niewyjaśnione morderstwa młodych kobiet jeszcze z zeszłego roku. Obydwa przypadki nie miały ze sobą nic wspólnego. W wypadku czterech denatów, którzy dołączyli od początku roku, sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Pierwszego odkryli spacerowicze na początku stycznia, drugiego cztery tygodnie później, trzeciego trzy tygodnie po drugim.

Czwarty został znaleziony dopiero przed trzema dniami, dwa tygodnie po poprzednim. Odstępy czasowe skracały się w dramatyczny sposób.

Ofiarami byli bezdomni, miejscy włóczędzy, wyrzutki społeczne, zazwyczaj znajdowani we wczesnych godzinach porannych. Siedzący na ławkach w parku, stopy związane mocnym sznurem, kawałek liny przeciągnięty pod pachami i przerzucony przez oparcie ławki, tak że siedzieli wyprostowani, ręce związane na plecach, na głowie plastikowa reklamówka. A obok trzech z nich porządnie ułożone nieliczne rzeczy, które mieli przy sobie w tej reklamówce w momencie śmierci.

Ostatnią jak dotąd ofiarą był, Jens-Dieter Rasche, który zajmował na koszt opieki społecznej małą pokójkę na pensji i tam przechowywał cały swój dobytek. Jednak i w jego przypadku nie brakowało reklamówki. Policja wychodziła z założenia, że sprawca miał jedną reklamówkę przy sobie, niejako na wszelki wypadek.

Georg Wassenberg był nadkomisarzem w komisji do spraw zabójstw, miał czterdzieści dwa lata, od pół roku był rozwiedziony. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i kilka zbędnych kilogramów. Nie dosyć, by określić to mianem nadwagi, ale dostatecznie dużo, by nadać mu pozory dobroduszości. Pozory jednak myliły.

Georg Wassenberg był człowiekiem uczuciowym. A w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy odczuwał głównie wściekłość. Miało to także wpływ na jego życie zawodowe. Tego poniedziałkowego wieczoru pod koniec marca nie mógł oczywiście przewidzieć, w jakiej sytuacji postawią go w nadchodzących tygodniach jego sprzeczne uczucia. Początkowo nawet nie przeczuwał, że prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa.

W pierwszych godzinach sprawa jawiła mu się tak, że uznał, iż ktoś ogromnie przesadził albo coś opacznie zrozumiał. Usiłowanie zabójstwa! To była zwykła, codzienna sprzeczka małżonków, z rękoczynami, a nie sprawa dla policji kryminalnej. Nie można było liczyć na to, że żona złoży doniesienie na swojego męża. Na to w takich wypadkach nigdy nie można było liczyć. A jeśli wbrew oczekiwaniom jednak chciałyby złożyć doniesienie, to wystarczyliby do tego jego obaj umundurowani koledzy, którzy przybyli na „miejsce popełnienia przestępstwa” wkrótce po lekarzu i nadal tam wystawali.

Georg Wassenberg nie miał w istniejącej sytuacji żadnego powodu, by pozostać na miejscu. Po przedstawieniu przez jego młodszych kolegów prawdziwego stanu rzeczy mógł się pożegnać i wrócić do biura, żeby tam nadal zajmować się pierwszymi, skąpymi jeszcze wynikami badań kryminalistycznych w przypadku ostatnio zamordowanego Jensa-Dietera Rasche, porównywać je z trzema pozostałymi przypadkami, szukać wskazówek. Mógł też naturalnie pojechać do domu. Było już dostatecznie późno.

Pojechać do domu! Do nędznego, małego mieszkania w ponurej dzielnicy na obrzeżach miasta. Dwa pokoje, kuchnia, przedpokój, łazienka - tak to zostało określone w umowie najmu. Oba pokoje przynajmniej zasługiwały na to miano. Było w nich miejsce na łóżko, szafę, stół, dwa krzesła i dwa fotele. Za to kuchnię stanowił tylko mroczny kąt. Obok lodówki i kuchenki nie było w niej nawet miejsca na kosz na śmieci. Na przeciwległej ścianie znajdował się zlew, całkiem już zniszczony, ze starej porcelany poznaczonej licznymi, ciemno zabarwionymi pęknięciami oraz półka na ekspres do kawy i toster.

Łazienka, a dokładniej rzecz biorąc, komórka szerokości ręcznika, z prysznicem, toaletą i małą umywalką, skłaniała Georga Wassenberga do tego, by każdego dnia podśpiewywać sobie szlagier: „Śniłem o białych rumakach, dzikich, białych rumakach na plaży”. Gdy podchodziło się do sprawy w ten sposób, to nawet zapleśniała kabina prysznicowa miała w sobie coś pociągającego.

Od roku i sześciu miesięcy Georg Wassenberg był ostatecznie zdecydowany przynajmniej prywatną część swojego życia traktować w ten sposób, by opanować chaos w swoim wnętrzu.

Przed rokiem i sześcioma miesiącami jego żona oznajmiła mu po dwunastu latach małżeństwa, że wszystko skończone, po prostu i zwyczajnie skończone. - Musisz przyznać, Georg, że my dwoje zupełnie do siebie nie pasujemy.

Może szkoda tylko, że Sonia potrzebowała dwunastu lat, by to stwierdzić. Może nawet powinien być jej wdzięczny, bo w gruncie rzeczy miała rację. Już od dawna w jego małżeństwie nie wszystko było tak pięknie, ładnie. Sonia była rozpuszczoną lalą, dosyć bezradną wobec prozy życia, dzwoniącą przynajmniej pięć razy dziennie do jego biura, by spytać o radę, pozostawiającą wszelką decyzję jemu, nawet jeśli dotyczyło to wyłącznie kolacji. Tylko tę ostatnią decyzję, tę dotyczącą wspólnego życia, podjęła sama ze sobą. Nie, nie całkiem sama. Miała odpowiedniego doradcę.

Inny mężczyzna! Taki, który miał dla niej więcej czasu, okazywał więcej cierpliwości. Taki, który nie wybuchał gniewem z powodu każdej drobnostki, bo myślami był jeszcze przy jakichś zwłokach. Bo nie umiał się oswoić z potrzebami kobiety, która dobiegała czterdziestki i zadawała sobie obecnie pytanie, czy należałoby się dwa razy w tygodniu opalać w solarium, skoro twierdzono, że od tego szybciej starzeje się skóra, a ona właśnie odkryła nową małą zmarszczkę.

Sonia nie chciała słuchać o starszej pani, której młody ćpun rozbił głowę, bo potrzebował tych kilku marek jej renty, żeby kupić trochę towaru. Ani o młodym ojcu rodziny, który rzucił swoim czteromiesięcznym synem o ścianę, bo krzyk dziecka

przeszkadzał mu się skoncentrować na pokazywanym w telewizji meczu piłki nożnej. Chodziło o Bundesligę, w tej sytuacji młody ojciec potrzebował spokoju, a dzieciak nie chciał się uciszyć.

Sonia uważała, że tego typu zdarzenia są potworne. Była też zdania, że na prywatnym gruncie nie należy się zajmować strasznymi stronami życia. Sonia wolała mu opowiedzieć o tym nowym kremie, który wprawdzie kosztował majątek, ale według reklamy gwarantował skórze dopływ liposomów czy enzymów, czy innego nonsensu, zmniejszających już istniejące zmarszczki i zapobiegających powstawaniu nowych.

Na ten temat Sonia mogła dyskutować bez końca. I znalazła takiego, którego również niezwykle interesowały tego typu tematy i który był ponadto oblatany w sprawach mody. W końcu następcą Georga Wassenberga prowadził ekskluzywny butik dla pań i dlatego w każdej chwili mógł udzielić informacji w tak istotnych dla świata kwestiach, jak: „Jak sądzisz, skarbie, mogę założyć tę czerwoną bluzkę do tej szarej spódnicy? Czy będzie się to gryzło?”.

Mimo, że takie pytania wystarczająco często doprowadzały go niemal do obłędu albo do rozpacz, to oświadczenie żony przyprawiło go o potężny szok. Potrzebował miesięcy, by pojąć, że mówiła poważnie. Dla Soni ich rozwód był tylko formalnością. Żadnego prania brudów, żadnych kłótni o pieniądze, a dzieci nie mieli.

Obowiązkowy rok separacji przetrwali z odrobiną przyzwoitości i godności. Mimo że nie mieszkali oddzielnie i Sonia każdego wieczora przyjmowała swojego właściciela butiku. Ten wkrótce nabrał nawyku pozostawiania na noc. Dla bezpieczeństwa zabierał ze sobą swoje psisko, młodego wilczura noszącego wybitnie rzadkie miano Harro, który co noc leżał pod drzwiami sypialni i czuwał nad namiętnością swego pana.

Gdyby Georg Wassenberg rzeczywiście poważnie planował rozwalić jego panu czaszkę, to pies by mu w tym na pewno nie przeszkodził. Tyle że niekontrolowane wybuchy wściekłości niczego by nie dały. Opanował się więc, sto razy dziennie i tysiącrotnie nocą zaklinał się, że tylko w ten sposób może jeszcze coś uratować.

Do diabła z liposomami i enzymami, solariami i zmarszczkami - Sonia była jego żoną! Kochał ją. I chciał ją, do cholery, zatrzymać. To, że zdradzała go z takim zerem, było ciosem poniżej pasa, potwornym ciosem prosto w jego męską ambicję. Ale tym mogli zająć się później.

Jego zdaniem miał się przez te miesiące całkowicie pod kontrolą, nie przepuścił żadnej okazji, by dowieść Soni, że jest sto razy bardziej męski niż ten rachityczny facecik w kolorowych jedwabnych koszulach, z kępkami przetransplantowanych włosów na łysinie. I kiedyś wreszcie by ją o tym przekonał, gdyby mu tylko zostawiła więcej czasu.

Ale Sonia chciała w spokoju rozkoszować się nowym szczęściem i pozbyć się go z domu. Dom należał do niej, względnie do jej ojca. Kiedy rozwód nabrał mocy prawnej, dla Georga Wassenberga oznaczało to, że musi spakować manatki. Prawdopodobnie powinien być szczęśliwy i wdzięczny losowi, że tak szybko znalazł w ogóle jakiekolwiek mieszkanie. Nie był jednak ani szczęśliwy, ani pełen wdzięczności. Nadal jeszcze był wściekły. Żałował tych dwunastu lat, swojej żony, przyjemności małżeńskiego życia i domu, w którym mieszkał. Tych wielkich, jasnych pokoi i eleganckiego wystroju wnętrz.

Były one podobne do tego pokoju, w którym stał teraz. Może początkowo dlatego tylko został, ponieważ dobrze się czuł w tej atmosferze, rozluźniony i zadowolony, nawet nieco zadowolony, jak na znanym terenie. Może była w tym też pewna doza ciekawości. Po wnikliwym obejrzeniu nóg tej kobiety chciał przynajmniej przelotnie ujrzeć jej twarz.

Było mu to nareszcie dane, kiedy lekarz się wyprostował i zrobił krok w bok. Ledwie udało mu się powstrzymać od cichego gwizdu. Sonia była śliczna, atrakcyjna, czy jak by to jeszcze określić. Kobieta na sofie była piękną, nawet bandaż na głowie nie był w stanie tego zmienić.

Miała włosy do ramion, srebrny blond, prostą fryzurę z przedziałką pośrodku. Regularną, niemal klasyczną twarz, figurę dokładnie taką, jak należy. Do krótkiej, szarej spódnicy założyła czerwoną bluzkę. I nie gryzło się to ze sobą. Nawet plamy krwi na spódnicy nie zakłócały tej harmonii.

Lekarzowi udało się nareszcie osiągnąć sukces. Za pomocą cucenia i małej lampki, którą świecił jej w oczy, skłonił ją do ich otwarcia. Teraz, z niezadowoleniem to komentując, pomagał jej usiąść; osobiście wolałby, żeby pozostała w pozycji leżącej. Wymamrotała coś pod nosem.

Georg Wassenberg nie dosłyszał co, ale brzmiało to tak, jakby powiedziała: „Ze mną wszystko w porządku”.

Zsunęła nogi z sofy. Spódnica jeszcze trochę podjechała w górę, odsłaniając kraniec pończoch i wąski pasek gładkiej, opalanej skóry. Nie obchodziło jej to. Albo jeszcze tego nie zauważyła, albo nie przeszkadzało jej, że w pokoju znajduje się także aż siedmiu mężczyzn.

Dwóch umundurowanych policjantów, z których młodszy miał najwyżej dwadzieścia pięć lat i bezwstydnie wlepił oczy w kraniec pończoch. Obok złożonych noszy dwóch sanitariuszy wyraźnie zbytecznych i w związku z tym znudzonych. Lekarz, Georg Wassenberg i jeszcze mężczyzna w dresie do joggingu. To on wpuścił Georga Wassenberga do domu, przedstawiając się przy tym jako Thomas Lehnerer i usiłując wyjaśnić sytuację.

Śmieszny typ, niezwykle zdenerwowany, mówił tak szybko, że miało się problemy ze

zrozumieniem. - Znalazłem ją zaraz po ósmej. Była nieprzytomna, nie mogła mi otworzyć. Musiałem wybić szybę w drzwiach na taras, żeby wejść do domu. Chyba usiłowała się do nas dodzwonić. Musiało to być gdzieś około szóstej, ale moja żona nie potraktowała tego telefonu poważnie.

Jego żona, zgadzało się to z faktycznym stanem rzeczy, sądziła, że to kiepski żart, kiedy zadzwonił telefon i nikt się nie przedstawił, tylko jęczał do słuchawki. Obsceniczny telefon, pomyślała Margot Lehnerer, po prostu odłożyła słuchawkę i tymczasem zapomniała o sprawie.

Tego wszystkiego dowiedział się Georg Wassenberg, stojąc jeszcze w drzwiach. Idąc przez przedpokój, Thomas Lehnerer mówił dalej, wyjaśniając resztę. Był typem sportowca, miał niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu, silnie zbudowany, o sylwetce atlety, wytrenowanej tysiącami kilometrów, które przebiegł w ciągu ostatnich lat.

Niedługo przed ósmą, opowiadał, skończył biegać po lesie i wrócił. Codziennie biegał przez trzy godziny, w każdą pogodę. Chciał zatelefonować. Zadzwonić do szefowej, powiedział, dowiedzieć się, co u niej. Szefowa już przed południem niedobrze się poczuła, a nawet dwie godziny wcześniej niż zwykle wyszła z firmy. Było to dla niej bardzo nietypowe i należało założyć, że rzeczywiście bardzo źle się poczuła. Dlatego Thomas Lehnerer chciał tylko krótko spytać, czy już jej lepiej. Nie udało mu się jednak uzyskać połączenia, linia była stale zajęta. Około dziesięciu minut próbował się z nią połączyć. W tym czasie jego żona wspomniała o dziwnym telefonie. Wtedy wyszedł, żeby sprawdzić sytuację.

Tak jak to przedstawiał Thomas Lehnerer, każde zdanie brzmiało niezwykle dramatycznie. Jakby zbliżał się koniec świata, jeśli jakaś kobieta rozmawiała przez telefon dłużej niż dziesięć minut. Sonia bez problemu potrafiła przegadać dwie godziny.

Rozbawiony Georg Wassenberg zadawał sobie pytanie, bo na tym początkowym etapie styl bycia Lehnerera rzeczywiście jeszcze go bawił, czy ten mężczyzna w dresie ma zdolność jasnowidzenia, czy niezwykle dar kombinatoryki. Musiał mieć jedno z dwojga. Bo zgodnie z jego wyjaśnieniem, pamiętając o silnym bólu głowy, na który szefowa narzekała wczesnym popołudniem, dostrzegł potencjalny związek pomiędzy zajęta linia a tajemniczym telefonem, jaki dwie godziny wcześniej odebrała jego żona. Znalazł potwierdzenie swoich obaw w jeszcze większym stopniu, niż to zakładał. Szefowa leżała nieprzytomna koło stolika w salonie, na białej terakocie były plamy krwi. Zawiadomił lekarza, a ten zadzwonił po policję i karetkę.

Teraz Thomas Lehnerer siedział w fotelu, nie spuszczać wzroku z kobiety na sofie. Nadal jeszcze sprawiał wrażenie niezwykle zdenerwowanego, zaleknionego i zatroskanego.

Georg Wassenberg usłyszał zadane przez niego pytanie: - Jak się czujesz Betty? Co z tobą?

Betty, pomyślał Georg Wassenberg, Betty Theissen. Dotąd Thomas Lehnerer nazywał ją tylko szefową. I w tonie jego głosu słyhać było respekt, miała autorytet.

W tym momencie nie sprawiała takiego wrażenia. Zdawała się być jeszcze pod wpływem ciosu, który ją powalił i długiego braku przytomności. Nie zareagowała na pytanie Lehnerera, prawą ręką złapała się za głowę, dotknęła opatrunku. Jej lewa ręka również doznała urazu, była prowizorycznie obwiązana chustką. Wyglądało to na dzieło Lehnerera.

Kiedy lekarz usunął chustkę, ukazało się przecięcie. Georg Wassenberg nie był w stanie ocenić, jak głębokie. Widział tylko, że rana biegła w poprzek dłoni. Podczas gdy lekarz zabrał się do opatrywania jej ręki, jeden z sanitariuszy spytał, jak długo to jeszcze potrwa.

- Kilka minut, panowie - powiedział lekarz. - Kiedy opatrzę rękę, możecie zabrać panią Theissen.

Dotąd z jej ust dobiegał tylko ledwo zrozumiały szept. Teraz powiedziała: - Nikt mnie nie zabierze. Jestem cała i zdrowa.

Jej głos brzmiał bezbarwnie i niewyraźnie. Mrugnęła oczami, spojrzała szklanym wzrokiem po zebranych w salonie i spytała zirytowana: - Co się tutaj dzieje? - A zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, padło drugie pytanie: - Gdzie jest Herbert?

I znowu nikomu nie udało się odpowiedzieć. Jej oczy spoczęły na obu policjantach: - Gdzie jest mój mąż? Gdzie samochód? Wszystko w porządku z samochodem?

Nie czekała na informację. Jej wzrok powędrował ku sanitariuszom, zatrzymał się na noszach. Głos jej się załamał, gdy zaczęła pojmować, że całe to zamieszanie jest związane z nią samą. W żadnym wypadku nie chciała zostać odwieziona do szpitala, ani na prześwietlenie, ani w innym celu. Z lekko histerycznym odcieniem w głosie upierała się, że jest cała i zdrowa. Abstrahując od lekkiego bólu głowy. Zadrapanie na rękę nie było godne wzmianki, poza tym wszystko goiło się na niej jak na psie.

Lekarz wielokrotnie odwoływał się do jej rozsądku. Nie martwił się raną ciętą, ale jej głową. Jego zdaniem miała poważny wstrząs mózgu. W najlepszym razie! Może nawet krwotok mózgowy. Długotrwała utrata przytomności dawała, jego zdaniem, dużo do myślenia.

Tylko machnęła ręką. Było całkowicie wykluczone, by dała się teraz odwieźć do szpitala, żeby ją tam zatrzymali na kilka dni. Była niezbędna, jutro wczesnym rankiem będzie koniecznie i pilnie potrzebna w firmie. Obstawała przy tym, żeby sanitariusze opuścili jej dom.

Mówiąc to, przyciskała zdrową rękę do czoła. Jej wzrok krążył po stoliku, jakby

czegoś szukając. Była przy tym coraz bardziej rozhisteryzowana. - Gdzie są moje tabletki? Do diabła! Ten idiota wziął je ze sobą?!

Georg Wassenberg musiał się długo dopytywać, korzystając z pomocy lekarza, nim zdała mu w miarę spójną relację. Jej pamięć zdawała się doznać poważnego uszczerbku na skutek długotrwałej utraty przytomności i uderzenia. Co chwila dotykała czoła, jakby w ten sposób mogła pomóc swojej pamięci albo przynajmniej zmniejszyć silny ból. W końcu jednak stało się jasne, co zaszło.

I Georg Wassenberg w żadnym miejscu jej relacji nie odniósł wrażenia, że ta kobieta kłamie. Niekiedy dostrzegał, przede wszystkim przy przesłuchaniach, te drobne zdradzieckie gesty. Wystarczyło tylko dokładnie obserwować ludzi. Ale to tutaj nie było przesłuchaniem.

A ona dostatecznie długo przygotowywała się do swojej roli. Jak do przedstawienia teatralnego, którego powodzenie zależało od tego, by nie tylko swoją rolę odegrać, ale się w nią wżyć, by samemu być przekonanym o prawdziwości każdego słowa. A ponieważ tu były dokumentnie wymieszane i prawda, i fałsz, więc nie było się do czego przyczepić.

Około trzeciej po południu opuściła firmę. Nie sama, do domu odwiózł ją Thomas Lehnerer. Po drodze omówili ostatnie szczegóły. O tym oczywiście nie wspomniała, opisała tylko to, co sobie wymyśliła i już tysiące razy opowiedziała w myślach.

- Niedobrze się czułam. Już przed południem bolała mnie głowa. Około południa zaczęłam mieć zaburzenia wzroku. Było coraz gorzej, dlatego nie chciałam sama prowadzić.

Thomas Lehnerer nie odprowadził jej do samego domu, zaraz zawrócił i pojechał do firmy. Jej męża nie było, kiedy weszła. W weekend też gdzieś jeździł. Coś przekąsiła i wzięła środek przeciwbólowy. Niegroźny, jak sądziła. Dwie tabletki paramedu. Dwie pierwsze z nowego opakowania zawierającego łącznie trzydzieści sztuk. Opakowanie zostało na stoliku. Dokładnie to zapamiętała. Położyła się na sofie i zasnęła. Zbudziło ją wejście męża.

- Nie wiem dokładnie, która była godzina - powiedziała. - Może piąta, ale mogło być już i trochę później. Nie spojrzałam na zegarek. Mój mąż był porządnie pijany.

Zaczęła mu robić wymówki. Nie po raz pierwszy zresztą. W ciągu ostatnich tygodni, miesięcy, lat często dochodziło do kłótni, nie robiła z tego żadnej tajemnicy. Jej mąż nie troszczył się o firmę, często wyjeżdżał, wydawał dużo pieniędzy, o wiele za dużo. Wystarczająco często wyrównywanie stanu kont firmowych po jego prywatnych wydatkach było prawdziwym balansowaniem nad przepaścią. Także w ostatni weekend miał przy sobie dużą sumę i nie przywiózł z tego ani feniga.

Przez chwilę w milczeniu wysłuchiwał jej zarzutów. Potem podszedł do barku, wyjął

butelkę wódki, otworzył, przyłożył do ust. Pił, jakby nigdy nie miał przestać. Prawie ćwiartkę zawartości wlał sobie od razu do gardła, ledwo nadązał z przełykaniem. Kiedy nareszcie znowu odjął butelkę od ust, po prostu stwierdził: - Mam dosyć! Skończę z tym!

Nie potraktowała go poważnie nawet wtedy, kiedy sięgnął po pudełko z lekami leżące na stoliku. Spokojnie patrzyła, jak wyjmował z folii tabletki, kierował dłoń do ust, i popijał łykiem z butelki.

Była pewna, że tylko udaje i chowa tabletki w dłoni. Ile tych gestów było, nie może dokładnie powiedzieć, bo nie liczyła. Osiem czy dziewięć, może dziesięć, zanim, mając dosyć tego przedstawienia, wstała z sofy i spróbowała odebrać mu opakowania i butelki.

Wtedy raptem mu odbiło. Nie opadł jak zwykle z jękiem na fotel, skarżąc się ogólnie na los, a w szczególności na swoją bezużyteczność. Odepchnął ją na bok, pobiegł do kuchni, wziął stamtąd nóż i w ten sposób uniemożliwił jej zbliżenie się do siebie. Zachowywał się jak wariat, krzyczał na nią. Ma go zostawić w spokoju, ma już tego powyżej uszu, a on jej przecież tylko wyświadczy przysługę. Przy najlepszych chęciach nie może tak dłużej żyć.

Oczywiście starała się odebrać mu nóż. Tak nim wymachiwał, mógł się łatwo zranić. Ale w końcu to ona sama się zraniła, sięgnęła niezgrabnie lewą ręką po nóż, bo mąż złapał ją za prawe ramię i trzymał w uścisku nadgarstek. Ujęła za ostrze i przecięła sobie dłoń. Kiedy uwolniła prawą rękę i zdrową dłoń ponownie chciała ująć nóż, mocno uderzył ją pięścią w ramię. Zachwiała się, przewróciła i uderzyła głową o kant stołu.

Nie od razu straciła przytomność, udało jej się jeszcze sięgnąć po telefon i wcisnąć jeden z zachowanych numerów. Zobaczyła, jak jej mąż stoi koło stołu z krzywym uśmiechem na twarzy. Nie wiedziała, co zrobił potem. Straciła przytomność, zanim mogła się przedstawić przez telefon i poprosić o pomoc. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy pokój był już pełen mężczyzn, a lekarz właśnie opatrywał jej otwartą ranę głowy.

Jej ostatnie wypowiedzi skłoniły Georga Wassenberga do zadania sobie pewnego pytania. Jeśli przez cały czas była nieprzytomna, trudno jej było z kimkolwiek rozmawiać, przez telefon tylko jęczała, skąd więc Thomas Lehnerer tak dokładnie wiedział, że jej mąż ją pobił? Właśnie to powiedział obu policjantom. A od niej nie mógł się tego raczej dowiedzieć.

Zdaje się jednak, że często dochodziło do kłótni pomiędzy małżonkami, może też częściej zdarzały się rękoczynny. Nawet w wyższych sferach od czasu do czasu coś takiego się zdarza. I prawdopodobnie Thomas Lehnerer jako przyjaciel rodziny dobrze o tym wiedział, tak że wysnuł jedynie prawdopodobny wniosek.

Tym samym teoretycznie miał odpowiedź na swoje pytanie. Całą uwagę Wassenberg skupił teraz na kobiecie. Naprawdę była piękną. Ten spokój, którym promieniowała mimo

wszystko, który bardzo dokładnie zauważył, chociaż nie mógł prawidłowo wytłumaczyć, był fascynujący.

Niechętnie zdobył się na porównanie. Postawiona w podobnej sytuacji Sonia nie wykrztusiłaby z siebie jednego sensownego słowa, trzęsąc się i narzekając. Ta kobieta przeciwnie, z jej początkowej hysterii nie pozostało ani śladu.

Na końcu swojego opowiadania wydawała się jedynie wyczerpana. Wsparła się na sofie, na moment przymknęła oczy, głośno oddychając. - Co za idiota - powiedziała. - Naprawdę usiadł jeszcze za kierownicą.

Ponownie otworzyła oczy, spoglądała na starszego z policjantów. - Proszę uczynić mi tę przysługę, zabrać mu prawo jazdy i zabezpieczyć samochód, jak już go panowie znajdą. Proszę go zamknąć i pozwolić odespać rausz. Mogą go też panowie od razu wysłać na oddział psychiatryczny. Mam już tego dosyć.

Jeszcze zanim policjant zdążył w jakikolwiek sposób zareagować na jej żądania, zwrócił się do niej lekarz. Jej relacja widocznie go zdenerwowała. - Pani Theissen, butelka i opakowanie po lekach, gdzie one są?

Spojrzała znowu szybko na stolik, wzruszając ramionami. - Herbert musiał je wziąć ze sobą. Nie mógł przecież tak zwyczajnie zostawić swoich najważniejszych rekwizytów pod moim nosem. Wtedy od razu mógłby sobie darować cały ten cyrk.

Lekarz nie dał się zbyć. - Jest pani całkowicie pewna, że tylko symulował zażywanie tabletek?

Ponownie wzruszyła ramionami, sprawiała wrażenie zrezygnowanej. - Może i kilka połknął, nie wiem. Nie widziałam dokładnie. Ale z pewnością nie było tego dużo, a one są przecież zupełnie niegroźne. Paramed! No niech pan sam powie! Gdyby rzeczywiście chciał popełnić samobójstwo, to wziąłby z sypialni pistolet.

Dochodziła już dziesiąta. Nawet jeśli, jak twierdziła, nie wiedziała dokładnie, o której jej mąż wyszedł z domu, na podstawie jej telefonu do żony Lehnerera dało się ustalić, że było to około szóstej. Dramat rozegrał się w czasie kwadransa poprzedzającego telefon. Wobec tego minęły już niemal cztery godziny od momentu zażycia tabletek. Dla pewności, stwierdził lekarz, trzeba było założyć, że zażywanie nie było symulowane. Ale nawet jeśli tak, to Herbert Theissen miał butelkę i opakowanie ze sobą. Nie można było wykluczyć, że urzeczywistnił swoje groźby gdzieś poza domem. Doświadczenie uczyło, że ten, kto o tym mówił, przechodził kiedyś do czynu.

Wielokrotnie zaprzeczyła. - On na pewno nie. - Czy: - Ach, proszę dać spokój. Wie pan, ile razy słyszałam to od niego w ciągu minionych lat? Skończę z tym! Zabiję się! Ale on

nie jest taki głupi. Po prostu stale chce słuchać o tym, jakim jest wspaniałym facetem i że jego śmierć byłaby niepowetowaną stratą dla całej ludzkości.

Lekarz obstawał przy swoim zdaniu. Osobiście znał Herberta Theissena i chyba wiedział coś na temat jego stanu psychicznego, czego nie chciał głośno powiedzieć. Wymienił tylko kilka rzeczy rzucających się w oczy. Theissen zachowywał się inaczej niż zwykle, nawet jego żona musiała to przyznać. A tak niegroźny, jak ona zakłada, to paramed nie był. W większej dawce, w każdym razie, działał śmiertelnie, tyle że po dłuższym czasie. Lekarz pospieszył z wyjaśnieniami.

Około dwudziestu godzin, w pewnych okolicznościach jeszcze dłużej, mogło potrwać, zanim nastąpiła śmierć. Lek atakował wątrobę i powodował, że przestawała funkcjonować. W połączeniu z alkoholem i przy wcześniej już uszkodzonej wątrobie mogło to nastąpić znacznie szybciej. On jako lekarz nie miał doświadczenia w tej dziedzinie. Nie zdarzało się często, by ktoś usiłował w ten sposób popełnić samobójstwo, stwierdził. W każdym razie była to powolna i bardzo bolesna śmierć.

Na początku była jeszcze spokojna, słuchała wyjaśnień, wielokrotnie przy tym potrząsając głową. Georg Wassenberg uważnie ją obserwował. Potem jednak opadły ją chyba wątpliwości. Na koniec jej przerażenie było aż nadto widoczne. Zobaczył, że się skuliła, szeroko rozwarła oczy, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale wydobył się z nich jedynie jęk. Jej wzrok znowu krążył od jednego do drugiego, zawisł na Thomasie Lehnererze. W jej oczach była czysta panika. Głośno przetykała ślinę.

- Co za obłąd - usłyszał Wassenberg jej szept. Jej wzrok powędrował ku obu policjantom, a potem dalej. Przez kilka sekund zawisł na nim i w tym momencie był jakiś inny, może zalękniony i niepewny, nie umiał dokładnie tego ocenić.

Potem jej oczy znowu skierowały się ku Lehnererowi. Usiłowała podnieść się z sofy. - Musimy go poszukać. Thomas, pojedę z tobą.

Lekarz położył jej rękę na ramieniu, zmusił, by znowu usiadła na sofie, wyjaśnił łagodnie, ale stanowczo: - Z nikim pani nie pojedzie, pani Theissen. Musi się pani położyć.

Jej głos znowu nabrał histerycznego brzmienia, kiedy ostro się sprzeciwiła: - Nieprawda! Chyba pan nie sądzi poważnie, że położę się tu na sofie, podczas gdy mój mąż krąży wozem gdzieś tam i...

- Jeździć - uspokajająco przerwał jej lekarz - z pewnością już nie może. Nie z taką ilością alkoholu we krwi. - I kontynuował zdecydowanym tonem: - A szukanie go proszę pozostawić policji. Pani w każdym razie nie będzie brała udziału w tych poszukiwaniach. Nie chcę ponosić za to odpowiedzialności.

Nie panowała nad sobą, wielokrotnie mu się jeszcze sprzeciwiając. - Ale przecież dobrze się czuję. Naprawdę wszystko ze mną w porządku.

Nie było w porządku, sama to czuła. Działanie czterech tabletek, które wzięła profilaktycznie, już ustępowało. Miała stałe uczucie ucisku w głowie, a z jego centrum po całym mózgu rozchodziły się krótkie, ostre ukłucia bólu. Właściwie nie była w stanie myśleć, w głowie miała tylko te dwa słowa: dwadzieścia godzin. I to spojrzenie Thomasa! Czy pojął, co to oznacza?

Wyraźnie tak. Nic jednak nie powiedział, ani słowa, z którego można by było wnioskować, że jest gotów doprowadzić tę sprawę do końca. A przecież wystarczyłoby proste, nic nieznaczące zdanie dla wyrażenia jego gotowości i woli. - Betty, wezmę udział w poszukiwaniach i zrobię, co będę mógł.

Nic! Stał jak wrośnięty w ziemię, dokładnie tak samo jak wczesnym wieczorem. Jego oczy wyraźnie mówiły, co myśli. - Przykro mi, nie mogę tego zrobić.

Kiedy pojęła, że nie uda jej się nic zrobić wbrew woli lekarza, który natychmiast znalazł poparcie u obu policjantów, a tym bardziej u Wassenberga, zwróciła się do niego. - Pojedziesz, dobrze? Proszę, Thomas! Musisz coś przedsięwziąć, a ty go przecież tak dobrze znasz. Może domyślasz się, dokąd mógł pojechać.

Georg Wassenberg zobaczył, że mężczyzna w dresie potrząsa głową. Czy chciał w ten sposób zanegować jej pytanie, czy swoje domysły, trudno było zgadnąć. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdenerwowanego niż na początku. Ale jej natarczywa prośba odniosła pożądany skutek.

Oczywiście, że Thomas Lehnerer był gotów wziąć udział w poszukiwaniach Herberta Theissena. Sądził nawet, że zna kilka miejsc, w których te poszukiwania mogłyby zakończyć się sukcesem. Wyszedł z domu wraz z dwoma policjantami, którzy przez krótkofalówki wezwali inne wozy policyjne.

Lekarz chciał się przyłączyć do Lehnerera. Wyszedł jako ostatni, ale zanim to zrobił, zażądał jeszcze raz z naciskiem, żeby Betty się położyła. - Pani Theissen, proszę być rozsądną. Proszę tego nie lekceważyć, wstrząs mózgu to nie żarty. I proszę się nie martwić o męża. Może jutro będzie miał po prostu tylko porządnego kaca. Ale nawet gdyby zażył wszystkie tabletki, to mamy jeszcze dosyć czasu. Znajdziemy go w porę.

Tego właśnie się obawiała i nie mogła nic zrobić, by temu zapobiec. Pozostała w domu w towarzystwie jednego policjanta. Tego jej plan nie przewidywał. I do tego jeszcze z policji kryminalnej! Wprawdzie liczyła się z tym, że zjawi się ktoś z policji kryminalnej, ale nie tak szybko. Któregoś z nadchodzących dni, jak myślała, kiedy odnajdą ciało.

Dlaczego ten idiota Thomas musiał aż tak przesadzić?! - Usiłował ją zamordować! - Czy trzeba go było uczyć na pamięć każdego zdania? Nawet nie mogła mu przerwać, kiedy opowiadał lekarzowi tę straszną historię. Była przecież nieprzytomna, bardzo przekonująco nieprzytomna.

I myślała, że jak oprzytomnieje, to jak na tacy poda któremuś z tych niegroźnych i poczciwych stróżów porządku swoją wersję. Takiemu, który potem będzie myślał tylko o jednym, o pogoni za pijanym w trąbę kierowcą.

Georg Wassenberg rozsiadł się wygodnie w fotelu. Nie umiałby nikomu wytłumaczyć, dlaczego to właśnie on przy niej pozostał. Oczywiście, ktoś musiał z nią być. Nie zostawiała się kobiety w takiej sytuacji samej, zwłaszcza jeśli była ranna.

Lekarz byłby tu odpowiednią osobą, żeby ją uspokoić i w razie czego służyć pomocą. Załóżmy tylko, że rzeczywiście miała wstrząśnienie mózgu. Albo, co gorsza, krwotok mózgowy. Gdyby teraz ponownie straciła przytomność! Lekarz by rozpoznał, czy jest to groźne. Ale on uważał, że gdzie indziej może więcej zdziałać. To samo dotyczyło Thomasa Lehnerera, a już na pewno obu funkcjonariuszy policji. Pozostawał tylko on. I został tu chętnie. Piękna kobieta. Tak opanowana, mimo widocznej rozpacz i bólu.

Jej twarz wykrzywiła się w cierpieniu, cicho jęknęła. Znowu takie ukłucie, które na kilka sekund pozbawiło ją powietrza. Drugi raz Thomas uderzył mocniej, niż się spodziewała. Miejmy nadzieję, że nie będzie jeszcze gorzej, nie teraz, kiedy musiała jasno myśleć. Tylko z trudem udawało jej się powstrzymać panikę.

Skazana była dokładnie na to, czego w ogóle nie potrafiła: na czekanie. I jeszcze zdana akurat na Thomasa. Thomas potrafił myśleć i planować, ale gdy przychodziło do działania, można było o nim zapomnieć. Trzeba było najpierw go namawiać, tak jak wczesnym wieczorem. A kiedy działał z własnej inicjatywy - pod presją czasu, w naprawdę trudnej sytuacji - to zaraz pojawiał się jakiś błąd.

Najchętniej by głośno krzyczała, biła na oślep, waliła pięściami w sofę, stolik czy tego policjanta, o którym tylko tyle wiedziała, że już był jej wrogiem. Muszę się stąd wydostać, muszę natychmiast coś zrobić. Muszę to doprowadzić do końca.

Dwadzieścia godzin! O tym aptekarz nie wspomniął ani słowa. Wręcz przeciwnie, zachowywał się tak, jak gdyby miało to nastąpić cholernie szybko. I co teraz? Co mogła przedsięwziąć, mając w domu policjanta? Przecież nie pozwoli jej wyjść, sam właśnie najgłośniejsz krzyczał, że ma grzecznie leżeć na sofie.

Przynajmniej nadal siedziała prosto, zignorowawszy dobitną radę lekarza. Jednak mając coraz silniejsze, przenikliwe, kłujące lub tępo pulsujące bóle czaszki, nie będzie mogła

zbyt długo tak usiedzieć. Jakby niechący dotknęła znowu prawą ręką głowy, pomacała opatrunek, rozważając słowa lekarza.

Dosyć dziwne te sugestie o psychicznej kondycji Herberta! Rzeczywiście w ciągu ostatnich tygodni był nieco zdeprimowany. Jakby stał przed jakąś ważną kwestią, nie wiedząc, co począć. Lekarz zdawał się być przekonany o tym, że próba samobójcza jest poważną sprawą. To była sprzyjająca okoliczność. Cała reszta to jedna wielka katastrofa.

ROZDZIAŁ 2

Czarny lamborghini stał w odległości około trzystu metrów w linii prostej od szosy, na leśnej polanie, przy tak zwanej chacie do grilla. Trudno jednak było mówić o chacie, był to solidnie zbudowany dom z bierwion z odpowiednim wyposażeniem.

Chatę można było wynajmować na dni, od wiosny do jesieni. Sezon zaczynał się na początku maja i przez całe lato co weekend panował tam wielki ruch. Za to w tygodniu było spokojnie. Spacerowicze nie zjawiali się tu prawie nigdy, mimo że do polany można też było dotrzeć przez las. Było to jednak dobrych dwanaście kilometrów od granicy miasta. Dla tak wytrenowanego mężczyzny jak Thomas Lehnerer nie był to żaden problem. Powrót nie zajął mu nawet godziny. Szosą byłoby ponad dwadzieścia kilometrów.

Z przodu, od szosy znajdował się wyasfaltowany parking, stąd wiodła do chaty kręta, wąska ścieżka dla pieszych. Istniał też bezpośredni dojazd. Był ukryty pomiędzy krzewami na najdalszym krańcu parkingu i normalnie zamknięty ciężkim łańcuchem. Łańcuch był dodatkowo zabezpieczony kłódką.

Cały teren należał do miasta. Został wydzierżawiony stowarzyszeniu sportowemu, które zajmowało się chatą i zobowiązało się dbać o to, żeby nie jeżdżono bez powodu przez las. Dlatego za każdym razem pouczano wynajmujących, że żadnemu gościowi nie wolno dojeżdżać samochodem aż do celu. W przypadku wynajmujących chatę nie dawało się tego uniknąć, ostatecznie trzeba było jakoś dostarczyć napoje, żywność i całe worki węgla drzewnego do grilla. Nikt przecież nie mógł wymagać, żeby taszczyli to setki metrów przez las na piechotę. Mimo to oczekiwano, że zaraz po przejechaniu tym dojazdem, a szczególnie przy opuszczaniu tego miejsca, znowu założą łańcuch i prawidłowo zamkną go na kłódkę. Ostatni wynajmujący, który wraz ze swymi gośćmi bawił się w chacie, także to uczynił.

Wedle obliczeń Betty musiało to być ubiegłej jesieni. Możliwe też, że teren był potem wielokrotnie kontrolowany. Dzierżawcy z pewnością zadbali o to, by przygotować chatę na zimę. Później jednak mogło się jeszcze wiele wydarzyć.

Thomas Lehnerer musiał otworzyć kłódkę nożycami do cięcia drutu. Wiedzieli, że nie da się tego uniknąć, kiedy szukając odludnego miejsca, zdecydowali się właśnie na to.

Obydwoje je znali, w sierpniu ubiegłego roku obchodzili w tej chacie urodziny szwagra Thomasa, przy tej okazji porozmawiali z dzierżawcą i dowiedzieli się, że i łańcuch, i kłódka są śmiechu wartym, za to uciążliwym zabezpieczeniem.

Betty była zdania, że nikt nie będzie sobie szczególnie łamał głowy, co się stało, jeśli łańcuch po raz kolejny będzie leżał na ziemi. Zostawianie nożyc na miejscu wydawało się jej zbyt ryzykowne. Pijany do nieprzytomności i naszpikowany lekami mężczyzna mógł jeszcze poprowadzić samochód w odludne miejsce. Często słyszało się o przypadkach, kiedy pijany człowiek przejechał nie tylko dwadzieścia, ale nawet kilkaset kilometrów.

Ile promili we krwi miał jej mąż tak naprawdę, tego Betty nie potrafiła ocenić. Nie miała też pojęcia o zaawansowanej marskości wątroby i - jak to określił pewien lekarz - żyłakowatych żyłach, żyłakach przełyku, objawiających się silnymi krwawieniami, tak że zwykły atak kaszlu mógł w pewnych okolicznościach stanowić zagrożenie życia. Lek, który wmusiła swojemu mężowi, jeszcze potęgował tendencję do krwawień. Między innymi negatywnie wpływał na krzepliwość krwi. Również o tym Betty nie miała najmniejszego pojęcia.

Wydawało jej się tylko wątpliwe, by mężczyzna pod wpływem przynajmniej trzech czwartych litra wódki mógł jeszcze odpowiednio posłużyć się ciężkim narzędziem. I to takim, jakiego nie wozilo się ze sobą ot tak w bagażniku. To wymagało zaplanowania i wykluczało podjęcie spontanicznej decyzji. Tylko bez ryzyka, nie stwarzać policji żadnych zagadkowych sytuacji. Gdyby mieli pytać, szybko by się okazało, że tę kłódkę często wyłamywano.

Wczesną wiosną i późną jesienią od czasu do czasu w weekendy pary miłosne zjawiały się w tym miejscu. Tam nikt im nie przeszkadzał. Niektóre zostawiały samochody na parkingu, jeśli pogoda na to pozwalała, wciskały pod pachę koc i wędrowały wąską ścieżką do chaty. Inni, którzy mieli mniej oporów i respektu dla cudzego mienia, jechali samochodem aż do celu.

Było to romantyczne ustronie. Wokół chaty roztaczała się wielka, obrośnięta lasem łąka, stromo opadająca na wszystkie strony. Na zachodzie kończyła się sztucznym stawem, na którym kiedyś rosły nawet lilie wodne. Teraz już ich nie było i rzadko kto tam chodził.

Jeden z członków zarządu stowarzyszenia sportowego powiedział Betty, że rozważa się możliwość zasypania stawu w przyszłym sezonie. Z tego powodu Betty początkowo w ogóle nie uwzględniła w swoich planach tego małego zbiornika wody. Woda ta była właściwie błotnistą zupą, znad której rozchodził się smród zgnilizny. Na samym brzegu woń była najbardziej intensywna, nawet w odległości kilku metrów od wody skłaniała jeszcze ludzi do pociągania nosem. Ale aż do chaty nie dochodziła. A nawet gdyby, to Herbert

Theissen by jej nie poczuł.

Leżał, wbrew przykazaniom Betty, na brzuchu koło swojego lamborghini na płasko udeptanej trawie. Leżał tak już od kilku godzin, od kiedy Thomas Lehnerer wyciągnął go z auta i położył obok.

Wskazówka Betty: - W żadnym wypadku nie zostawiaj go w samochodzie. Może dłużej potrwa, zanim go znajdą. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby samochód jakoś dziwnie pachniał. Sam rozumiesz.

Oczywiście, że Thomas rozumiał i oprócz tej drobnostki zaaranżował wszystko według jej życzenia, chociaż musiał przy tym mocno zaciskać zęby. Wyglądało to tak, jakby Herbertowi Theissenowi z trudem udało się jeszcze wysiąść z auta, zanim opuściły go siły. A w tym wypadku człowiek przewracał się raczej do przodu niż do tyłu, pomyślał Thomas.

Drzwi samochodu po stronie kierowcy były wysoko uniesione w górę. Obie foliowe plandeki usunął z siedzeń i wracając ze swojego leśnego joggingu, od razu schował w garażu, razem z nożycami do cięcia drutu. Rękawice i czepek kąpielowy wetknął po drodze do pojemnika na śmieci.

Nie wiedział, że żona widziała go przez kuchenne okno wracającego do domu, że zadawała sobie pytanie, co trzyma w ręku i dlaczego najpierw poszedł do garażu. Nie spytała go o to, bo od razu zaczął mówić o złym samopoczuciu Betty i natychmiast sięgnął po telefon.

Pomiędzy pedałem gazu i hamulcem leżał na podłodze mały kuchenny nożyk z zakrwawionym ostrzem, jakby spadł z kolan Herbertowi Theissenowi przy wysiadaniu. Pomiędzy mężczyzną i samochodem leżała pusta butelka po wódce, jakby do końca trzymał ją w ręku. Na siedzeniu pasażera leżało puste opakowanie po lekach. Na każdej z tych rzeczy znajdowały się odciski palców Herberta Theissena. Była to inscenizacja perfekcyjna w swym wyrazie i wiarygodna w każdym szczególe.

Herbert Theissen leżał twarzą w zabarwionej krwią kałuży. Około dziewiątej zwymiotował. Jego prawe udo spoczywało na nadgryzionym kawałku chleba grubo posmarowanego ziołowym masłem. Kolejna drobnostka, której Betty nie była w stanie przewidzieć w swoim planie.

Wyjątkowo już w poprzedni weekend po raz pierwszy w tym roku korzystano z chaty. Jeden z członków zarządu stowarzyszenia sportowego pozwolił swemu synowi urządzić w chacie urodziny dla około pięćdziesięciu gości. Bawiono się dosyć hucznie i nikt już potem nie pamiętał o posprzątaniu.

W poniedziałek wczesnym rankiem młody człowiek wrócił jeszcze raz, by

przynajmniej pobieżnie posprzątać w chacie i na okolicznym trawniku. Nie pozbiarał jednak wszystkiego. Dobrze o tym wiedział. Tak samo wiedział też, że opuszczając to miejsce, założył łańcuch z normalnie działającą kłódką.

Ból głowy i panika doprowadzały ją niemal do szaleństwa. Pod przymkniętymi powiekami przesuwały się obrazy. Na przykład, jak jej mąż wyjął z barku butelkę. Naprawdę wziął ją sam, zaraz po czwartej. Skłonienie go do tego było dziecinną igraszką. Wystarczyło kilka zdań. I to podanych pod płaszczykiem troski i zdenerwowania.

- Chyba nie jechałeś znowu w tym stanie? Któregoś dnia to przekłete picie cię wykończy! Powinieneś kiedyś porozmawiać z lekarzem. To twoje picie to już nałóg.

Uśmiechał się, idąc do barku. Był to pełen samozadowolenia uśmiech mężczyzny, którego mózg rozplątał się pod wpływem dostarczonych promili. A jego głos wraz z nim.

- Posłuchaj, gołąbeczko, piję tyle i tak długo, jak długo sprawia mi to frajdę i smakuje. Ale ty nie będziesz już musiała zbyt długo na to patrzeć. Jeszcze tylko ten jeden raz. Mam ci powiedzieć, za co piję? Za dzień, w którym będziesz musiała obwieścić całej załodze: Koniec z nami, ludzie. Betty nie dała rady utrzymać wspaniałego przedsiębiorstwa swojego pracowitego teścia. Betty nie uda się niestety popsuć krajobrazu za pomocą kilkudziesięciu tanich domków jednorodzinnych. Betty z całym swoim zapalem i zaangażowaniem jest skończona. Nic jej nie pomogło, że w domu nie pozwalała sobie nawet na sensowny posiłek, nie mówiąc już o nowej bluzce. Betty splajtowała, nie może już was opłacać. Piję za jutrzejszy poranek.

Jak to się potem rozsiadł w fotelu, jak ujął za szyjkę butelki. Musiał sobie pomóc drugą ręką, żeby w ogóle móc z niej pić. Zostawiła go, mogła spokojnie poczekać, dobrze wiedziała, że nie przestanie, dopóki flaszka nie wypadnie mu z rąk. Aby być zupełnie pewną, że nie skończy pić wcześniej, musiała jedynie obłudnie udawać zagniewaną i zbuntowaną.

- Żebyś się tylko nie pomylił z tym jutrzejszym porankiem. Naprawdę sądzisz, że mnie złamiesz? Nie w ten sposób. Jakoś zdobędę te pieniądze. Zawsze dotąd jakoś sobie radziłam. A teraz przestań chlać, to obrzydliwe. Weź dwie tabletki, nie mam ochoty wysłuchiwać jutro twojego marudzenia.

Wziął dwie tabletki - dobrowolnie. Zażył jeszcze dwie, kiedy wkrótce potem tego od niego zażądała. I kolejne dwie, kiedy kilka minut później ponowiła swoje żądanie. Dopiero za czwartym razem zaczął coś podejrzewać. - Ale przecież już wziąłem dwie...

Już nawet nie był w stanie liczyć, tylko skamleć i błagać, kiedy pistoletem przystawionym do skroni zmusiła go, by połknął siódmą, ósmą, dziewiątą i kolejne, aż

opróżnił całe pudełko.

- Skończ z tym idiotyzmem, Betty. Nie to miałem na myśli. Przecież mnie znasz. Porozmawiajmy rozsądnie. Muszę ci coś powiedzieć, właśnie chciałem to zrobić. To było głupie z mojej strony, że zacząłem od kłótni. Posłuchaj, Betty! Zabierz ten pistolet! Od dziś nie będę ci już sprawiał kłopotów. Słowo honoru! Zniknę, w porządku? Możesz mieć wszystko, należy do ciebie, firma, dom, wszystko, co chcesz. Pieniądze też dostaniesz z powrotem. Sprzedam samochód, tego przecież chcesz, prawda? Zadzwoń jutro rano do tego tam, tego... no, cholera, jak on się nazywa? Możesz nawet sama do niego zadzwonić. Zadzwoń do niego teraz, zaraz. Może mieć ten wózek. Wszystko dostaniesz z powrotem, Betty, co do grosza, najświętsze słowo honoru. Zabierz już ten przeklęty pistolet. To nie przejdzie. Nikt ci nie uwierzy, że sam się...

A teraz wyglądało na to, że miał rację. Znajdą go za wcześnie, o wiele za wcześnie, jeśli Thomas niczego nie przedsięweźmie.

Wytrzymać! Może trochę porozmawiać, żeby nie oszaleć albo nie stracić opanowania. Przede wszystkim jednak po to, żeby zobaczyć, z kim została sam na sam. Tymczasem trzymać się tej roli, do której przygotowywała się od miesięcy. Bardzo chłodnej, przygotowanej na każdą sytuację, stale opanowanej kobiety, która ani przez sekundę nie wierzy, że jej mąż naprawdę mógłby się otruć.

Mimo że policjant w żaden sposób nie usiłował przeforsować poleceń lekarza, uśmiechnęła się do niego przepraszająco. - Nie mogę teraz leżeć, przykro mi. Jestem zbyt zdenerwowana.

- To zrozumiałe - powiedział.

Opatrunki na głowie i ręce czyniły ją tak kruchą, tak bezradną i wymagającą opieki. Georg Wassenberg czuł potrzebę powiedzenia jej czegoś pocieszającego, nie wiedział tylko za bardzo, co ma mówić i powtórzył słowa lekarza:

- Proszę się nie martwić, pani Theissen. Z pewnością wkrótce odnajdziemy pani męża. Szpital został już poinformowany. Wszystko jest przygotowane.

Wpatrywała się w niego, miała wątpliwości, czy odpowiadać, a jeśli tak, to co. Odgrywanie zrozpaczonej żony nigdy nie było częścią jej planu. Nie potrafiłaby tego uczynić, mimo że wręcz tonęła w rozpacz. Tak się potwornie czuła, że aż było jej niedobrze z bólu.

Po minucie roześmiała się chrapliwie, zabrzmiało to jak łkanie. - Nie martwię się o mojego męża. - Patrzyła mu prosto w twarz, nie spuściła wzroku nawet wtedy, kiedy dodała: - Martwię się jedynie o samochód. Jeśli pańscy koledzy zwrócą mi go w nienaruszonym stanie, będę całkowicie zadowolona. Proszę mi wierzyć, że w ten sposób można by pomóc wielu

ludziom.

Ten samochód, lamborghini! Wassenberg słyszał, jak wymieniała markę wozu, by wszcząć poszukiwania. Czarny kolor, numer rejestracyjny i tak dalej. Kiedy wspomniała też coś o cenie, młodszy policjant gwizdnął cicho przez zęby. Ponad trzysta tysięcy. Niezła sumka jak na samochód.

Ton jej głosu i szczere spojrzenie nie pozostawiały wątpliwości, że to stwierdzenie wyrażało prawdę. Mimo to jej nie wierzył. Jej początkowy przestach po słowach lekarza zupełnie tu nie pasował, podobnie jak jej rozpacz.

Oglądając opatrunek na swojej lewej dłoni, trzeźwo stwierdziła: - Teraz pana zaszokowałam. - Po tych słowach nastąpiło ciche westchnienie i cień uśmiechu. - Za kogo mnie pan teraz uważa?

Georg Wassenberg nie odpowiedział, odwzajemnił jedynie jej uśmiech.

W zadumie skinęła głową. - Ma pan całkowitą rację - dodała cicho, bo głośne mówienie nieznośnie potęgowało ból. - Jestem zimna, zimna jak lód, jeśli jest taka potrzeba. Po co miałabym przed panem udawać? Jeśli mój mąż rzeczywiście to zrobił i nie znajdzie się na czas, jeśli podejmą panowie śledztwo. Bo prowadzicie dochodzenie także w przypadku samobójstwa, prawda?

- Prowadzimy dochodzenie tak długo, aż jednoznacznie wiadomo, że to było samobójstwo - odpowiedział Georg Wassenberg.

- Tak też myślałam - mruknęła, po czym mówiła już nieco głośniejszym głosem: - W tej sytuacji i tak się pan dowie, jakim jestem człowiekiem. Bezduśną, arogancką bestią zwie mnie moja teściowa, wyrachowaną i zainteresowaną jedynie wartościami materialnymi. Ludzie są mi obojętni. Nie obchodzi mnie, czy powodzi im się źle, czy dobrze. W przypadku mojego męża nie obchodzi mnie to już od lat. Dla mnie liczy się tylko to, czy dany człowiek potrafi pracować. Gdy tego nie chce, to jeśli o mnie chodzi, może zgnieć żywcem. Nie mam serca, uczuć, a szczególnie współczucia. Mam tylko moją głowę, która obecnie cholernie mnie boli. Czego bym teraz nie dała za kilka proszków przeciwbólowych. Nie ma pan przypadkiem jakiegoś przy sobie?

Rękę nadal przyciskała do opatrunku. Kiedy potrząsnął głową, na chwilę zacisnęła oczy. Przelotnie pomyślała o tym, by wysłać go do najbliższej apteki. Na to jednak Wassenberg by nie poszedł, za to natychmiast odwiózłby ją do najbliższego szpitala. Czemu nie spytała lekarza o jakiś środek przeciwbólowy?

Bo w tym momencie myślała tylko o dwudziestu sześciu tabletkach. A poza tym wtedy nie było jeszcze tak źle. Dopiero w ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu minut ból się

nasilił.

- To idiota - szepnęła, ponownie zamykając oczy, kiedy kolejny atak bólu przeszył jej czaszkę. - Koniecznie musiał wziąć ze sobą tabletki? Przecież jego pistolet spełniłby to samo zadanie i byłby o wiele bardziej wiarygodny.

Wszystko to było fasadą. Jej spokój na pokaz, opanowanie. Wydawało się sztuczne i wymuszone, Georg Wassenberg to widział i nie dał się zwieść. Była w szoku. Wyraźnie czuł, że brak jej już siły i chętnie by coś dla niej zrobił. Nie mógł jednak uczynić nic więcej, jak tylko jej wysłuchać.

Szefowa, pomyślał i zaraz wpadło mu do głowy zdanie z jakiejś operetki: „A jak to wygląda w środku, nikogo nie obchodzi”. Pewnie nie potrafiła postępować inaczej, była przyzwyczajona trzymać swoje emocje na wodzy i zaprzeczać im nawet wtedy, gdy były ewidentnie widoczne.

Drżąc, odetchnęła, jej głos drżał również wtedy, gdy zaczęła mówić dalej. - Nie chciał się zabić. Przecież go znam. Jeśli połknął tabletki, to wychodził z założenia, iż natychmiast coś zrobię. Przecież widział, że sięgam po telefon. I założę się o wszystko, że podobnie jak ja sądził, że to niegroźny środek. Od zawsze bierze paramed po kieliszku. I zazwyczaj łyka od razu trzy albo cztery proszki. Nigdy mu nie zaszkodziły. Myślałam, że się przesłyszałam, kiedy doktor powiedział, iż są zabójcze. Wie pan, że można je po prostu kupić w każdej aptece? Nawet nie potrzeba recepty.

Nie udało się jej opanować głosu, sama słyszała w nim aż nazbyt wyraźne wahanie. Tam, gdzie pomiędzy paniką i bólem zostało jeszcze trochę miejsca, kłębiły się myśli, jakby zwiły się w kłębki i bawiły z nią w kotka i myszkę. Jeśli Thomas nie da rady... Jeśli nie zdobędzie się na to, by coś przedsięwziąć... Jeśli odnajdą samochód w ciągu następnych kilku godzin...

Może nawet wtedy nie wszystko będzie stracone. Zazwyczaj Herbert nie pamiętał szczegółów, kiedy się budził po takim pijaństwie. Kilka miesięcy temu wrócił do domu ze strasznie pokiereszowaną twarzą. Ale mimo najlepszych chęci nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i w jaki sposób został raniony, czy to był upadek, czy kilka ciosów.

Była tu nikła iskierka nadziei. Tym razem to był cholernie duży rausz, prawdopodobnie spotęgowany jeszcze przez tabletki. Urwał mu się film! A kiedy się obudzi i nic nie będzie pamiętał, to będzie się zastanawiał i zgadywał, jak ten środek znalazł się w jego żołądku...

- Z pewnością można stwierdzić, czy rzeczywiście połknął tabletki? - spytała. - I ile ich było?

- Tak sędzę - odparł Wassenberg. - Za pomocą odpowiednich testów można bardzo wiele udowodnić.

Krótko skinęła głową. - To zobaczymy - stwierdziła. - Jednego może być pan pewien. W każdym razie, jeśli o mnie chodzi, to może sto razy wyjaśniać, że to był przypadek. Że nie pamięta. Bo coś w tym rodzaju będzie mówił, żeby się wypłatać z tej całej afery. Nigdy się do tego nie przyzna. Może nawet wpadnie na jakiś jeszcze lepszy pomysł. Ale obojętne, co mu wpadnie do głowy, ja poproszę o skierowanie go na psychiatrię. Tak się przecież robi z potencjalnymi samobójcami, czyż nie?

- Tak, myślę, że tak - powiedział Georg Wassenberg.

Oparła łokieć na poręczu sofy, a głowę na rękę. Nadzieja igrała z jej nerwami. Ale nigdy nie była typem człowieka, który oddaje się złudnym nadziejom, także teraz nie poprzestała na tym zbyt długo. Mógł mieć luki w pamięci, ale żaden człowiek nie zapomina o pistolecie przystawionym do skroni. Przecież nieomal od tego wytrzeźwiał. I trudno było zakładać, że policja zbędzie jego wypowiedź jako majaki chorego umysłu. Przynajmniej wszystko dokładnie sprawdzą, porozmawiają z ludźmi, którzy znali Herberta. I od wszystkich usłyszą to samo: kochający życie człowiek. Nierób, nicpoń, ale szarmancki i zawsze w dobrym humorze.

Zamknęła oczy. Wassenberg usłyszał, jak cicho westchnęła. - Powinna się pani położyć - powiedział.

Zachowywała się tak, jakby go nie słyszała. Może teraz wszystko zależało od tego, komu w końcu uwierzą.

Nawet szarmancki nicpoń i wiecznie wesoły nierób mógł mieć dobre powody, by odebrać sobie życie. Gdyby tylko mogła uświadomić temu policjantowi te powody. Ale nie gotowe, podane na srebrnej tacy. Wyglądał na takiego, który sam chętnie wyciąga wnioski. Musiało to sprawiać wrażenie przypadku.

- Jest pan żonaty? - spytała cichym głosem.

- Nie.

- Szczęściarz z pana.

- Jestem rozwiedziony - powiedział.

Ponownie otworzyła oczy, spojrzała na niego z namysłem. Wątpliwe, by mogła się go pozbyć. Był jednym z tych upartych i precyzyjnych mężczyzn, widać to już było po sposobie, w jaki na początku zadawał jej pytania.

Najpierw wyglądało to tak, jakby chciał się jedynie upewnić, że fatygował się zupełnie

na próżno. A potem zaskoczył jak podrasowany silnik. Nie odejdzie, zanim akcja poszukiwawcza nie zakończy się sukcesem. A potem znowu przyjdzie, jutro czy pojutrze. „Dysponujemy zeznaniem pani męża. Twierdzi on...”.

- Też kiedyś o tym myślałam - powiedziała. Nie było to kłamstwem, kiedyś zastanawiała się nad rozwodem, ale natychmiast tę myśl porzuciła. Ponieważ było to niemożliwe, ponieważ istniały sprawy, których nie dało się tak łatwo usunąć, jak obrączki z palca. Na przykład odpowiedzialność. Sześćdziesięciu pięciu robotników i pracowników firmy, w większości obarczonych rodzinami, i wszyscy jej ufali.

- Kilka lat temu myślałam, że życie nie może przecież składać się wyłącznie z pracy. Że jestem po prostu za młoda, żeby to tak dalej ciągnąć. Że przynajmniej od czasu do czasu potrzebuję mężczyzny. Mężczyzny, który naprawdę zasługuje na to miano, rozumie pan?

Kiedy przytaknął, kontynuowała z westchnieniem: - Mój mąż spędzał czas w towarzystwie ślicznych dziewcząt i szybkich samochodów. Nie wiem, kiedy zaczął mnie zdradzać. To nigdy nie było ważne. Miałam wystarczająco dużo innych zajęć, żeby się tym nie przejmować. Dla niego byłam jedynie maszyną funkcjonującą od szóstej rano do dziesiątej wieczorem, a potem wyłączaną. Niekiedy tak się też czułam. Już mnie nawet nie dotykał, żadnych przelotnych całusów w policzek czy choćby zwykłego uścisku ręki.

Uśmiechnęła się smutno. A Georgowi Wassenbergowi zrobiło się raptem jakoś za ciepło w tym pokoju. Może to ciepło promieniowało jedynie z jej uśmiechu. Albo z poczucia pewności, że ona mówi prawdę, niesłychaną, ale prawdę. Już mnie nawet nie dotykał!

- Gdybym się jednak z nim rozstała - dodała - to co by się stało z firmą? Mój teść skończy jesienią siedemdziesiąt lat. A osiem lat temu miał wypadek i od tego czasu jeździ na wózku.

A ona od tego czasu była przede wszystkim szefową, potem kobietą. Sześćdziesiąt pięć miejsc pracy, nie zatrudnia się ludzi po to, żeby urządzić sobie ich kosztem wygodne życie. Herbert zawsze widział tylko wielkie liczby, a nigdy nie dostrzegał tego, co trzeba było z tego opłacić. A tak różowo, jak on to sobie wyobrażał, sytuacja dawno już przestała wyglądać. Trzeba było ciężko pracować i ostro kalkulować, jeśli chciało się dotrzymać kroku konkurencji.

- Nie można wszystkiego zostawiać prokurentom - powiedziała. - Thomas Lehnerer to dobry człowiek. Naprawdę nie mogę powiedzieć o nim niczego złego. Wręcz przeciwnie, jestem szczęśliwa, że go mam. Ale to nie jego firma. On dostaje swoją pensję nawet wtedy, kiedy mamy mniej zleceń.

Dwa ostatnie zdania tak jej się jakoś same powiedziały, pierwotny zamiar podsunęcia

przekonywających powodów do samobójstwa jakoś się w tym wszystkim zatracił. Jej myśli pozostały przy dobrym człowieku.

W rzeczywistości Thomas nim faktycznie był. I nadal był jeszcze tam, na zewnątrz. Mógł być na swój sposób zbyt miękki, ale również dla niego była to gra na śmierć i życie. Miał przy sobie telefon, zgłosił się w ciągu pół godziny. Powie, że sobie jakoś tam poradził. Musiał dać sobie radę.

A potem pojawiły się obrazy, wbiły się do głowy pomiędzy te ukłucia bólu i tępe pulsowanie. Thomas z lewarkiem w garści, bijący Herberta w głowę. Albo z kawałkiem sznura, zakładający go Herbertowi na szyję, niewiedzący, jak inaczej z nim skończyć. Thomas na pół oszalały z paniki za kierownicą swojego samochodu, jeszcze jadący albo już stojący gdzieś na poboczu, mający nadzieję, że wpadnie jej coś do głowy, że zadzwoni do niego i powie mu, jak ma postąpić. Ślący modły do nieba, niespuszczający wzroku ze wskazówki zegarka i liczący sekundy. Pięć minut, dziesięć minut. Dwadzieścia godzin.

Rzuciła spojrzenie na zegar nad kominkiem. Dlaczego Thomas nie dzwoni? Musi przecież wiedzieć, że ona nie może nic zdziałać i odchodzi od zmysłów przez to wieczne czekanie. Zabandażowaną dłońią wygładziła kilka fałdek na spódnicy, patrzyła na plamy krwi, skubiąc rąbek materiału. Było w tym coś marzycielskiego. I przy tym ten jej uśmiech.

Była to tylko obronna tarcza, pod którą trwała gonitwa myśli. Dla Georga Wassenberga było to jak objawienie. Dla niego ten uśmiech łączył się bezpośrednio z poprzednimi słowami. Od tego momentu zdarzało mu się chwilami zapomnieć, po co tam był i począł w niej postrzegać przede wszystkim kobietę. Fascynującą kobietę, pracowitą i samodzielną, a tym samym dokładne przeciwieństwo Soni. Ta tu miała inne rzeczy w głowie niż kremy przeciw zmarszczkom i młodzieżową modę. Dowiodła tego tym, co dotąd mówiła. Z jej ostatnich zdań dawało się wyczytać o wiele więcej. Zdradzona i wykorzystana. Pozostawiona sama sobie. I taka piękna.

Oceniał ją na jakieś trzydzieści pięć lat, dobry wiek dla kobiety. A jeśli ją właśnie dobrze zrozumiał, już od lat nie była traktowana jak kobieta. W każdym razie nie przez własnego męża, który wolał śliczne dziewczęta i szybkie samochody.

A ona? Czy znalazła sobie kochanka? Czy to, że „przynajmniej od czasu do czasu potrzebuję mężczyzny” było pewnego rodzaju usprawiedliwieniem? Profilaktycznym usprawiedliwieniem na wypadek, gdyby on lub jakiś jego kolega z policji podczas śledztwa natknęli się na jej kochanka? Gdyby jej mąż zmarł i doszłoby do śledztwa. Żeby wówczas już wiedzieli, że kochanek nie miał z tym samobójstwem nic wspólnego, że był jedynie jej niewielką pociechą.

Powiedziała też jednak, że jej własne życzenia i potrzeby musiały zejść na drugi plan przed sprawami firmy. A to by znaczyło ewentualnie, że od lat żyła jak zakonnica. Niewyobrażalne, musiała być spragniona miłości, pieśczoć, seksu. Już samo myślenie o tym, gdy miał ją tu, tak blisko siebie, drażniło mu nerwy.

Nie zauważyła, co się z nim dzieje, mówiła dalej, kierując tymczasowo jego myśli w zupełnie inną stronę.

- Naprawdę potrzebuję tego samochodu. W przeciwnym razie nie będę mogła wypłacić pensji. To comiesięcznie ponad trzysta tysięcy marek. Jutro muszą wyjść przekazy. Właściwie to już dzisiaj trzeba by było to zrobić. Ale on w piątek podjął pieniądze z konta firmy. Dopiero dzisiaj dostaliśmy wyciągi z konta. Kiedy Thomas położył je na moim stole, myślałam, że się uduszę. To, za co sześćdziesięciu pięciu ludzi z rodzinami musi wyżyć przez miesiąc, on przepuszcza w jeden weekend.

To była prawda. Ponownie oczyma duszy ujrzała siebie przy stole, przez kilka minut wpatrzoną w wyciągi z konta, zupełnie wypaloną wewnątrz. Raptem było tam tyle miejsca na bicie serca, na grzmoty i łoskot od gardła aż po podbrzusze. Każde uderzenie brzmiało: KONIEC! Potem uniosła głowę, spojrzała na Thomasa, który stał bez ruchu, patrząc na nią bez wyrazu.

- Dziś, po jego powrocie do domu - powiedziała, tylko tyle. Wszystko inne omawiali już tak często, tylko ciągle to od siebie odsuwali. Mieli nadzieję, że problem sam się rozwiąże. Wypadek samochodowy, prowadzenie w stanie nietrzeźwym! Herbert przecież co wieczór prowadził. I to już od lat, i już wcześniej brał pieniądze z konta firmy.

W ciągu ostatniego półrocza były to większe sumy. Dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt tysięcy. Była zmuszona zmniejszyć swoje własne zarobki tak bardzo, jak to tylko możliwe. Sto marek na tydzień, niekiedy tylko pięćdziesiąt, dokładnie tyle, by wystarczyło na kilka produktów spożywczych. Przy każdej z jego wypłat z kasy firmy mówiła do Thomasa: „Tak dalej być nie może”.

A teraz trzysta tysięcy! Thomas skinął głową, ponownie wziął wyciągi bankowe i wyszedł z jej biura. „Dziś, po jego powrocie do domu!”.

Moment był wyjątkowo korzystny, niemal idealny. Policja miała na głowie te morderstwa w parku, były już cztery ofiary. Włóczędzy, śledziła tę sprawę w prasie. Wiele o tym nie pisano, ale od czasu do czasu coś się pojawiało, że policja kryminalna dotąd nie ma żadnego śladu, żadnej wskazówki, kto mógłby być sprawcą. Innymi słowy, mieli pełne ręce roboty. Pewnie nie poświęcą zbyt dużo czasu, by wyświetlać do ostatniego szczegółu sprawę samobójstwa. Może zlecać śledztwo komuś, kogo nie będą zbyt potrzebować, kto nie

będzie miał doświadczenia albo będzie przepracowany.

Ale na przepracowanego ten policjant w jej salonie nie wyglądał. Ani na głupka. Sprawiał wrażenie spokojnego, opanowanego. I bardzo, bardzo uważnego.

Jeszcze jedno westchnienie, które miało mu uświadomić, jak bardzo walka ostatnich lat nadwerżyła jej siły, jak się czuła. - Herbert gra. I przegrywa. Jeśli w drodze wyjątku wygrywa, to gra dalej, aż wszystko przegra. A potem upija się tak, że nie przełknąłby już ani kropli więcej. Kiedyś, kiedy jeszcze jego ojciec patrzył mu na ręce, grał tylko na automatach. Zawsze przegrywał. Ale wówczas można to było jeszcze jakoś ogarnąć. Nigdy nie ważył się skorzystać z konta firmy. Po wypadku ojca jego matka była zdania, że każdy człowiek dorośnie pod wpływem przejętej odpowiedzialności. Koniecznie chciała widzieć go na miejscu ojca, ze wszystkimi prawami i obowiązkami. Prawa były mu bardzo na rękę, wówczas odkrył bowiem kasyna, gdzie można się było zrujnować w bardziej stylowy sposób. Obowiązki pozostawił mnie. A ja nie mogłam nawet nic powiedzieć. Gdybym wyjaśniła mojemu teściowi, co wyczynia Herbert...

Wzruszyła ramionami, potem je opuściła. Zrezygowany gest. - Thomas kiedyś próbował - powiedziała. - Tylko delikatnie zasugerował, że trzeba Herbertowi odebrać pełnomocnictwo w sprawie konta. Mój teść chciał go zastrzelić, oczywiście Herberta, a nie Thomasa. Gdyby mógł sięgnąć po broń, to na pewno by to zrobił, jestem o tym przekonana. A tak się tylko zdenerwował i dostał poważnego ataku serca. Całymi tygodniami drżeliśmy o jego życie. Thomas postanowił w związku z tym, że w przyszłości raczej odgryzie sobie język, zanim coś zdradzi. Ja także milczałam. Stale trzymałam buzię na kłódkę i usiłowałam naprawić szkodę. Są jednak pewne granice i... Po prostu już dłużej nie mogę.

Po tych słowach wydała z siebie głos, który zabrzmiał jak suchy szloch.

- Kiedy dziś wrócił do domu, nie miał w kieszeni ani feniga. Potrzebuję tego samochodu, ja... - przerwała, potrząsnęła głową, zdrową rękę zwinęła na kolanach w pięść. - Muszę zapłacić ludziom. Nie mogę przecież dopuścić do tego, żeby zniszczył wszystko to, co inni zbudowali. Rozumie pan?

Georg Wassenberg dziwił się samemu sobie. Ale naprawdę ją rozumiał, był w stanie pojąć, jak się czuła, więc skinął tylko głową.

Szepnęła: - Samochód mogę sprzedać. Ale tylko wtedy, jeśli jego już nie będzie. Nigdy dobrowolnie mi go nie odda. Co prawda, jeśli umrze...

Nie dokończyła tego zdania, wzruszyła tylko krótko ramionami i kontynuowała: - Nie mogę przecież powiedzieć ludziom: „Przykro mi, postarajcie się jakoś przetrzymać kwiecień. Mój mąż urządził sobie miły weekend”. Rozmowa z bankiem nie ma sensu. Już zbyt często

musiałam to robić w ostatnich miesiącach. Nasze możliwości kredytowe są wyczerpane.

Wręcz wprawiała się w trans tym opowiadaniem, już nie zauważała tego, co dokładnie mówi. Był to skutek bólu i potwornego strachu, że go znajdą i będzie mógł przedstawić swoją wersję zdarzeń. Albo że Thomas tam na zewnątrz popełni jakiś błąd i wsadzi ich oboje za kratki. To rozpaczliwe sondowanie i rozważanie tych nielicznych możliwości, które dla niej wchodziły w grę. Świadomość, że nie istniały żadne, jak długo siedziała beczynn timer z tym policjantem w domu. I ta potrzeba, by dać za wygraną, po prostu zrezygnować. To wszystko razem działało jak silny środek znieczulający. Nie znieczulał on ciała, tylko chłodny rozsądek, rozum, wolę walki.

Potem miała chwilę jasności, raptem uświadomiła sobie, co robi. To, że była o krok od utraty wszystkiego, że nie przedstawiała właściwie temu policjantowi przyczyn samobójstwa, tylko dostarczała mu przepięknego motywu morderstwa. Spróbowała pochwycić jego spojrzenie, nie było to zbyt trudne.

Przez cały czas jego wzrok pogrążony był w jej twarzy. Dostyc dziwne to było spojrzenie. Jak gdyby był myślami całkiem gdzie indziej i wyobrażał sobie właśnie coś konkretnego. Ale co? Jak wyprowadza ją w kajdankach?

Zagryzła wargi. Coś bezpiecznego, jakieś naturalne zdanie, które odbierze temu, co właśnie powiedziała, całą wymowę. Dwie, trzy myśli przemknęły jej przez głowę, zatraciły się w świdrującym, kłującym bólu pod opatrunkiem, potem pojawiła się wreszcie jakaś sensowna idea, która nie świadczyła o niczym innym, jak tylko o jej bezradności.

- Co pocznę, jeśli w stanie, w jakim był, rozbił samochód, tak że nadaje się tylko na złom?

- Gdyby doszło do wypadku, to już dawno zostalibyśmy poinformowani - uspokoił ją Wassenberg. - Uplęno pięć godzin od czasu, kiedy pani mąż wyszedł z domu. Przy tej ilości alkoholu dostyc szybko nie mógł prowadzić. Tu muszę się zgodzić z lekarzem. Prawdopodobnie samochód stoi teraz gdzieś na poboczu.

W ostatniej chwili powstrzymała się, by głośno nie odetchnąć, Wassenberg nie powziął jeszcze żadnych podejrzeń. Ociągając się, skinęła głową, jakby nie była jeszcze całkiem do tego przekonana, ale z uprzejmości chciała się z nim zgodzić. A potem nieoczekiwanie zapytała: - Miałby pan ochotę na kawę? Ja bym się chętnie napiła. To pewnie będzie długa noc. A gdyby ofiarował mi pan swoje ramię, to na pewno dojdę do kuchni.

Pomógł jej podnieść się z sofy. Zdziwił się, widząc ją wyprostowaną przed sobą. Na siedząco zdawała się taka drobna, ale była tylko niewiele niższa od niego, a przecięz nie miała nawet butów na nogach. Stała nieco chwiejnie na swoich szczupłych nogach, musiała się na

nim oprzeć.

- Kręci mi się w głowie - wyszeptała, zamknawszy oczy, oddychała płytko, z lekko otwartymi ustami. Tylko teraz nie zemdleć. Podłoga pod jej stopami zafalowała. Objęła go mocno, wdzięczna jedynie za jego ramię podtrzymujące prosto jej plecy. Potrwało kilka minut, zanim podłoga pod jej stopami znowu stała się dosyć stabilna.

- Za szybko wstałam - wyszeptała. - Chwileczkę, zaraz będzie lepiej.

Georg Wassenberg się nie spieszył. Trzymał ją w ramionach i było to bardzo przyjemne uczucie. Uczucie, z którego tak długo musiał zrezygnować, przez rok i sześć miesięcy. A ostatni raz z Sonią też nie był oszałamiająco udany, wówczas było już między nimi zbyt wiele dystansu. Usiłował sobie wmówić, że to po prostu przyzwyczajenie po dwunastu latach małżeństwa. Że namiętność z czasem wyparowała i że trzeba się z tym pogodzić. Ale w rzeczywistości było tak, że Sonia spędziła to popołudnie ze swoim właścicielem butiku, była zadowolona i syta miłości i po prostu nie miała ochoty troszczyć się jeszcze o jego satysfakcję. Wyczuwał to.

A nawet gdyby to po stokroć był tylko napad słabości, który popychał Betty Theissen w jego ramiona. Uścisk, którym go obejmowała, miał w sobie coś z namiętności. Pachniał perfumami. Podobał mu się ich zapach. I ona mu się podobała. Mógłby wiecznie tak z nią stać. Jego twarz niemal na tej samej wysokości, co jej, jej oczy tak blisko, że kiedy wreszcie znowu podniosła powieki, dojrzał w nich zasłonę zamętu i maleńkie brązowe punkciki w szarych źrenicach. Po prawej stronie, w lewym oku, była tylko szarość. A na dole jego pola widzenia dostrzegał jej usta, lekko otwarte, kuszące, nie za szerokie i nie za wąskie, nie za pełne. Połyskująca, ciemna, mocna czerwień.

Powinno go to być zdziwić. Po tylu godzinach i tym wszystkim, co się z nią w tym czasie rzekomo działo, perfekcyjny makijaż. Spędziła czas oczekiwania, poprawiając swój wygląd.

Kiedy Thomas był już w drodze i minęło pierwsze zamroczenie, kiedy nie mogła zrobić już nic innego, jak tylko czekać, zadając sobie pytanie, czy Thomas wytrzyma, przy całym tym nieszczęściu i całej nerwowości, była w końcu kobietą. A rozmazany tusz pod oczami, pokryte smugami łez policzki nie pasowały do roli zdenerwowanej pani domu, która zupełnie nieoczekiwanie upadła na podłogę pod silnym ciosem.

Tak więc dokładnie umyła twarz i za pomocą pudru, różu i różnych innych przyborów przez chwilę zapomniała o roztrzęsionych nerwach. Jej twarz połyskiwała matowo, nawet nos się nie świecił, a szminka nadal sprawiała wrażenie świeżo nałożonej.

O tym jednak Georg Wassenberg nie myślał. Nawet mu się to nie rzuciło w oczy, bo

było dla niego tak normalne. Sonia całymi dniami nie miała nic lepszego do roboty niż kontrolowanie swojego makijażu, korygowanie braków, a w razie potrzeby ponowne nakładanie szminek. Dwadzieścia razy dziennie przejeżdżała puszką po nosie i czole, poprawiała brodę i kontrolowała kąciki oczu, bo tam przecież puder szybko się wycierał. Po każdym kąsku poprawiała usta. Niekiedy porządnie mu to działało na nerwy, zwłaszcza gdy robiła to w miejscach publicznych, po posiłku w jakiejś dobrej restauracji. Zawsze sobie wówczas zadawał pytanie, dlaczego nie pójdzie do toalety, żeby się umalować. Teraz o nic nie pytał.

Opuścił ramię na jej talię, wolną rękę podsunął pod jej prawy łokieć i w ten sposób podprowadził do drzwi, przeprowadził przez korytarz do wielkiej kuchni. - Jeśli powie mi pani, gdzie co jest - zaproponował - to zrobię kawę. Z pewnością będzie lepiej, jeżeli pani usiądzie.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i lekką ulgą. - Ma pan rację, będzie lepiej. Nadal mam jeszcze lekkie zawroty głowy. Kawa stoi na górze w szafce. Tam też znajdzie pan naczynia.

Pozwoliła się podprowadzić do krzesła, usiadła, przyglądając się, jak otwiera wskazane drzwi od szafki i wyjmując wszystko, co trzeba. Puskę z kawą, papierowy filtr. Puskę odstawił na blat, koło ekspresu do kawy, bezpośrednio przed drewnianym blokiem zawierającym pięć otworów, z których wystawały trzonki pięciu noży. Noży różnych wielkości. Zauważył to, ale nie zwracał już na nie uwagi, zagiął filtr na dole i z boku, a za sobą usłyszał jej głos: - Od razu widać, że pan mieszka sam. Ma pan wprawę.

Zabrzmiało to jak zaproszenie do konwersacji i uprzejma troska, by powiedzieć mu drobny komplement. Brzmiało zupełnie naturalnie i niemal nie słychać było starania w jej głosie, by stłumić ponownie wzrastającą panikę.

Koszmarne było to beczynne siedzenie na krześle. Mimo że w danej chwili nie mogła uczynić nic innego przy tych zawrotach głowy i potwornym bólu. Siedziała jak na rozżarzonych węglach, podczas gdy Thomas jeździł po okolicy w wielkiej misji.

Pewne było, że jeździ. Żadnej własnej inicjatywy, zawsze trzymał się tylko tego, co mu polecono. Tak to było pierwotnie umówione. Że ma tam na zewnątrz nieco wywieść ich wszystkich w pole. Nie musi robić nic więcej, wystarczy trzymać ich z daleka od samochodu Herberta, tak sądzili. A teraz musiał do niego wrócić. Zabić człowieka, który był niegdyś jego przyjacielem. I miał go tak zabić, żeby nie powstały żadne podejrzenia. To przerastało możliwości Thomasa. Były jeszcze w ogóle jakieś możliwości?

Wiedziała, że Thomas w jednym punkcie nie trzymał się jej wskazówek. Wyjaśnił jej

to i tak jak to ujął, brzmiało rozsądnie. Kiedy się jednak nie miało wyboru, to miało się w nosie wszelki rozsądek. Trzeba było przewrócić Herberta na plecy, postarać się, żeby z wymiotował i się tym udusił. Okropna wizja, wzdragała się już na samą myśl, że trzeba mu będzie wetknąć palec do gardła. I nie wiedziała, czy w przypadku nieprzytomnego to zadziała. Wiedziała jednak, że musi to zrobić. Thomas nie był w stanie. W przeciwnym razie dawno by to już uczynił i dał jej znać.

Minęła jedenasta, już ponad godzinę byli na zewnątrz. Nikt tak długo nie potrzebuje, żeby zgubić kilku policjantów i jednego lekarza. To był jednak najmniejszy problem. - Czy nie lepiej, żebyśmy się rozdzielili, panowie!? Będziemy o wiele skuteczniejsi, jeżeli każdy z nas przeszuka określony obszar. Mam ze sobą telefon, mogę w każdym momencie zaalarmować szpital i zawiadomić panów, gdybym go znalazł.

Ona by to zaproponowała, gdyby była z nimi. Ale ona musiała nadal siedzieć na tym kuchennym krześle, na pół oszalała z bólu, oczekiwania i w obliczu przeróżnych wizji przyszłości, o których nie mogła przestać myśleć. A jej samochód został na terenie firmy. Najpierw musi zrobić coś z tym bólem, odzyskać jasność myślenia, potem skończyć z tym czekaniem i tymi wizjami jak z horroru. Przekonać tego policjanta, że jak najbardziej jest zdolna do działania.

Mówić dalej, bardziej rześkim głosem, nie dać się ponieść bólowi, po prostu powiedzieć prawdę. Było mnóstwo prawd, które mogła mu zdradzić bez żadnego ryzyka. Nie chodziło jej o to, by się usprawiedliwiać. Było jej obojętne, czy ktoś rozumie jej motywację.

Trzysta tysięcy marek w jeden weekend. Oszukał sześćdziesięciu pięciu ludzi, którzy uczciwie starali się wyżywić swoje rodziny, pozbawiając ich nie tylko pensji, ale i miejsca pracy. Herbert dokładnie zdawał sobie sprawę z tego, że nie mogła zdobyć tych pieniędzy i musiała ogłosić upadłość.

Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, panie policjancie? To była sytuacja awaryjna. Nie miałam wyboru, musiałam to zrobić. Powinnam była zrobić to o wiele wcześniej. A teraz wszystko stoi pod znakiem zapytania. Thomas tego nie potrafi. Jest za miękki, za bardzo sentymentalny. Jest sympatycznym facetem, a nie mordercą. Potrzebuję twojej pomocy, panie policjancie. Pomożesz mi, jeśli cię zaraz o to poproszę?

Mówić dalej, w nadziei na kawę, i dalej go obserwować. Mimo tak mizernego samopoczucia co nieco zauważyła, sposób, w jaki trzymał ją pod ramię, przyglądając jej się przy tym. Niemal tak, jakby chciał ją pocałować. To, że policjant w takiej sytuacji mógłby mieć takie głupie pomysły, było właściwie niewyobrażalne. Ale zupełnie wykluczyć się tego nie dało! I policjant jest mężczyzną.

I to całkiem atrakcyjnym mężczyzną. W typie cichego sybaryty, trochę ostatnio zaniedbanego. Powiedział, że jest rozwiedziony. W tym wieku nie jest łatwo znaleźć nową partnerkę. A w jego zawodzie nie miał pewnie zbyt wiele czasu na szukanie. Dlaczego miałoby mu w tej sytuacji nie przyjść do głowy, że jest sam na sam z kobietą?

Nie była w nastroju do flirtu, starała się go tylko oszacować i ukierunkować tak, jak tego chciała. Subtelne podrażnienie jego męskości na pewno nie mogło zaszkodzić. Zdawał się być podatny na powłóczyście spojrzenia, na znaczące uśmiešky. A kuchnia była neutralnym miejscem.

Georg Wassenberg był później prawie pewny, że zaczęło się to w kuchni. Albo nieco wcześniej. Kiedy jej pomagał wstać z sofy, objął ramieniem, mając tak blisko siebie jej twarz. W tym momencie był jedynie mężczyzną, a ona piękną kobietą, która niekiedy potrzebowała mężczyzny. A potem się to po prostu nasiliło. Kiedy on zajmował się kawą, a ona siedziała na krześle, przyglądając mu się z uśmiechem.

Był to szczególny uśmiech, nieco zamyślony, nieco zdumiony. Zdumiony prawdopodobnie własnymi uczuciami, których w takiej sytuacji pewnie się nie spodziewała. Raptem zdawała się sobie uświadamiać, że nie ma przed sobą wyłącznie policjanta. Było coś w jej oczach, coś krytycznie lekceważącego, a zarazem pożądanego. Powodowało to zamęt w jego głowie.

Gdyby spotkał ją gdzieś w mieście, w barze albo kawiarni, gdyby uśmiechała się tak do niego znad sąsiedniego stolika, to sprawa byłaby prosta. On potrzebował nie tylko od czasu do czasu, ale pilnie kobiety. Jeszcze tej samej nocy wylądowaliby w łóżku. W jej łóżku, bo duma nie pozwoliłaby mu zaprosić jej do swojego nędznego mieszkania. Ale tak było jeszcze za wcześnie. A może nie? Po tych wielu latach dla niej i półtora roku dla niego...

Z kawą i zastawą przenieśli się znowu do dużego salonu. Ona ponownie usiadła na sofie, on zajął miejsce w jednym z dwóch foteli. Jej szminka wyraźnie straciła swoją intensywną czerwień po wypiciu dwóch filiżanek kawy, czarnej i bez cukru. Na pulsowanie bólu w głowie niewiele jej to pomogło. Na tyle jednak orzeźwiło jej ducha życia, że coś jej przyszło do głowy. Zjadła jeszcze kilka słonych krakersów, by zapewnić żołądkowi chociaż tyle, zlizwała okruszki z warg, po czym wysłała go do sypialni.

- W szafie na górnej półce stoi czarna torebka. Wydaje mi się, że jest w niej jeszcze kilka tabletek przeciwbólowych. Byłby pan tak miły i poszedł zobaczyć?

Była to stara torebka, od dawna już stojąca w szafie. Kiedyś zawsze nosiła ze sobą tabletki. Za dużo pracy, za wiele trosk, o wiele za mało snu, a w rezultacie częste migreny.

Jeśli ma trochę szczęścia, to może zapomniała wówczas wyjąć tabletki z torebki.

Tymczasem z bólu niemal nie mogła oddychać. Było całkowicie wykluczone, by w tym stanie kazała się zawieźć po samochód. Wylądowałyby w najbliższym rowie albo na drzewie. Rany ręki niemal nie czuła, ale ból głowy był dobijający. Było to słychać w jej głosie.

Oczywiście, że Georg Wassenberg był tak miły, by chcieć jej pomóc. Byłoby nieludzkie pozwolić jej cierpieć choćby minutę dłużej niż to konieczne. A do tego ten zamęt w jego głowie. Chciał zobaczyć, w jakim wnętrzu śpi, tylko się rozejrzeć. Nikt nie mógł przypuścić, co z tego wyniknie.

Sonia zapelniała ich wspólną sypialnię wszelakimi ozdóbkami, w oknach marszczone firanki, na toaletce flakony z perfumami. U niej spodziewał się surowości, tej samej neutralności i racjonalności, którą starała się emanować. Była to tylko przykrywka, był tego pewien. Tak się starała nie okazać swojej słabości, swoich ran. Ale była ranna - i to nie tylko w głowę i w rękę. I bała się. Mimo że zadawała sobie tyle trudu, przed nim nie była w stanie całkiem tego ukryć. Czego się bała, nie miało większego znaczenia. Nawet jeśli była to prawda, że nie dbała o życie swojego męża, ale jedynie o sześćdziesięciu pięciu robotników i pracowników, to i to przemawiało na jej korzyść, tak uważał. Jednak tego, co spodziewał się zastać w jej sypialni, nie znalazł.

Łóżko było za szerokie jak na jedną osobę. I było tam zbyt wiele luster. Cały front szafy pokrywały lustra, ścianę za łóżkiem i sufit nad nim także. Tak więc widział to łóżko czterokrotnie. A jednocześnie widział jej uśmiech w kuchni. Posyłał on drobne iskierki, które skakały pomiędzy nimi jak podczas wylądowań elektrycznych. Ona także musiała to poczuć. Coś takiego po prostu się czuło.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, co w nim zachodziło. Od sześciu miesięcy rozwiedziony, przedtem ten rok separacji, kiedy to Sonia każdego wieczoru przyjmowała swoją nową miłość. A on leżał obok w łóżku, w pokoju gościnnym, słuchał tych jednoznacznych odgłosów, niemal umierając z wściekłości, z zazdrości i potrzeby bronięcia kłami i pazurami tego, czego pozbawiał go ten odstawiony goguś. Nie był dostatecznie stary, by tak bez trudu zrezygnować z kobiety.

Niekiedy wychodził wieczorami, pięć czy sześć razy w ciągu tego całego okresu. Nie było jednak kobiet, które pasowałyby do niego wiekiem, podobały mu się i po pierwszej randce dawały się zwieść obietnicami na później. Były za to inne, jak najbardziej ładne, ale drogie kobiety. Godzina w ich towarzystwie kosztowała od stu do dwustu marek. Wyjścia awaryjne. Potem zawsze się podle czuł. Być zdanym na te kobiety było poniżające.

A teraz stał w sypialni kobiety, która od lat była zmuszona żyć jak zakonnica - kobiety, która, mówiąc bez żadnej przesady, mu się podobała. Gdyby sytuacja była tylko nieco inna, a ona pozwoliła mu wziąć mały palec, to od razu sięgnąłby po całą rękę, a potem po resztę. I to już, natychmiast. Ponieważ Betty Theissen po stokroć mogła zastąpić Sonię, ponieważ posiadała również to, czego zawsze brakowało mu u Soni. Samodzielność, inteligencję, opanowanie, poczucie odpowiedzialności i kiedy to konieczne, gotowość ponoszenia ofiar.

Znał ją od niecałych trzech godzin, ale tyle już się dowiedział o Betty Theissen. Doświadczenie zawodowe i niezawodny instynkt. Pewien rodzaj szóstego zmysłu, który pozwalał mu szybko stworzyć obraz drugiej strony. Z tego, co zostało powiedziane, usłyszeć to, czego miał się nie dowiedzieć. Betty Theissen zdradziła mu bardzo dużo, jej szafa jeszcze więcej.

Była o wiele mniej przeładowana niż szafa Soni. Ale to, co wisiało na wieszakach, dowodziło wyrobionego i dobrego smaku. Za trzecimi drzwiami znalazł na górnej półce ową torebkę. Rzeczywiście był w niej pasek z kilkoma tabletkami. Wyjął go, odstawił torebkę na miejsce, koło dwóch niewielkich stosików bielizny. Tylko czarnej i białej, żadnych rzucających się w oczy kolorów, tak lubianych przez Sonię, bo jej zdaniem odmładzały. Możliwe, ale młode dziewczęta. Kobieta trzydziestopięcioletnia czy wręcz zaraz po czterdziestce w jaskrawożółtych majteczkach czy w desu w niebieskie kropeczki nie odmładzała się, ale ośmieszała. Sonia nigdy nie była w stanie tego pojąć.

Kiedy wreszcie oderwał się od jej szafy i tych wszystkich luster i poszedł z powrotem do niej na dół, Betty zażyła zaraz cztery tabletki, popijając je połową szklanki wody, którą przyniósł jej z kuchni.

- Czy to nie za dużo - spytał z lekką naganą w głosie - cztery tabletki? - Były to te same środki, które zażył jej mąż. - Przecież pani słyszała, co mówił lekarz.

Wzruszyła szybko ramionami, prawie jakby miała poczucie winy. - Nie umrę od czterech tabletek - szepnęła, uśmiechając się przy tym przeproszająco. - Tylko ten jeden raz. Trudno mi nawet myśleć z bólu.

Oparła się na sofie i przymknęła oczy. Po chwili spytała: - Będzie panu przeszkadzać, jeśli będę mówić? Mnie to zawsze trochę uspokaja.

A jemu nie przeszkadzało. Nadal miał przed oczami dwa stosiki bielizny i zadawał sobie pytanie, czy nosi teraz białą czy czarną pod swoją krótką szarą spódniczką. Jedwab czy koronki, czy może raczej coś niewyszukanego.

I to lustro nad łóżkiem. I to na ścianie. I drzwi szafy. Za to, że jego myśli stale krążyły

wokół tych luster, winę ponosiło tych sześć miesięcy i długi rok, który je poprzedzał. Czy mógł istnieć lepszy dowód na to, że była stuprocentową kobietą? Chłodną w życiu zawodowym, ale z pewnością nie w tych momentach, które się liczyły.

Błyskawicznie przyszedł mu do głowy pewne sceny. To szerokie łóżko, czterokrotnie odbite. Jak to by było? Leżeć w tym łóżku z tą kobietą w ramionach. I widzieć nad sobą na suficie albo z boku, gdy odwróciło się nieco głowę, obydwaj ciała. Podniecająca wizja. Siłą musiał przywołać się do porządku, by przypomnieć sobie, dlaczego się u niej znalazł.

Ponieważ jej mąż był gdzieś tam na zewnątrz, prawdopodobnie tylko pijany do nieprzytomności. Zatrucie alkoholowe, pomyślał przelotnie, to też jedna z możliwości, na to niejedyn już zmarł. Ale jej mąż znajdował się w bardzo rzucającym się w oczy samochodzie, który właściwie gwarantował, że się go odnajdzie na czas. A jeśli się go znajdzie na czas, to ten wieczór nie oznaczał nic więcej jak tylko kilka nowych nadgodzin. W takim wypadku nie mógłby zwyczajnie wrócić i powiedzieć: - Po prostu musiałem panią znowu zobaczyć.

Wyśmiałyby go. - Ależ panie Wassenberg, czy nie dałam panu dostatecznie jasno do zrozumienia, że przede wszystkim jestem szefową? Nie po to pracowałam przez te wszystkie lata, żeby przekazać firmę hazardziście i przeprowadzić się z jakimś policjantem do jego nędznego małego mieszkanka.

Już sama myśl o tym była dla niego potężnym ciosem. Z dużym trudem był w stanie skoncentrować się na tym, co mu opowiadała. Początkowo mówiła powoli, z wysiłkiem kontrolując głos, przytłumiony bólem. Z czasem jej słowa popłynęły szybciej, jasnym potokiem.

Mówiła o dużym projekcie, o który stoczyła zażarty bój z zatwierdzającymi takie sprawy urzędami. Co z jednej strony stanowiło jej triumf, z drugiej oznaczało ryzyko, bo nie mieli jeszcze odbiorców. Ale takich na pewno by się znalazło. Zawsze znajdowali się kupcy, jeśli oferta była solidna i korzystna finansowo. Trzeba było oczywiście bardzo ostrożnie kalkulować, żeby pokonać konkurencję, oferując znacznie niższą cenę. I właśnie w takiej sytuacji jej mąż sięgnął po pieniądze z kasy firmy. Ale on nie zgadzał się na ten projekt.

Domki jednorodzinne! Proste i nie za drogie, łatwy sposób budowania, podpatrzony w Holandii. Firma Theissen była firmą budowlaną, budownictwo lądowe naziemne i podziemne, drogi. Z kobietą w fotelu szefa. Na polecenie jej teścia. Teść zrozumiał w pewnym momencie, że jego syn nie ma do tego talentu.

- Mój mąż ma zawsze utopijne wizje - powiedziała. - Tworzy projekty, na jakie nie może sobie pozwolić żaden normalny człowiek. A kiedy nie może przeforsować swojej woli, to staje okoniem. Jest jak dziecko.

Nie była to jednak wina jej męża, to także mu wyjaśniła. Już dawno temu odkryła, co czy raczej kto go do tego doprowadził. Jego matka! Ogromnie go rozpieszczała. Kiedy w młodym wieku nie miał ochoty pracować, no to nie miał ochoty. Jego ojciec tyrał przecież za dwóch, zapominał o fajrancie, weekendzie, urlopie. Po co jeszcze jego chłopiec miałby się wysilać? Jego matka wychowała go na życiowego niedołęgę, to było pewne.

W towarzystwie brylował, tryskał humorem i wdziękiem. Także w firmie chętnie odstawiał show. Jeśli się już zjawił, to flirtował z dziewczętami z biura i wymyślał zamki na lodzie. Do niczego więcej się nie nadawał.

- Czasami - powiedziała - uświadamia chyba sobie, że niczego dotąd nie osiągnął i że nigdy w życiu do niczego nie dojdzie, jeżeli nadal będzie tak postępował. Wtedy fiksuje, przegrywa ogromne sumy, jakby mógł coś zdobyć na siłę. Kiedy wraca potem do domu, to regularnie dochodzi do takich scen jak ta po południu.

Wreszcie rozjaśniło jej się w głowie, ustało pulsowanie bólu, a zarazem ulotniło się też nieco obaw. Mogła znowu logicznie myśleć, a tym samym celowo działać. Odejść o pół metra od prawdy. Nie każdym słowem, tylko w pierwszym zdaniu.

- U mnie może sobie na to pozwolić - powiedziała - że sobie pojęczy, leżąc w fotelu. Przed innymi odgrywa silnego mężczyznę, którego nic nie odwiedzie od celu, który swobodnie może sypnąć z rękawa kilkusettyśięcną sumą i kiedyś urzeczywistni swoje wspaniałe idee, mimo oporu ojca i żony. Zamiast kilkunastu szeregowców zbuduje jedną czy dwie wille w okolicy. Coś takiego jak to tutaj. Dobrze komponuje się z krajobrazem, nieprawda? Proszę się spokojnie rozejrzeć. Ten dom był jedynym projektem, dla którego Herbert poświęcił trochę czasu i przysiadł z architektem nad planami.

Wskazała prawą ręką wielki pokój. Co najmniej siedemdziesiąt metrów, ocenił Wassenberg, a raczej osiemdziesiąt. Jego mieszkanie miało trzydzieści dwa. I spytała: - Kto, jak pan myśli, może sobie jeszcze dzisiaj na coś takiego pozwolić? Oczywiście, jest kilka takich osób, które mogą i tak robią. Komu to jednak coś da, jeżeli dwóch ludzi ma do dyspozycji dwieście czterdzieści metrów powierzchni mieszkalnej, gdy tysiące mieszkają na ulicy. Potrzebujemy nie za drogiej powierzchni mieszkalnych. Wszyscy wydziwiają na rząd, który nic nie robi, bo gdziekolwiek sięgnie, brakuje pieniędzy. Czas na prywatną inicjatywę. Nie za drogie domki jednorodzinne, na które może sobie pozwolić normalnie zarabiający człowiek. A wtedy normalnie zarabiający zwolnią mieszkania socjalne dla tych, którzy pilnie ich potrzebują.

Uśmiechnęła się drwiąco: - Brzmi to tak, jakbym pracowała dla armii zbawienia, prawda? Nie pracowałam, ale wiem, o czym marzą prości ludzie. I te marzenia zawsze były

dla mnie bardzo ważne.

A potem całkiem nieoczekiwanie spytała: - Dlaczego właściwie pańscy koledzy się nie zgłaszają? To ciągle oczekiwanie jest nie do wytrzymania. Nie umiem czekać, nigdy tego nie potrafiłam. Zawsze sama muszę zacząć działać.

- Mogę zapytać - zaproponował. - Ale gdyby znaleziono pani męża, to natychmiast by nas poinformowano.

- Thomas też się nie odzywa - powiedziała, oddychając z drzeniem. - Mój Boże, nie ma ich już prawie dwie godziny. Taki charakterystyczny samochód powinien przecież dać się łatwo znaleźć.

Przez kilka sekund milczała, spoglądając na niego krytycznie, z namysłem. Potem spytała: - A co pan sądzi o tym, byśmy i my dwoje wybrali się na poszukiwania?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo mówiła dalej, pospiesznie i prosząco: - Na pewno ma pan krótkofalówkę w samochodzie. Może pan zawiadomić swoich kolegów, a potem odwiózłby mnie pan szybko do firmy. To niedaleko, tylko dwadzieścia minut. Wtedy byłyby dwie osoby szukające więcej. Najchętniej spoliczkowałabym się za to, że dałam się dziś odwieźć Thomasowi do domu. Teraz mój samochód jest tam i nie mogę się ruszyć z miejsca. Ale nie mogę też dłużej siedzieć beczynninie, bo zwariuję. Z moją głową już lepiej. Naprawdę, już się dobrze czuję.

A Georg Wassenberg czuł się w tym momencie jak idiota, jak ktoś, kto zagubił się we własnych marzeniach, przeocząc przy tym to, co miał jak na dłoni. Jeśli kobieta nie opuszczała mężczyzny, który od lat sprawiał jej same kłopoty i już jej nawet nie dotykał, to miała po temu powody. Firma mogła być jednym z nich, ale nie jedynym, uważał to za całkowicie wykluczone. Oprócz tego w grę musiało wchodzić także uczucie.

Potrząsnął głową, siląc się na dystans: - Uważam, że rozsądniej będzie zostać przy telefonie. Nie sądzę też, by była pani w odpowiednim stanie, żeby jeździć po okolicy. Już dosyć ludzi jest w terenie, proszę mi wierzyć.

- Przykro mi - zaproponowała - ale nie mogę w to uwierzyć. Nigdy nie ma dosyć ludzi. A ja już długo tego nie wytrzymam. Jeśli nie chce mi pan pomóc, to zamówię sobie taksówkę. Nie może mi pan tego zabronić.

Westchnął ciężko. - Poczekajmy jeszcze pół godziny - zaproponował. - Jeśli do tego czasu nadal nie będzie wieści, to przyłączymy się do poszukiwań. Ale pojedziemy jednym samochodem, pani zostanie przy mnie. Jest pani ranna, proszę o tym nie zapominać.

ROZDZIAŁ 3

Kilka minut przed dwunastą ciemnozielone volvo wjechało na parking przed chatą do grilla. Tak dużo czasu potrzebował Thomas Lehnerer, żeby podjąć kilka profilaktycznych kroków na wszelki wypadek, by stworzyć sobie wiarygodne, chociaż niedające się sprawdzić alibi. Nie był aż tak tchórzliwy, jak sądziła Betty. Już w jej domu jasno zdał sobie sprawę z tego, że teraz wszystko zależy tylko od niego. Tak samo zdawał sobie sprawę z faktu, że podejrzenie bardzo szybko padnie na niego, jeśli tylko pojawią się jakieś wątpliwości.

Dojechał do końca parkingu, gdzie znajdował się zasłonięty krzewami dojazd do chaty. Tam wyłączył motor, zgasił światła i wysiadł. Miał ze sobą latarkę, ale jej nie włączył.

Dwadzieścia godzin, powiedział lekarz, to było jak cios w żołądek. Nawet Betty wpadła w panikę, wyczytał to z jej twarzy. Dwadzieścia godzin. Ryzyko, że Herbert Theissen zostanie znaleziony żywy przy takim przedziale czasowym, było po prostu zbyt duże. Betty zakładała cztery czy pięć, w najgorszym razie sześć godzin. Z tego upłynęły już niemal cztery, zanim został poinformowany ktokolwiek postronny. I jeszcze dwie, zanim rozpoczęło się poszukiwanie.

Dwadzieścia godzin! Thomas Lehnerer był teraz nieco lepiej poinformowany. Lekarz zadzwonił przy nim do centrali nagłych przypadków zatrucia w Bonn i dowiedział się wszystkiego dokładniej. Podano mu krótszy termin, dziesięć do dwunastu godzin, zależało to od ogólnego stanu organizmu danej osoby. A ten był z pewnością mizerny. Mimo to nadal był to zbyt długi okres.

Za wielu ludzi brało udział w poszukiwaniach. Każdy dyspozycyjny wóz policyjny był w akcji. Włączono członków straży pożarnej, wielu z nich w prywatnych samochodach. Theissen senior, do którego domu Thomas Lehnerer najpierw posłał policjantów i lekarza, pod naciskiem żony zmobilizował kilku robotników. Czysty horror.

Mimo że noc była dosyć chłodna, Thomas porządnie się spocił. To były nerwy, decyzja, którą musiał podjąć. I strach, że przy całej ostrożności ktoś mógł go śledzić w ciągu ostatniej godziny albo że kogoś teraz spotkał, kto rozpoznał jego samochód. Mimo późnej pory na szosie był jeszcze spory ruch. W lusterku wstecznym nie mógł rozpoznać, kto za nim

jechał. Nie dało się wykluczyć, że był tam też jakiś wóz policyjny. Albo któregoś z robotników. Wystarczyło, żeby jakiś żartowniś pomyślał, że w skręcającym volvo jest para zakochanych i zechciał napędzić im strachu.

Lehnerer odczekał kilka minut, po cichu licząc, że za chwilę pojawi się między krzewami para reflektorów. Dopiero gdy nic takiego się nie stało, przeszedł przez leżący na ziemi łańcuch i poszedł, ociągając się i nasłuchując, wąską ścieżką. Doszedłszy do trawnika, znowu przystanął. Mimo ciemności chatę było dobrze widać. Za to samochodu Herberta nie dało się od razu odkryć, bo stał po drugiej stronie.

Na drodze za nim nadal było cicho. Thomas podszedł w stronę chaty, dopiero kiedy do niej doszedł, włączył na krótko latarkę. Krąg światła przeszukał ziemię, na chwilę wyłowił z ciemności ślady opon na trawie, poszedł tym tropem do zakrętu. Dwukrotnie oświetlił drogę za sobą. Na trawie nie było jednak widać śladów jego stóp. Za wiele osób pozostawiło odciski swoich stóp na trawniku w miniony weekend. W ogóle nic się nie dało rozpoznać, nie było nikogo, kto zbliżyłby się do niego po otwartej przestrzeni porośniętej trawą. Latarka nie sięgała skraju lasu, a więc i ujścia drogi. A stanie tu i czekanie nie miało sensu.

Obszedł chatę, kierując światło przed swoje stopy. Zatrzymał się bezpośrednio przy leżącej na ziemi postaci i ukląkł. Światło przesunęło się po marynarce. Thomasowi zdawało się, że widzi, jak osłonięte nią plecy unoszą się i opadają. Nie był całkiem pewien, mogło to być złudzenie optyczne, wywołane drżeniem jego ręki i odbiciem światła.

Musiałby sprawdzić puls, ale nie mógł się przemóc, by to uczynić. Ale jeśli się założyło najkrótszy czas wymieniony przez centralę w Bonn, dziesięć godzin, to plecy musiały się jeszcze unosić i opadać. I będą to jeszcze robić przez co najmniej cztery kolejne godziny, jeżeli nic się nie przedsięwzięmie.

Lehnerer dokładnie wiedział, co może przedsięwziąć. Miał już taki zamiar, kiedy przywiózł tutaj Herberta, ale wtedy zrezygnował. Teraz się za to przeklinał. Staw! Dobrych czterdzieści metrów było do jego brzegów. Czterdzieści metrów na otwartym terenie, po trawniku dobrze widocznym ze skraju lasu nawet w ciemności.

Było tak cicho, tak potwornie cicho. Tylko lekki wietrzyk w koronach drzew. Ale w każdej chwili mogło się to zmienić. Odgłos silnika dochodzący z parkingu, kroki na ścieżce. A potem głosy radosnego zaskoczenia: „Hurra, mamy go, jeszcze żyje!”.

Thomas stał jak wrośnięty w ziemię, sztywny i wyprostowany. A światło jego latarki skakało po marynarce, sprawiało wrażenie, jakby krzepki sportowiec głęboko oddychał. A on nie mógł! Nie mógł się schylić ani poruszyć palcem. Po prostu nie był w stanie się przemóc, by jeszcze raz dotknąć leżącego u jego stóp mężczyzny.

Mięczak! Tylko ostatnia niemota mogła się tak zachowywać. Mówić i planować, wszystko sobie ułożyć w myśli, a potem stchórzyć. Zostawić w potrzebie kobietę, którą...

Kochał Betty. Był to szczególny rodzaj miłości, diametralnie się różniący od tego, co czuł do swojej żony. Betty była jego obsesją, triumfem, nieprzerwaną huśtawką uczuć pomiędzy rozkoszą a bólem. Rozkoszą sypania z nią, posiadania kogoś, kto obwarował się murem, którego normalnie nikt nie był w stanie przeskoczyć. On mógł, mimo że za każdym razem tylko na kilka minut. Bólem, że nie można tego pokazać całemu światu. Niekiedy było to szaleństwem.

I tak już było od ponad dwudziestu lat. Od kiedy wówczas zaczęła naukę zawodu w firmie Theissena. Widział ją jeszcze, jak stoi w biurze starego przed masywnym biurkiem. Nie poświęciła mu ani spojrzenia. Jej oczy jakby przysały się do kanciastej, nieprzeniknionej twarzy starca. Drganie jej twarzy, powstrzymywane siłą łyzy.

- Wiem, że mój ojciec przysporzył pańskiej firmie wielkich strat. Wiem też, że mój brat woli pić niż pracować. Ale ja chcę pracować. Chcę panu dowieść, że nie wszyscy tacy jesteśmy. Dlaczego nie da mi pan szansy? Jeśli zawiodę, może mnie pan przecież jeszcze wyrzucić.

Dostała swoją szansę, dowiodła staremu, czego chciała, rzuciła się do maszyny do pisania i do stenografowania, jak gdyby poza nimi nie istniał świat. Tego, że w biurach są też mężczyźni, zdawała się nie dostrzegać.

A potem pewnego wieczoru stała obok roweru, patrząc bezradnie i z troską na przedziurawioną tylną oponę. Jak zwykle była ostatnią osobą wychodzącą po pracy do domu. Oprócz niej w biurze był jeszcze tylko on, żeby pozamykać drzwi.

- Zdaje mi się, że ktoś mi spuścił powietrze z koła. Byłby pan tak uprzejmy, panie Lehnerer, i podwiózł mnie do miasta? Próbowałam już napompować oponę, ale nie trzyma powietrza. Na pewno jest dziura w dętce. Może dałoby się włożyć rower do bagażnika, wówczas zajęłabym się tym w domu.

Naturalnie był tak uprzejmy i zanim wysiadła, podziękowała mu spontanicznie za jego uprzejmość i pomoc całusem w policzek. Niewinny szczegół, bo w tym momencie był już niemal od roku z Margot i myślał o wspólnej nocy poślubnej.

Z pewnością nie było zamiarem Betty zawrócić mu w głowie jednym całusem. Wiedziała, że praktycznie jest już zaręczony. Chciała być tylko miła. Dla wszystkich była miła. Miła, pracowita, zawsze uprzejma młoda dziewczyna z ubogiej, aspołecznej rodziny. Dziewczyna, która robiła wszystko, by zatrzeć wrażenie, które jej ojciec i brat pozostawili w firmie Theissena. Dwóch pijaków, którzy do momentu zwolnienia z pracy nie byli wari

nawet połowy tego, co zarobili. Przede wszystkim jej ojciec! A Betty koniecznie chciała dowieść, że dzieci niekoniecznie muszą iść w ślady rodziców. Nigdy jej nie przeszkadzało, jeśli wieczorem musiała godzinę dłużej zostać w biurze, by przepisać na maszynie jeden czy drugi list dla przyszłego prokurenta. Nawet w weekend była gotowa przyjść, musiał jej tylko wyjaśnić, że to ważne dla firmy i niecierpiące zwłoki. Często korzystał z tego wyjaśnienia. To było jak narkotyk. Musiał ją mieć, czy tego chciała, czy nie.

Na początku nie chciała, była zawstydzona i nieśmiała. - Nie, panie Lehnerer, proszę, nie.

- Skończ już z tym kretyńskim „panie Lehnerer”. Mów mi Thomas.

- Nie, Thomas. Trzymała mocno jego rękę, którą wsunął pomiędzy jej uda, odwracała w bok głowę, tak że jego usta jedynie muskały jej policzek. I przy tym te jej oczy, to spojrzenie, tak odległe, nieco zamglone, oporne, a zarazem pełne podniecenia. Spojrzenie uwidoczniające tylko jedno, to, że sama się waha pomiędzy rozkoszą, którą obudził w niej kilkoma pocałunkami i paroma dotknięciami, a strachem czy sumieniem, czy co to tam było.

- Tylko raz, Betty, bo oszaleję. Przecież też tego chcesz, czuję, że tak. Czego się boisz? I będę uważał, żebyś nie zaszła w ciążę.

Pierwszy raz na krześle przy jego biurku. Objął obydwoma rękami jej talię i pociągnął ją powoli na swoje kolana. Ten krótki krzyk, kiedy wszedł w nią, pokonując jednym ruchem jej niewielki opór. Jak wstrzymała powietrze i otworzyła szeroko oczy. A potem odrzuciła głowę, dostosowując się do jego rytmu. Jej tłumione jęki, jej drzenie. To, że jedno i drugie mogło być jedynie wyrazem bólu, na to nie wpadł. Dla niego to była namiętność. Potem już nic ich nie powstrzymywało.

Inicjatywa wychodziła wówczas jednoznacznie od niego. Margot mogła sobie sto razy powtarzać, że tkwiło za tym zimne wyrachowanie, że Betty go usidliła, oczarowała tym swoim niewinnym uśmiechem, tą rzekomą niewinnością. Betty mogła przecież tylko przez niego dojść do Herberta Theissena, on po prostu nie przejrzał jej strategii.

Margot była zwyczajnie zazdrosna i do dzisiaj przekonana, że przez wszystkie te lata był dla Betty jedynie środkiem do celu. Betty od pierwszego dnia nie miała podobno żadnego innego celu niż firma Theissen. Ta firma, która jej ojca doprowadziła do tego, że założył sobie stryczek na szyję. Tego celu nie dałoby się osiągnąć przez prokurenta, a jedynie przez szefa juniora. A ten leżał teraz u jego stóp.

Przez wiele minut Thomas Lehnerer stał jak sparaliżowany, a potem nagle wszystko stało się proste. Podobnie jak wcześniej w jej domu raptem rozwiązał się problem, kiedy stało

się jasne, że ona jest gotowa na wszystko i że on ma tylko dwie możliwości. Pomóc jej, jak się umawiali, albo podjąć ryzyko, że ją straci. Strzelić sobie w brzuch! To nie była czcza pogrożka, była do tego zdolna. Gdy chodziło o firmę, Betty była zdolna do wszystkiego.

Już dłużej nie zwlekając, wyłączył latarkę i schował ją do lewej kieszeni spodni. Potem zdjął buty i skarpetki. Skarpetki wetknął do prawej kieszeni spodni, buty postawił koło samochodu Herberta. Następnie ściągnął przez głowę bluzę, położył ją na butach, to samo zrobił ze spodniami.

Było zimno, ale nie czuł tego, działał jak w gorączce. Teraz brakowało mu rękawic i czepka do kąpieli. Uważał za mało prawdopodobne, by mógł zostawić odciski palców na ubraniu Herberta Theissena. Ale włosy! Istniała tylko jedna możliwość, by tego uniknąć. Ściągnął jeszcze slipy i wciągnął je na głowę jak czapkę. I nawet przez sekundę nie przyszło mu do głowy, że musi w nich wyglądać jeszcze bardziej idiotycznie niż w czepku.

Po podjęciu tych środków ostrożności znowu się schylił i obrócił nieruchome ciało na plecy. Nawet mu nie przyszło na myśl, by sprawdzić puls. A kałuży, w której Herbert Theissen leżał dotąd twarzą, nie zauważył od razu. Kiedy jednak podnosił go do pozycji siedzącej, dotknął ramieniem jego policzka. Był zimny i kleisty. Opuścił go ponownie na ziemię, wygrzebał z kieszeni latarkę. W kręgu światła potwierdziło się jego podejrzenie. A Betty wyraźnie mówiła: - Połóż go na plecach.

Przegapił najlepszą okazję! Bo raz się zdobył na samodzielne myślenie! Teraz już nie dało się tego zmienić. Nie musiał się więcej troszczyć o obrzydliwą kałużę. Znajdowała się w dogodnym miejscu, bezpośrednio obok drzwi kierowcy. Gdyby ktoś zwrócił na to uwagę, to musiałby założyć, że Theissen wychylił się z samochodu, kiedy zrobiło mu się niedobrze. A to, co przykleiło mu się z tego do twarzy, usunie słonawa woda ze stawu.

Thomas nie mógł złapać tchu. Miał uczucie, jakby wokół piersi zawiązano mu płonący sznur. Przed oczami skakało kilka skrzących się iskierek. Pot ściekał mu z czoła, wilgotna skóra chłodziła się pod wpływem lekkiego, stale wiejącego wietrzyku. Było to przyjemne uczucie. Uszła jego uwadze tłusta plama z resztkami pietruszki pozostawiona na jego nogawce przez nadgryziony kawałek chleba. Nie z powodu zdenerwowania, ale dlatego, że w ciemnościach nie dało się tego zauważyć.

Podciągnął w górę ciężkie ciało, z pewnym trudem zarzucił je sobie na ramiona i wyruszył w drogę. Głowa Herberta ocierała się przy każdym kroku o jego piersi, jedno ramię plątało się pomiędzy nogami. Za każdym razem, gdy jego ręka ocierała się o wrażliwą skórę na jego udzie, wzdragał się.

Była to nieskończenie długa droga. Szedł wyprostowany jak świeca z tak potwornym

ciężarem na barkach i uczuciem trwogi w piersi. Po raz kolejny przeklinał się za swoje niezdecydowanie wczesnym wieczorem. Ale Betty wyraźnie powiedziała, koło samochodu. Zapewne nie bez powodu. Może się gdzieś poinformowała i wiedziała dokładnie, że człowiek z taką ilością trucizny w organizmie nie może chodzić po okolicy. Teraz jednak ta śmierdząca dziura z wodą była ostatnią deską ratunku. Niech sobie policja łamie głowę, jak dać radę tam dotrzeć.

Błotnisty pas nadbrzeżny stanowił pewne ryzyko. I ten obrzydliwy zapach dochodzący z nad wody, zapierający mu dech. A przecież i tak mu było trudno oddychać. Wniósł Herberta Theissena kawałek dalej do zatęchłej wody. Nie była głęboka, nawet po uczynieniu czterech kroków obmywała mu jedynie podeszwy stóp. Potem złożył swój ciężar na brzuchu, tak że twarz i górna połowa ciała były zanurzone w wodzie.

Zawrócił do samochodu Herberta, po raz pierwszy czując zimny, nocny powiew na wilgotnej skórze. Poczul dreszcze i nie wiedział, czy pochodzą one z zimna, wysiłku, czy ze strachu. Jeszcze podczas marszu zerwał z głowy slipy, błyskawicznie wskoczył w spodnie i bluzę.

I znowu do stawu, jeszcze raz bosymi stopami. Na skarpety i buty przyjdzie czas później. Najpierw oświetlił ślady swoich stóp, które odcisnęły się w nadbrzeżnym szlamie i wypełniły wodą. Ziemia na nadbrzeżu miała konsystencję gumy. Trwało dobrych parę minut, zanim odciski stóp nareszcie znikły.

Mimo smrodu raz głęboko odetchnął, powiódł latarką po plecach Herberta Theissena, zatrzymał światło dokładnie pomiędzy obojczykami, starając się trzymać latarkę w całkowitym bezruchu. Przymrużonymi oczami obserwował przez całą minutę to miejsce. Aż był zupełnie pewny, że ustało wznoszenie się i opadanie klatki.

W tym momencie czuł jedynie ulgę. Betty będzie zadowolona. I wdzięczna. Nigdy nie zapomni, co dla niej uczynił. A kiedyś, może za pół roku, kiedy firma podźwignie się z poniesionych strat, spowodowanych przez Herberta, będą mogli pomówić o jego rozwodzie.

Ta myśl po raz pierwszy zaświtała w jego głowie. Wizja ta od razu opanowała go z taką siłą, że przez kilka sekund czuł bicie swego serca nawet w kolanach. Wtedy przed laty przestraszył się ostatecznego rozstania z Margot. Wówczas coś go powstrzymało przed tym, by całkowicie zwrócić się ku Betty. Był wtedy głupim młodzikiem, który po prostu przeszedł do porządku dziennego nad faktem, że jego przyjaciel wszedł mu w paradę i Betty podjęła inną decyzję. Dzisiaj wszystko było inaczej.

Margot będzie stwarzać problemy. Naturalnie nie przyjmie tak po prostu do wiadomości faktu, że ma jeszcze raz, teraz ostatecznie, stracić go na rzecz Betty. Może i Betty

nie zgodzi się tak bez oporów. Ale do przekonania Betty zyskał teraz dobry argument. A co się tyczyło Margot, to po przejściu tego tutaj nic nie było w stanie go wzruszyć. Będzie płacił jej i dzieciom dużą sumkę na utrzymanie i wreszcie pokaże światu, że szefowa należy do niego, że to on jest tym mężczyzną, który zrobił wyłom w jej murze i się przez niego przedarł.

Zatracił się w marzeniach, przyniósł buty, ale zostały one w ręku. Boso poszedł z powrotem na parking. Dopiero po dojściu do samochodu, kiedy mógł usiąść, założył znowu buty i skarpetki. Posiedział tak jeszcze przez kilka minut, nim zapalił silnik volvo i pozwolił autu powoli potoczyć się przez ciemny parking ku szosie. Na krótko przed wyjazdem na szosę ponownie się zatrzymał.

Na drodze nie było już prawie ruchu. Przepuścił trzy samochody, potem szosa zrobiła się zupełnie pusta. Tak więc nikt nie mógł obserwować, jak opuszczał to miejsce. Włączył reflektory i wyjechał.

Poczekamy jeszcze pół godziny, powiedział policjant, dodając, że nie spuści jej z oka. Podtekst był jak najbardziej przyjacielski, zdawał się naprawdę o nią troszczyć. A ona wyobraziła sobie, co by powiedział, gdyby go zawiozła do Herberta i poprosiła: - Byłby pan tak uprzejmy mi pomóc? Przecież dokładnie panu wyjaśniłam, czemu musi umrzeć.

Gdyby nie było to tak potworne, gdyby przeżycie Herberta nie oznaczało wyroku śmierci dla firmy, to mogłaby się z tego teraz pośmiać.

Z każdą minutą robiło się coraz potworniej. Bóle właściwie zupełnie zanikły, oprócz tępego, ale znośnego ucisku. Mogła znowu myśleć, szybko, pospiesznie, chaotycznie, jej myśli były jak splątany kłębek wełny, w którym nikt nie mógłby znaleźć początku nitki, a już z pewnością jej końca.

Wszystko na próżno?

Jednak zanim jeszcze upłynął ten termin, Thomas ją wyzwolił, uwolnił za jednym zamachem od wszelkich problemów. Kochany, dobry Thomas. Nie doceniła go. Odezwał się telefonicznie z drogi. Betty wręcz rzuciła się do telefonu, będąc w stanie wykrztusić jedynie bez tchu: - Tak? - Spodziewała się obcego głosu, który optymistycznym i zadowolonym tonem usunie jej grunt pod nogami.

Głos Thomasa coś jej odebrał. I to, co tam zostało jej odebrane, czujność, instynkt czy samoobrona, ulga porwała w jednej chwili ze sobą i usunęła z tego świata. Nie pomyślała o błędach, które mogły umknąć Thomasowi podczas jego akcji. Nie przedstawił jej szczegółowej relacji. Jednak niezwykła pewność, z jaką mówił, staranny dobór słów, które nawet w przysłuchującym się policjancie nie wzbudziłyby zdziwienia, oznaczały

spolegliwość.

Georg Wassenberg obserwował ją w napięciu, sam zeszywniały w oczekiwaniu, miotany w tę i w tę sprzecznymi uczuciami. Nie mógł sobie na poważnie życzyć, żeby jej mąż zginął. Ten człowiek nie zrobił mu nic złego. W porównaniu z nim miał tylko tę zaletę, że miał kobietę. Tę kobietę. Ale tak naprawdę nie życzył sobie śmierci Herberta Theissena. Była to tylko mała gra myśli.

Po krótkiej wskazówce: - To Thomas - słuchała przez kilka sekund, zamknąwszy oczy, tak jak to często czyniła z powodu bólu, i powiedziała tylko jedno słowo: - Dobrze.

Georg Wassenberg założył, że Lehnerer zapytał o jej samopoczucie. Tego, co Lehnerer mówił, nie był w stanie zrozumieć. Widział tylko, że zaczęła się uśmiechać, bolesnym uśmiechem, i słyszał jej odpowiedzi. Kilka razy „tak”, dwa razy „nie”. Potem powiedziała: - To miło z twojej strony. Naturalnie nie pójde spać, nawet przez całą noc, jeśli to konieczne. Aż go znajda.

Potem odłożyła słuchawkę, wzruszyła ramionami, cofnęła dolną wargę i potrząsnęła głową. Jasne było, co chce przez to powiedzieć, jak dotąd żadnych śladów. Raptem zaczęła sprawiać wrażenie zmęczonej, całkowicie wycieńczonej. Był zupełnie pewien, że teraz dopiero będzie obstawała przy tym, żeby wziąć udział w poszukiwaniach, ale wyszeptala jedynie: - Dokąd on mógł pojechać?

Kilka chwil w milczeniu, kilka głębokich oddechów. Była bardzo zadowolona i dokładnie wiedziała, że nie będzie umiała tego ukryć, wykorzystala więc zmianę nastroju. Harmonizowało to z odgrywaną przez nią rolą, rolą nieprzekonanej żony. - Po prostu w to nie wierzę - powiedziała. - I zobaczy pan, że mam rację. Owszem, miałby parę powodów, by to uczynić. Tak jak to przedstawił lekarz, w tym momencie mnie to rzeczywiście nieco zaszokowało. Ale...

Jeszcze jedno potrząśnięcie głową, bardzo energiczne. - Nie, naprawdę nie mogę sobie tego wyobrazić. Do tego potrzeba sporej odwagi, a on jest z natury tchórzliwy. Pewnie pojechał do jednej z tych swoich przyjaciółeczek, żeby go pocieszyła i odespać rausz. A jutro się tu zjawi, jak gdyby nigdy nic.

Uśmiechnęła się do niego, jakby chciała go przeprosić, że musi u niej tracić swój cenny czas zupełnie na próżno. - Thomas obleciał z pół tuzina barów i kilka dziewcząt - powiedziała. - Ja nie byłabym w stanie podać pana kolegom nawet kilku imion. To śmieszne. Osiemnaście lat jest się żoną człowieka, sądzi się, że się go dobrze zna. Ale gdzie się szwendał przez ostatnich kilka lat, tego się nie wie. Pomijając tylko może kilka kasyn. Po prostu przestało mnie interesować, po co wsiada do samochodu, jeśli pod względem

finansowym nie przekraczał pewnych granic. Czy w pana wypadku też tak było?

- Mniej więcej - powiedział. Sonia nie wydawała jego pieniędzy, dostawała ich dostatecznie dużo od swojego ojca. Nawet jeszcze i teraz. A on nigdy nie był uzależniony od Soni.

Jeśli nie tylko własna egzystencja, ale jeszcze byt sześćdziesięciu pięciu robotników i pracowników były zagrożone przez tego człowieka, to było to z pewnością dostateczne uzasadnienie dla kolejnego jej zdania: - Może nie powinnam porzucać nadziei. Istnieje przecież minimalna szansa, że tym razem było to coś więcej niż puste słowa. Mój teść pokryłby koszty pogrzebu, jestem o tym przekonana.

Uśmiechnęła się przy tym. Zdumiewające, jak wiele istniało rodzajów uśmiechu. Ten, któremu towarzyszyły przeskakujące między nimi skry, z kuchni, pełen cierpienia, w którym dała ujście swojej rozpacz. Teraz jej uśmiech był ironiczny i tak samo intensywny, jak jaskrawo świecąca lampa sygnalizacyjna. Sygnalizowała mu: - Dokładnie wiesz, że nie myślę tego, co mówię. Że staram się tylko uspokoić.

Naturalnie, że o tym wiedział, wiedział o tym od początku tego wieczora. Ale jej uśmiech coś w nim budził, kazał mu całkowicie zapomnieć o tym, jak to jest, kiedy się stoi przed ławką w parku. Przed osuniętą, podtrzymywaną jedynie przez stryczek kupką nieszczęścia, która niegdyś była człowiekiem. I przy tym ta wściekłość. Ta obłądna wściekłość skierowana ku temu, kto za to odpowiadał.

W przypadku pierwszych dwóch ofiar seryjnego mordu był osobiście na miejscu zdarzenia. I już przy drugim obawiał się, że nie będzie to ostatni taki wypadek. Że krąży w okolicy ktoś, kto nieważne z jakich tam powodów wbił sobie do głowy, iż należy trzebić „mało wartościowe” życie. Sformułował to tak jeden z jego kolegów, kierując w ten sposób podejrzenia w określoną stronę.

Jak dotąd podejrzenia te nie znalazły potwierdzenia, pewne rzeczy przemawiały nawet przeciw tym argumentom. Brakowało śladów brutalnej przemocy wobec ofiar, śladów pobicia, kopania. Więzy na rękach i nogach nie były szczególnie mocno zaciągnięte. Przy użyciu niewielkiej siły i zręczności dorosły mężczyzna mógłby się z nich z pewnością uwolnić.

Ale na to, by zastosować szczególną obronę czy inne akcje, ofiary były zbyt pijane. Pełne aż po kołnierzyk, jak wyraził to lekarz sądowy. I to nie jakiegoś taniego cienkusza, ale wyszukanych trunków. Odpowiednie butelki jego koledzy odkryli w koszach na śmieci w pobliżu ławek. W przypadku jak na razie ostatniej ofiary, Jensa-Dietera Rasche, nie była to butelka, ale kamienny dzbanek. Irlandzka whisky Tullamore Dew!

Trudno zakładać, że jakiś kierujący się przestarzałymi zasadami pomyleniec zaprosił najpierw swoje ofiary na łyk drogiego trunku. Nie, tu ktoś postępował bardzo systematycznie. Ktoś, komu się udawało wzbudzić zaufanie ofiar, przedstawić się jako ich kumpel. Pocziwiec. Ktoś, kto będzie to robił stale na nowo, w coraz krótszych odstępach czasu. Koszmar policjanta. Było to jak walka z wiatrakami.

Wczesnym wieczorem odczuwał jeszcze wściekłość. Teraz zdawało się, że wygasła ona pod wpływem jednego uśmiechu. Naprawdę piękna kobieta. Obdarzyła go jeszcze jednym uśmiechem, tym razem pewnym siebie, jak najbardziej świadoma swojego na niego wpływu.

Stwierdziła przy tym: - Życzenie komuś śmierci nie jest karalne. I jak to się mówi: diabli złego nie wezmą.

Potem zmieniła temat. - Ale teraz już naprawdę dosyć naopowiadałam. A może by mi się pan zrewanżował? To na pewno interesujące dowiedzieć się, jak żyje, jak myśli policjant. Może to odwróci nieco uwagę od tego, co się dzieje tam, na zewnątrz.

Uczył jej tę uprzejmość. Nic to przecież nie przeszkadzało. Nie zdradzał jej ani tajemnic zawodowych, ani niczego, co by miało większe znaczenie. Krótco opowiedział o swoim małżeństwie i dlaczego się rozpadło. Brakowało mu czasu, jego zawód miał dla niego wielkie znaczenie, no i jeśli kobieta miała zupełnie odmienne zainteresowania.

Skinęła głową. W jej wypadku było podobnie. Potem znowu przyszła kolej na nią. Od telefonu Lehnerera zaszła w niej widoczna zmiana, była dużo swobodniejsza. Rzuciło mu się to w oczy, sprawiło mu przyjemność, ale nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać.

Na razie nie było zresztą powodu, by się zastanawiać. Nie było żadnych zwłok ani najmniejszej wskazówki, że pomiędzy czwartą a szóstą po południu rozegrał się jakiś inny dramat niż ten opisany przez nią. Poza tym często już widział, jak ludzie po twardym ciosie pierwszego szoku popadali w niemal niefrasobliwą rozmowność. Wielu w ten sposób dodawało sobie odwagi. Jej zachowanie zgadzało się z ogólnie przyjętą normą.

Opowiedziała o swoich początkowych kłopotach, by przebić się w firmie. O pogardliwych uśmiezkach robotników, którzy zwyczajnie nie mogli uwierzyć, że stary Theissen sadza im przed nosem takie nieopierzone pisklę zamiast swojego syna. Jak to było, kiedy na początku zjawiała się na placu budowy, kiedy wydawała polecenia. A przede wszystkim polecenia, jak należy racjonalnie stosować maszyny.

Było kilka komicznych epizodów z operatorem dźwigu i podmajstrzym. Potrafiła to tak żywo opisywać. Wręcz widział ją, jak się stawia dwumetrowemu mężczyźnie i stara się całej załodze dowieść swojego autorytetu i kompetencji.

- Mówi się zawsze, że najgłośniej krzyczą ci, co nie mają racji - powiedziała - ale na budowie trzeba umieć wrzeszczeć i przeklinać, bo nic innego nie pomaga. A zwłaszcza w moim przypadku - wzruszyła ramionami. - Kilku starszych pracowników znało jeszcze mojego ojca i brata. Obydwaj pracowali w tej firmie. Mój brat jako niewykwalifikowany robotnik nie był w tej pracy długo, tylko dwa miesiące. Ale za to mój ojciec dobrych kilka lat. Był podmajstrzym i pijakiem, jak się patrzy. Przez jego niedbalstwo zginęło dwóch ludzi, już nie mówiąc o stratach finansowych. Został zwolniony bez wypowiedzenia. Kilka tygodni później się powiesił.

Pokiwała w zadumie głową. - Miałam wprawdzie dopiero czternaście lat, kiedy to się stało. Ale zawsze miałam poczucie, że coś muszę naprawić. Coś takiego idzie za człowiekiem. Grzechy ojców, nieprawda? Inni też o nich nie zapominają. Potrzeba czasu, żeby ludzie pojęli, że jabłko może upaść daleko od jabłoni.

Mógłby tak siedzieć godzinami i jej słuchać. Na razie tylko tyle. I to, co zaistniało pomiędzy nimi, kiedy robił kawę w kuchni. Z pewnością tego nie wymyślił, może nieco uprzedził fakty albo oddał się na chwilę myśleniu życzeniowemu. To nie było istotne, liczyło się całkiem co innego. Na przykład jej siła, to jak sobie poradziła z tą sytuacją w sposób naprawdę godny podziwu. Jej humor, temperament, zebrałoby się parę rzeczy.

Opowiadając, niemal zupełnie usunęła w niepamięć mroczny cień czarnego lamborghini, którego tak pilnie potrzebowała, by opłacić robotników. Cała rozkwitła, była teraz wyłącznie młodą kobietą, pracowitą, ambitną, żywotną i na swój sposób namiętą.

A on był - nieważne imaginacja czy myślenie życzeniowe - wolnym mężczyzną, któremu nikt nie mógł zabronić okazania jej, że mu się podoba. Tego, że w innych okolicznościach powiedziałby jej to dosłownie. Ale coś takiego można niekiedy o wiele lepiej wyrazić wzrokiem niż słowami. Jej zdawało się podobać to, że mówi o tym tak jasno. W każdym razie nie było jej to niemiłe.

Na początku ją to bawiło. Było tylko potwierdzeniem faktu, że właściwie go oceniła. I to mimo swojego okropnego stanu. Później uznała, że komisarz trochę przesadza. Nie przeszkadzało jej to jednak dopóty, dopóki była z nim sam na sam.

Od wieków nie grała już w te klocki. Bo niby z kim? Z Thomasem wszystko już było rutyną, przyzwyczajeniem. Dla obcych nigdy nie miała czasu. I w nadchodzących tygodniach i miesiącach nie będzie go miała. Jeszcze tylko tej nocy, przez godzinę czy dwie.

Kiedy spadł z niej ten ciężar, poczuła niejaką jasność myśli, panika nie zalewała już jej wnętrza jak woda z wiadra zbyt szybko niesionego wyboistą drogą i mogła nareszcie całkowicie się na nim skoncentrować. Uznała go za w pewien sposób sympatycznego z tą

jego otwartością, czuła się nawet mile polectana, że wywiera na nim takie wrażenie.

Zdawał się zupełnie nie pamiętać, po co tu jest, w ogóle się nie krepował. Zachowywał się tak, jakby siedzieli razem w jakimś barze i mieli do rozstrzygnięcia tylko jedną kwestię: Idziemy do ciebie czy do mnie. Jego wzrok taksował ją z góry na dół, od przedziałka po czubki stóp. W czasie tej wędrówki co i rusz napotykał miejsca, na których jego oczy zatrzymywały się dłużej.

Na nogach, tam wywierał jej wręcz dziury w pończochach. Za tym szły łono, piersi, szyja, twarz. Czuła nacisk na swojej skórze, jego spojrzenia były jak obmacujące, drżące z podniecenia palce. A przy tym sprawiał wrażenie tak jowialnego, siedząc w tym fotelu, nieco korpulentny i dobroduszny. Ale tylko do nasady nosa, na oczach kończyła się ta jego jowialność. Od tego miejsca był mężczyzną, wyłącznie mężczyzną. Takim, którego nie obchodzi ani samochód za trzysta tysięcy marek, ani może już umierający człowiek, ale jedynie kobieta, którą ma przed oczami.

Uśmiechała się, gdy stawało się to nazbyt widoczne. Uśmiechała się dokładnie tak samo jak w kuchni. Wtedy znowu się między nimi jarzyło. I to nie tylko w jego głowie, teraz jarzyło się całe pomieszczenie naładowane napięciem, wszędzie tańczyły iskry.

Ale kilka minut po pierwszej zostali raptownie cofnięci do poprzedniego nastroju. Przed dom zajechał samochód. Betty przerwała w połowie zdania i zaczęła nasłuchiwać odgłosów od strony korytarza. Kiedy zamarł odgłos silnika, a zaraz potem trzasnęły drzwi auta, stwierdziła całkiem zbytecznie: - Ktoś przyjechał.

Z sekundy na sekundę popadła w apatię i zdawała się wyczerpana. Jak słomiany ogień, który na krótko się rozjarzył, a potem zaraz zgasł. Jak człowiek, który raptem zdaje sobie sprawę z tragedii. Spojrzała na niego prosząco.

- Czy będzie pan tak miły i otworzy drzwi?

Nie sądziła, że mógłby to być któryś z jego kolegów. Policjanci nie mieli powodu, by tu przychodzić, zanim ich misja nie dobiegnie końca. Z obecnością Thomasa także się nie liczyła. Przecież pot ściekał mu wręcz strumieniami w obliczu jakiegokolwiek zagrożenia albo na samą myśl o nim. To, że miałby na tyle silne nerwy, by jeszcze raz do niej przyjść, wiedząc, że jest w towarzystwie policjanta z komisji kryminalnej, było więcej niż nieprawdopodobne. Przecież Thomas dobrowolnie nie będzie jeszcze raz szukał konfrontacji z policjantem, pomyślała. Właściwie mógł to być tylko lekarz, chcący się przekonać, czy pacjentka jeszcze żyje. A w tej sytuacji lepiej, żeby nie była zbyt rześka, bo jeszcze na końcu doktor zacznie się dziwić.

Naturalnie, że Georg Wassenberg był tak miły, mimo że wyjątkowo niechętnie.

Rzuciło jej się to w oczy. Podniósł się z fotela z taką miną, jak gdyby przy tych drzwiach miał pożegnać swoje osobiste szczęście. W tym momencie pożałowała, że posunęła się w swojej grze aż tak daleko. Tyle że na początku nie widziała w tym nic niebezpiecznego.

Mały, nieszkodliwy flirt na marginesie zdarzeń, by się oderwać od innych myśli, każdy rozsądny człowiek musiałby odebrać to w ten właśnie sposób. Nie mógł w żadnym razie potraktować go poważnie. Popatrzyła za nim, jak wychodzi na korytarz, na wszelki wypadek podciągnęła nogi na sofę. Ale to nie był lekarz.

Wbrew oczekiwaniom był to Thomas. Usłyszała, że rzuca kilka słów. Nic, co by miało znaczenie, jakiś frazes, który wypowiedział z zadziwiającym spokojem. Zaskoczyło ją to, ale była to miła niespodzianka.

Wrócili do pokoju. Pierwszy wszedł policjant, zaraz za nim Thomas. Źle wyglądał, był całkowicie wykończony. Jego cera, brązowa jeszcze tego wieczora, sprawiała teraz ziemiste wrażenie. Dres pokryły na piersi, plecach i pod pachami wielkie plamy potu. Policjant znowu podszedł do fotela, w którym siedział poprzednio przez cały czas, i ponownie zajął w nim miejsce. A Thomas nadal stał, jakby właśnie położono bezpośrednio u jego stóp świeże zwłoki.

Przy stoliku stały tylko dwa fotele oraz sofa, na której siedziała Betty. Miejsmy nadzieję, że Thomas nie wpadnie na pomysł, żeby usiąść obok niej. Musiał przecież zauważyć, jak ten policjant krytycznie i niechętnie lustruje go wzrokiem. W ten sposób spogląda się na kogoś, kto zakłóca spokój, na rywala! To mogło się okazać zabawne.

- No usiądź, Thomas - powiedziała, wskazując mu wolny fotel. Thomas wlepił wzrok najpierw w nią, a potem w fotel, jakby pełzały po nim tuziny jakichś obrzydliwych stworzeń. Chyba jednak porwał się na zbyt wiele, pewnie nadal miał przed oczami ten rzęzący, śliniący się tłumok.

Najpierw spróbowała uspokajającego uśmiechu, potem znaczących spojrzeń, by zatrzymać go z dala od sofy. On jednak, nie reagując na to, podszedł do niej - i usiadł obok! Nie bezpośrednio obok, ale nie pozostało pomiędzy nimi za wiele miejsca. Policjant zmarszczył brwi.

Thomas wyciągnął przed siebie nogi, prawe ramię oparł o tylne oparcie sofy, a tym samym położył praktycznie rękę na jej ramieniu. A policjant na chwilę zagryzł wargi w wąską kreskę.

Fantastycznie! Żeby teraz nie wpadł tylko na jakiś głupi pomysł. Wpadł, jego mina mówiła wszystko. Tylko nie stracić panowania! Odwrócić jego uwagę, wyraźnie mu pokazać, że Thomas to jedynie bliski przyjaciel. A potem postarać się go pozbyć.

- Thomas, masz ochotę się czegoś napić - spytała. I zanim jeszcze zdążył na to pytanie odpowiedzieć, już stała obok sofy, zbliżając się powoli do barku. - Może koniaku? Sądzę, że go jeszcze mamy.

Nie było już koniaku i dobrze o tym wiedziała. Wprawdzie stała tu cała kolekcja butelek, ale niemal wszystkie puste. W ostatnich miesiącach Herbert systematycznie niweczył ich zapasy alkoholu w ciągu tych nielicznych godzin, które spędzał w domu. A jej brakowało pieniędzy, żeby ponownie napełnić barek.

Wódka była chyba ostatnim trunkiem, który nabyła już kilka miesięcy temu, kiedy jej plan przybrał konkretne kształty. Aż do tego popołudnia trzymała tę butelkę w ukryciu.

- Wolałbym wodę mineralną - powiedział Thomas. Chciała pójść do kuchni, ale machnął ręką. - Nie zadawaj sobie trudu, daj mi koniaku.

Zaczęła szukać pomiędzy pustymi butelkami. Była jeszcze resztką sherry. Przeląła ją do wielkiej lampki od koniaku i postąpiła jeszcze chwilę przy barku, spoglądając ku Thomasowi. Naprawdę zdumiewające, jak spokojny się wydawał. Nie wyglądał dobrze, blady i przemęczony, ale zdenerwowany nie był. Uśmiechał się do niej uśmiechem zwycięzcy. Głupiec! Dlaczego od razu nie powie: - Zadanie wykonane, Betty. Uwolniłem cię od wszelkich trosk.

Aż do tego momentu Wassenbergowi nie rzuciło się w oczy nic ważnego. Był zdenerwowany, że mu ktoś przeszkodził. Nie pasowało mu też, że Lehnerer w tak oczywisty sposób demonstrował ich zażyłość. Ale mimo wszystko było to normalne. Znali się od dawna bardzo dobrze, byli bliskimi współpracownikami i również prywatnie przyjaciółmi. Dlaczego Lehnerer nie miałby w tej sytuacji usiąść przy niej na sofie i objąć ją ramieniem? Przecież było normalnie przyjęte wśród przyjaciół, by w takich razach się wspierać. Także i to, że tak bardzo troszczyła się o Lehnerera, zaraz zeskoczyła z sofy i zaproponowała mu coś do picia, sprawiało całkiem naturalne wrażenie.

Georg Wassenberg przyglądał się jej, jak napełnia kieliszek. Potem zauważył spojrzenie, jakie rzuciła Thomasowi znad barku. Było jak policzek, nawet towarzyszący temu bardzo bolesny uśmiech niczego tu nie zmieniał.

- Mam niestety tylko sherry.

- Przecież to nie szkodzi. Nawet je wolę.

A potem zauważył spojrzenie, jakim Lehnerer obserwował Betty. Była to mieszanka wyczerpania, oddania i radosnego oczekiwania. Jak u psa, który wielokrotnie aportował patyk ku zadowoleniu swojej pani, został serdecznie pochwalony i teraz czeka na kolejną komendę. I było jeszcze coś.

Georg Wassenberg nie był w stanie od razu tego zaklasyfikować. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że on sam wpatrywał się w nią przez połowę wieczoru prawdopodobnie dokładnie w taki sam sposób. Nie ulegało wątpliwości, że Lehnerer ją ubóstwia. Ale i to nie musiało niczego oznaczać. Po prostu ją cenił, szanował. Szeffowa, osoba wzbudzająca respekt.

Powoli podeszła z powrotem do sofy, ale już nie usiadła, wyciągnęła tylko rękę z kieliszkiem. A Lehnerer nie tylko sięgnął po lampkę, ujął też jej dłoń. Zdawało się nawet, że za nią pociągnął. Było w tym coś zaborczego. Chciał, żeby ponownie usiadła. Koło niego! Ona jednak wcale nie miała takiego zamiaru.

- Jak się miewa twoja głowa? - chciał wiedzieć Lehnerer. Twarz mu przy tym drgnęła, jakby to on cierpiał, a nie ona.

- Trochę lepiej - odpowiedziała, zabierając swoją rękę z jego dłoni, nie pośpiesznie, nie z poczuciem winy, jak przyłapana grzesznica, lecz spokojnie i chłodno. Po prostu, szefowa. I zatroskany o jej zdrowie prokurent.

Spojrzała na Georga, też całkiem spokojnie, z drobnym uśmieszkiem. Właściwie cieniem uśmiechu. Potem podeszła do wolnego fotela. I w zasadzie to było to. To był ten błąd, który popełniła.

W tym momencie, gdy siadała, z pytania, które Georg zadał sobie przed kilkoma godzinami niemal machinalnie, narodziło się okropne podejrzenie. Kochanek! Thomas Lehnerer?

Przemawiało za tym kilka faktów. Po pierwsze, nieuświadomione do końca poczucie, że od kiedy wszedł Lehnerer, on przestał się liczyć jako mężczyzna. Że i przedtem nie liczył się naprawdę, tylko został w pewnym stopniu nabrany. Po drugie, to nieprzyjemne uczucie tkwiące w ostatnim rzuconym mu spojrzeniu. Przesłanie, które przez nie przebijają. Tylko nie wyciągaj żadnych fałszywych wniosków, panie policjancie! Jeśli nie było żadnych wniosków do wyciągnięcia, to przesłanie było zbyteczne. Po trzecie, fakt, że Betty była młodą kobietą. Przy całej tej pracy i odpowiedzialności o wiele za młodą, by przez całe lata tak całkowicie rezygnować z męskiego towarzystwa. Tylko przy całej pracy i odpowiedzialności brakowało jej pewnie czasu, żeby rozejrzeć się poza firmą za jakimś mężczyzną, który by jej dał to, czego od czasu do czasu potrzebowała.

Lehnerer był przystojny, nawet teraz, z tym zmęczonym spojrzeniem i w przepoconym dresie. Atlety z przedmieścia. Kobiety to lubią, nieco mięśniów i ani grama tłuszczu. Przy jego wzroście, prawie metr dziewięćdziesiąt jeden, nawet tak wysoka kobieta jak Betty mogła się na nim wesprzeć.

Jak to przed chwilą powiedziała? „Dobry człowiek. Jestem szczęśliwa, że go mam”. Na szczęśliwą w tym momencie nie wyglądała, jedynie na wyczerpaną. W każdym razie zadawała sobie wiele trudu, by sprawiać takie wrażenie. Tego jednak Georg nie kupił już tak bez zastrzeżeń. Jak na to zbyt demonstracyjnie odsunęła się od Thomasa.

Przypuszczał, że kryje się za tym dokładnie to, co rzeczywiście za tym stało, czyli chęć pozbycia się go. Poczł się zdegradowany do roli widza, gdy tak dokładnie obserwował ich obydwój, nie pozwalając, by jego uwadze umknęła żadna reakcja. Te drobne zdradzieckie gesty, te spojrzenia, z których dawało się wyczytać ściśle związki i niemałą znowę. Tyle że więcej nie było już na co patrzeć.

Podając kieliszek, dała Thomasowi do zrozumienia, naciskając paznokciem na grzbiet jego dłoni, że tu oto ktoś pożera tę scenę oczami. Wreszcie to do niego dotarło. Mimo że nie pojmował, dlaczego Betty się tak denerwuje. Człł się nadal silny. Ta siła wynikała z jego oceny, że wspaniale rozwiązał ich problem. A z tej siły z kolei narodził się pogłłd, że żaden nawet najbardziej wyrafinowany policjant o nic się nie może do niego przyczepić.

Kiedy Betty usiadła, wyjaśnił w stronę Georga: - Zrobiłem, co mogłem. - Po prostu musiał to powiedzieć, właśnie w ten sposób. Podzielić się swoim sukcesem tak, żeby osoba postronna nie powzięła podejrzeń. Tylko on i Betty rozumieli dwuznaczność tego stwierdzenia.

- Dalsze jeżdżenie po okolicy nie miało żadnego sensu - kontynuował. - Oczywiście same mi się zamykały. I nie wiedziałem, gdzie jeszcze miałbym szukać. Przykro mi. Pańscy koledzy jeszcze się nie zgłosili?

Georg potrząsnął głową.

Thomas Lehnerer upił łyka. - Jeśli Herbert nie udawał, to mamy coraz mniej czasu. - Opowiedział o rozmowie telefonicznej z lekarzem w centrali pogotowia od zatruc, o barach i dziewczynach, które odwiedził. Łącznie trzy dziewczyny, ale otworzyła mu tylko jedna z nich.

Nie musiał dodawać, że najpierw upewnił się przez telefon, że obie pozostałe były w domu. Ale to, że obleciał ulice wokół ich mieszkań, poszukując czarnego lamborghini, oczywiście bez skutku, stanowiło jego alibi. Dopił jeszcze resztkę sherry, poobrał w rękę pusty kieliszek, obserwując go z opuszczoną głową.

- Teoretycznie rzecz biorąc - powiedział powoli, ale pewnym głosem - może już być martwy. Powiedzieli dziesięć do dwunastu godzin, ale ma to zależeć od wielu czynników. Przede wszystkim naturalnie od kondycji poszkodowanego i ilości alkoholu. Mogło tego być znacznie więcej niż tylko ta jedna butelka.

Ponownie podniósł głowę, utkwiał wzrok w twarzy Betty, emanując przy tym zadziwiającą pewnością i spokojem, i również pewną troską. - Betty, powinnaś spróbować trochę pospać. Zostanę tu, jeśli się zgodzisz. Dam tylko krótko znać Margot, bo będzie się martwić, gdzie się tak długo podziewam. Ona przecież zupełnie nie wie, co się tu dzieje.

Mówiąc o Margot, miał zapewne na myśli żonę, jak przypuszczał Georg.

Kiedy Betty, rzuciwszy powątpiewające spojrzenie Georgowi, z ociąganiem skinęła głową i ponownym stwierdzeniem „To miło z twojej strony” dała do zrozumienia, jak chętnie przyjmuje propozycję Lehnerera, naprawdę Georg nie miał już żadnego powodu, by dłużej u niej zostać. Uczciwie biorąc, mógłby oznajmić, że teraz on zamiast Thomasa wybierze się na poszukiwania jej męża. Jednak również po temu nie było żadnych powodów. Wstał.

- Proszę się nie fatygować - powiedział, wychodząc już na korytarz - znam drogę do wyjścia.

Mimo to wstała, odprowadziła go do drzwi wyjściowych, gdzie podała mu rękę. - Dziękuję panu - powiedziała cicho - za pańską cierpliwość i rozsądek. Gdyby nie pan, siedziałabym pewnie teraz w moim wozie. A naprawdę nie jestem w stanie jeździć teraz po okolicy.

Pożegnalny uśmiech sprawiał wrażenie prośby o wybaczenie. Nie odegrał on jednak swojej roli, bo nie stała już przed tym człowiekiem, który widział w niej spełnienie niejednego marzenia, ale przed człowiekiem, który się czuł oszukany, wystrychnięty na dudka. Który tak wyraźnie czuł, że została oto odegrana przed nim mała komedijka, jak gdyby sam wykupił bilet wstępu na przedstawienie. Wyczuwał jej niepewność i znał przyczyny tego uczucia.

Nie przypadło jej do gustu to raptowne wyjście. Jego wzrok, nieruchomy i pełen dystansu, jakim ją teraz mierzył, podobał się jej jeszcze mniej. I jej dłoń po przelotnym uścisku też zaraz wypuścił. - Najlepiej zrobię teraz to, co proponuje Thomas - stwierdziła Betty. - Położę się i spróbuję zasnąć. Jak się coś wyjaśni, na pewno mnie zbudzi.

- Do widzenia - powiedział krótko Georg.

A potem siedział w samochodzie. W korytarzu paliło się światło. Szeroką smugą padało przez oszklone drzwi wejściowe na stopnie schodów. Światła w salonie prawie nie było widać, tylko słabe jego odbicie na rogu domu. Zadawał sobie pytanie, czy Lehnerer nadal siedzi samotnie na sofie. Czy może zmienił tymczasem miejsce, żeby Betty się mogła położyć. Czy może też, kiedy się już położyła, postanowił jej potowarzyszyć na sofie, żeby nie była taka samotna.

Organy sprawiedliwości usunęły się z pola, nie trzeba więc już dłużej niczego

ukrywać. Szefowa ze swoim prokurentem, pomyślał, i mąż, który do niczego się nie nadawał, przepijał, przegrywał w kasynach albo przepuszczał z młodymi dziewczętami pieniądze, rujnował firmę. Nie było to znanym dziwne.

Z drugiej strony, odezwał się cichy wewnętrzny głos, noszący skromne miano nadzieja, Lehnerer miał żonę. A skoro dzwonił do niej, żeby się nie martwiła, to ich małżeństwo nie mogło być takie najgorsze. Człowiek łatwo coś sobie wmawia, zwłaszcza jeśli nie wszystko poszło po jego myśli.

Georg odczekał jeszcze kilka minut, zanim przekręcił kluczyk w stacyjce. Żeby nie siedzieć beczynnym, wpatrując się w dom ze zwariowanym uczuciem, że zostawił tam w środku parę kochanków, połączył się przez krótkofalówkę z policyjną centralą, aby się czegoś dowiedzieć o dotychczasowych wynikach poszukiwań. Nie było żadnych wyników.

Czuł jakby wiertło w środku. Zazdrość! Rozczarowanie, że nie poprosiła go, żeby został. Byłoby to tak proste i o wiele bardziej skuteczne, niż to wymigiwanie się. - Bardzo ci jestem wdzięczna za propozycję, Thomas, ale zrobiłeś już dostatecznie dużo. Jedź teraz do domu i odpocznij. - Proste i całkiem naturalne. Nie mógł wiedzieć, że Betty poważnie rozważała możliwość powiedzenia właśnie tego i że był to dla niej wybór mniejszego zła.

Musiała się zdecydować. Albo pozostawić na razie policjanta, który dopiero co w bezwstydnym sposobie sygnalizował swoje pożądanie i raptem nabrał podejrzeń, sam na sam z jego podejrzliwością. Albo zbyć do jutra Thomasa, który co prawda na zewnątrz sprawiał wrażenie spokojnego, ale to według wszelkich jej wyobrażeń było niemożliwe. Z różnych przyczyn jej decyzja wypadła na korzyść Thomasa Lehnerera.

Po pierwsze, musiała się dowiedzieć, jak postąpił pod chatą do grilla. Przez telefon nie pisał ani słowa o tym, w jaki sposób rozwiązał ich problem. Poza tym istotne było uświadomienie mu, że nie mogą w najbliższym czasie czuć się zbyt pewnie. Że szukanie w tak demonstracyjny sposób jej bliskości było niewybaczalnym błędem.

Chciała mu to wykazać zaraz, stojąc w oknie ciemnej kuchni. Zaparkowany jeszcze kilkanaście minut przed jej domem samochód był dowodem, że policjant powziął jakieś podejrzenia. Ale Thomasa figę to obchodziło. Nawet się nie zdenerwował.

- Zostaw go w spokoju. Jeśli o mnie chodzi, to może sobie tam stać i całą noc. Od lat jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Każdy, kogo spyta, mu to powie. Nie widzę powodu do zdenerwowania. Wszystko będzie w porządku, sama zobaczysz.

Nic nie było w porządku. Mężczyzna, który dotąd oszczędzał na szosie każdego pełzającego ślimaczka, zabił oto swojego jedynego przyjaciela i nie stracił przy tym opanowania, jakby się należało spodziewać. Nie! Thomas nabrał pewności siebie, jak ojciec

pocieszający córkę położył jej ręce na ramieniu, głos zabarwił szczyptą rozsądku.

- Odejdź już od okna, Betty. Nie trać głowy, duszko. Nic nam nie może zrobić. Jeśli coś go tu napełniło podejrzliwością, to chyba tylko ty z tymi twoimi spojrzeniami jak strzały z karabinu. Ale jakoś to wyprostujemy, nie martw się. Połóż się teraz na sofie i spróbuj trochę pospać. Ja usiądę w fotelu. A on może sobie nawet i wejść przez taras, żeby zobaczyć, jak spędzamy razem czas.

Potem ona leżała na sofie, a Thomas siedział w fotelu i opowiadał wszystko po kolei. Najpierw o dziewczynach i o tym, że nikt nie będzie mógł mu dowiedzieć czegoś innego. Potem o stawie. Zrobiło jej się niedobrze już od samego słuchania. Upłynęło dobrych siedem godzin pomiędzy ostatnim łykiem wódki a jego zgonem. A lekarz sądowy na pewno zbada też zawartość żołądka. Z drugiej strony, jeśli te tabletki potrzebowały niemal całego dnia, żeby zabić człowieka, to trwało też pewnie jakiś czas, zanim doprowadziły go do utraty przytomności. W każdym razie w normalnym przypadku! Ale Herbert tak szybko stracił przytomność, nie minął nawet kwadrans po wypiciu ostatniego łyka. Dlaczego? Co jeszcze zawierał jego organizm?

Do rana leżała na sofie, mając głowę tak pełną pytań, że zdawało się, iż od tego pęknie - i od ponownie napływających fal bólu. Thomas obstawał przy tym, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i że nie popełnił żadnego błędu.

ROZDZIAŁ 4

Reszta nocy w żadnym wypadku nie postawiła spraw znowu w takim świetle, w jakim Georg Wassenberg powinien je czysto rozumowo postrzegać i chętnie by to zresztą uczynił. To było tak przygnębiające, leżeć samemu w łóżku, w tym nędznym mieszkanku, nie mając przed sobą żadnej innej perspektywy niż ta, że jeszcze przez lata wszystko pozostanie właśnie tak.

Z jednej strony rozsądek. Piękna kobieta, jaką Betty Theissen niewątpliwie była. Kobieta, która nie uczyniła nic ponadto, że się do niego pouśmiechała. Głupotą byłoby uzurpowanie sobie na tej podstawie jakichkolwiek praw. Przecież i w przypadku Lehnerera nie skąpiła dowodów swej przychylności. I czemu by miało być inaczej? Długoletnia troska o firmę nieuchronnie musiała silnie ich ze sobą związać. Tylko mężczyzna, dla którego stało się to raptem osobistą sprawą, mógł im z tego ukrećć powróż na szyję. Z drugiej strony uczucia, te wszystkie wrażenia i wiele obiecujące przeczucia.

Nie mógł się uspokoić, przewracał się z boku na bok, drzemając jedynie. Tak wyraźnie słyszał w głowie jej głos i widział ostatnie, lękliwe spojrzenie. Raz widział pomiędzy lustrami jej sypialni siebie, to znów Thomasa Lehnerera. Wściekłość wrzała w nim jak garnek z kipiącym na gorącej kuchni mlekiem. Jeśli coś ją łączyło z Lehnererem, coś, co wykraczało poza czysto przyjacielskie i zawodowe stosunki, to był to powód, aby nieco intensywniej naświetlić śmierć jej męża.

Nie było wątpliwości co do jej wersji. Motywy Herberta Theissena miał jak na dłoni. Hazardzista, labilny, hedonista i do tego skończony. Chodziło tylko o to, żeby ją i tego jej dobrego człowieka, o którym nie była w stanie powiedzieć nic złego, nieco podenerwować. Zakładając oczywiście, że jej męża nie odnajdą jednak żywego albo sam się raptem nie pojawi. Tą wersją wolał się jednak nie zajmować, bo nie pozostawiała mu ona żadnej nadziei, nawet tej, że ponownie ją ujrzy.

Chętniej bawił się wyobrażeniem dokładnego dochodzenia, w którego trakcie można by było wykryć, że pan prokurent jak należy oszukiwał swoją zatroskaną Margot, zdradzając ją z szefową. Jemu osobiście nie dawało to wprawdzie żadnych korzyści, ale przynajmniej i

pozostali nie mogli się już cieszyć swoim bajecznym szczęściem. Było to infantylne pragnienie zemsty, w końcu i do niego samego to dotarło. Świadomość tego ostudziła nieco wrzenie w jego wnętrzu. Mimo to nie mógł się tak całkiem uspokoić.

O wpół do szóstej zrezygnował z prób zapadnięcia chociaż w krótką drzemkę, oszukał zmęczenie mocną kawą i letnim prysznicem. W kabinie prysznicowej poczuł się już prawie normalnie, niemal tak jak w ciągu minionych miesięcy. Po prostu jak przegrany człowiek, który po raz setny chciał zdobyć przekonanie, że jest w wyższym stopniu mężczyzną niż chuchrowaty właściciel butik. Ostatecznie to jego przekonanie było jedynym, co mu pozostało. Zwyczajnie musiał się postarać sam dać sobie radę.

„Śniłem o białych rumakach, białych rumakach na plaży”. Albo o pięknej kobiecie. Tak czy owak, sny nie zmieniały nic w fakcie istnienia pleśni w kabinie ani w tym, że ta piękna kobieta miała teraz co innego w głowie niż zapominanie o całym świecie i rzucanie się w ramiona policjanta.

Już przed siódmą był w biurze, a o ósmej wziął udział w naradzie komisji specjalnej. Czterech martwych mężczyzn na ławkach w parku. Badania kryminologiczne dotyczące ostatniej sprawy nie były jeszcze ostatecznie zakończone. Brakowało nadal wyników laboratorium Urzędu Kryminalnego Landu w Dusseldorfie. Ślady włókien na ubraniu Jensa-Dietera Rasche. Zapowiadał się znowu bardzo obszerny raport. Wręcz trudno uwierzyć, co można znaleźć na ubraniu mężczyzny, który przebywał prawie wyłącznie na dworze, utrzymywał niezliczone kontakty z podobnymi sobie i niekiedy obejmował obcych ramieniem, żeby coś wyżebrać.

Wbrew oczekiwaniom pojawiła się informacja wskazująca na środowisko radykalno-prawicowe. Bardzo wygadany, obcięty na jeża, mikroskopijny podrostek w ciężkich gładkach rzucił odpowiednią uwagę w jednej z knajp. Prawdopodobnie chciał tylko poczuć się ważny, nikt tak naprawdę nie wierzył, że może stać za tym coś więcej. Mimo to odpowiedzialni za dochodzenie koledzy chcieli pójść tym tropem. Nie pozostawało im zresztą nic innego.

Dina Brelach, jego młodsza koleżanka, na którą Georg jak dotąd nie zwracał właściwie uwagi, poprosiła o głos. Odnalazła krewnych Jensa-Dietera Rasche, rozwiedzioną z nim żonę i dorosłą córkę. Nawet mieszkały nadal w mieście. Żona pracowała w sklepie z alkoholem.

Dina podkreślała to tak, jakby chciała zwrócić uwagę wszystkich kolegów właśnie na ten punkt. W każdym razie pani Rasche w dowolnej chwili mogła się zaopatrzyć w ekskluzywne trunki. Dina była zdania, że należałoby przeprowadzić dogłębną rozmowę z tą kobietą.

Kilku obecnych krzywo się uśmiechnęło. Szef komisji specjalnej zadał kilka pytań. Od kiedy małżeństwo Rasche było rozwiedzione? - Od ponad dwudziestu lat - musiała przyznać Dina i natychmiast dodała: - Ale jego żona nie może przedstawić żadnego sprawdzonego alibi na czas zdarzenia. Tę sprawę już wyjaśniłam.

Nawet jeśli tak, to podejrzewanie rozwiedzionej żony było co najmniej śmieszne. Po dwudziestu latach! Jakie mogłaby mieć motywy? A co z trzema pozostałymi ofiarami? Dina niezdecydowanie wzruszyła ramionami, a szef komisji stwierdził, że jeśli Dina uważa to za istotne, to może porozmawiać z panią Rasche. Być na bieżąco, nawet jeśli nikt sobie wiele po tym nie obiecywał. Zabrzmiało to jak odsunięcie od sprawy, jak gdyby odesłano dziecko, żeby się pobawiło w piaskownicy.

Dina Brelach miała niewiele ponad trzydziestkę, ale wyglądała znacznie młodziej. Jakby dopiero co opuściła szkolną ławę, jak ktoś kiedyś powiedział. Jak małolata, którą można sobie raczej wyobrazić na obściskiwanej randce w ciemnym kinie niż na miejscu znalezienia zwłok. Była w policji od niecałych czterech lat, przedtem studiowała i urodziła syna, którego ojca nie chciała czy nie mogła poślubić. Dzieckiem zajmowała się jej matka.

W komisji do spraw zabójstw Dina była od blisko pół roku. Była ambitna i pracowita, inteligentna. Bolało ją, że dla niektórych starszych kolegów była raczej maskotką niż poważną partnerką. To, co teraz przedstawiła, zdawało się potwierdzać opinię tych panów.

Ale uśmiezki w ostatnich rzędach wkrótce ucichły. Zapanowało przygnębienie. Wszyscy byli zdenerwowani. Cztery dni upłynęły od morderstwa dokonanego na Jensie-Dieterze Rasche. Niektórzy koledzy byli święcie przekonani, że już bardzo niedługo mogą się spodziewać piątego trupa na ławce w parku. Nikt jednak nie wyraził głośno tych myśli.

Psycholog policyjny po raz kolejny postarał się stworzyć portret sprawcy, który był tak rozmyty i nic niemówiący, że pasowałby do każdego przechodnia. Następnie podyskutowali o środkach bezpieczeństwa. O nasilonych kontrolach w parkach i innych odosobnionych miejscach - i o braku ludzi, żeby rzeczywiście móc wszystko kontrolować.

O wabikach, jednym czy dwóch mężczyznach, którzy na kilka dni czy tygodni weszliby w to środowisko. Ale kto, proszę, miałby być tą przynętą? I w jakie środowisko miałby wejść? Nie było najmniejszych wskazówek, gdzie morderca nawiązał kontakt ze swoimi ofiarami.

Mówili też o jeszcze jednym meldunku prasowym. Dotąd prasa okazywała się bardzo wstrzemięźliwa, jakby fakt, że uśmiercono kilku włóczęgów, nie był wart wzmianki. W innych wypadkach chłopcy dziennikarze byli chciwi każdego szczegółu. A tu szczegółowa relacja byłaby dokładnie tym, czego teraz potrzebowali, wyraźnym ostrzeżeniem

skierowanym do wszystkich, których dotyczyła. Nie chodzić samemu, być bardzo ostrożnym wobec nowych znajomości, jeśli jest możliwość, nie odłączać się od grupy, szukać bezpiecznych miejsc do spania.

Dina Brelach mruknęła: - Jens-Dieter Rasche miał bezpieczne miejsce do spania. Tylko nie na wiele mu się to zdało.

Wyszła z pomieszczenia razem z Georgiem. Za drzwiami zapytała: - A co pan sądzi o koncepcji, że chodzi o kobietę. Nie sprawca, ale sprawczyni?

- Nic - odpowiedział.

- A co przemawia przeciwko temu? - nie ustępowała Dina.

- W zasadzie nic - powiedział Georg. - W tym szczególnym przypadku wszystko. Dwadzieścia lat. I trzy pozostałe ofiary.

- A czy te trzy pierwsze przypadki nie mogą być zasłoną dymną? - Dina nie dawała za wygraną, zdawała się jak najbardziej poważnie traktować to pytanie. Georg obdarzył ją spojrzeniem, w którym wyraźnie można było ujrzyć palec, z którego jego zdaniem była wyszana ta teoria, potrząsając przy tym dobitnie głową. Dina wydeła usta i odeszła.

Poszedł do siebie do biura i zadzwonił do szefa policji prewencyjnej. O świcie rozszerzono akcję poszukiwania lamborghini. Ludzie z psami przeczesywali okoliczne lasy i parki. Policja autostradowa została poinformowana jeszcze w nocy i skontrolowała parkingi w bliższej i dalszej okolicy. Nikt nie potrafił dokładnie powiedzieć, jak daleko mógł dojechać Herbert Theissen. A całe to zamieszanie powstało tylko dlatego, że jakiś lekarz był zdania, iż trzeba poważnie potraktować każdą próbę samobójczą. W gruncie rzeczy było to śmieszne i Georg zadawał sobie pytanie, czy choćby jeden z tych ludzi, którzy teraz poszukiwali Herberta Theissena, zadałby sobie podobny trud w przypadku jakiegoś miejskiego włóczęgi.

Po telefonie poinformował swojego przełożonego o sprawie. Prawdopodobnie nie pojawi się tu nic nowego, stwierdził, w każdym razie nic takiego, czym musiałaby się zająć policja kryminalna. Jeśli chodzi o prowadzenie po pijanemu, to mogli się tym zająć koledzy z prewencji. Gdyby wbrew oczekiwaniom pojawił się jednak trup, byłby to tylko samobójca. Można by to załatwić tak przy okazji, nawet trzeba by, z konieczności, bo brakowało ludzi do szczegółowego badania rutynowej sprawy.

On sam się tym zajmie, dodał, skoro już zaczął badać tę sprawę. Na pewno nie zajmie mu to wiele czasu i z pewnością nie oderwie od ważniejszych rzeczy. Wszystko już przecież było, zeznania żony, motywy męża. Trzeba to wszystko jeszcze sprawdzić i spisać protokół. Nie było wątpliwości. Jego prywatne uczucia i obawy nie miały tu znaczenia.

Kochanek! Dla Theissena jeszcze jeden powód, by odwrócić się od świata. Mógł sobie

po stokroć odbijać to na młodych dziewczynach, a we własnej żonie dostrzegać jedynie maszynę do pracy. Nie zmieniało to faktu, że ta maszyna miała decydujący głos w firmie, była w zмовie z prokurentem, stale czyniła z niego człowieka przegranego w jego własnych oczach, a tym bardziej w oczach jego ojca, który po tym weekendzie najprawdopodobniej przetrząciłby mu kark. Naprawdę, powodów było mnóstwo.

Potem usiadł przy swoim biurku i kontynuował pracę, którą przerwał poprzedniego wieczora, żeby pojechać do domu Betty. Komisja specjalna została podzielona na wiele grup, on odpowiadał za kryminologię i zabezpieczanie śladów. Poza tym na jego biurku wyładowały obydwie niewyjaśnione morderstwa kobiet z poprzedniego roku.

Wolałby być w grupie dochodzeniowej. Mógłby teraz objeżdżać knajpy, odnaleźć tego podrostka w glanach. Z tymi radykalno-prawicowymi typkami nie trzeba było się cackać, jeśli się im chciało zadać kilka pytań. Niekiedy można było wyładować na nich własną frustrację. To by go przejściowo oderwało od myśli o tej kobiecie. - Do widzenia - powiedział jej w nocy. Nawet to było wątpliwe. Do tego potrzebował najpierw jednego nieboszczyka.

Późnym przedpołudniem we wtorek odnaleziono Herberta Theissena. Nie uczyniła tego policja ani żadna z osób biorących udział w akcji poszukiwawczej. Kobieta, która miała tylko posprzątać resztki tego, co pozostało po burzliwej imprezie w weekend, odkryła lamborghini i ciało leżące do połowy w stawie. Ponieważ leżało ono twarzą w wodzie, a więc osobnik musiał być martwy, pośpiech nie był już konieczny.

W chacie nie było telefonu. Kobieta musiała wrócić do miasta, żeby zawiadomić policję. Koło południa pierwsi umundurowani funkcjonariusze zjawili się na miejscu. W towarzystwie lekarza z pogotowia, a nie lekarza sądowego. Ten jedynie ogólnie określił przyczynę śmierci. Nie miał doświadczenia jako koroner.

Symptomy zdawały się przemawiać za tym, że Herbert Theissen utonął. Na powiekach, u nasady nosa, na czole i policzkach miał też typowe krwawe wybroczyny, krwawe punkciki. Te jednak ostatecznie dowodziły jedynie tego, że w jakiś sposób się udusił. Brakowało zwykle występującego u topielców pianistego grzyba na ustach i pod nosem. Ten jednak mógł zostać usunięty przez wodę w stawie. Kolor skóry także nie prowadził do żadnych wniosków.

Lekarz z pogotowia nie chciał wiążąco podać czasu zgonu. Szacunkowo przed co najmniej dwunastoma godzinami, a więc około północy, stwierdził. Dokładniejsze dane uzyska się po obdukcji, o ile prokurator uzna ją za konieczną.

Zaraz po wpłynięciu meldunku Georg Wassenberg pojechał do chaty. Towarzyszyła

mu Dina Brelach. Nie było konieczne, by aż dwie osoby jechały na miejsce zdarzenia, ale Dina przypadkiem przechodziła korytarzem, kiedy on wychodził z biura. Koniecznie chciała z nim porozmawiać. A ponieważ w danej chwili nie miał dla niej czasu, dobrowolnie się zaoferowała, że będzie mu towarzyszyć.

W drodze do samochodu Georg poinformował swoją młodą koleżankę o tym, co zdarzyło się wieczorem i nocą. Nie będzie wielkiego dochodzenia, tylko kilka formalności. Raport policyjny, powiadomienie prokuratury. I na tym sprawa by się zamknęła. Żartobliwie dodał, że tym razem z pewnością nie będzie wybitnie podejrzaną żonę.

Dina Brelach zadowolona była jego informacjami. Ale tę wybitnie podejrzaną żonę powinien był raczej przemilczeć. Tym samym Dina znowu wsiadła na swojego konika. Zrezygnowała z wprowadzenia, od razu przechodząc do rzeczy, bo przed południem wykopała dalsze szczegóły z życia Raschego.

- Wie pan, że Rasche zostawił swoją żonę na łodzi jeszcze przed narodzeniem ich córki? - A skąd niby miał to wiedzieć?

- Dużo zrobiła, żeby zapewnić dziecku przyjemne życie. Ubóstwia swoją córkę - stwierdziła Dina. To jednak było raczej normalne, że matka kocha swoją jedyną córkę. Do tego jeszcze w sytuacji, kiedy przez te wszystkie lata sama mieszkała z dzieckiem i dziewczyna nie dawała jej najmniejszego powodu do narzekań.

Córka Jensa-Dietera Rasche skończyła tymczasem dwadzieścia pięć lat, ukończyła studia, pracowała w koncernie chemicznym, a czas wolny często spędzała w towarzystwie swojego chłopaka. Z tego powodu jej matka często wieczorami i w weekendy zostawała sama.

- A Rasche dostawał zasiłek socjalny! - wyjaśniła Dina tonem sugerującym, że tym samym sprawa została rozwiązana. Georg skupił się na ożywionym ruchu ulicznym i powoli dochodził do wniosku, że jego koleżanka goni za jakąś idee fixe.

- Rozwiedli się jeszcze według starego prawa - kontynuowała Dina, kiedy nie zareagował na jej ostatnie zdanie. - Jego żony urząd nie mógł uderzyć po kieszeni, ale mógł za to córkę. Musiała mu płacić już od ponad pół roku. Nie pełną stawkę, ale dużą część. Pod wpływem matki złożyła zażalenie, nawet wzięła adwokata, ale nic jej to nie pomogło.

Tego wszystkiego Dina dowiedziała się w ciągu ostatnich kilku godzin. Tym samym stało się jasne, czemu się oferowała towarzyszyć Georgowi. Szukała kolegów, którzy daliby się zarazić jej entuzjazmem do tej teorii. Gdy dojeżdżali do peryferii miasta, stwierdziła: - Nie chcę się stawiać w centrum uwagi, panie Wassenberg. Sama wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie. Ale ta kobieta miała motyw. Decyzja urzędu do spraw socjalnych

musiała oznaczać dla niej katastrofę. Urzędniczka zajmująca się tą sprawą powiedziała, że Rasche wielokrotnie z nią o tym rozmawiała. Przy czym „rozmawiała” to zbyt łagodnie powiedziane. Szalała. Padło tam zdanie, że takie świny, niech pan zwróci uwagę na liczbę mnogą, panie Wassenberg, należy likwidować.

- No, nie wiem - powiedział Georg, przyspieszając nareszcie, kiedy pozwoliły mu na to warunki - jak się jest wściekłym, to się mówi różne rzeczy.

- Ona była nie tylko wściekła - wyjaśniła Dina. - Przez lata czyniła wszystko, by zdjąć z córki ciężar posiadania takiego ojca. A teraz ze swoimi staraniami rozbiła się raptem o mur. Po prostu mamy takie ustawy, które zobowiązują do płacenia na utrzymanie. Nikogo nie interesuje, czy istnieją podstawy moralne takiego działania. Rasche nigdy nie wydał na córkę ani feniga. Ale ona miała na niego łożyć - do końca jego życia.

Szosa przed nimi była prawie pusta, po obu stronach wznosił się las. Georg nacisnął mocniej pedał gazu, jeszcze piętnaście czy szesnaście kilometrów do miejsca zdarzenia.

- Trzeba jednak czegoś więcej, żeby zabić człowieka. A zamordować od razu czterech ludzi - dodał - to nie lada wyczyn dla kobiety. Czy jest pani zdania, że pani Rasche skorzystała tylko z okazji?

Kątem oka zauważył, że Dina wzruszyła ramionami. - Nie mogę jeszcze tego stwierdzić, ale tak naprawdę w to nie wierzę. Pani Rasche jest bardzo inteligentna. Może pomyślała, że podejrzenie automatycznie musi paść na nią, jeśli dostanie się tylko jej byłemu mężowi. Jest jak góra lodu. Zapatrzona wyłącznie w córkę, poza nią nikt się nie liczy. Założę się o wszystko, panie Wassenberg, że miałby pan na ten temat inne zdanie, gdyby choć raz porozmawiał pan z tą kobietą. Ja miałam przy tym bardzo specyficzne odczucia.

On także miał dziwne uczucie, kiedy dotarli do chaty. Jakby spełnił się niesamowity sen, w którym człowiek się nie liczył. Wszystko było tak, jak się spodziewał.

Nikt nie wezwał specjalistów od zabezpieczania śladów ani fotografa. Młody funkcjonariusz z policji prewencyjnej zrobił kilka zdjęć i czynił to, co konieczne. Był jedną z pierwszych osób na terenie, gdzie znaleziono zwłoki, i zaraz po przyjeździe zwrócił uwagę na zaschniętą już kałużę koło lamborghini.

Krwawy śluz na źdźbłach trawy. Jego uwadze nie uszedł też nadgryziony i nasiąknięty wilgocią kawałek chleba. Podejrzał, że istnieje tu bezpośredni związek. Mimo że kobieta, która znalazła Theissena i nadal tu siedziała, opowiedziała o imprezie i nawet lekarz z pogotowia, chudy i raczej milczący typ, zdobył się na komentarz: - Ten to się zaprawił czymś zupełnie innym niż kanapki.

Kiedy Georg Wassenberg i Dina Brelach doszli do samochodu Herberta, młody

policjant ponowił swe wysiłki. Kęs chleba umieścił już jako ważny dowód rzeczowy w przezroczyściej torebce. Georg rzucił krótkie, Dina dłuższe spojrzenie na rozgniecioną i maziowatą kupkę. A potem to właśnie Dina powiedziała: - Niech pan o tym zapomni. Nawet gdyby to ugryzł, to od razu by zwymiotował. A tego nie zrobił. Nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że policjant mimo to zapakował torebkę z kanapką razem z butelką po wódce i nożem.

Herberta Theissena jeszcze nie zabrano. Wyciągnięto go tylko z wody i przykryto plandeką. Georg poszedł nad staw i stał tam kilka minut, spoglądając w dół na ciemny tłumok. Nie mógł się przemóc, żeby podnieść plandekę i rzucić spojrzenie na twarz zmarłego.

Uczyliła to Dina Brelach, ukucnęła i obejrzała go dokładnie. Potem stwierdziła: - Niech pan spojrz na jego skórę. Wygląda, jakby ostatnie godziny spędził w solarium. - Georg tylko skinął głową.

Dina przeszukała ubrania zmarłego. Marynarka była przemoczona i pobrudzona szlamem. Za to spodnie były mokre jedynie na brzuchu. Dina ponownie się wyprostowała, krytycznym okiem zmierzyła teren aż po wznoszącą się wyżej chatę. Po czym wyraziła spostrzeżenie dotyczące tłustej plamy z zielonymi drobinkami. - Musiał upaść już tam, z tyłu. Wygląda, jakby najpierw leżał na tym chlebie.

I znowu Georg przytaknął. Dina wskazała buty i nogawki, mówiąc: - Musiał tu przylecieć na skrzydłach, na podszwach nie ma nawet źdźbła trawy. Może się czołgał, na to wskazywałyby jego kolana. Ale dlaczego w ogóle wysiadł?

To akurat leżało jak na dłoni względnie obok drzwi kierowcy. Jednak argument, że Herbert miał mdłości, nie został przez Dinę tak od razu zaakceptowany. - Jeśli mam ochotę się zabić, to nie interesuje mnie już przecież, czy pobrudzę sobie samochód. To nietypowe dla samobójcy. Ten, kto się truje, nie biega ani nie czołga się potem po okolicy. Albo się gdzieś kładzie, albo nadal siedzi w swoim samochodzie.

Tutaj Dina miała w pewnym stopniu rację. Było to nietypowe, a przynajmniej dziwne. Tak samo dziwne jak mały nożyk. Śmieszna rzecz. Ale z pewnością nie śmieszna, jeśli nim komuś grożono czy samemu raniło się w rękę. W drewnianym bloku koło ekspresu do kawy na szafce tkwiły jednak całkiem inne noże.

A mężczyzna, który wbiegł do kuchni, żeby się uzbroić, sięgnąłby po pierwszą lepszą rzecz, która by mu wpadła w oko. Taki mężczyzna nie wysuwałby szuflad, mając przed oczami pięć pięknych, dużych noży. Georgowi nie spodobało się to, co mu przemknęło przez myśl. Było tak samo nieprzyjemne i dręczące jak kwestia kochanka.

Dina Brelach mówiła dalej. Nie zwracał już na nią uwagi. Okropnie było tak stać nad tymi zwłokami. Te mieszane uczucia. Z jednej strony niemal ulga. Zadawał sobie pytanie, czy

Betty Theissen zareaguje z taką samą ulgą, gdy przyniesie jej tę „szczęśliwą nowinę”. Teraz mogła sprzedać lamborghini, opłacić pracowników. I nie musiała się już obawiać, że ktoś sięgnie do kasy i przyczyni kłopotów firmie.

Z drugiej strony się wstydził. Wstyd wypełniał go od czubka głowy po pięty. Zdawało mu się, że jego głowa płonie jak sygnał alarmowy. Nie zmieniał tego fakt, że Herbert Theissen, jak to się pięknie mówi, zginął z własnej ręki. Właściwie to nie. Był tylko do nieprzytomności pijany. A do tego naszpikowany lekami.

Herbert Theissen musiał, zataczając się, przejść kawałek, nawet jeśli było to nietypowe. A z tych około tysiąca metrów kwadratowych, które miał do dyspozycji na tym terenie, wyszukał sobie akurat tych kilka, by stracić przytomność, gdzie musiał się udusić. Tym samym niewątpliwie uczynił swojej żonie wielką przysługę.

Godzinę później Georg Wassenberg był już w drodze do niej, i znowu sam. Dina zabrała się policyjnym wozem do komisariatu. Praca komisji specjalnej była ważniejsza. Aby powiadomić krewnych samobójcy, wystarczał jeden człowiek.

Podczas jazdy nadal miał ambiwalentne uczucia. Nie mógł sobie darować, że wyobrażał sobie śmierć tego biedaka. Herbert Theissen nie był nikim więcej, jak tylko jednym z tych, którzy nie czują gruntu pod nogami. Theissen różnił się od tych czterech zamordowanych w parku jedynie tym, że miał bogatego ojca i pracowitą żonę.

W uszach zabrzmiał mu znowu jej głos. - Dla mnie liczy się jedynie to, czy ktoś potrafi pracować. A jeżeli nie chce...

Pewnie by nie pojęła, że może człowieka zdenerwować fakt, że sprzątnięto kilku pijaków, którzy zebrali albo kradli swoją tanią gorzałkę, albo tak jak Jens-Dieter Rasche siedzieli w kieszeni u swojej córki, gdy tej udało się tylko stanąć finansowo na nogi. Pieniądze zawsze były najlepszym motywem, zaraz za nimi szła miłość. A kiedy w grę wchodziło jedno i drugie... Romans z własnym prokurentem...

Podjechał pod jej dom. Kiedy nikt nie otwierał, przeżył moment grozy, która usunęła w cień wszystko inne. Krwotok mózgowy, przeleciało mu błyskawicą przez myśl. Lekarz ją ostrzegał, dobrze wiedząc, co mówi. Ale była przecież tak ożywiona, opowiadała, nawet się śmiała. A przedtem wzięła cztery z tych cholernych tabletek! Uśmierzyła tym ból, usuwając po prostu symptomy grożącego jej niebezpieczeństwa.

Była też inna, niegroźna możliwość - jej poczucie obowiązku. Ta myśl wpłynęła na niego uspokajająco, wrócił do samochodu. Gdyby teraz zawiadomił centralę i kazał sprawdzić wszystkie okoliczne szpitale, to by potrwało. W tym czasie mógł się osobiście przekonać, jak

sprawy stoją. Adres firmy wielokrotnie padał z jej ust tej nocy.

O wpół do trzeciej dotarł na teren firmy i zatrzymał wóz przed prostym, płaskim budynkiem, jedynym obiektem na przestronnym obszarze. Był imponujący, mimo że stały tu tylko trzy większe maszyny i dźwig, który wyraźnie był za stary, by go jeszcze używać. W płaskim budynku mieściły się biura. Zaraz przy wejściu była recepcja, młoda kobieta w przeszklonym okienku przed czymś w rodzaju tablicy z przyrządami, z telefonem oraz licznymi przyciskami i lampkami.

Georg się wylegitymował, życzył sobie mówić z panią Theissen. Poproszono go, żeby usiadł. Młoda kobieta uśmiechała się do niego, nieco zbity z tropu jego legitymacją. - Pani Theissen jest na naradzie. Zadzwońię po nią, ale może to chwilę potrwać.

Potrwało prawie dziesięć minut, dostatecznie długo, by się rozejrzeć. Na ścianie, przy której stały oba fotele wskazane przez recepcjonistkę, wisiało kilka fotografii dużego formatu. Wieżowiec, fragment mostu i małe osiedle z lotu ptaka.

Obejrzał zdjęcia, policzył maleńkie domki. Okrągły tuzin, a każdy na zielonym czworokącie. Marzenie zwykłego człowieka, osiągalny nawet dla niego własny domek z ogródkiem. To musiało być piękne uczucie, takie spełnianie marzeń zwykłych szarych ludzi. A jeśli komuś takiemu stale rzucał kłody pod nogi taki, który wolał mieć wszystko z przepychem...

Wreszcie usłyszał za plecami jej kroki. Nadeszła korytarzem z tylnej części budynku. I była tak inna niż tej nocy. Wyglądała na wycieńczoną. Bandaż na lewej dłoni był przybrudzony. Opatrunek z głowy już zdjęła, miała tylko gazik zatknięty we włosy.

Gdy tak przed nim stała, zauważył cienie pod jej oczami. Nie miała makijażu, była blada i zmęczona. A mimo to wzruszająco piękna. Jakaś jego część mogłaby od razu wziąć ją w ramiona. Inna część starała się zachować zdystansowane i obiektywne spojrzenie, miał nadal przed oczami ten śmieszny mały nożyk, a w uszach głos Diny: „Musiał tu chyba przylecieć na skrzydłach...”.

W żadnym wypadku nie chciał się w nią tak wpatrywać jak w nocy. Najpierw trzeba sprawdzić, jak zareaguje na nowinę. To było bardzo dogodne miejsce, ta część brzegu stawu. Dogodne dla niej, ale nie dla jej męża.

- Przykro mi, że musiał pan czekać - powiedziała zamiast powitania. Nie spytała, dlaczego przyszedł, patrzyła tylko na niego, jakby mogła to wyczytać z jego twarzy. Sprawiała wręcz wrażenie wystraszonej.

I tak też było. Diabli wiedzą, czym pan komisarz zajmował się przez resztę nocy i jaką koncepcję stworzył, jeśli wyniki sekcji nie były jednoznaczne. Czują się potwornie, znowu,

czy może nadal, bolała ją głowa. Od rana już dwukrotnie łykała tabletki, nie czując niemal żadnej ulgi, tylko od czasu do czasu zawroty głowy.

Wstrząs mózgu, była tego niemal pewna, bo już dwa razy wymiotowała. Powinna była leżeć w łóżku, ale na to nie mogła sobie pozwolić.

Czuła się chora, bezradna i słaba. Zdana na łaskę innych! Na to, co się teraz działo, nie miała wielkiego wpływu. Zależało to tylko od innych. Na przykład od takich jak on. Czy już znalazł włos w rosole, zastanowił się nad nią i Thomasem oraz motywami, które się tu jawiły, oprócz tych i tak już istniejących? Z całą pewnością! I jak się w nią wpatrywał. Ta nieruchoma, nieprzenikniona twarz. Ani odrobiny żaru w spojrzeniu, obecnego tam wczoraj.

- Chodźmy do mojego biura - powiedziała, czując serce w gardle, a zarazem w piętach. Ta sama pustka jak na widok wyciągów z konta. To paraliżowało jej ruchy. Strach! Byłoby szaleństwem się nie bać, zwłaszcza jego. Zdradził jej wiele na swój temat kilkoma zdaniami, opowiadając o porażce swego małżeństwa, a jeszcze bardziej trzeźwym, sugerującym dystans podejściem.

Mógł sobie być dobrym znawcą ludzi, mającym rutynę z racji wykonywanego zawodu, wyposażonym dodatkowo w niemal nieomylny instynkt. Ale w zdolnościach oceniania ludzi biła go na głowę. Był jednym z tych raptusów, szybko popadał w gniew, szybko stawał się nieufny, szybko popadał w entuzjazm dla jakiejś sprawy. A tego, co mu raz wpadło w ręce, nie dawał sobie wyperswadować ani odebrać. Jeśli wczoraj wieczorem rzeczywiście czynił sobie jakieś nadzieje... Zraniony w swoich uczuciach i dumie mężczyzna mógł być potwornym przeciwnikiem.

Wytrzymać! Trzymać się raz obranej roli, nie zrozpaczonej, ale opanowanej żony, walczącej ze swoimi uczuciami. Zupełnie nieświadomej tego, co się zdarzyło po tym, jak straciła przytomność. Odwróciła się i poszła przodem w głąb korytarza. Zastanawiała się przy tym, czy ma spróbować doprowadzić tak daleko jak minionej nocy. Mężczyzna pełen nadziei byłby może w stanie przymknąć oko, gdyby się natknął na jakieś nieścisłości.

Jej biuro znajdowało się na końcu korytarza, po prawej stronie. Było to duże, jasne pomieszczenie, urządzone oszczędnie i racjonalnie. Nic nie wskazywało na to, że korzysta z niego kobieta. Wskazała ręką narożny komplet mebli do siedzenia. Proste meble ze stali i sztucznego tworzywa. Dopiero kiedy zajął miejsce, spytała cicho przerywanym głosem: - Znaleźli go?

Sama jeszcze stała. Kiedy przytaknął, obróciła głowę w kierunku okna, z którego był dobry widok na stary dźwig. Georg mógłby jednak przysiąc, że nic nie widziała. Jej usta drżały, jakby miała się rozplakać i z trudem jedynie powstrzymywała łzy. Głośno przełknęła

ślinę, zanim zadała kolejne pytanie: - Jak on się czuje?

Zabrzmiało to tak, jakby wychodziła z założenia, że mąż jeszcze żyje. Tym można było pewnie wytłumaczyć drżące usta i głośne przełykanie śliny.

- On nie żyje - spokojnie powiedział Georg, obserwując ją przy tym. Czekał, że odetchnie, na cień uśmiechu, na widoczną ulgę. Jednak nie zaszło nic w tym rodzaju. Początkowo stała jeszcze całkiem nieruchomo, niemal jak skamieniała, potem zaczęła potrząsać głową, zwracając znowu twarz w jego stronę i szepnęła: - A więc lekarz miał jednak rację, z jego...

Przerwała, nadal jeszcze potrząsając głową, sztywnym krokiem podeszła do jednego z foteli, usiadła na brzegu. Mocno zacisnęła prawą dłoń na obitej sztucznym tworzywem stalowej poręczy, aż zbieleły jej kostki. Głowę trzymała spuszczoną, szepcząc: - Powinnam była brać go na poważnie. Powinnam była bardziej się postarać, by mu odebrać tabletki. Trzeba było zacząć zupełnie inaczej, nie krzyczeć i narzekać, ale porozmawiać z nim spokojnie i...

- Nie zmarł na zatrucie - przerwał jej Georg. - Prawdopodobnie utonął.

Otworzyła szeroko oczy. - Co?

O samochód jednak nie spytała. Mimo że po tej informacji powinna była założyć, iż lamborghini leży albo leżał gdzieś w wodzie. Szeroko otwarte oczy, brak tchu, niedowierzające zdumienie i przerażenie w jej głosie dokonały swego. Ale Georg pojawił już w nocy, że ona tylko odgrywa chłodną kobietę interesu. Teraz, siedząc na brzegu fotela, zdawała się znowu walczyć ze łzami. A to, że powstrzymała łzy, że nie dała im popłynąć na jego oczach po tym, jak wczorajszego wieczora oznajmiła mu, że jej mąż już jej nie interesuje, też przemawiało tylko na jej korzyść.

Po chwili spytała cicho: - Czy moi teściowie już wiedzą?

- Nie.

Krótko, z rezygnacją skinęła głową. - To powinnam ich chyba powiadomić. Pojedzie pan ze mną?

- Oczywiście - powiedział.

Wstała z fotela. Zobaczył, jak drży. Jego nadal jeszcze neutralna mina, niemal jak przy sekcji i rzeczowy głos grały na jej i tak już napiętych nerwach. Przez kilka sekund stała w miejscu, nie czyniąc ani kroku w kierunku drzwi. Dopiero kiedy sięgnął po jej ramię, uczyniła krok, ale nie do drzwi, lecz w jego stronę, szepcząc: - Przepraszam, ale to takie... takie niewyobrażalne, takie ostateczne.

Jej głos się załamał, głowa opadła w przód, aż czoło oparło się o jego ramię, a ona

mówiła dalej: - A ja myślałam, że wszystko by było łatwiejsze, gdyby nie żył.

To podziała! Słusznie go oceniła. Mimo że pozostał w nim cień wahania, gdy tylko ponownie nadarzyła się okazja, natychmiast ją wykorzystał. Objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie. Ulga uczyniła ją miękką i uległą. On odczuwał to samo co nocą, tylko jeszcze trochę intensywniej.

Po kilku sekundach Betty szepnęła: - Co się z nim teraz stanie? Co się w ogóle stanie?

- Niewiele - odpowiedział. - Pewnie będzie śledztwo, by ustalić dokładną przyczynę zgonu. To czysta formalność.

Czuł jej przytakiwanie na swoim ramieniu. Po chwili odsunęła się od niego. Kiedy podnosiła głowę, jej czoło musnęło jego policzek, przyprowadzając go o lekki dreszczyk. Spojrzała mu w twarz: - Czy to pan poprowadzi dochodzenie?

- Tak - powiedział, bo tak było prościej.

Uśmiechnęła się, jeszcze raz krótko skinęła głową. - To dobrze - powiedziała.

Skwapliwość, z jaką ponownie wziął ją w ramiona, i sposób, w jaki ją trzymał, blisko siebie, tak blisko, że nie dałoby się wcisnąć pomiędzy nich nawet kartki, z jednej strony ją uspokajał, a z drugiej stwarzał pewien problem. Samo wzbudzanie w nim nadziei nic nie dawało. Tym nie dało się na długo zadowolić żadnego mężczyzny. Gdyby nie Thomas, nie byłoby się nad czym zastanawiać. Jeden uśmiech, kilka spojrzeń, a potem pozostawić mu inicjatywę. To, że by ją przejął, nie ulegało wątpliwości. Wyglądał całkiem nieźle, sprawiał wrażenie zadbanego. Myśl o pójściu z nim do łóżka nie miała w sobie nic odstręczającego.

Pomysł, by zacząć z nim romans, był podniecający, a do tego rozsądny. Mieć stale pod bokiem funkcjonariusza prowadzącego śledztwo, to mogło przynieść same korzyści. Zanim pojawią się pierwsze wątpliwości! A istniało kilku ludzi, którzy ani przez sekundę nie będą potrafili uwierzyć, że Herbert z własnej woli zażył dobre dwa tuziny tabletek paramedu, popijając je butelką wódki. Na przykład jego matka! Albo ta mała, którą ostatnio uszczęśliwił swoją namiętnością i swoim wdziękiem. Może jeszcze kilka pracownic z biura, które potajemnie marzyły o tym, by jako następne znaleźć się na jego liście.

Na tym to on się znał, jak robić wrażenie na młodych dziewczętach, im młodszych, tym lepiej. Musiały być młode i naiwne, oczywiście ładne i głupie jak but. Można było tylko zgadywać, ile ich zaciągnął w ostatnich latach do hotelowych łóżek. Jeśli się okazywało, że pomylił się co do domniemanej głupoty dziewczyny, to zaraz z nią zrywał. Gdy tylko kobieta zdradzała oznaki inteligencji, opadał jego zapal, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Od pewnego stopnia inteligencji stawał się praktycznie impotentem.

Już nie pamiętała, kiedy ostatnio z nią spał. Było to przed wypadkiem jego ojca, a więc co najmniej przed ośmiu laty. A i przed tym ostatnim razem niewiele się działo pod tym względem. Oddzielne sypialnie, w którymś momencie zaczął się przy tym upierać. Przez pewien czas musiał jej pewnie nienawidzić. Ona jego nie. Może od jakiegoś stopnia inteligencji nie można było nienawidzić, ponieważ pojmowało się relacje, mogło przeniknąć charakter i rozpoznać, kto go uczynił takim, jakim był. Jego matka!

Niekiedy go z tego powodu żałowała. Innym razem była na niego wściekła. Ale nie chciała go zabić w rewanżu, czy żeby odzyskać wolność jako kobieta. Tylko po to, by uratować firmę. Wyłącznie z tego powodu. A stwarzanie po fakcie zagrożenia dla tej akcji ratunkowej w postaci nieufnego, zazdrosnego i wściekłego policjanta byłoby bezsensowne.

Jej samej nie mógł wiele zaszkodzić, jej historyjka była spójna. Nawet jeśliby sekcja wykazała, że Herbert o szóstej wieczorem nie był już w stanie sam prowadzić samochodu. Nigdy nie twierdziła, że on o tej porze wyszedł z domu i odjechał. Specjalnie poczekała, aż mogła być pewna, że Margot Lehnerer nie usłyszy przez telefon dźwięku silnika.

Czysto teoretycznie Herbert mógł zasiać w fotelu, gdy ona uderzyła głową o kant stołu i straciła przytomność. A on mógł ją obserwować leżącą na podłodze. Może zażył tabletki, a może nie. Może stracił przytomność, a może nie. Może był zadowolony, założył, że Betty nie żyje. A wtedy mógł ktoś przyjść. Thomas!

Jeśli komuś przyszło do głowy, że nie wszystko było w porządku; jeśli ktoś zadawał sobie pytanie, kto miałby możliwość i motywy, by dopomóc w tym samobójstwie, to pozostawał tylko Thomas. Wszyscy rzuciliby się na niego. A ten policjant jako pierwszy. Czy Thomas to wytrzyma?

Pół nocy przeleżała z na wpolprzymkniętymi oczami na sofie, obserwując go, jak tak siedział w fotelu. Zgrzany, wyczerpany, a przy tym tak zadowolony, promieniejący siłą i spokojem. - Widzisz duchy, duszko.

To nie były duchy, tylko ten policjant, jego ostatnie, spojrzenie, przelotny uścisk ręki. Thomas po prostu czuł się zbyt pewnie, nie podobało jej się to. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Dopiero co był jeszcze trzęsącym się kłębkim nerwów, a tu raptem - taki bohater.

Thomas był zawsze nieco niestabilny. Ale raczej miał tendencje, by zostać słabeuszem. Przez te wszystkie lata obawiał się, że Margot albo stary Theissen mogliby odkryć, że z szefową łączyło go coś więcej niż troska o interesy. A przy tym jej teścia niewiele to obchodziło dopóty, dopóki nie cierpiała na tym firma. A jego żona... Margot Lehnerer nie była głupia. Stale okazywała Betty uprzejmość i dystans.

Można było z tego wywnioskować, że Margot przynajmniej coś przeczuwała. Nawet anioł z lodu mógł mieć od czasu do czasu tęsknoty, a wówczas sięgał po to, co sprawdzone. Ponieważ było to praktyczne, chociaż niezbyt emocjonujące. Brakowało czegoś decydującego. Twardości, niezłomnej woli, poczucia posiadania mężczyzny. Prawdziwego mężczyzny! Takiego, który w ciągu dnia pozwoliłby jej wykonywać pracę, ale wieczorem diabelnie mało by go obchodziło, czy jest zmęczona. A to pytanie Thomas zawsze zadawał jako pierwsze, a jeśli powiedziała tak, to wracał do domu, do Margot. Zamiast przycisnąć ją do najbliższej ściany, czy rozłożyć na najbliższym stole.

Jak najbardziej miała swoje tęsknoty. A ten policjant wyglądał jak mężczyzna, dawał jej poczucie, że jest mężczyzną i zachowywał się w ten sposób. W każdym razie nie miał zahamowań, albo niewiele. Nie miał też kobiety, której musiałby okazywać jakieś względy. I realizował się w swoim zawodzie, a co za tym szło, wiedział, że trzeba zakładać pewne priorytety. Byłaby to dogodna konstelacja, gdyby nie Thomas.

Ale Thomas po prostu był. I nie spojrzalby przez palce na fakt, że poszła do łóżka z policjantem. W swoim nowo rozbudzonym poczuciu własnej wartości nie uznałby jej argumentów. W żadnym wypadku nie chciała ściągać sobie na głowę nowych kłopotów. Może najpierw poczekać, jak się rozwinie sytuacja? Czekanie nie było jej najmocniejszą stroną.

Była bardzo milcząca, gdy tak siedziała w wozie obok Georga Wassenberga, tylko na samym początku wyjaśniła mu, gdzie znajduje się dom jej teściów. Była mu wdzięczna za propozycję, że ją podwiezie i za to, że pozwolił jej milczeć. Nie mogłaby rozmawiać podczas tej jazdy. Usiłowała zignorować ból głowy, odsunąć myśli o Thomasie i o tym, co będzie potem, i przygotować się na to, co czekało ją teraz. Rozhisteryzowana teściowa, wyrzuty, prawdopodobnie nawet bezpośrednie oskarżenie. Musiała go potem koniecznie jeszcze przez chwilę zatrzymać, żeby zobaczyć, jak na to zareaguje.

Dotarli na miejsce po dobrej półgodzinie jazdy. Był to duży dom, ponury i surowy. Tego wrażenia nie mógł zatrzeć nawet rozległy trawnik. Georg wjechał samochodem na obszerny podjazd, zatrzymując wóz bezpośrednio przed schodami wiodącymi do domu.

Betty już stała na zewnątrz, zanim jeszcze poczynił jakiegokolwiek kroki, by pomóc jej wysiąść z auta. Z kamienną twarzą pokonała nieliczne schodki i nacisnęła przycisk dzwonka. Drzwi niemal natychmiast zostały otwarte przez starszą kobietę w białym kitlu, najwidoczniej gospodynię.

Betty zamieniła z nią kilka słów, przedstawiając go: - Pan Wassenberg z policji kryminalnej. Proszę powiedzieć ojcu, że przyszliśmy.

Kobieta skinęła tylko głową, gestem zapraszając ich do środka. Za drzwiami rozciągał się obszerny hol, z którego prowadziły liczne, nadmiernie szerokie drzwi do poszczególnych pomieszczeń. Równie szerokie schody wiodące na piętro były wyposażone w fotel na szynach. Betty stanęła w drzwiach, wpatrując się w podłogę. Starsza kobieta znikła za jakimiś drzwiami. Po niecałej minucie wróciła, zostawiając otwarte drzwi i wskazując ręką pokój rozciągający się za nią.

Georg usłyszał głębokie westchnienie towarzyszące pierwszym krokom Betty, ujrzał, jak podnosi głowę i prostuje ramiona. Potem na jej twarzy pojawił się uśmiech, spokojny, opanowany, bardzo chłodny uśmiech. Powoli poszedł za nią. Dochodząc do drzwi, wyciągnęła do przodu obie dłonie, ale zaraz cofnęła lewą, opatrzoną lekko przybrudzonym bandażem. - Cześć, tato - powiedziała.

Kiedy Georg Wassenberg ujrzał mężczyznę na wózku, miał wrażenie, że wiele zrozumiał. Nie był to człowiek z krwi i kości, tylko kamienny kloc. Jeśli chciała mu dogodzić, musiała wiele przełknąć i udawać, że sama też jest z kamienia. Był wysoki, mniej więcej tej samej postury co jego syn. Nawet wózek inwalidzki nie był w stanie ukryć jego imponującej postawy. I ten wiek - na jesieni skończył siedemdziesiąt lat, rzuciła przy okazji podczas nocnej rozmowy - nie było go po nim widać. Gęste, nawet nie siwe jeszcze włosy, kanciasta twarz, ciężkie dłonie. Jedną z nich wyciągnął ku niej, schwycił jej rękę i mocno przytrzymał w swojej. Przez chwilę po jego twarzy przemknęło coś w rodzaju zadowolonego uśmiechu.

- Cześć, Betty.

Potem zwrócił się w stronę Georga. - Policja kryminalna? Macie go więc. - Nie powiedział, że go znaleźli, tylko krótko przytaknął, jakby zadowolony, jak gdyby szło o to, by ująć zbiegłego przestępcę.

- On nie żyje, ojciec - wyjaśniła Betty.

Stary ponownie skinął głową, niemal obojętnie. Jej dłoń wciąż mocno trzymał w swojej.

Drzwi do holu nadal stały otworem. Georg usłyszał lekkie kobiece kroki. Ociągając się, podeszła bliżej. Teściowa Betty. Przystanęła przy drzwiach, jakby nie ważyć się wejść do pokoju bez specjalnego wezwania. Ale nie sprawiała przy tym wrażenia zastraszonej, raczej nieprzystępnej. Jej oczy krążyły pomiędzy mężczyzną na wózku a Betty, usta miała mocno zaciśnięte. Bystre oczy, pełne nienawiści, bardzo aroganckie spojrzenie, wąskie usta.

- No wejdz - zażądał Theissen i wskazując wolną ręką na Georga, powiedział: - To jest funkcjonariusz z policji kryminalnej. Mają go.

Kobieta przy drzwiach zaczęła się uśmiechać, wyniośle, a zarazem czule. Starzec mówił dalej, nie przerywając: - Betty powiedziała mi właśnie, że nie żyje.

Nie było nawet dosyć czasu, by zmrozić ten tkliwo-wyniosły uśmiech. Matka Herberta Theissena stała jeszcze przez sekundę czy dwie wyprostowana, ze wzrokiem skierowanym ku Betty. Jej usta się poruszyły. Był to tylko szept, ale mimo to dający się zrozumieć. - Ty potworze w kobiecej skórze, nareszcie ci się udało?

Potem wydała z siebie cichy dźwięk i zemdłała. Dosyć mocno uderzyła głową o podłogę. Georg znalazł się przy niej w dwóch skokach. Nie była ranna, po kilku sekundach wróciła jej przytomność, otworzyła oczy i natychmiast zaczęła zawodzić.

Georg chciał jej pomóc wstać z ziemi, odtrąciła jego rękę, usiadła. Z zaciśniętymi oczami, nadal wydając z siebie te jęśliwe dźwięki, poczęła kołysać się w tył i w przód.

Zdawało się, że Betty musiała się bardzo przemóc, żeby zbliżyć się do swojej teściowej i ją objąć. Jej twarz była przy tym jak maska z gipsu, zupełnie sztywna, blada i zimna. Pomogła mu jednak przetransportować starszą kobietę z podłogi na fotel. Tam matka Herberta Theissena nadal kołysała się w tę i w ową i jęczała, uderzając przy tym pięściami w poręczę fotela.

Starzec zadbał o to, żeby gospodyni zadzwoniła po lekarza. Następnie nakazał jej, by zajęła się jego żoną aż do przyjazdu doktora. On sam potoczył swój wózek w kierunku drzwi, mówiąc: - Przejdźmy do pokoju obok. Tam spokojnie porozmawiamy.

Rozpacz żony i śmierć syna zdawały się w żaden sposób go nie dotyczyć. W sąsiednim pokoju spytał najpierw: - I co teraz będzie? Kłopoty? Wspaniałe dochodzenie, mnóstwo pytań?

- Nie - odpowiedział Georg. - Będzie tylko sekcja zwłok. Kiedy już otrzymamy jej wyniki, prokuratura wyda ciało.

Starzec krótko skinął głową. - Thomas Lehnerer powiedział wczoraj wieczorem, że Herbert sporo połknął, tabletek i wódki. Ale powiedział też, że jest jeszcze dużo czasu. Czy powiedział to tylko dlatego, żeby ją uspokoić? - Skinął brodą w kierunku drzwi.

Georg potrząsnął głową, wyjaśniając sytuację, powiedział też, gdzie i jak znaleziono Herberta Theissena.

- Wysiadł i prawdopodobnie jeszcze kawałek przeszedł, zanim stracił przytomność. I upadł tak nieszczęśliwie, twarzą do wody...

Starzec przerwał mu z pogardliwym uśmiechem.

- To do niego podobne, utopić się w kałuży. Znam tę chatę i to bajoro. Byliśmy tam zeszłego roku.

Popatrzył na Betty. - Pamiętasz? Brat Margot coś tam obchodził. - Zanim jeszcze zdążyła odpowiedzieć na jego pytanie, zmienił temat i zarazem ton.

- Jak sobie dajesz radę? Thomas powiedział mi, że on znowu sięgnął po kasę i że tym razem nie była to błahostka.

Zabrzmiało to jak z ust inkwizycji. Uśmiechnęła się tym samym chłodnym i opanowanym uśmiechem jak na początku. - Jest parę problemów - wyjaśniła, jeszcze szerzej się uśmiechając - ale nic, czego bym nie była w stanie rozwiązać, ojcze. Mówiłam już dziś rano z ludźmi. Zapłacimy pensje kilka dni później, ale zapłacimy.

- Ale z czego? - chciał wiedzieć Theissen senior.

- Mam kilka osobistych rezerw - powiedziała.

- Mam nadzieję, że względu na ciebie - dodał starzec jeszcze stonowanym głosem i ujął ją za rękę. A potem raptem krzyknął: - Dlaczego dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj wieczorem? I nie opowiadaj mi tu, że to po raz pierwszy od dłuższego czasu. - Jego głos stał się jeszcze głośniejszy, ton odrobinę ostrzejszy: - Co ty sobie myślałaś, kryjąc tego drania? Prowizorycznie zatykać dziury za moimi plecami. Przecież rozsądek musiał ci nakazywać, żeby dać mu szlaban. I to odpowiednio wcześniej.

Była taka mała w tej chwili. Jej dłoń w dłoni starca wyglądała jak mysz w pułapce. Tylko jej głos pozostał mocny i pewny: - Sama dowiedziałam się o tym dopiero wczoraj, ojcze. I miałam co innego do roboty niż wypłakiwanie ci się w mankiet. Przedtem to były drobnostki. Po co miałabym cię tym niepokoić?

Starzec parsknął pogardliwie, puścił jej rękę i zażądał: - Masz mnie na bieżąco informować.

Skinęła tylko głową. To było pożegnanie. Georg miał wprawdzie poczucie, że powinien był zadać kilka pytań dla porządku lub żeby zachować pozory. Jakie motywy mogły kierować pańskim synem? Ale pytania tego typu okazały się zbędne.

Zdawała się odczuwać ulgę, ponownie wsiadając do jego samochodu. Gdy ruszyli, rzuciła, spoglądając przez ramię: - Bałam się tego.

- Pani teścia?

Kątem oka zauważył, że zaprzeczyła. - Jej. Jej reakcji. Herbert był jej całym światem. Nigdy nie pogodzi się z jego śmiercią.

Nie przebiegło to tak, jak sobie wyobrażała. Jedna uwaga i było wątpliwe, czy policjant ją właściwie zrozumiał. Poza tym żadnych oskarżeń, żadnych wyrzutów. Ale to jeszcze przyjdzie, tego była pewna, tak jak faktu, że po nocy nastaje dzień. I teraz nastąpi to pod jej nieobecność, kiedy nie będzie mogła swoim zachowaniem natychmiast dać do

rozumienia, że wszelkie oskarżenia są wysane z palca. I on będzie miał czas, żeby to przemyśleć. Czy miała go na to przygotować? Lepiej nie! Już i tak o wiele za dużo powiedziała. Lepiej nie gadać, tylko działać.

Głowę miała skierowaną w przód, ale mimo to widziała, że ciągle spogląda na nią z ukosa. Jego wzrok częściej spoczywał na jej twarzy niż na szosie. No dobrze! Skoro nie da się tego uniknąć. Mężczyźnie, który właśnie opuścił łóżko kobiety, będzie trudno zaraz potem prowadzić przeciwko niej dochodzenie.

W zasadzie chodziło tylko o to, by połączyć przyjemne z pożytecznym. Atrakcyjny mężczyzna, który stał się twardy z powodu jakiegoś mięczaka, preferowanego przez jego żonę. Mieszanka w sam raz - agresja i pożądanie. Chcę cię i dostanę, czy tego chcesz, czy nie. Zupełne przeciwieństwo Thomasa.

Thomas by nie chciał zrozumieć, że było to konieczne. Ale on przecież nie musiał tego od razu zauważyć. Na początek istniały wiarygodne wymówki. Jeszcze kilka pytań, toczące się śledztwo. I była też podróż służbowa, planowana już od miesiący. Właściwie sama miała pojechać. Tylko że obecnie była tu niezbędna. Thomas to zrozumie i będzie gotów pojechać zamiast niej. Na kilka dni do Holandii, żeby jeszcze raz się tam zorientować, jak wygląda budowa niezbyt drogich domków jednorodzinnych.

Z domu jej teściów Georg Wassenberg pojechał z nią do instytutu medycyny sądowej. Po drodze poprosiła go, żeby zatrzymał się przed apteką. Kupiła sobie środek przeciwbólowy, silniejszy niż paramed, poprosiła też od razu o szklanek wody. Stojąc jeszcze przy ladzie, połknęła dwie tabletki, zapłaciła, podziękowała i wróciła do wozu.

- To była pierwsza sprawa - powiedziała, wsiadając - a teraz druga. Miejmy to już z głowy.

Chętnie by jej tego oszczędził, zwłaszcza teraz, gdy stała się tak milcząca, sprawiała wrażenie tak zamyślonej i przygnębionej, i chyba nadal cierpiącej. Musiała jednak zidentyfikować ciało, mimo że nie było żadnych wątpliwości co do tożsamości zmarłego. Okropna biurokracja. Ale zarazem jeszcze jeden powód, by objąć ją ramieniem, przyciągnąć do siebie, potrzymać w ramionach, gdy krótkim przytaknięciem potwierdziła: - Tak, to mój mąż.

Jej twarz nadal blada i nieruchoma przez chwilę drgnęła. Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć ramienia zmarłego. Ale zanim go dosięgła, cofnęła dłoń i spuściła głowę.

Georg wyprowadził ją na zewnątrz. Wrócił jeszcze raz, by się dowiedzieć, kiedy mogłaby się odbyć sekcja. Słyszała, jak rozmawia z lekarzem sądowym, jak uzgadniają

termin na czwartek o dziesiątej przed południem. W jej uszach zabrzmiało to jak termin ogłoszenia wyroku.

Potem Georg wrócił i znowu objął ją w talii. Wychodząc na zewnątrz, wyszeptała: - Zdaje mi się, że śnię. Zaraz się obudzę, a on z łomotem będzie się wspinał po schodach. Nigdy bym go o to nie posądziła.

Georg podprowadził ją do samochodu, pozwolił wsiąść, a wówczas opadł z niej cały ten szok. Gdy ruszał, przemieniła się powoli w kobietę, którą poznał w nocy. Stawiającą czoło każdej sytuacji i życiu, akceptującą wszystko, co się jej przydarzy, zarówno w pozytywnym, jak i w negatywnym sensie. Chciał ją odwieźć do domu, ale poprosiła, żeby ją zawiózł z powrotem do firmy.

- Chyba nie chce pani jeszcze pracować? - spytał. Niewielki zegar na desce rozdzielczej pokazywał kilka minut po piątej.

- Nie - cicho się roześmiała. - O wpół do piątej mamy w biurze fajrant. To dotyczy także mnie. Ale mój samochód nadal tam stoi. - Jeszcze jeden uśmiech i krótkie westchnienie. - Dziś rano musiałam wziąć taksówkę. Nie mogę sobie pozwalać na to codziennie. - W ostatnim zdaniu brzmiał cień wyrzutu.

Lamborghini znajdował się już w komisji do badań technicznych. Czysta rutyna, może zdejmą odciski palców z drzwi i kierownicy, a może i to nie. Gdyby on albo prokurator tego zażądali, to by tak zrobili, w przeciwnym razie... Właściwie było to zbędne.

- Postaram się, żeby możliwie jak najszybciej odzyskała pani samochód męża - obiecał, zastrzegając przy tym: - Może to jednak potrwać parę dni. Decyzja należy do prokuratora.

Wzruszyła tylko ramionami.

Trzeba było przynajmniej poczekać na wyniki sekcji. Tego jednak nie chciał jej tak wyraźnie powiedzieć. Sekcja była dla bliskich zmarłego przeważnie gorsza niż sama śmierć.

Jechał powoli, rozkoszując się każdą sekundą, liczył się z tym, że pożegna się z nim przed firmą. Nie chciał się jej narzucać. Nie dziś, teraz mógł sobie spokojnie dać trochę czasu.

Nie wyciągnęła do niego ręki, zanim wysiadła, jak się spodziewał. Spojrzała na niego, rzuciwszy krótkie, ale demonstracyjne spojrzenie na zegarek. - Jest pan jeszcze na służbie? - spytała.

Wzruszył ramionami. - To zależy. - Chciał jeszcze pomówić z ich lekarzem domowym, dowiedzieć się o ogólny stan zdrowia Herberta. Ale równie dobrze mógł to zrobić następnego dnia.

Nie spytała, od czego to zależy, tylko: - Wypije pan jeszcze ze mną kawę? Może ją

pan sam zaparzyć, jeśli obawia się ryzyka picia mojej kawy. Muszę przyznać, że pańska kawa bije moją na głowę. Może za bardzo oszczędzam na proszku. - Zabrzmiało to żartobliwie, ale zaraz spoważniała: - Z pewnością ma pan jeszcze do mnie kilka pytań.

Nie kilka, tylko jedno. Dlaczego pani mąż wziął ten mikroskopijny nożyk zamiast któregoś z tych dużych z bloku, który stoi na szafce? Nie powiedział tego głośno. Popatrzył za nią, jak idzie przez przestronny plac do małego czerwonego autka starszego modelu, wręcz rzęcha. Ten lamborghini bardziej by do niej pasował.

Pojechał za nią do jej domu. A potem znowu stał u niej w kuchni i parzył kawę. Ona siedziała na krześle, patrząc na niego, uśmiechała się, niekiedy trochę zawstydzona, czasem nieco rozmarzona, a czasem z cieniem tęsknoty w oczach. Wszystko było prawie tak jak w nocy.

Kiedy wyjmował naczynia z szafki, podniosła się z miejsca.

- Powinnam coś przekąsić - wyjaśniła, wyjmując siatkę z pomidorami, pudełko margaryny i opakowanie pokrojonego chleba z lodówki. Nie było w niej zresztą wiele więcej ponadto.

- Nie będzie panu przeszkadzało? - spytała. - Zawsze przekąszam co nieco, kiedy wracam do domu. W biurze zazwyczaj nie mam na to czasu.

Potrząsnęła głową. Dlaczego miałoby mu przeszkadzać, że coś zje? Na pewno była głodna. Z szuflady obok lodówki wyjęła mały kuchenny nożyk. Różnił się on od tego, który znaleziono w samochodzie jej męża, tylko kolorem trzonka - ten był jasnozielony.

Pokroiła nim pomidory na wąskie plasterki, położyła je na kromkę chleba, posypała solą. Nóż zostawiła potem obok zlewu. A był on zdecydowanie bliżej drzwi niż drewniany blok pełen noży.

Zostali w kuchni. Betty zjadła swoją kanapkę z pomidorami, popijając ją dwiema filiżankami kawy. Nie zadał jej żadnego pytania. Sprawa noża się wyjaśniła. Pewnie i wczoraj Betty musiała coś przekąsić, zanim połknęła tabletki i się położyła.

Starczy, jeśli w ciągu kolejnych dni zjawi się na komendzie i złoży zeznania. Powiedział jej to. I to, że najlepiej będzie, jeśli przedtem do niego zadzwoni, uzgodni termin, żeby nie musiała niepotrzebnie czekać. - Wprawdzie i zwykle się nie nudzimy, ale teraz jest szczególnie gorąco - powiedział.

Skinęła głową, jakby o tym wiedziała, bo tak zresztą było. - Tych czterech mężczyzn, prawda? Czytałam o tym w gazecie. Zajmuje się pan i tą sprawą?

Teraz on skinął głową, a ona stwierdziła: - Okropna historia. I taka bezsensowna. Kto coś takiego robi i co z tego ma? - Jej głos brzmiał szczerze, jakby rzeczywiście nie widziała tu

sensu. Zaskoczyło go to nieco, w przyjemny sposób. Oczekiwał raczej obojętności.

Potem już wiele nie rozmawiali. Byłoby to zbędne, przeszkadzałoby. Nie mieli żadnego naturalnego tematu, tylko kilka myśli. On obserwował ją, a ona jego. Nie musiał nic mówić, wszystko miał wypisane na twarzy. A na czole mogła wyczytać, że czeka tylko na jej znak. Mogła mu go dać. Nie dziś, to by było za wcześnie. I sama nie czuła się jeszcze w pełni sił.

Krótko po siódmej rozległ się dzwonek do drzwi. Zdawała się tak samo niezadowolona, że im przeszkodzono, jak on. Westchnąwszy, z gestem żalu wstała z krzesła. Idąc w stronę korytarza, stwierdziła: - To może być tylko Thomas.

I to był Thomas Lehnerer. Georg usłyszał, jak rozmawiają w korytarzu. Najpierw ją: - Tak myślałam, że to ty.

A potem jego: - Ktoś jeszcze jest u ciebie? - Usłyszał w tym dziwny ton, mogła to być równie dobrze nieufność, jak zdenerwowanie.

- Przyszedł pan Wassenberg - wyjaśniła. - Był tak miły i dotrzymał mi towarzystwa.

Potem opowiedziała mu o wizycie u teścia, niczego nie opuściła, nie zapomniała nawet o urodzinach brata Margot, o którym przypomniał jej stary. Mówiła powoli, z namysłem i dosyć wyraźnie, by być dobrze zrozumiana w kuchni.

Prawdopodobnie nadal stała z Lehnererem koło drzwi wejściowych. Nie dało się nic zobaczyć. Mógł tylko słuchać. Że zadawała sobie pytanie, skąd Herbert mógł znać to miejsce. Że mógł trafić tam jedynie przypadkiem. Skoro był nieobecny podczas tej urodzinowej imprezy.

Lehnerer był lepiej zorientowany. Oczywiście, że Herbert tam był, co prawda tylko przez kilka minut, razem z jakąś dziewczyną. Egzotyczne stworzenie. Ciemna skóra i kędzierzawe włosy. Nie widziała tych dwojga tylko dlatego, że była z teściem wewnątrz chaty. A kiedy Herbert się dowiedział, że wśród gości jest również jego ojciec, wolał wziąć swoją przyjaciółkę pod ramię i z nią zniknąć.

- Ach tak - powiedziała. - Ależ wejdź, Thomas. - Potem stuk zamykanych drzwi, kroki w korytarzu. Jej głos: - Do kuchni.

Thomas Lehnerer wszedł, kiwając głową, co miało pewnie oznaczać powitanie. I on również usiadł przy stole. Nie chciał kawy, wyjaśnił nieco skomplikowanie, że dowiedział się od sekretarki, jakoby przyszedł jakiś pan z policji i odjechał z szefową. - Tak sobie pomyślałem, że pewnie znaleziono Herberta.

Tak jak poprzedniego wieczoru Lehnerer był ubrany w dres, granatowy, z białymi pasami, tamten był jasnoszary i o wiele starszy.

Georg zadał dla formalności kilka pytań, zanotował odpowiedzi Thomasa. Powtórzył tylko to, co już powiedział poprzedniego wieczora. Kiedy odwiózł ją do domu, kiedy sam wyszedł z firmy, kiedy usiłował się do niej dodzwonić, kiedy wszedł do jej domu i co dokładnie tam zastał. I jeszcze coś. To, co już nie dawało Georgowi spokoju.

- Jak właściwie wpadł pan na to, że Herbert Theissen pobił swoją żonę? Tak pan powiedział funkcjonariuszowi z policji prewencyjnej. Ale pani Theissen była nieprzytomna, od niej nie mógł się pan tego dowiedzieć.

Lehnerer wzruszył ramionami i chciał odpowiedzieć. Ale zanim z jego ust padło pierwsze słowo, rozległ się śmiech Betty. - Nie mógł tego wiedzieć, ale mógł się domyśleć. Przecież nikt inny nie wchodził w grę. Na włamanie to naprawdę nie wyglądało. A kiedy przed południem zobaczyliśmy, jak wygląda stan firmowego konta, to Thomas mógł sobie z pewnością dośpiewać, jak dalej rozwinęła się sytuacja.

Uśmiechnęła się. - Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałam nawet, że jeszcze popamięta, jak tylko wróci do domu. Przypuszczam, że Thomas nie starał się dodzwonić do mnie, żeby mnie spytać o ból głowy, tylko żeby się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja finansowa firmy. Mogłoby się zdarzyć, że Herbert wyjątkowo nie przepuścił wszystkiego. Czy nie tak, Thomas?

Lehnerer potwierdził skinieniem głowy. A potem zrobił się rozmowny. Opowiedział, jak się martwił o firmę i o nią. O nią szczególnie, bo czekała ją przecież poważna scysja. I mimo że normalnie była w stanie przeforsować swoją wolę, to co mogła zrobić, jeśli rzeczywiście poszliby na noże i mąż przeszedłby do rękoczynów? Thomas Lehnerer nie zaznał ani chwili spokoju, biegnąc tak jak co dzień przez las, czynił sobie wyrzuty, że z nią nie został, że w takiej sytuacji zostawił ją samą.

Z każdym słowem wypowiedianym przez Thomasa ożywały okropne podejrzenia i zazdrość. Z każdego jego zdania przemawiały uwielbienie i potrzeba chronienia tej kobiety.

Georg pożegnał się krótko przed ósmą. Potem przez kilka minut siedział w aucie, zanim ruszył. Znowu czuł gniew, obserwował dom i tak jak w nocy zadawał sobie pytanie, co tam się teraz dzieje. W kuchni. O sypialni i tych wszystkich lustrach nawet nie myślał. Kuchnia była w jakiś sposób bardziej erotyczna. Tam się skrzyło, tam jej uśmiech roztaczał blaski. Tam się wszystko zaczynało, gdzie się potem przenosiło, nie było już tak istotne. Liczyło się, że się toczyło dalej. Ale nie z naszym leśnym sprinterem, w każdym razie nie bez przeszkód. Już on się o to postara. A co mógł zrobić, to sobie już obmyślił poprzedniej nocy.

ROZDZIAŁ 5

Idąc za głosem gniewu, Georg Wassenberg pojechał do domu Lehnerera. Milutki domek! Nie tak wspaniały jak ten pałac, dla którego Herbert wyjątkowo znalazł czas dla architekta, ale też całkiem niezły i z pewnością wart swojej ceny. Już sam ogródek przed domem musiał mieć trzy razy więcej metrów kwadratowych niż jego obskurne, małe mieszkanie, do którego musiał regularnie wracać po zakończeniu służby.

W zasadzie nie miał żadnych szans. Nie był w stanie konkurować z Lehnererem. Brakowało mu kilku centymetrów wzrostu, wokół talii miał za to kilka funtów za dużo. Miał też o wiele za mało czasu, skromne dochody i żadnego pojęcia o budownictwie.

Był więcej niż wściekły, aż nazbyt dobrze znał powód, dlaczego tak było. Sonia często narzekała, że okazuje zbyt mało uczuć. Teraz okazał ich w swoim przekonaniu stanowczo za wiele. Praktycznie było widać, że w ogóle się nie kontroluje.

Byłoby zdecydowanie lepiej dla niego i jego wewnętrznej równowagi pojechać do śródmieścia, pójść do jednego z tych barów i zagadać jakąś kobietę. Miał przy sobie dosyć pieniędzy. Sto czy dwieście marek za godzinę. Było to deprymujące w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy, a teraz szło o wszystko. Wyłącznie o tę jedną kobietę. Czy Lehnerer nadal u niej przesiadywał? Z pewnością!

Brama garażu była otwarta, w garażu stało ciemnozielone volvo. Samochód Lehnerera, stwierdził to już wczoraj wieczorem. Na trawniku, obok brukowanej dróżki wiodącej z garażu do drzwi, leżał chłopięcy rowerek.

A więc pan prokurent nie tylko był żonaty, ale miał też dzieci. Nawet dwójkę, jak się wkrótce okazało. A tym samym nie był właściwie poważnym rywalem. Pod tym względem Georg mógł jej zaoferować jednak trochę więcej. Czasem kolację w dobrej restauracji, bezwstydną defilowanie w miejscach publicznych. Były to rzeczy, na które nie mógł sobie pozwolić ojciec, głowa rodziny.

Gdy zadzwonił, otworzyła mu dwunastoletnia, może trzynastoletnia dziewczynka. Podobieństwo do Thomasa było niezaprzeczalne. Georg przedstawił się jedynie z nazwiska i życzył sobie mówić z jej matką. Jednak zanim ta pojawiła się w drzwiach, zjawił się jeszcze

właściciel rowerka, ciekawski blondynek w wieku może siedmiu lat.

Margot Lehnerer wyszła z kuchni, gdzie właśnie przyrządzała kolację. Wytarła ręce w ściereczkę i spojrzała Georgowi w twarz otwartym, pytającym spojrzeniem. Kolejna kobieta, na którą przyjemnie było popatrzeć, co prawda nie taka piękność jak Betty, ale nazwanie ją jedynie ładną byłoby niesprawiedliwe. Dobiegała czterdziestki, może ją niedawno przekroczyła, blondynka jak syn, szczupła, średniego wzrostu. Poważna twarz, nawet bardzo poważna, w jakiś sposób smutna.

Georg się przedstawił, wyjaśniając cel wizyty. Tylko kilka pytań w związku ze śmiercią Herberta Theissena. Margot Lehnerer wysłała dzieci, żeby posprzątały w swoich pokojach. Zaprosiła go do dużego salonu. Wystrój był ciężki i solidny, nie tak lekki i elegancki jak wyposażenie domu Betty.

Zanim usiadła w fotelu, Margot Lehnerer wyłączyła telewizor, dając przy okazji wyraz swemu szokowi. Tej nocy, kiedy Thomas do niej zadzwonił, powiedział jej już, że Herbert prawdopodobnie chciał odebrać sobie życie. Trudno uwierzyć, że rzeczywiście to uczynił. Sprawiał wrażenie tak żywotnego. Wszystkiego chciał spróbować i wszystko traktował tak lekko, w każdym razie zawsze się tak zachowywał, jakby nic nie mogło nim wstrząsnąć. Takiemu człowiekowi się nie wierzy, że podniesie na siebie rękę.

- Jak dobrze znała pani Herberta Theissena? - spytał Georg.

Bardzo dobrze! Od ponad dwudziestu lat. Margot Lehnerer również pracowała w firmie Theissen, w księgowości, aż do narodzin córki. A Herbert był przecież najlepszym i jedynym przyjacielem jej męża.

Jako dzieci byli nierozłączni. Z upływem lat pojawiło się między nimi nieco dystansu. Wtedy już nie szło tylko o to, by przydusić dziewczęta pod wodą nad sztucznym jeziorkiem. Wówczas się walczyło o staniczki bikini, a w tym Herbert bił Thomasa na głowę.

Thomas wcześniej często o tym opowiadał. Jak mając szesnaście czy siedemnaście lat, płakał w poduszkę, bo jego najlepszy przyjaciel znowu sprzątnął mu sprzed nosa jakąś pannę. Wystarczyło, żeby Thomas okazał, że mu się któraś podoba, a już zjawiał się Herbert, by dowieść, że on jest lepszy.

Herbert zawsze był lepszy, po prostu miał pieniądze. I Thomas niekiedy życzył mu z tego powodu wstydlivej choroby na pewnej części ciała, niekoniecznie ospy na twarzy. W tym czasie dziecinną przyjaźń poznały kilka rys. Stosunki jeszcze bardziej się ochłodziły, kiedy stary Theissen zaczął nastawać, żeby jego syn został panem doktorem. Ekonomia czy coś innego, ale z tytułem doktorskim. Herbert studiował przez kilka semestrów, podczas gdy Thomas zaczął pracować w firmie Theissen. Zaczął na samym dole, ale dzięki ambicji i

pilności wywędrował na górę.

W tym czasie poznał Margot i nie mając tym razem u boku rywala, pozyskał jej względy. Margot widziała, jak z lękiem oczekuje dnia, kiedy jego niefrasobliwy przyjaciel zostanie mu narzucony jako szef. Ale do tego nie doszło. Kiedy stary Theissen nareszcie pojął, że jego syn comiesięczny czek na utrzymanie chętniej przepuszcza z dziewczętami albo w kasynie, zamiast spędzać czas w salach wykładowych, ściągnął go z powrotem i umieścił w biurze Thomasa jako ucznia. Może w nadziei, że zaangażowanie Thomasa dla firmy przejdzie trochę na syna. Wówczas na nowo ożyła stara przyjaźń. Thomas często wtedy powtarzał, że nie chciałby się zamienić z Herbertem.

Wszystko pięknie ładnie, ale to, co opowiadała Margot z taką ochotą, to były nieistotne szczegóły. Georg nie interesował się Theissenem seniorem ani latami młodości Herberta. Zadawał sobie pytanie, czy Betty należała do tych panienek, które Herbert Theissen sprzątnął przyjacielowi sprzed nosa. Czy Lehnerer odbierał teraz przez tylne drzwi to, co jego zdaniem mu się należało. Czy pani mąż miał romans z Betty Theissen? To pytanie paliło go w język, ale na razie się opanował, pozwolił jej mówić dalej. Może dowie się jeszcze czegoś istotnego.

- Stary zupełnie go załatwił - wspominała Margot. Mogłaby opowiedzieć niejedną ważną historię, ale spytano ją wyłącznie o Herberta. A reszta była zbyt osobista, żeby tak ją podać na talerzu temu policjantowi. - Stale stał nad nim z batem, nie cofał się nawet przed tym, żeby go obsztorcować przed całą załogą. Raz go nawet pobił w obecności klientów. Thomas przy tym był.

Pokiwała głową w zadumie, kontynuując: - Wręcz budził współczucie. Herbert nie był złym facetem, naprawdę nie. Był labilny. Ale nic w tym dziwnego, jego rodzice toczyli o niego wojnę. Kij i marchewka, ale nigdzie oparcia, nigdzie rozsądnego wzorca. Jestem w stanie pojąć, że nie chciał się stać taki jak jego ojciec. Dla starego nie istniało nigdy nic poza firmą, dwadzieścia cztery godziny na dobę, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Mam przecież tylko jedno życie, stale powtarzał Herbert. Z pewnością kiedyś by się ustabilizował. Z właściwą kobietą u boku dałby radę, jestem tego pewna. Wówczas po ślubie był zupełnie innym człowiekiem. Starał się, każdego ranka jechał grzecznie do biura. Ale przy Betty nie miał szans.

Margot Lehnerer pozwoliła sobie na tę dyskretną uwagę. Jej sposób wysławiania się nie przypadł Georgowi do gustu. - Jak mam to rozumieć? - spytał.

Margot Lehnerer zaczęła jeszcze raz, opowiedziała o ciąży. Betty nie miała jeszcze nawet siedemnastu lat i była tak zrozpaczona, tak bezradna i bezbronna. Ze swoim

nieszczęściem zwróciła się do starego Theissena. A ten zmusił syna, by wyciągnął konsekwencje ze swoich „przyjemności”.

Dla Georga był to nowy aspekt, kilka nowych aspektów. Ale wszystko po kolei. - A więc Herbert Theissen nie chciał się z nią ożenić?

Margot machnęła ręką. - Ani o tym myślał. Betty była dla niego niepojęta. Spanie z nią to jedna rzecz, mogło być nawet podniecające, ale życie z nią było mu nie po myśli. Tyle pracowitości naraz. Kto chciałby się ożenić z dziewczyną, którą mu potem będą stale stawiać za wzór. Kiedy Betty zaszła w ciążę, zaferował jej pieniądze, chciał znaleźć lekarza, żeby mogła ją usunąć. Była oburzona, broniła się rękami i nogami przed jego propozycją i znalazła wsparcie u przyszłego teścia. Starzec obiecywał sobie po niej, że wyrze na Herberta ten wpływ, którego na próżno spodziewał się po Thomasie. I Herbert poddał się swojemu losowi, kiedy matka również z nim pomówiła i obiecała stać po jego stronie. Tak też uczyniła. Postarała się o to, by natychmiast skończono z tym, co przysparzało jej chłopczykowi największych obaw, z ambicjami Betty. Jego matka obstawała przy tym, żeby Betty odtąd siedziała w domu, ostatecznie kobieta w ciąży musi o siebie dbać i twierdziła, że nie zaszkodziłoby, gdyby nauczyła się gotować. Betty musiała przerwać naukę i nigdy nie wybaczyła tego swojej teściowej.

- Ale ona nie była w ciąży - wysunął przypuszczenie Georg. Przecież nie mogła być, nikt dotąd nawet nie wspomniał o istnieniu dziecka. Ten trik był wówczas bardzo popularny. Mała bestyjka, pomyślał jeszcze, częściowo rozbawiony, a częściowo trochę zirytowany.

A wtedy Margot powiedziała przeciągle: - I owszem! Jak najbardziej była. W trzy miesiące po ślubie urodziła syna, słodkiego chłopca. I wszystko było pięknie jak w bajce. Dumny dziadek, kochająca babcia. Bardzo młoda matka, która z równym zapałem rzuciła się teraz do dziecka, jak poprzednio do maszyny do pisania i stenografii. Jakby musiała dowieść całemu światu, że tylko dzieci mogą optymalnie opiekować się dziećmi i je wychowywać. Tak, a młody ojciec całkiem stracił rozum z miłości. Oto nareszcie stworzył coś, co znalazło uznanie w oczach jego ojca. Kapał i przewijał, tylko czekaliśmy, aż zacznie karmić piersią. Herbert stał się prawdziwym filozofem, czego nam wówczas nie opowiadał o sensie życia, pracy i miłości. Jego syn był dla niego cudem, czymś niepojętym. Jakich nie snuł planów, żeby zapewnić mu wspaniałe życie! Chciał robić wszystko inaczej niż jego ojciec, chciał zawsze mieć czas dla tego chłopca.

Syn, pomyślał Georg. To było nieco dziwne, Betty jako matka. Nie do końca mógł to sobie wyobrazić. Mówiła mu o osiemnastu latach małżeństwa, w związku z tym jej syn musiał mieć teraz dokładnie tyle lat, prawie osiemnaście. Nie mieszkał z nią, z dziadkami

także nie, może był w internacie? Ta myśl sama się nasuwała. Ale dlaczego dotąd nawet o nim nie wspomniała? Ani ona, ani nikt inny.

- Gdzie jest ten chłopiec? - zapytał.

Margot Lehnerer nie odpowiedziała od razu, najpierw chrząknęła i spuściła głowę. Po kilku sekundach mruknęła: - Nie żyje. A po kolejnych trzech czy czterech sekundach kontynuowała lekko podniesionym i dziwnie zabarwionym głosem: - Zmarł, kiedy miał trzy miesiące. Ten pies... Theissenowie mieli owczarka niemieckiego, Hasso. On zawsze odgrywał rolę dziecka w tym domu, jeśli rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć. Był pewnie zazdrosny o niemowlę. Betty wyniosła małego do ogrodu, robiła tak codziennie, położyła go na kocu i usiadła przy nim. Hasso też był zawsze z nimi. Betty miała dobry kontakt z psem i uważała, że musi się on przyzwyczajać do dziecka. Tak to ujmując, miała rację, a Hasso był jej normalnie bardzo posłuszny. Ale wtedy pewnie zadzwonił telefon. Pani Theissen pojechała do miasta. Gospodyni miała wychodne. Betty pobiegła do domu. I... Może mały zapłakał. Wszystko musiało odbyć się błyskawicznie. Hasso złapał niemowlę za główkę i potrząsnął nim. Betty go zastrzeliła, bo nie chciał puścić. Ale pomoc dla chłopca przybyła za późno, miał złamany kark.

Margot mówiła, zacinając się, robiąc mniejsze i większe przerwy pomiędzy poszczególnymi zdaniami. I z każdym zdaniem jej mina stawała się coraz bardziej nieprzenikniona, niemal tak, jakby coś jeszcze miało zostać powiedziane, co przekraczało ludzkie pojęcie. Ale co by to miało być, nie zostało wypowiedziane, zamiast tego powiedziała: - Herbert niemal oszalał. Zaczął pić. A Betty... no tak, ona znowu rzuciła się w wir pracy.

Ostatnie zdanie zabrzmiało rzeczowo, a mimo to jakoś szczególnie. A Georg Wassenberg doszedł do wniosku, że już wystarczy, jeśli chodzi o wstęp. Powrócił do aktualnych wydarzeń. Nadal chętnie udzielała mu odpowiedzi. O tajemniczym telefonie. Dokładnie pamiętała jęczenie. Poza tym nic nie słyszała, absolutnie nic. Ale też nie przysłuchiwała się zbyt długo.

A tych jęków ani przez chwilę nie kojarzyła z Betty. Thomas ani słowem nie zdradził, że Betty ma kłopoty czy jest chora, kiedy zaraz po piątej wrócił z biura. Przebrał się i jak co dzień poszedł do lasu biegać. Dopiero po powrocie, coś około ósmej, rzucił się do telefonu i narobił paniki, nie znalazł nawet czasu na sensowne wyjaśnienia.

W jego zachowaniu była pewna mała sprzeczność. I to rzuciło się Margot w oczy. - Gdyby już o piątej coś mi powiedział - rzekła, a w jej głosie pobrzmiwało jakby poczucie winy - to bym inaczej zareagowała, kiedy zadzwoniła. Ale nie miałam o niczym pojęcia,

naprawdę nie.

- Czy mąż rozmawia z panią o sprawach zawodowych, o problemach firmy?

Margot Lehnerer potrząsnęła głową, uśmiechając się przelotnie. - Ma pan na myśli problemy finansowe? Nie, o tym nie mówi. Nigdy tego nie robił. Od czasu do czasu słyszałam od innych, że były trudności. Najczęściej już wówczas były rozwiązane. A że Betty nie czuła się dobrze, może myślał, że mnie to nie interesuje.

Tym samym mała sprzeczność straciła rację bytu.

- Mąż codziennie biega? - spytał Georg.

Margot przytaknęła. - Inni jeżdżą do biura rowerem, a on biega, by to nadrobić. Codziennie trzy godziny, w deszcz i niepogodę. Teraz też biega.

To z pewnością nie było zgodne z prawdą. A jeśli teraz tak nie było, to może i w inne dni też nie. To jednak można było stwierdzić, a tym samym jego pierwotny zamiar stracił nieco na znaczeniu. Widząc smutek na twarzy Margot, Georg czułby się bardzo podle, wyrażając swoje podejrzenia, zanim uzyskał co do nich pewność.

Środowe popołudnie utonęło w stercie papierów, były dalsze wyniki badań kryminologicznych w sprawie morderstwa na Jensie-Dieterze Rasche. Kilka zeznań świadków, które ostatecznie nic ważnego nie wniosły do sprawy. W tym czasie Georg znalazł czas, by poinformować prokuraturę o samobójcy. Tak, w tej sprawie wszystko było jasne. Sekcja następnego przedpołudnia, już to załatwił. Zarządzenie prokuratury było tylko formalnością. I samochód, stał jeszcze w komisji badań technicznych, może można by go jeszcze dziś wydać?

- Poczekajmy na wyniki sekcji - oznajmiono - zrobimy to za jednym zamachem.

Wczesnym popołudniem znalazł czas na rozmowę z lekarzem domowym. Nie było już powodu, by utrzymywać tajemnicę lekarską. A każda odpowiedź potwierdzała tezę o samobójstwie. Herbert Theissen był w ciągu ostatnich pięciu czy sześciu miesięcy w szczególnym stanie, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Wielokrotnie prosił o specjalny lek, za którego pomocą miał nadzieję utrzymać pod kontrolą swój alkoholizm. Antabus.

- Nie mogłem mu dać tego do rąk - wyjaśnił lekarz. - Był zbyt labilny. Gdyby miał opiekę psychologiczną, to tak, w przeciwnym razie nie. Gdyby zażył ten lek, a potem wypił, to w pewnych okolicznościach wystarczyłby łyk, żeby go zabić. Tak mu też powiedziałem. Roześmiał się i powiedział, że to byłoby może najlepsze rozwiązanie. Wtedy miałby odpowiednią śmierć.

- Kiedy to było? - chciał wiedzieć Georg.

- Przed czterema tygodniami - odpowiedział lekarz. - Poleciłem mu klinikę odwykową. Teraz czynię sobie wyrzuty. Powinienem był go do niej skierować. Ale po prostu nie zauważyłem, że traktuje to aż tak poważnie.

Georg podziękował mu za informacje, wrócił na komendę, a zaraz potem okropnie rozboleły go zęby. Nikt nie miał nic przeciwko temu, by już o wpół do piątej się pożegnał. Wszystkie te nadgodziny w ostatnim okresie i do tego ten potworny ból, któremu najlepiej od razu należało zaradzić. Koledzy okazali zrozumienie.

Krótko po piątej zaparkował swój wóz w pobliżu domu Lehnerera. Była to spokojna ulica, mały ruch, możliwe, że jego auto rzuca się w oczy, ale Lehnerer widział dotąd tylko wóz służbowy.

Już kilka minut później nadjechało volvo i skręciło na wjazd do posesji. Chłopiec krążący na swoim rowerku wokół domu zeskoczył z siodła, kiedy brama garażu jak podniesiona ręką czarodzieja szybko podjechała w górę. Pilot! Przed sześcioma miesiącami Georg również miał coś takiego, jednak od czasu przeprowadzki ciągle musiał szukać miejsca do parkowania. W pobliżu jego mieszkania prawie nie było miejsc postojowych.

Kiedy volvo wjechało do garażu, chłopiec rzucił rowerek na trawnik i z rozpostartymi ramionami pobiegł w otwartą bramę. Ponieważ i we wtorek rowerek leżał na trawniku, więc należało przypuszczać, że syn codziennie wita Lehnerera w ten właśnie sposób.

I nie tylko z synem zdawał się mieć tak bardzo serdeczny i bliski kontakt. Trzymając w jednym ręku kluczyki, a drugą na ramieniu syna, przeszedł wzdłuż domu do drzwi wejściowych. To był niezwykle widok, nareszcie go zobaczyć w tradycyjnym garniturze. Zanim jeszcze doszedł do drzwi, te się otworzyły. Dziewczynka. Z promiennym uśmiechem. Wspinająca się na palce, żeby przywitać tatusia całusem. A i zatroskana żona nie dała na siebie długo czekać. Ona również pojawiła się w drzwiach, nadstawiła twarz do pocałunku, a potem wyciągnęła rękę po klucze.

Naprawdę harmonijne życie rodzinne. A jako szczególnie słodki dodatek romans z szefową! Dobra mi przyjaźń. Nie chodziło o to, że Herbert Theissen wzbudzał jego szczególną sympatię, ale czuł się z nim nieco związany, powiedzmy jako towarzysz niedoli. Obydwaj zostali podobnie oszukani.

Podczas gdy Margot poszła do garażu, wsiadła do volvo i wyjechała, żeby kupić dla pana męża müsli, jogurt z wkładką czy herbatkę owocową lub załatwić coś innego na mieście, drzwi wejściowe zostały zamknięte na prawie kwadrans. Kiedy Lehnerer ponownie wyszedł na ulicę, znowu przedstawiał sobą znajomy widok. Tym razem był to jasnozielony dres z białym emblematem na piersi, prawdopodobnie miał z pół tuzina takich strojów. Ruszył,

powoli i majestatycznie. Georg pozwolił mu odbiec.

Coś go pchało, żeby natychmiast odwiedzić Betty. Wówczas byłby u niej, zanim Lehnerer dotrze do jej domu. Ale wtedy jego wóz musiałby się rzucić Thomasowi w oczy i może pobiegłby dalej. Nie taki był sens tej akcji. Pojeździł więc trochę po okolicy, wrócił do miasta, gdzie zatrzymał się przy budce z przekąskami i zatroszczył o swoją kolację w postaci kiełbaski na gorąco i gumowatej bułki. Potem jeszcze tylko cola w plastikowym kubeczku i znowu za kierownicę.

Dochodziła szósta. Jeśli Lehnerer pobiegł do niej, to znajdowali się teraz zapewne w trakcie uroczej gry miłosnej. Pewnie chwilę potrwa, zanim będzie mu mogła otworzyć. A on pozna, że właśnie wstała z łóżka. Jechał szybko, nieświadomie zgrzytając zębami i niekoniecznie trzymając się wszystkich przepisów.

Po dobrej półgodzinie dotarł do jej domu. Na posesji stał granatowy mercedes. Jej małe auto stało na podjeździe. Przyzwyczajenie, pomyślał przelotnie. Był tylko jeden garaż, a ten był przeznaczony na lamborghini. Mercedes był dla niego ciosem w żołądek. Nawet jeśli Lehnerer siedział teraz u niej, to niczego to absolutnie nie dowodziło, w każdym razie nie byli sami.

Ale Lehnerera w ogóle nie było. Po jego dzwonku podeszła do drzwi, zdawała się być zdumiona jego widokiem. I zaczęła się uśmiechać! Tym ślącym skry uśmiechem, na który częściowo składała się drwina, częściowo satysfakcja, a częściowo gotowość. Tańczył w jej oczach, słał się na jej ustach, drżał nawet w jej dłoni wyciągniętej na powitanie.

Odczuł te skry jak małe ładunki prądu i pottrzymał jej dłoń nieco dłużej, niż to było konieczne. Kiedy ją trzymał, przejechała szybko koniuszkiem języka po wargach. Równie dobrze mogłaby powiedzieć: - Dzisiaj na pewno się do siebie zbliżymy. - Dokładnie wiedziała, dlaczego przyjechał, mógłby to przysiąc. Czyjkolwiek by był ten mercedes, zaraz ten ktoś się pożegna. A wtedy...

Wóz należał do starszego mężczyzny, zaraz po sześćdziesiątce, idealnie ubranego, w okularach i z lupą. Na stole w salonie leżało z tuzin etui, a w nich kilka sztuk biżuterii. Starszy mężczyzna był jubilerem.

Przedstawiła sobie obu panów, Georga, co prawda, tylko jako pana Wassenberga, jak dobrego znajomego. I jak kogoś, kto codziennie ją odwiedza, zapytała zaraz, czy zechce napić się kawy. Kiedy przytaknął, wskazała drzwi. - Będzie pan tak miły i zaparzy nam ją? Pan także chciałby napić się kawy? - zwróciła się do jubilera.

Ten odmownie podziękował, a Betty powiedziała: - To tylko dla nas dwojga. - Towarzyszący temu uśmiech niemal pozbawił Georga tchu.

Kiedy on w jej kuchni zajmował się kawą, gospodyni dalej negocjowała w salonie ceny. Słyszał jej głos, łagodny, ale nieubłagany. Sto osiemdziesiąt za koliaż i ani marki mniej, pięćdziesiąt za bransoletę, osiem za klipsy, dwanaście za oba pierścionki. Dodajmy, że za każdym razem chodziło o tysiące. Sumy te brzęczały mu w głowie jak niedające się odpędzić chmary owadów. Rzucała nimi jak piłeczkami do tenisa. Mój Boże, te rzeczy też kiedyś zostały kupione. A on był niegdyś taki dumny z pierścionka za prawie siedem tysięcy, który pozwolił sobie kupić Soni w piątą rocznicę ślubu. Musiał przez jakiś czas na niego oszczędzać, ale mimo to pomyślał sobie, że nawet tak rozpieszczonej istocie może jednak coś zaoferować.

Począł w kuchni, aż jubiler da do zrozumienia, że chciałby się pożegnać. Negocjacje przebiegły wyraźnie ku obopólnemu zadowoleniu.

Kiedy Georg powrócił do pokoju, jubiler właśnie pakował ostatnie etui do swojej walizeczki. Zamknął wieko, poprawił okulary, wyciągnął do niej rękę i sprawiał przy tym tak uszczęśliwione wrażenie, jak i ona sama.

Na stole leżał czek. Georg nie mógł odczytać wypisanej sumy, ale widział wyraźnie, że jest sześciocyfrowa. I jeśli dobrze policzył, to dwiema pierwszymi liczbami musiała być dwójka i piątka, za nimi stały cztery zera. Ćwierć miliona marek. Ale przecież obiecała staremu Theissenowi, że wyłoży pieniądze na pensje ze swoich rezerw. Jeszcze tylko przelotny uścisk ręki, do widzenia, miło mi było.

Dwie minuty później Georg był już z Betty sam na sam. - Kawa gotowa - powiedział.

Znowu się uśmiechała. - No to przejdźmy do kuchni. I tak nie jadłam jeszcze kolacji. Poza tym tam jest przytulniej.

Wskazała ręką na drzwi od tarasu. Były otwarte, wybita szyba została prowizorycznie przysłonięta kawałkiem papy. - Koniecznie muszę się postarać, żeby wymienili tę szybę, ale dotąd miałam ważniejsze rzeczy na głowie. - Czek pozostał na stole, niezauważony.

Podczas gdy wyjmował z szafki naczynia, a ona jak poprzedniego wieczora kroila pomidora na cienkie plasterki, by je potem położyć na chleb, spytał: - Sprzedała pani swoją biżuterię?

Było to zbędne, nieomal głupie pytanie. Ale musiał jakoś zacząć rozmowę. A w kuchni miał trochę czasu, żeby się do niej przygotować.

Liczył, że wspomni o zaległych pensjach i wiedział już, w jaki sposób będzie mógł dalej poprowadzić konwersację. W jego odczuciu było to zupełnie niezwykle, że jakaś kobieta bez mrugnięcia powieką rozstaje się ze swoją biżuterią tylko po to, by opłacić kilku robotników na budowie.

Była niezwykła, fascynująca, godna podziwu, taka piękna. I tak samotna. A on nieco wyszedł z wprawy. Istniało niebezpieczeństwo, że zupełnie się zblamuje, jeśli zacznie prawić jej komplementy. Ale do tego nie doszło.

Nie dopuściła do tego, by się ośmieszył. - Tak - powiedziała tonem niewymuszonej pogawędki - bardzo mi na tym zależało, by umocnić to wrażenie, które dotąd zapewne na panu wywarłam. Były to wyłącznie prezenty od mojego męża, wspomnienie szczęśliwych dni. Potrafił robić wspaniałe prezenty, nigdy nie pytał o cenę. W pierwszym roku naszego małżeństwa wielokrotnie miałam przyjemność tego doświadczyć. Niestety nigdy nie potrafiłam jej docenić. Jeśli teraz robię to, co on powinien był uczynić już przed laty, to znaczy inwestuję pieniądze w firmę, to dowodzę tym tylko po raz kolejny mojej ofiarności.

- To miała pani szczęście, że się tu znalazłem. - Podjął jej ton, był równie niedbały i niewymuszony. - Bo inaczej mógłbym się nigdy nie dowiedzieć o pani ofiarności.

- Proszę się nie martwić - oznajmiła - na pewno bym panu opowiedziała. - Tym samym temat był wyczerpany. Ale grunt został przygotowany, atmosfera stała się luźna i odprężona.

Georg Wassenberg stał się raptem innym człowiekiem, był dowcipny i szarmancki, zdolny do improwizacji i wolny od wszelkich specyficznych instynktów czy ambiwalentnych uczuć. Może oprócz tego jednego, którego porywami i ruchami sterowało tylko kilka hormonów. A to nie było dla niego ciężarem.

Sączyła swoją kawę, pokroiła kanapkę z pomidorem na kawałki i jeden z nich wsunęła do ust.

- Czy to jakaś specjalna dieta? - zapytał.

Początkowo skinęła tylko głową, a przełknąwszy ostatni kęs, wyjaśniła: - To dieta dla szczupłego portfela. Mogę ją gorąco polecić. Jest bardzo niedroga, a ponadto ma tę zaletę, że nie trzeba się przy niej martwić o figurę.

- To może ja też powinienem spróbować. - Spojrzał szybko w dół, potem znowu powędrował wzrokiem po jej twarzy i szyi, ale nie zszedł niżej, jeszcze nie. - Ale pani porządna kolacja z pewnością by nie zaszkodziła. Chyba się nie mylę?

Teraz ona spojrzała po sobie w dół, potrząsnęła głową. - Nie, ma pan rację. Jeśli jeszcze dłużej będę stosowała moją dietę, to okropnie wychudnę. Ale nie będę narzekać. Chwilowo jest trochę ciężko, ale nadejdą jeszcze lepsze czasy, teraz to wiem, na pewno. Za dwa, trzy miesiące będę miała najgorsze za sobą. Wtedy opróżnię porządnie kasę i pozwolę sobie na menu z przynajmniej pięciu dań.

- A po co ma pani czekać jeszcze dwa czy trzy miesiące? - zapytał, ciesząc się, że

brzmi to tak luźno i lekko. - Proszę się po prostu dać zaprosić na dobrą kolację.

- O tym jeszcze nie pomyślałam. - Skłoniła głowę w bok. - Ale pomysł nie jest zły. Ma pan na myśli partnerów od interesów, czy coś w tym stylu?

- Raczej coś w tym stylu - powiedział.

Skinęła głową, jakby zatopiona w myślach.

- Niestety nie przychodzi mi tak od razu do głowy nikt, komu mogłabym dać się zaprosić.

- Może zadowoli się pani mną, zanim kto inny przyjdzie pani do głowy?

- Dlaczego by nie - uśmiechnęła się. - Jeśli pan nie dostrzeża niczego, co by stało na przeszkodzie temu, by przyjąć pana zaproszenie, to i ja nic takiego nie widzę. Bo to było zaproszenie, czy też źle pana zrozumiałam?

- Absolutnie nie - odpowiedział.

Nadal się uśmiechała. - Sobota wieczór? Wtedy może się to trochę przeciągnąć. Na pięć dań potrzeba przecież nieco więcej czasu. A w niedzielę mogę się wyspać.

- Zgoda. - W tym momencie był bardzo zadowolony. - W sobotę wieczorem. Przyjadę po panią o ósmej, czy woli pani o siódmej?

- O siódmej - odpowiedziała. - Cieszę się.

I kolejne pytanie. Na co się cieszy? Na pięć dań czy na to, co będzie potem? Miejmy nadzieję, że wie, gdzie skończy się ten sobotni wieczór. A może nie? Jej spojrzenie było w tym momencie tak otwarte. Wesole i beztroskie, ale zupełnie nie zmysłowe. Nawet najmniejszej oznaki gotowości czy pożądania. Jej dziecinne, niewinne i przyjacielskie spojrzenie zbijało go z tropu.

I raptem przyszedł mu do głowy ten pies. Wilczur. Zaraz, jak się nazywała ta bestia? Harro? Nie, tak się nazywał ten zwierzak właściciela butików od Soni, który nocą leżał pod drzwiami sypialni i pilnował, żeby nikt nie wszedł i z rozkoszą nie powyrywał jego panu przetransplantowanych włosków, jednego po drugim, by potem rozplatać mu łysą czaszkę. Zwierzę nie wyglądało groźnie, raczej przyjaźnie.

Kiedy Georg wychodził na korytarz, pies podnosił łeb spoczywający na przednich łapach i markował merdanie ogonem. Wtedy on pozwalał sobie na rzucanie bezpośrednio pod drzwiami sypialni miłych uwag w rodzaju: - No co, facet, nie dasz rady podnieść swojego małego ogonka nieco wyżej? - Wręcz żalosne, jak się wtedy zachowywał. Może to rzeczywiście była prawda, że kobiety są w stanie więcej znieść.

Ona naprawdę przeszła twardą szkołę życia. Ojciec - pijak, któremu pozostał już tylko stryzynek. Zagryzione na śmierć niemowlę! Okropne! Ale do licha, to było tak dawno temu.

Już się z tym pogodziła. A strata męża, który i tak nic już dla niej nie znaczył, nie mogła być czymś aż tak strasznym.

Tylko ta wyciągnięta ręka, wczoraj, w instytucie medycyny sądowej, to dawało mu do myślenia. Czy naprawdę chciała go jeszcze dotknąć? Niektórzy mieli taką potrzebę, wręcz nie dawało się ich powstrzymać, gdy tam byli. Szaleli, bili na oślep, gdy się ich chciało zatrzymać, rzucali się na zwłoki, by wykrzyczeć swój ból.

A co on mógł wiedzieć o jej bólu? Co w ogóle o niej wiedział? Niewiele. Mógł mieć tylko nadzieję, że jest dorosła. Dostyc dorosła, by wiedzieć, co oznacza przyjęcie zaproszenia od mężczyzny, który przyszedł tu z jednego tylko powodu. A ten powód musiała znać, skoro już po raz wtóry siedział u niej, nie zadając ani jednego pytania. Skoro dotąd nie sprawdził nawet stanu kont firmy. Nie mógł już wyraźniej dać do zrozumienia, o co chodzi.

Może trochę ją wybadać? Spróbować tylko, jak zareaguje? Jeszcze trochę pogawędzić, kilka przeciągłych spojrzeń, a potem ująć ją za rękę? Albo udać, że chce jej jeszcze dolać kawy. Stanąc za nią, unieść jej włosy, pocałować w kark. To byłby już bezpośredni atak, ale wtedy przynajmniej dokładnie wiedziałaby, o co chodzi. A jeśli przymknęłaby oczy, pozwoliła mu działać...

Już samo to wyobrażenie pobudzało jego nerwy. Wyobraził sobie jej kark, szczupły, delikatny, zmysłowy. Ale zanim doszedł do osobistych doświadczeń, z salonu rozległ się donośny głos: „Duszko”?

To był nie tylko cios w samo serce. To był upadek ze szczytu, wysokiego na przynajmniej tysiąc metrów. Duszko! Zobaczył, jak drgnęła, prawie niezauważalnie, jakby po prostu przestraszyła się tego głosu.

I zanim z salonu mogło paść jakieś inne zdradzieckie słowo, zawołała: - Tu jesteśmy, Thomas, w kuchni! - Akcent leżał wyraźnie na „jesteśmy”.

Wparował do kuchni nasz pan prokurent, a zakłopotanie miał wręcz wypisane wielkimi jaskrawymi literami na twarzy. Możliwe zresztą, że była tylko dlatego zaczerwieniona, że pokonał tę drogę biegiem. Wyraźnie spodziewał się, że u swojej „Duszki” zastanie co najwyżej jubilera. Kiedy pojął swój błąd, stanął jak rażony gromem.

A więc tak to się odbywało! I z pewnością w ten sam sposób każdego dnia. Wczoraj też zjawił się o siódmej. Dwie godziny biegania po lesie dla kondycji i jako alibi dla żony, a potem schadzka. A on tu siedzi jak kretyń nad własnoręcznie zaparzoną kawą i musi tymczasem udawać, że nic nie słyszał, jeśli nie chce na dodatek pozbawić się przyjemności sobotniego wieczoru.

Betty starała się zachowywać naturalnie, rozgadała się, zaproponowała kawę i krzesło.

Lehnerer rzeczywiście podszedł bliżej stołu. Przez pierwszy metr się ociągał, przez drugi zbierał w sobie, ale przy trzecim był już uosobieniem spokoju.

Kawy jednak nie chciał. Przyszedł zresztą tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy był już jubiler i jaką sumę uzyskała z tej akcji. A ponieważ zbliżył się do domu od strony lasu, czyli od tyłu, więc nie widział samochodu Georga. Gdyby zobaczył samochód, to by nie przeszkadzał. Aż takie ważne to nie było.

Wyjaśniając to, Lehnerer mierzył Georga spojrzeniem właściciela, który drogo zapłacił za swoją własność. Tylko mi nie wchodź w drogę! Zdawał się też posiadać nieomylny instynkt albo szósty zmysł, ten nasz leśny sprinter. Nie spuszczał bowiem wzroku z Georga.

Betty powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć, potem poprosiła go, by wziął ze sobą czek i zaraz jutro rano przedłożył w banku. Najlepiej zanim jeszcze zjawi się w biurze. Lehnerer się wzbraniał, uważał, że rozsądniej będzie, jeżeli ona schowa czek na noc w sejfie, a jutro rano przyniesie go do biura albo jeszcze przedtem sama prędko zanieś do banku.

Mimo że Georg życzył Thomasowi skręcenia karku, to tu się z nim zgadzał. Było to zdecydowanie roztropniejsze niż jej propozycja. Zadawał sobie pytanie, jak w ogóle mogła wpaść na tak idiotyczny pomysł. Kto wtykałby mężczyźnie do kieszeni dresu czek o wartości ćwierć miliona, jeśli sam miałby w domu bezpieczny sejf? Mógł sobie to tylko tak wytłumaczyć, że wcale tego nie przemyślała i po prostu tak coś rzuciła. Był to manewr mający odwrócić jego uwagę!

Kiedy doszedł do tego punktu w swoich rozmyślaniach, stwierdził, że lepiej będzie, jeśli się pożegna. Odprowadziła go do drzwi, wyciągnęła rękę na pożegnanie. Kiedy ją ujął, ścisnęła mocno jego dłoń. I jakoś udało jej się za pomocą uśmiechu i zwykłego „Do widzenia” wyjaśnić mu, że czas Thomasa Lehnerera dobiegł już końca.

Czwartek zaczął się ponuro. Szare, zachmurzone niebo, niemogące się zdecydować; to spadało kilka pojedynczych kropli, to za chwilę deszcz się kończył. Rano o ósmej odbyła się zwykła narada na komendzie, przy jaskrawych jarzeniówkach, których światło raziło zmęczone oczy.

W sprawie morderstw w parku nie było nic nowego. Ten malec udający ważniaka w kurtce pilotce i z wytatuowaną swastyką na ramieniu okazał się niewypałem. Przez dwie godziny koledzy magłowali go, jak mogli, dokładnie wiedząc, że nie prowadzi to do niczego sensownego. I tak się też stało.

W środę po południu, niedługo po wyjściu Georga z komendy, zjawił się jakiś

bezdorny i chciał złożyć doniesienie na mężczyznę, który zagadał go przed knajpą i zaprosił na wódkę. Powiedział, że jest reporterem i że zbiera materiały do serii artykułów o życiu w środowiskach społecznych. Bezdorny był przekonany, że rozmawiał z mordercą. Był gotów pomóc przy stworzeniu portretu pamięciowego, ale dla pewności chciał się najpierw dowiedzieć o nagrodę.

Jego zeznanie spisano, łącznie z opisem reportera, który chyba rzeczywiście takowym był. Mimo że obdzwonienie wszystkich dzienników w powiecie nie przyniosło żadnych dowodów. Prawdopodobnie był to dziennikarz pracujący dla tygodnika, którego te morderstwa zainspirowały do napisania całej serii artykułów. Na pewno da się go jakoś odnaleźć. Tym samym dwóch ludzi z grupy dochodzeniowej wiedziało już, co mają do roboty w nadchodzących dniach.

Dina Brelach opowiedziała w kilku zdaniach, w jaki sposób spędziła środę. Słuchano jej, ale nie traktowano szczególnie poważnie. Jej podejrzenia w stosunku do pani Rasche nie miały solidnych podstaw. Fakt, że ponad dwadzieścia lat po rozwodzie nie okazała żadnego smutku, kiedy dowiedziała się o śmierci swojego byłego, był zrozumiałą. A to, że zamiast tego głośno wyraziła swoją satysfakcję, też nie było zbyt dziwne.

I ta drastyczna uwaga: - Te wszystkie śmieci trzeba by wyplenić. Wcześniej by czegoś takiego nie było. - Mimo że pani Rasche nie przeżyła osobiście tego wspaniałego okresu, który był „wcześniej”, miała bowiem około czterdziestu pięciu lat, zdawała się skłaniać raczej ku prawicy. Czy jak wyraziła to Dina: - Kolor brunatny nie był jej niemiły. - Tego rodzaju ludzi nie brakowało, a niektórzy z nich po prostu otwarcie to wyrażali.

Od czasu do czasu Dina starała się podchwycić spojrzenie Georga i gdy już jej się to udało, zatrzymać je na sobie. Czuła ogólny brak zainteresowania i szukała kogoś, kto dałby się przekonać, że kochające matki są zdolne do wszystkiego. Że pod wpływem niewłaściwie pojętego poczucia odpowiedzialności mogą zmienić się w bestie. Zamordować nie tylko raz, ale od razu kilka razy. Ponieważ albo były zdania, że generalnie mają do czynienia z robactwem, albo tylko dlatego, żeby ten jeden mord nie rzucił się w oczy, by chronić własną osobę. W przypadku morderstw seryjnych żaden policjant nie doszukiwał się osobistych motywów zbrodni wśród bliskich.

Dlaczego Dina Brelach chciała przekonać właśnie jego, byłoby kolejną fascynującą kwestią. Ale tego pytania Georg sobie nie zadawał. Był zmęczony, prawie wcale nie spał tej nocy. Za każdym razem, kiedy już miał zasnąć, pytające „Duszko?” na nowo stawiało go na równe nogi.

Po naradzie miał kupę papierkowej roboty. Nie mógł się skupić, czuł się jakby

rozdwojony. Jedna połowa drżała jeszcze pod wpływem ciosu, który zadała mu „Duszka”, i idąca za tym pewność co do stanu faktycznego. Przez pół nocy zadawał sobie pytanie, czy Betty akurat teraz nie zajmuje się osładzaniem swojemu leśnemu sprinterowi bólu rozstania. I ciągle na nowo powtarzał sobie, że Lehnerer dawno już musiał leżeć u boku swojej ślubnej, jeśli nie chciał ryzykować rodzinnego szczęścia.

Druga połowa starała się brać rzeczy takimi, jakie są. „Śniłem o białych rumakach...”. Albo wyczekiwać soboty. Na niej skupiały się wszystkie jego nadzieje. Wtedy się pokaże, kto ma lepsze karty. Żonaty kochanek mógł mieć swoje zalety, jeśli się było związanym i miało obowiązki wykluczające rozstanie. Jeśli się było wolnym, to sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

O wpół do dziesiątej pojechał do instytutu medycyny sądowej. Był kilka minut za wcześnie. Podczas gdy asystent sekcyjny przygotowywał zmarłego i otwierał czaszkę, starszy z dwóch lekarzy sądowych, którzy mieli przeprowadzić sekcję, wykorzystał czas, by trochę pogawędzić, samemu dowiedzieć się o kilka szczegółów i przedstawić dotychczasowe wyniki.

Kilka badań przeprowadzono zaraz po dostarczeniu ciała. Jako świadek posłużył młody policjant, który na terenie koło chaty zabezpieczył dowody i zrobił kilka zdjęć.

Herbert Theissen nie zmarł dopiero o północy, ale dwie do trzech godzin wcześniej, a więc pomiędzy dziewiątą a dziesiątą wieczorem. W momencie zgonu Theissen miał dokładnie cztery promile alkoholu we krwi. Oszalamiająca liczba, ale w żadnym wypadku nie niepokojąca.

Georg zakładał, że Theissen opuścił dom około szóstej. Tak na oko mógł mieć wtedy trochę powyżej trzech promili. Tym samym mógł jeszcze prowadzić, wszystko to tylko kwestia przyzwyczajenia.

- W ostatnim tygodniu mieliśmy tu jednego - powiedział lekarz - który zginął na autostradzie, mając dwa koma osiem promila. Według zeznań świadków jego styl jazdy w ogóle nie odbiegał od normy. Tylko jego zdolność reakcji pozostawiała wiele do życzenia, kiedy ciężarówka przed nim zajechała mu drogę. Jak daleko dojechał jeszcze ten tutaj?

- Dobrych dwadzieścia kilometrów - powiedział Georg.

- To niedużo dla dobrego wozu - stwierdził lekarz sądowy. A to, czy Theissen, zaczynając jazdę, nie miał w żołądku żadnej, czy miał już pięć, sześć albo dziesięć tabletek, nie odgrywało najmniejszej roli. W tak krótkim czasie od chwili zażycia lek nie mógł jeszcze zacząć działać.

- Ktoś, kto chciałby popełnić samobójstwo za pomocą paramedu - wyjaśnił lekarz

sądowy swobodnym tonem pogawędki - musiałby zarezerwować sobie cały weekend. U nas to rzadkie przypadki, częściej zdarzają się w Anglii. Synowa królowej, niech Bóg ją ma w swojej opiece, podobno także tego próbowała.

Synowa królowej nie interesowała Georga. Lekarz sądowy opisał działanie tabletek o wiele obszerniej, niż mógłby to uczynić lekarz domowy. Mdłości, wymioty, gorączka, zawroty głowy, pocenie się, zaburzenia krzepnięcia krwi, aż po rozpad wątroby.

Brazowy odcień skóry Herberta Theissena, który wydał się tak dziwny Dinie Brelach, okazał się oznaką początków żółtaczk, skutkiem uszkodzenia wątroby i zatrucia. W połączeniu z błękitnym odcieniem, spowodowanym przez brak tlenu, powstał tak zdrowy, sprawiający wrażenie opalenizny kolor.

Nie było żadnych zewnętrznych obrażeń, nawet najmniejszego otarcia skóry, obrzmienia, nawet najmniejszej wybroczyny. Wszystkie części ciała, które mogłyby ucierpieć przy upadku, były nienaruszone.

- Nie był to zwykły upadek - powiedział na to lekarz sądowy. Odzywał się zawsze ten starszy. Młodszy pracował w milczeniu. Również Georg na razie zachowywał milczenie, wspominając plamy od trawy na nogawkach, na które zwróciła uwagę Dina Brelach, wskazujące na to, że Theissen musiał się kawałek czołgać. Pewnie ostrożnie uniósł się na kolana, kiedy już nie mógł stać wyprostowany.

Tymczasem otworzono już klatkę piersiową. Tego, co robili dwaj lekarze sądowi, Georg dokładnie nie widział, i nawet nie chciał widzieć. Gdy to było możliwe, trzymał się nieco z tyłu podczas takich akcji. Trzeba było przy tym być, ale nie było konieczne oglądanie tego z bliska. Serce, płuca, wątroba, przełyk. Słyszał, jak obaj mężczyźni cicho ze sobą rozmawiają. Trochę fachowej chińszczyzny. Zaawansowana marskość wątroby. Żyłakowate żyły. Aspiracja. Potem ten starszy odwrócił się w jego stronę.

- On nie utonął. Tak też sobie od razu pomyślałem. Byłem tylko trochę zbity z tropu, bo powiedział pan, że leżał twarzą w wodzie. Naturalnie dokładnie to sobie jeszcze obejrzymy, ale nie sądzę, żeby po badaniach mikroskopowych zmieniło się coś w orzeczeniu. Miał silny krwotok przełyku, był nieprzytomny, wdychał krew i część zawartości żołądka, ale żadnych stałych substancji, tylko płyn.

W pierwszej chwili było to tylko jakby świerzbiecie w brzuchu. Georg przypomniał sobie przesączoną krwią kałużę koło drzwi kierowcy, kęs chleba i tłustą plamę na udzie Theissena. - Czy dusząc się, mógł się doczołgać do stawu oddalonego o blisko czterdzieści metrów?

Młodszy lekarz sądowy potrząsnął głową, obarczając go spojrzeniem sugerującym, że

nigdy nie spodziewałby się takiej głupoty po doświadczonym funkcjonariuszu służb kryminalnych. Starszy krótko się roześmiał. - Nie dałby rady zrobić nawet metra. Powiedziałem przecież, że był nieprzytomny.

- To by oznaczało - powiedział, nie dowierzając i nie pojmując tego, Georg - że ktoś go położył w stawie, kiedy już był martwy!?

- Czy ktoś go gdzieś położył, tego naprawdę nie jestem w stanie panu powiedzieć - odparł lekarz sądowy. - Nie jestem jasnowidzem. Ale to, że był już martwy, kiedy znalazł się twarzą w wodzie, dam panu na piśmie. Protokół z sekcji wyjdzie jutro rano. Otrzyma pan kopię.

- Chwileczkę - powiedział Georg - chwileczkę. Czy mógłby mi pan przynajmniej mniej więcej powiedzieć, kiedy stracił przytomność?

To już nie grało żadnej roli. Pytał tylko dlatego, że było to tak niesamowite i sam musiał się najpierw oswoić z tą myślą. I ze wszystkimi pozostałymi, które błyskawicznie zjawily się po niej. Ktoś go położył w stawie. Ktoś! Od razu mógłby wymienić jego imię. W grę wchodziła tylko jedna osoba.

- Przy czterech promilach? - Starszy lekarz spojrział na młodszego, jakby oczekiwał odpowiedzi. Kiedy młodszy wiele mówiącym gestem wzruszył jedynie ramionami, powiedział: - Trudno powiedzieć. Każdy normalny obywatel, który tylko od czasu do czasu pozwala sobie wypić kieliszek, byłby przy czterech promilach pogrążony w letargu. W jego przypadku nie mogło być zupełnie inaczej. Prawdopodobnie zawartość alkoholu była pierwotnie nawet nieco wyższa. Kiedy, mówi pan, wyszedł z domu?

- Koło osiemnastej.

- Na sto procent?

Georg tylko skinął głową.

- Tak - powiedział powoli lekarz - to by były jeszcze trzy czy cztery godziny. A butelka była jeszcze w trzech czwartych pełna, jak pan powiedział. Wódka. Mógł jej jeszcze poświęcić chwilę uwagi. Jak najbardziej mógł być jeszcze mobilny przez godzinę czy dwie, był przecież facetem zaprawionym w bojach. Ale kiedyś musi nadejść koniec, nawet dla kogoś, kto normalnie chla litrami. Kiedy się już przewrócił, to leżał. Nic by go zbyt szybko nie przywróciło świata. Zależy, o której wlał w siebie resztę. O tym powinna powiedzieć nam dokładniej analiza treści żołądka. W organizmie nie było stałego pokarmu, jak już mówiłem. Przy pustym żołądku najwyższy procent alkoholu osiąga się dziesięć, góra do dwudziestu minut po ostatnim łyku. Ale wszystko to otrzyma pan jutro, i to dokładnie. Zgoda?

Nie miał innego wyjścia, więc skinął głową i się pożegnał. Czuł się niemal tak, jak

musiała się czuć Dina, wyliczając niedowierzającym słuchaczom, co jej zdaniem przemawiało przeciwko pani Rasche.

W drodze powrotnej na komendę szumiał mu w głowie głos Diny. „Musiał tu przylecieć”. To raczej nie, ale zostać przyniesiony. Był wściekły na siebie, że już o wiele wcześniej nie wziął pod uwagę takiej możliwości. Był jeszcze bardziej wściekły, kiedy pojął, co to ostatecznie będzie oznaczać, kiedy pisemny raport pokryje się z tym, co właśnie usłyszał.

Usiłowanie zabójstwa - w stosunku do martwego człowieka!

Na tak głupiego wcale nie wyglądał nasz pan prokurent. Ale w pośpiechu i zdenerwowaniu - Lehnerer to zrobił, wszystko za tym przemawiało. Pierwszy powód do podejrzeń! Wzrost i waga Theissena. Dźwiganie dziewięćdziesięciu dwóch kilo po okolicy było nie lada wyczynem. Tu trzeba było mieć niezłą kondycję. Drugi powód! Motyw. Bliski przyjaciel domu, odpowiedzialny współpracownik firmy, oddany kochanek, który rzekł sobie, że trzeba skorzystać z nadarzającej się okazji i złapać byka za rogi. Trzeci powód! Wykład lekarza domowego na temat powolnej śmierci. To wszystko było takie proste.

Thomas Lehnerer miał wszelkie powody do usunięcia Theissena ze swej drogi. Miał też po temu możliwość. Był, jak sam przyznał, przez kilka godzin sam w drodze. I znał też, to również jego słowa, kilka miejsc, gdzie warto było szukać.

Gdyby jednak poszedł z tym do prokuratora, ten by go wyśmiał. Potrzebował chociaż najmniejszej iskry życia w protokole z sekcji, nawet gdyby to miał być ostatni płomyczek, właśnie dogasający. Potrzebował jednego maleńkiego glonu krzemowego w drogach oddechowych Theissena.

Georg widział w swoim życiu więcej niż jeden protokół z sekcji topielca. I obojętne, gdzie utonęli, w potoku, rzece czy stawie, zawsze znajdowano w ich płucach dostatecznie dużo tych szkielecików zbudowanych z kwasu krzemowego. Ich obecność można było stwierdzić jedynie pod mikroskopem. Na to miał teraz nadzieję. Okrzemka było czarodziejskim słowem, które robiło z tej sprawy morderstwo.

Pierwsze, co zrobił po wejściu do biura, to sięgnął po telefon. Połączył się z komisją badań technicznych i polecił, by zbadano odciski palców na lamborghini. Niewiele sobie po tym obiecywał. Lehnerer nie musiał dotknąć samochodu. Drzwi mógł jeszcze otworzyć sam Theissen. A potem wypaść na bok, tak że Lehnerer miałby go tylko podnieść z trawy. Ale gdyby go niósł, to Herbert zostawiłby ślady na dresie Lehnerera.

Ubranie Theissena znajdowało się jeszcze w instytucie medycyny sądowej. Nie było konieczności posyłania go do laboratorium kryminologicznego do Dusseldorfu. Teraz się

takowa pojawiła. Georg polecił zrobić także to badanie, główną uwagę należało przy tym zwrócić na ślady włókien.

Nie do końca był spokojny i zadowolony, kiedy to zlecił. Za dobrze wiedział, że nie na wiele się to zda. Usiłowanie zabójstwa na zmarłym! I to jeszcze na takim, który za życia głośno oznajmił, że ma dość. Dobry adwokat zrobiłby z tego, nawet gdyby znalazły się okrzemki, próbę pomagania w samobójstwie. Ale nad tym niech sobie łamie głowę prokurator. Lehnerer nie wyjdzie z tego bez kary. W każdym razie Georg zamierzał się o to postarać.

Sprawić, by ziemia paliła mu się pod stopami, jak to tylko możliwe. Odsunąć go, tego konkurenta, tego rywala. I nawet jeśli to po stokroć byłaby prywatna sprawa, to Georg miał prawo za sobą. A ją przed oczami.

Późnym popołudniem zadzwoniła Betty, tak jak jej polecił. Zaraz się zabrał do szukania Diny. Kosztowało go to kilka rozmów telefonicznych i trochę bieganiny. Przyniosło mu też kilka pozbawionych zrozumienia spojrzeń kolegów. Czego on chciał od tego nieopierzonego pisklaka? Chyba umiałby sam nagrać zeznania wdowy po samobójcy. W tej sprawie wszystko było przecież jasne.

Nic nie było jasne. Miała romans z Lehnererem, dowodziła tego „Duszka”. Zalewała go zółć, gdy tylko pomyślał o tym leśnym sprinterze. I nie wiedział, jak ma z nim postąpić, gdyby lekarz sądowy miał rację ze swoją pierwszą diagnozą.

Usiłowanie zabójstwa na zmarłym! Ale pozostawała zła wola. W poniedziałek pan prokurent był dosyć zdenerwowany, w każdym razie na początku, potem nie. Wtedy już dokładnie wiedział, że nie ma powodów do zdenerwowania, w każdym razie tak sobie pomyślał. Pytanie brzmiało: czy i ona już o tym wiedziała? A jeśli wiedziała, to co o tym sądziła? Czy była gotowa nagrodzić Lehnerera za jego starania? Przykro mi, Georg, ale mam już inne zobowiązania. Z pewnością to zrozumiesz. Przecież wiesz, jak mi zależało na tym, żeby pozbyć się męża. A nasz drogi Thomas załatwił dla mnie tę sprawę.

Błąd, duszko! Sprawa już wcześniej sama się załatwiła. A nasz drogi Thomas wpakował się tylko w gówno. I z tego ukręcę dla niego uroczy stryczek.

Czekając na nią po jej telefonie, był prawie zdecydowany powiedzieć, że muszą odłożyć swoją kolację. Poczekać, aż skończy się dochodzenie. A potem zobaczyć, jak ona to potraktuje. Kiedy jednak weszła, zajęła miejsce za jego biurkiem, jego decyzja jakby rozplynęła się w powietrzu.

Perfekcyjny makijaż, tak perfekcyjny, że można by pomyśleć, iż w ogóle się nie umalowała. Wszystko sprawiało tak naturalne wrażenie, nawet srebrnoszare cienie do powiek

i dojrzała czerwień pomadki. Miała na sobie prosty ciemny kostium. Nie czarny, a jej spódnica nie była dosyć długa, by wzbudzić choćby złudzenie żałoby.

Nie pokazywała po sobie ani swojego zdenerwowania, ani tysięcznych obaw, które ją gnębiły, ani myśli, jakie przebiegły jej przez głowę na widok młodej kobiety u jego boku, ani wniosków, jakie usiłowała wyciągnąć z obecności Diny Brelach. Siedziała tam jak uosobienie wszelkich tęsknot i marzeń, założywszy niedbale nogę na nogę, ręce trzymając swobodnie na kolanach. Szczupłe dłonie, lewa owinięta świeżym, śnieżnobiałym bandażem, prawa zadbana, bez żadnej biżuterii.

Nie udało mu się uniknąć wizji, jakby to było, gdyby jedną z nich musnęła mu kark, gdyby obydwoma mocno go objęła. Mała damska torebka zwisała jej z ramienia na rzemyku. Była to torebka z jej szafy. I natychmiast ujrzał oczyma duszy obie kupki bielizny, czarne koronki, białe koronki i jej spokojną, opanowaną minę.

Chłodnym, rzeczowym tonem powtórzyła najistotniejsze punkty. Tak więc i Dina miała przyjemność poznać prawie kompletną wersję jej historii i żadne miejsce nie wzbudziło jej nieufności. A jak mogłoby być inaczej, skoro wersja ta musiała odpowiadać faktom! Na jej oczach się otruł, a przynajmniej tym groził. Uczyniła wszystko, by temu zapobiec. Naprawdę nie była w stanie zrobić nic więcej. A potem leżała nieprzytomna, nawet nie mogła dokładnie powiedzieć, czy jej mąż natychmiast wyszedł z domu, czy trochę później.

To był ten punkt, z którym Georg wiązał swoje nadzieje. Wprawdzie zeznała to już raz w poniedziałek, tyle że wtedy nie przywiązywał do tego żadnego znaczenia, a potem o tym zwyczajnie zapomniał. Ale żona Lehnerera nie słyszała odgłosu silnika! Teoretycznie powinna była usłyszeć go przez telefon, gdyby Theissen wybiegł i natychmiast odjechał.

Załóżmy tylko, że Theissen nie wyszedł natychmiast z domu! Że usiadł w fotelu i pił dalej, połknął tabletki, stracił przytomność. A wtedy wszedł jego najlepszy przyjaciel. Jak zwykle o siódmej. Od frontu nikt mu nie otworzył, więc obszedł dom. Szklana ściana od strony tarasu pozbawiona była firanek. Lehnerer zobaczył, co się dzieje w środku. I rozbił drzwi wiodące na taras.

Ją zostawił leżącą koło stolika, możliwe, że z krwawiącym sercem. Dlatego potem tak się o nią troszczył. „Co z tobą, Betty? Jak się czujesz?”. Ale najpierw ważniejsze było zabicie najlepszego przyjaciela. Lehnerer musiał natychmiast zauważyć, jaka to dla niego szansa. Popęłnił tylko ten błąd, że nie od razu wrzucił go do stawu.

Lehnerer wrócił, zachowując tyle zimnej krwi, by najpierw pobiec do swojego domu. A potem do niej. Razem godzina na dojazd do chaty, wciągnięcie Theissena na fotel kierowcy, zatarcie własnych śladów, bieg powrotny. Szosą? Gdzie mogłyby go zobaczyć dwa

czy trzy tuziny kierowców? Na pewno była też droga przez las. To było do sprawdzenia.

A teraz tylko założmy! Tak mogło przecież być. A potem Lehnerer musiał wysłuchać opowieści o tym, że proces umierania jego najlepszego przyjaciela może jeszcze trochę potrwać. Georg dokładnie pamiętał przestach na twarzy Lehnerera. Jego ociąganie, kiedy Betty błagała go, żeby wziął udział w poszukiwaniu jej męża. Chyba się trochę przestraszył, nasz leśny sprinter, bo nie wyruszał sam na poszukiwania.

A późniejsze opowiadanie Betty o tym wyczynie nie bardzo było możliwe. W końcu Lehnerer igrał z jej życiem, gdy ją tak zostawił leżącą koło stolika. Możliwe, że Betty nie wiedziała o niczym. A więc on mógł się z nią wybrać na kolację.

Gdy podpisała swoje zeznania, pożegnała go uściskiem ręki i uśmiechem, który nie był niczym więcej niż cieniem uśmiechu. W przypadku Diny był o ton cieplejszy. Ale w jego przypadku był jakby trwożliwym pytaniem. To mu dodało nowych sił.

Przy drzwiach odwróciła się jeszcze raz i powiedziała ponownie: - Do widzenia. - I to było wszystko, ale wystarczająco dużo. Georg potrafił z uśmiechu i paru słów wyczytać tak wiele, że resztę sam sobie dopowiadał. Miejsce pomiędzy lustrami miał zapewnione, przynajmniej na sobotę. A potem się zobaczy.

Kiedy Betty zamknęła za sobą drzwi, Dina nadeła policzki, złożyła usta w dzióbek i powoli wypuściła przez nie powietrze. Wyglądała, jakby chciała zagwizdać. Ale powiedziała tylko: - Szkoda, że nie miałam martini, nie potrzebowałabym już do niego dodawać lodu. Ależ ona jest ulepiona z tej samej gliny co ta Rasche, tyle że zdecydowanie lepiej wygląda. Ta twarz! Aż jestem zazdrosna.

Dina uśmiechnęła się krzywo, obserwując go. - A pan tu siedzi jak sztywny kloc. Czy pan właściwie nigdy nie dostrzega, że jest pan mężczyzną, kiedy ma pan do czynienia z kobietą?

- Owszem - odparł, zabrzmiało to wręcz wesoło, naprawdę radośnie i beztrąsko - od czasu do czasu to dostrzegam.

Dina nadal się uśmiechała. - No to nie wszystko jeszcze stracone.

W piątek rano dostarczono mu najpierw raport z ich własnych badań kryminologicznych. Nadające się do odczytania odciski palców tylko jednej osoby na drzwiach kierowcy i kierownicy lamborghini. Odciski na górze kierownicy były zatarte. W dolnej części były wyraźne. Jak gdyby Theissen przez pewien czas kierował samochodem tylko koniuszkami palców trzymanymi na dole kierownicy. Może uważał taki sposób prowadzenia za sportowy styl jazdy.

Tego, czy Lehnerer był przy czy nawet w samochodzie, nie dało się dowieść na podstawie odcisków palców. A wszystko inne trzeba było wziąć pod lupę, tak jak to ubranie w Dusseldorfie. Nie było tego wiele. Lamborghini miał skórzane fotele. Specjaliści od zabezpieczania śladów znaleźli tylko kilka włosów, kilka włókien i trochę brudu pod matami podłogowymi.

Na krótko przed południem dotarły wyniki sekcji. Na piśmie brzmiało to o wiele bardziej trzeźwo niż w mowie. Przyczyna zgonu, liczba promili, moment zgonu to były ustalone fakty. Nie dało się stwierdzić glonów krzemowych w drogach oddechowych Theissena. Tym samym ostatecznie stwierdzono, że nie mógł utonąć.

Podobnie ustalono, że co najmniej cztery godziny przed śmiercią wypił ostatnie łyki wódki. To samo dotyczyło ostatniej tabletki paramedu. Plus minus pół do godziny tolerancji czasowej. W przypadku godziny to wystarczało, pokrywało się jeszcze z jej zeznaniem. Nie wykluczało też faktu, że Theissen sam pojechał pomiędzy szóstą a wpół do siódmej do chaty, gdzie wlał w siebie ostatnią kroplę wódki. Wkrótce potem musiał stracić przytomność.

Poza wódką w ostatnim dniu życia delektował się jeszcze półtuzinem innych wysokoprocentowych alkoholi. Stały pokarm spożył, jak się zdaje, jedynie w małych ilościach i we wczesnych godzinach porannych. W samym żołądku dało się stwierdzić poza różnorodnymi alkoholami i resztkami leku wyłącznie ślady herbaty rumiankowej i krwi. Krew pochodziła z uszkodzonych żył przełyku.

Nie było tego wiele. Praktycznie prawie nic. Przewożenie martwego osobnika z jednego miejsca w drugie nie było karalne. Ale wywiezienie umierającego na łono natury, to już wyglądało inaczej. Georg udał się z dokumentami do prokuratury. Dobitnie wykazał, że lamborghini nie jest potrzebny do dalszego śledztwa i że również zwłoki mogą już zostać wydane. Potem przeszedł do zasadniczego punktu.

Teoria o wiernym i oddanym współpracowniku, który z troski o firmę około siódmej wieczorem zagląda do szefowej i wykorzystuje nadarzającą się okazję, nie przekonała prokuratora. Z perspektywy Thomasa Lehnerera nie było w domu Theissena niczego, co by wskazywało na samobójstwo, stwierdził. Żadnego listu pożegnalnego! Puste opakowanie po lekach na stoliku kobiety, która kilka godzin wcześniej narzekała na ból głowy. Lehnerer musiał założyć, że Betty Theissen zażyła ostatnie tabletki z tego opakowania. A pusta butelka w dłoni nieprzytomnego człowieka, którego pijaństwo było mu znane, była także jednoznaczną sprawą. Jeśli Thomas Lehnerer chciałby w tej sytuacji wykorzystać szansę, to musiałby natychmiast wrzucić do stawu Theissena, nieprawdaż?

Argumentacja prokuratora miała siłę przekonywania. Jako kontrargument Georg

mógłby tylko przedstawić zmarłego ze skrzydłami, które musiałyby go przenieść czterdzieści metrów dalej. Prokurator potraktował tę sprawę jak najbardziej poważnie, tyle że sytuacja prawna była nieco kuriozalna. - Potrzebujemy przynajmniej jednego dowodu, że Lehnerer był tam, w lesie.

- Nie ma obawy - obiecał Georg - znajdę ten dowód. Przecież wystarczy kilka szarych nitek na garniturze Theissena. Ale do porównania będę potrzebował dresu, który Lehnerer miał na sobie w poniedziałek.

Prokurator potrząsnął głową. - Nie przy takiej liczbie dowodów, jakimi na razie dysponujemy. Poczekajmy na raport z laboratorium.

- A jeśli do tego czasu się go pozbędzie?

- A po co miałby to robić, skoro nie wie, że ma go pan na oku? Czy może już go pan wziął w obroty?

- Nie - powiedział Georg. Na tym rozmowa się zakończyła.

Późnym popołudniem do komendy przysłała matka Theissena. Przesłano ją do jego biura, podano też jego nazwisko jako funkcjonariusza prowadzącego sprawę, ale nazwisko chyba niewiele jej powiedziało. Weszła przez drzwi tak samo dumna i wyprostowana jak we wtorek do salonu w swoim domu. I zaraz przy drzwiach przystanęła, wpatrzona w Georga, rozpoznała go.

- Nie będę z panem rozmawiać! - Krótko i zwięźle. Potem jednak zdobyła się jeszcze na dalsze wyjaśnienie. - To by było absolutnie bezsensowne. Był pan u niej we wtorek. Chcę pomówić z funkcjonariuszem, który jest bezstronny.

Mógłby ją pouczyć, że ma do wyboru albo on, albo nikt, jeśli chce powiedzieć coś ważnego. Nie był jednak w stanie. Widział ją jeszcze, jak leży przed nim na podłodze, jak siedzi w fotelu, bijąc pięściami w jego poręcz. Miał jeszcze w uszach jej jęki. Nie potrafił postąpić inaczej, niż być uprzejmym. - Wolalaby pani porozmawiać z moją koleżanką?

- Z kobietą? - Nadal wpatrywała się w niego wrogo i lekceważąco. Kiedy skinął głową, stwierdziła: - Z kobietą w każdej chwili.

Zadzwoił po Dinę Brelach. Na szczęście była w budynku. Potrwało tylko kilka minut, nim ją odnaleziono i przysłano do jego biura. A przez ten cały czas matka Theissena stała przy drzwiach, nie podeszła ani o centymetr bliżej do biurka, mimo że kilkakrotnie proponował jej tam miejsce.

Kiedy Dina weszła do pokoju, Georg oznajmił: - Jeśli pani woli, to zostawię panią teraz samą z panią Brelach.

- Jeśli o mnie chodzi, to może pan zostać. Nie przeszkadza mi, jeśli będzie się pan

przysłuchiwał rozmowie. I tak nie mam zbyt wiele do powiedzenia.

Tak więc pozostał. Matka Theissena chciała najpierw wiedzieć, jak daleko posunęło się dochodzenie. Dina Brelach upewniła się krótkim spojrzeniem, jak się sprawy mają. Ponieważ wzruszył tylko niewyraźnie ramionami, więc odpowiedziała: - Nie dysponujemy jeszcze wszystkimi faktami.

Matka Theissena skinęła głową. - Wiem. Będą państwo mieli wszystkie fakty dopiero wtedy, kiedy będzie zeznanie jego żony.

- Zeznanie mamy już zaprotokołowane - wyjaśniła Dina Brelach. Georg się nie wychylał.

Matka Theissena roześmiała się krótko i lekceważąco. - Mają państwo na myśli zeznanie Betty. Mogłam się domyśleć. Ale Betty już od lat nie była jego żoną. Ona nią była.

Przy ostatnich słowach wyjęła z torebki kartkę, podsunęła ją przez stół Dinie i zażądała: - Niech państwo z nią porozmawiają. Jeśli państwo tego nie uczynią, od razu pójde do prokuratora. Złożę na państwa skargę.

Georg spodziewał się bezpośredniego oskarżenia wymierzonego przeciwko Betty, ale do tego nie doszło. Na kartce był adres i nazwisko, Eugenie Boussier. - Spotkają się z nią państwo wieczorem - oznajmiła jeszcze matka Theissena, idąc już do drzwi. - W ciągu dnia raczej nie. Wtedy pracuje, a nie wiem dokładnie gdzie.

Piątkowy wieczór jako możliwy termin rozmowy z Boussier natychmiast w myśli skreślili. Dina chciała się zająć resztą rodziny Rasche, porozmawiać z córką. A Georg nie chciał samotnej konfrontacji z ostatnią przyjaciółką Theissena. Uważał to za niewskazane.

W weekend zastaliby pewnie Eugenie Boussier pod wskazanym adresem. Tyle że na weekend mieli już inne plany. Jeszcze zanim Georg zdążył zasugerować, że od czasu do czasu potrzebuje trochę prywatności, Dina zapytała: - Moglibyśmy załatwić to w poniedziałek? W przeciwnym razie musiałby pan sam pojechać do tej kobiety.

- Starczy w poniedziałek - odpowiedział. - I tak czekam jeszcze na raport z laboratorium kryminologicznego landu, a on dojdzie pewnie najwcześniej w połowie przyszłego tygodnia.

Dina Brelach była zdziwiona. - Ma pan jakieś wątpliwości?

Skinął głową, wskazując na róg biurka, gdzie leżała cienka teczka z obydwooma raportami i zeznaniem Betty Theissen.

Dina zagłębiła się w raportach, starannie je przestudiowała, po czym stwierdziła: - Ale numer! A czy ja od razu nie mówiłam, że jego buty są za czyste?! - Potem spytała: - Ma już pan jakiś pomysł, kto go mógł tam zanieść?

Georg miał więcej niż pomysł i jakoś zamierzał tego dowieść, jakkolwiek.

ROZDZIAŁ 6

Pół soboty Georg spędził na komendzie - wraz z Diną w swoim biurze, nad aktami dochodzeniowymi w sprawie morderstw w parku. Mimo że Dina przez pół nocy męczyła się w dyskotecce, sprawiała świeże i rześkie wrażenie.

W piątkowy wieczór śledziła córkę Jensa-Dietera Rasche i jej chłopaka, poświęciła swój wolny czas, bo nie miała oficjalnego polecenia służbowego. Trwała przy swoich podejrzeniach z podobnym zapałem czy szaleństwem, z jakim Georg trzymał się Thomasa Lehnerera. Jednak w przeciwieństwie do niego Dina mogła poszczycić się sukcesami. W każdym razie ona je tym mianem określała.

Udało jej się podsłuchać rozmowę obserwowanych osób. Poza tym zaobserwowała dwie sceny ze znajomymi, w obu wypadkach młodymi mężczyznami, z których jeden miał rzucający się w oczy strój. Radykalna prawica! To z nim chłopak córki Raschego rozmawiał o Tonim. Śmieszne, ale i ten małaolat, którym zajęli się koledzy w środę, też miał na imię Toni. Dina poczuła się teraz na świeżym tropie.

Koledzy wydzwaniali jeszcze, szukając reportera, który chciał zaprosić na wódkę bezdomnego. Dina szukała w zeznaniach świadków wskazówki, czy albo Toni, albo reporter pojawiali się tam już wcześniej. Oczywiście nie było żadnych bezpośrednich świadków czynu, tylko kilku mężczyzn, którzy znali te cztery ofiary, jeszcze na parę godzin przed śmiercią byli z nimi razem i wspólnie pili. Georg czterokrotnie zakrztusił się na widok liczby ich promili.

Pełni aż po kołnierzyk, to zdanie na dobre utkwilo mu w głowie. W przypadku Herberta Theissena lekarz sądowy powstrzymał się od podobnej uwagi. A przecież żaden z tych miejskich włóczęgów nie miał takiej zawartości alkoholu we krwi, jaką stwierdzono u Theissena. A mimo to byli bezradni, bezbronni, zupełnie zdani na cudzą łaskę.

Georg nie chciał się tym zajmować. Morderstwami w parku owszem, ale nie Theissenem. Nie tego dnia, którego zakończenie wywoływało już u niego drżenie w łydźwiach. Tyle że stale musiał do tego powracać.

Butelka wódki dla Herberta Theissena!

I irlandzka whisky dla Jensa-Dietera Rasche, Tullamore Dew w kamiennym dzbanie. W przypadku trzeciej ofiary był to Chivas Regal, drugiej Ballantine's, pierwszej zwykły Johnnie Walker. Tullamore Dew był zdecydowanie najdroższą lurą z tych wszystkich czterech marek.

- On coraz bardziej się w to angażuje - stwierdziła Dina. To, że użyła męskiego zaimka, nie miało tu najmniejszego znaczenia. Może po prostu nie chciała znowu denerwować Georga. - Za każdym razem coraz więcej wydaje na swoją rozrywkę. Jeśli zechce zostać przy whisky, to będzie miał teraz poważny problem. Ale może Tullamore to był już finał.

Irlandzka whisky wyprowadziła ją z równowagi. - Ta Rasche miała to też u siebie w domu. Stał tam na komodzie taki otwarty dzban, na tacy z czterema kieliszkami. Za każdym razem się uśmiechała, kiedy tam spoglądałam, jakby chciała powiedzieć, a teraz mi czegoś dowiedź. Ona sama nie pije, powiedziała mi to. Ale gdyby przyszli goście, chciałaby ich czymś podjąć. Przecież ona nie utrzymuje żadnych kontaktów, kto miałby ją odwiedzać?

Tego Georg nie wiedział. Nie wiedział też, gdzie i z kim ma spędzić sobotni wieczór. Niejasne uczucie gdzieś we wnętrzu mówiło mu, że byłoby zdecydowanie lepiej dla niego, gdyby odwołał spotkanie z Betty Theissen. Sprawy zawodowe mogłyby być dobrą wymówką, nawet całkiem naturalną. W końcu wiedziała, że należy do komisji specjalnej. A że przy wyjaśnianiu morderstwa robienie nadgodzin było na porządku dziennym, że wolne wieczory i weekendy były skreślane, to z pewnością byłby jej w stanie wytłumaczyć.

Niedzielnny wieczór był zaplanowany zawodowo. Miał na kilka godzin dotrzymać towarzystwa Dinie. Śledzenie pani Rasche, przynajmniej tyle udało się wytargować Dinie od szefa komisji specjalnej. Wprawdzie nikt tak poważnie w to nie wierzył, ale co to szkodziło. Po prostu trzeba było uwzględnić coraz krótsze odstępy czasu pomiędzy kolejnymi morderstwami. Każdego dnia mogło się to znowu powtórzyć. Kto by w tej sytuacji miał ochotę narazić się potem na wyrzuty, że nie potraktował poważnie pewnego tropu?

Georg chciał najpierw zaprotestować przeciwko temu poleceniu, ale szybko doszedł do innego wniosku. Może sobotni wieczór będzie całkowitą klapą; tak jak się obecnie czuł, nie był w stanie całkiem tego wykluczyć. Wtedy byłby wdzięczny za coś innego, co by mógł robić następnego dnia.

Nie dało się odegnąć upartych myśli. Butelka wódki! Dla Lehnerera miała tylko resztkę sherry. Nie mógł z nią iść na kolację. A leżenie z nią pośród tych wszystkich luster w ogóle nie wchodziło w grę. Wszystkie te puste butelki w barku. I kanapki z pomidorem. Brak pieniędzy w domu! Nic dziwnego, jak się miało w domu pijaka i hazardzistę. Ale pełna

butelka wódki znalazła się mimo wszystko, kiedy była potrzebna! Dziwne, na jakie myśli naprowadziły go akta morderstw w parku. Płynące z tego wnioski nie były dziwne, tylko przerażające.

O czwartej skończył pracę i pojechał do domu, do tej nędznej rudery. W pełnym wątpliwości oczekiwaniu nadchodzących godzin wszystko sprawiało jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. Może zostać w domu? Był jeszcze czas, żeby odwołać spotkanie. Nie dał rady, raz tylko sięgnął po słuchawkę telefonu. Ale to maleńkie mieszkanko nie było domem, tu nie mógł nawet pochodzić nerwowo w tę i z powrotem. A ona osaczyła go jakby siecią.

Obecność butelki wódki dałoby się wytłumaczyć na tysiąc niewinnych sposobów. A poza tym nikt mu nie kazał iść z nią do łóżka. Tylko kolacja, zupełnie oficjalnie, z całym szacunkiem. Znowu cofnął rękę od telefonu i zdecydowanym krokiem udał się do tej zapleśniałej dziury, która się nazywała łazienką.

Długi prysznic, tym razem bez pieśni na ustach. Był zbyt zdenerwowany, żeby śpiewać. A ten sen o białych rumakach to było marzenie przeszłości. Teraz w jego głowie straszły widma butelki wódki i kilku szarych nitek. Butelkę siłą wypędził z myśli. Ale tych nitek koniecznie potrzebował, jeśli chciał się dobrać do skóry Lehnerera. Tylko że o tym nie mówił żaden szlagier.

Punktualnie o siódmej zatrzymał samochód przed jej domem. Jej samochód znowu stał zaparkowany na podjeździe. Tak szybko trudno było pewnie zapomnieć o przyzwyczajeniach. Otworzyła mu drzwi, jeszcze zanim na dobre się do nich zbliżył.

Stała przed nim już gotowa do wyjścia. Czarny komplet, wąska spódnica, odsłaniająca tylko kolana, wcięta w talii bluzka z dekoltem w kształcie v, zapięta mniej więcej na wysokości pępka na jeden jedyny guzik. Pod tym miała coś z koronek, również czarnych. Prawdopodobnie body, znał to jeszcze z czasów Soni. Zatrask albo zapięcie na haftki w kroku. Jeśli do tego by doszło, byłoby to wrażenie zapierające dech w piersiach. Na myśl o tym mógł na pewien czas zapomnieć o niejednej rzeczy.

Bandaż na jej lewej dłoni został zamieniony na plaster opatrunkowy. Dowiedział się o tym przy okazji. Nie zostawiła mu nawet czasu na uścisk ręki. Obdarzyła go tym promiennym, otwartym i przyjaznym dziecięcym spojrzeniem, które już w środę go zirytowało, tak zupełnie nie pasowało do jej stroju, ale mimo to dawało mu poczucie, że może to być tylko wieczór z całym szacunkiem. Na razie potrzebował jeszcze tego poczucia.

- Jeśli o mnie chodzi, to możemy iść - powiedziała. - Cały dzień pościłam, żeby apetyt starczył mi na pięć dań.

- A może wystarczą trzy? - spytał. - Nie dostałem już stolika na pięć.

Westchnęła. - Zobaczymy. W razie czego będę musiała zjeść jeszcze potem kanapkę z pomidorem.

- Do tego nie dopuścimy - obiecał jej. - Raczej zrezygnuję z mojego deseru.

Oferował jej ramię, staromodnie czy niezobowiązująco. Betty zamknęła drzwi wejściowe, pozwoliła się sprowadzić po trzech schodkach. Kiedy otworzył jej drzwi samochodu, stwierdziła: - Czułam się nieco głupio, tak stojąc teraz przed lustrem. Nie byłam wcale pewna, czy pan przyjdzie. W ogóle się pan nie odzywał, a w czwartek zdawał mi się pan być bardzo...

Zdystansowany albo z rezerwą, chciała powiedzieć, ale jej przerwał. - W czwartek to było służbowo, teraz jest prywatnie.

Wcale się nie zatroszczył o stolik. Licząc na łut szczęścia, pojechał do restauracji, w której wcześniej często jadał z Sonią. Było jeszcze dosyć wcześnie, żeby nawet bez rezerwacji dostać dobre miejsce.

Ona studiowała menu, a on ją obserwował. Raptem powiedział: - Wczoraj była u mnie pani teściowa.

Obrzuciła go spokojnym spojrzeniem znad karty dań. - Nadal jesteśmy tu prywatnie? Czy może już służbowo?

- Bez obaw - powiedział. - Pomyślałem tylko, że może to panią zainteresuje, jak pani teściowa postrzega tę sprawę.

Interesowało go, jak ona zareaguje na żądanie teściowej i imię Eugenie Boussier, ale tego nie musiał mówić głośno.

Wzruszyła ramionami, zdawała się być niezdecydowana. - Nie wiem, czy mnie to naprawdę interesuje. Ale pewnie powinno. Co się jednak przez to zmieni? Nic. Od paru dni staram się to od siebie odsunąć. Cały czas powtarzam sobie, że nie robi mi to żadnej różnicy. Że wszystko jest dokładnie tak jak zawsze. Nawet gdyby Herbert żył, mogłabym tu tak z panem siedzieć. Jeździłby gdzieś po okolicy, wcale by mu to nie przeszkadzało. W każdym razie nie wierzę, żeby mu to przeszkadzało. Dlaczego by miało przeszkadzać? Nie poświęciłby mi ani jednej myśli. Kto by myślał o maszynach, kiedy jego przyjaciółeczka...

- Eugenie Boussier - przerwał jej.

Rzuciła mu pytające spojrzenie, wzruszając ramionami. - Czy teraz powinnam coś skojarzyć? Przykro mi, ale to imię nic mi nie mówi.

- Pani teściowa jest zdania, że powinniśmy porozmawiać z Eugenie Boussier.

Uśmiechnęła się swobodnie. - Proszę to zrobić, jeśli uważa to pan za konieczne. -

Potem znowu zajęła się studiowaniem menu.

Eugenie Boussier - brzmiało to z francuska albo jak z jakiejś wysepki na Karaibach. Eugenie Boussier była tą kędzierzawą główką, o której wspominał Thomas. Nie widziała tej ciemnoskórej dziewczyny, z którą Herbert zjawił się na kilka minut podczas urodzin brata Margot.

Ale oczywiście znała to imię, często słyszała je od Thomasa. Po raz ostatni w nocy z poniedziałku na wtorek, kiedy Thomas przedstawiał jej swój sposób postępowania i swoją rozważę. Nadal był przekonany, że nie popełnił żadnego błędu i że nikt nie może powziąć podejrzeń. Może i miał rację. W przeciwnym razie ten policjant nie mógłby sobie przecież na to pozwolić, by tu z nią siedzieć. Nie musiała udawać spokojnej, była spokojna. Teraz już tak. Był to wynik logicznych przemyśleń.

W czwartek niemal oszalała. Od dziesiątej wcale nie mogła myśleć. Widziała przed sobą tylko surowe, wyłożone kafelkami pomieszczenie i stół ze szlachetnej stali. Znała to z filmów. Zwłoki na stole, noże, szczypce, piły i czort wie co jeszcze w dłoniach mężczyzn w zielonych kitlach.

Mimo tych wywołujących obłęd obrazów udało jej się doczekać do późnego popołudnia. Potem zadzwoniła do niego, pojechała na komendę, by przestudiować jego minę i tego nieopierzonego pisklaka koło niego. Ściągnął sobie posiłki, to nie wyglądało najlepiej.

Przez cały piątek toczyła wewnętrzne boje, czy ma do niego zadzwonić. Tylko krótko spytać, czy nadal są umówieni. Lepiej nie! Lepiej odczekać, nie narzucać się i z pewnością nie składać przedwczesnych wyjaśnień.

W piątek po południu nadeszła informacja z prokuratury. Wydano ciało, można je pochować, można też odebrać lamborghini. To był chyba dobry znak. Mimo to cała była roztrzęsiona. Sama informacja nie musiała niczego oznaczać, ostatecznie trudno było wiecznie trzymać zarówno zwłoki, jak i samochód.

Wydanie w żadnym razie nie oznaczało, że oto wszystko najgorsze minęło. Wzięli sobie to, czego potrzebowali do śledztwa. Tu jedną próbkę, tam drugą. A każdą pod mikroskop. Potem wyniki. Siedem godzin różnicy pomiędzy ostatnim łykiem a zgonem! Jej mąż nie był już w stanie prowadzić wozu!

A policjant już wiedział, że Thomas zjawiał się u niej około siódmej. W piątek po południu liczyła się z tym, że raptem pojawi się w firmie, żeby wziąć Thomasa na spytki. W takim wypadku sprawy nie wyglądałyby dobrze. W nocy prawie nie spała, zamiast tego zastanawiała się, co powinna, może czy musi zrobić, jeśli Georg nie przyjdzie w sobotni

wieczór. Zwariowana sytuacja, całkiem niejasna.

Teraz jednak wszystko było w najlepszym porządku. Teraz siedział naprzeciwko niej i zachowywał się tak jak podczas tej długiej nocy z poniedziałku na wtorek. Prawdopodobnie nie było już konieczne, by szła z nim do łóżka. Raporty pewnie już miał na biurku i zapewne były jednoznaczne. Eugenie Boussier nie mogła mu powiedzieć niczego, co by miało znaczenie. A starej zdawał się nie traktować zbyt poważnie. Wynikało to ze sposobu, w jaki jej to powiedział. - Wczoraj była u mnie pani teściowa.

Stara nie miała już więcej kontrargumentów i wyraźnie nie mogła nastroić go nieufnie czy wzbudzić jego czujność. Po kolacji mogła go więc odesłać. Może jeszcze tylko kawa u niej w domu, którą mógł sobie, proszę uprzejmie, sam zaparzyć. A potem: - Adieu!

Powinna być zadowolona, wdzięczna i odetchnąć z ulgą, że mimo tych nieoczekiwanych trudności wszystko poszło tak gładko. I szczęśliwa, że nie musi podejmować więcej żadnego ryzyka, wywoływać żadnych więcej sprzeczek z Thomasem. Ale gdy tak siedział naprzeciwko niej! Dosłownie pożerał ją wzrokiem, nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że ma apetyt na inny deser niż biały mus z rumem, filetemi z mango i sosem malinowym.

Wyborne jedzenie, jak na jej gust doskonałe, pod tym względem nie była zbyt rozpieszczona. Całkowicie syta i zadowolona wyczuwała napięcie jak dreszczyk emocji w mózgu. Tylko raz! Pod tym względem także nie była rozpieszczona. A Thomas nigdy nie musiał się o tym dowiedzieć. Tylko raz sprawdzić różnicę pomiędzy Thomasem a - mężczyzną, na którym nie robi wrażenia ani go nie powstrzymuje zmarły mąż.

Krótko przed jedenastą opuścili lokal. Podczas jazdy oboje milczeli. Georg miał poczucie, że jest podłączony do prądu, czuł brzęczenie w głowie i swędzenie skóry. Raptem zaczęła mu przeszkadzać jej szminka, nie wiedział tylko dlaczego. Podczas jedzenia czerwień się starła. To było normalne, tak było i w przypadku Soni. I Sonia bezwstydnie usuwała ten mankament przy stole, co zawsze jakoś zawstydzalo Georga. Betty wstała po przepysznym deserze i przeprosiła go na chwilę. Potem odeszła w stronę toalet. Kiedy wróciła, jej usta znowu świeciły tą mocną czerwienią. Całkiem normalnie - jak u Soni.

Może to było wyłącznie to, co mu przeszkadzało, że było jak u Soni. Albo wiedza, że ta czerwień farbuje i że po pocałunku wygląda się jak kłown. A jeśli nawet! Można było wcześniej wytrzeć usta, a pocałunek był dopuszczalny.

Był całkowicie zdecydowany nie dać się zbyć w drzwiach zwykłym uściskiem ręki. Musiał przynajmniej dotrzymać jej towarzystwa aż do domu. Kiedy zamkną się za nimi drzwi, to się dopiero zobaczy. Koniecznie musiał tak postąpić, żeby się nie udusić albo nie

pęknać z emocji.

Betty się wahała pomiędzy uczuciem a rozsądkiem. Chłodny rozsądek obawiał się ryzyka, uczucie szukało spełnienia dawnych pragnień. Zabrać go do domu?! Nie wiedziała, jak się ma wziąć do rzeczy, żeby rzeczywiście dostać od niego to, czego chciała. Obowiązkowa kawa była zbyt banalna i prowadziłyby tylko do zwykłego przeżycia, które różniłoby się może jedynie od spotkań z Thomasem urokiem nowości. Ona chciała mieć tego mężczyznę, który w środę siedział w jej kuchni. W ciągu tych kilku minut, zanim nie wpadł Thomas. Chcę cię i dostanę, czy tego chcesz, czy nie.

Poszło łatwiej, niż się spodziewała. Był w każdym calu dżentelmenem, pomógł jej wstać, odprowadził do drzwi, podtrzymując ją jedynie za łokieć. Potem wyjął jej z ręki klucz, otworzywszy drzwi, przepuścił ją przed sobą, sam wszedł za nią. I ledwo zamknął za sobą drzwi, już ją do siebie przyciągnął.

Dłużej już nie byłby w stanie czekać.

W pierwszej minucie nic się nie zdarzyło, trzymał ją tylko mocno w ramionach i patrzył na nią. Odwzajemniła jego spojrzenie, w jej wzroku była mieszanka ciekawości, lęku i oczekiwania, poza tym pozostała zupełnie bierna. Wyciągnął z kieszeni spodni chusteczkę, białą, upraną i wyprasowaną. Wytarł nią jej usta, schował z powrotem chusteczkę i powoli zbliżył twarz do jej twarzy, lekko zbity z tropu i zirytowany jej biernością i tym cieniem lęku w oczach. W tym momencie mogłaby go jeszcze zniechęcić, wystarczyłoby tylko powiedzieć: - Niech pan przestanie! Albo wyswobodzić się z jego ramion.

Nie zrobiła nic w tym stylu, miała tylko to dziwne, drżące spojrzenie. Brązowe punkciki w szarych tęczęwkach. Jej usta dawno już znikły z jego pola widzenia. Nadal je jednak czuł. I w tym momencie, gdy poczuł jej usta na swoich wargach, jego opanowanie ostatecznie prysło.

Wcale nie chciał się tak na nią rzucać, chciał dać sobie więcej czasu. Ale raptem nie było już czasu, tylko skóra. I jej ręce, trzymające go mocno. I jej oddech, który zauważalnie przyspieszył. Mruknęła coś, nie od razu zrozumiał co. Dopiero kiedy po raz trzeci powtórzyła te słowa, pojął ich znaczenie. - Pokaż mi.

Przesunął ją przed sobą w stronę kuchni, przeszkodził jej palcom, które chciały mu tylko pomóc rozpiąć guzik bluzki i podciągnąć w górę spódnice. Body pod spodem miało zapięcie na zatrzaski, tak jak przypuszczał. Ponieważ miała na sobie pończochy, musiał tylko raz krótko pociągnąć. I wszystkie odczucia skoncentrowały się w czubkach palców.

W pobliżu schodów zawahała się, ale mu to nie przeszkodziło. Krok za krokiem z powrotem, drzwi kuchni stały otworem, było trzy metry do stołu. Uniósł ją w górę. Kiedy

zrozumiała, do czego zmierza, cofnęła ręce z jego ramion i podparła się nimi z tyłu na stole.

To było czyste szaleństwo, zupełnie inaczej niż z Sonią, inaczej niż z innymi. Musiało tak być, bo ona była całkiem inna. Nie mógł się tego domyśleć, ale czuł się tak jak Thomas Lehnerer w podobnej sytuacji przed laty i jeszcze teraz, kiedy z nią był. Była jak kawałek lodu, którego nie dało się stopić, ale tylko doprowadzić do wrzenia.

Czegoś brakowało. Wyraźnie to czuł. Nie wiedział tylko, co to jest. Sądził, że to by się jeszcze pojawiło, gdyby nie był tak szybki. O wiele za szybki. Nie tak to sobie wyobrażał.

Gdy tak siedziała przed nim na brzegu stołu, otaczając jeszcze jego biodra nogami, ramiona znowu z przodu, położone na jego karku, stwierdziła z uśmiechem: - Od razu można zauważyć, że mieszkasz sam. Zwolennik szybkiej kuchni. - To było jak cios w twarz. Przy tym była bardzo łagodna, sprawiała wrażenie jak najbardziej zadowolonej. Tyle że nie mogła być zadowolona, nie w tak krótkim czasie.

- Jestem też zwolennikiem sypialni - powiedział.

- A co z łazienkami? - spytała. - Łazienki też lubisz?

Powiodła ustami po jego czole, skroniach, policzkach, do kącików ust. To nie był jeszcze koniec, to był dopiero początek.

- Łazienki lubię szczególnie - szepnął. - Muszą być tylko dostatecznie duże, żeby można w nich było przebywać we dwoje.

Za ustami poszedł koniuszek języka. Całowała go z zamkniętymi oczami, bardzo łagodnie i intensywnie, systematycznie, dokładnie, przez długie minuty. - Chodź ze mną - powiedziała potem, spuściła nogi, ześlizgnęła się z brzegu stołu - to pokażę ci taką łazienkę. Weźmiemy prysznic. Potem zobaczymy, co dalej.

Łazienka, do której go wprowadziła, była marzeniem z białego marmuru. Olbrzymia wanna, niemal jak mały basen, wpuszczona w podłogę. Ściany gładkie, bez fug. W jednym rogu stała rozłożysta paproć wysokości człowieka, w drugim był prysznic. I naturalnie ten prysznic nie był zapleśniały, był tak samo nieskazitelny jak ona.

W kabinie prysznicowej zmieściłoby się wygodnie troje ludzi i nawet nie przeszkadzaliby sobie przy namydłaniu. Nie był to zwyczajny brodzik prysznicowy, ale zagłębienie w podłodze. Podłoga i ściany z marmuru, drzwi ze szkła. Pod drzwiami próg, który zapobiegał wypływowi wody. Woda tryskała równocześnie z czterech stron.

Zanim stanęła pomiędzy pulsującymi strumieniami wody, odkleiła najpierw plaster z ręki i wrzuciła go do małego kosza na śmieci. Cięcie zdawało się dobrze goić, mimo to starała się trzymać dłoń możliwie daleko od wody. Wetknęła mu do ręki butelkę z żelem do kąpieli, niepasującą do pozostałego luksusu, tani produkt z jednego z najtańszych supermarketów, w

których normalnie zaopatrywali się ludzie liczący się z każdym groszem.

To odwróciło na chwilę jego uwagę. Dwie ofiary z parku miały swoje nieliczne rzeczy w plastikowych reklamówkach z tego supermarketu i zostały uduszone takimi torbami. Nie mógł się powstrzymać przed wyobrazeniem sobie Betty wjeżdżającej starym autkiem na parking supermarketu, chodzącej pomiędzy regałami, otoczonej wólcągami i innymi nieszczęśnikami. Ale to wrażenie zaraz znikło.

- Hej - powiedziała - pokaż mi, jak sprawne masz ręce. Może będziemy ich potrzebować później. Ja wyszłam z wprawy i nie wiem, czy w zwykły sposób to jeszcze działa. Ale do rąk jestem przyzwyczajona.

Potem leżał obok niej na łóżku pomiędzy tymi wszystkimi lustrami, a w jego głowie rozlegał się głos lekarza sądowego: „Kiedy się już przewrócił, to leżał”. Że też człowiekowi zawsze muszą przychodzić na myśl takie rzeczy w najmniej odpowiednich momentach. Ale tak mniej więcej było. Był całkowicie wyczerpany, o wiele zbyt ociążały, by poruszyć chociażby małym palcem u nogi. Tylko zadowolony nie był, nie do końca.

Skrzyżował ręce na karku, obserwując się w lustrze na suficie. A ona, wyciągnięta koło niego, zdawała się tak odprężona, tak syta. Dzikie zwierzę, które nasyciło swój głód. Przez pewien czas tak to odbierał.

W momencie, gdy dotarli do łóżka, nie dało się już ustalić, kto się na kogo rzucił. Była jak skok do rwącej wody, nie zostawiła mu czasu na zebranie myśli. Teraz była tylko szczupłym ciałem, gładką skórą. Tak gładką jak jej łazienka, bez żadnych fug.

- Łączy cię coś z twoim prokurentem? - zapytał.

Był to wybitnie nieodpowiedni moment. Powinien był raczej spytać ją o butelkę. Podczas kolacji przeleciało mu przez głowę kilka związanych z tym myśli. Kilka pięknych zdań, z których każde zaczynało się niewinnym słówkiem „gdyby”.

Abstrahując już od tego, że ta wódka prawdopodobnie nie miała żadnego szczególnego znaczenia, na pewno nie była wstawiona do barku w jakimś złym zamiarze. Gdyby nie wspomniał pustych butelek, nikt by nie zawracał sobie głowy jedną pełną flaszką. Gdyby w nocy nie obserwował jej tak uważnie, to wcale by nie zauważył, że inne butelki w barku były puste. Gdyby pojawienie się Lehnerera i jego rzucająca się w oczy demonstracja ich związku nie wzbudziły jego wściekłości, to tak uważnie by jej nie obserwował. Całe nieszczęście zaczynało się i kończyło na Lehnererze, nie na butelce.

Dokładnie obserwował ją w lustrze, spodziewał się, że drgnie, że się przestraszy czy zawstydy. Ale ona nawet przez sekundę nie była zmieszana, nie potrzebowała czasu do namysłu, nie musiała układać sobie odpowiedzi. Tylko dźwięcznie się roześmiała.

- Z Thomasem? Jak na to wpadłeś? - jeszcze raz się roześmiała, cicho, rozbawiona, przyciągnęła jego spojrzenie w lustrze. - Chcesz mi pochlebić? Poważnie chcesz mi wmówić, że mogłabym konkurować z jego Margot? Przecież ją już poznałeś.

- Poważnie chcesz mi wmówić, że przez te wszystkie lata żyłaś jak zakonnica? - wysunął swój argument.

- Zakonnice nie mają firm budowlanych, mój miły - skontrolowała i wyprostowała się, podpierając głowę ciała na jednym ramieniu, po czym spojrzała na niego drwiąco z góry. - Zakonnice nie mają także teściów, którzy argusowymi oczami strzegą bilansów. Czy mi wierzysz, czy nie, byłam dosyć zajęta w ciągu ostatnich ośmiu lat. W każdym razie zbyt zajęta, by uwodzić zanego ojca rodziny. I jeszcze takiego, po którym spodziewałam się kosza. Po co się wysilać, skoro się wie, że nie warto się starać.

- Nie wierzę ci - powiedział.

Roześmiała się jeszcze raz - drwiąco. Nie była obrażona, obróciła się na brzuch, złożyła głowę na jego piersi i ociężale szepnęła: - To zostaw to. Dla mnie nie ma znaczenia, w co wierzysz. Zaraz się pożegnasz i to by było na tyle. Dobrze mi było z tobą. Nie, naprawdę, jedzenie było wspaniałe, a i ty byłeś niezły. Ale dobrze wiem, że nie mogę mieć codziennie czegoś takiego. I nie muszę. Jestem przyzwyczajona do skromnej diety. Jak długo będę miała w lodówce pomidory i chleb, i nie złamię sobie akurat środkowego palca, to dobrze dam sobie radę sama.

Sposób jej wyrażania wydał mu się odrażający. Zdawała mu się tak zimna w tej chwili, że mimowolnie zadrżał z chłodu. Oczywiście, trudno było zakładać, że kobieta śpi z mężczyzną wyłącznie z miłości czy tylko zauroczenia. Ale troszkę uczucia można było chyba oczekiwać.

Miał ochotę ją uderzyć. Niezwykła chęć, jakiej nie odczuwał w najgorszych czasach w przypadku Soni. To go otrzeźwiło, uświadomiło mu od razu, że może się tu tylko sparzyć. I lód może wypalać dziury w ciele. Odetchnął, jednocześnie rzucając: - Środkowego palca!? Opowiadaj to, komu chcesz, ale nie mnie. Duszko!

Wówczas rozległ się przeciągły ton, coś jakby westchnienie albo jęk, zanim Betty stwierdziła: - Ach, to o to chodzi. Mogłam się domyśleć, że tym się zdenerwujesz. Nasz dobry Thomas nieźle narozrabiał przez swój sentymentalizm. Ale jeśli to tylko to, łatwo możemy wymazać takie drobne nieporozumienie. Duszka to pozostałość z naszych młodzięcych lat. Nadal mnie tak nazywa, kiedy mi źle. W ten sposób przypomina mi, że jest przy mnie. Czuje się zobowiązany ofiarować mi swoje silne ramię w chwilach nieszczęścia. Przede wszystkim w tych ciężkich chwilach, które zawdzięczam jego przyjacielowi. Na niego bowiem trafiłam

tylko dlatego, że Thomas wówczas nie był w stanie się zdecydować.

Zaczęła głaskać go lewą ręką po piersi, po prostu w tę i z powrotem, całkiem mechanicznie. Było to nieprzyjemne uczucie, bo plaster ocierał się przy tym o jego skórę. Po kąpieli Betty nakleiła sobie drugi na zranioną rękę.

Cicho, prawie melancholijnie, kontynuowała: - Musisz wiedzieć, że nasz dobry Thomas był moim pierwszym mężczyzną. Tyle że kiedy odkrył swoją namiętność do mnie, był już od dłuższego czasu z Margot. I to z nią chciał się koniecznie ożenić. Nie mogę mu tego nawet mieć za złe. Margot jest stworzona do roli żony i matki, to już wtedy było widać. Predestynowana do tego, by gotować swoim ukochanym, hołubić ich, utrzymywać w porządku dom i dbać o ogród. Marzenie każdego mężczyzny, który lubi żyć przytulnie i beztrudnie. Ze mną Thomas chciał być tylko w łóżku, względnie na swoim biurowym fotelu. Zawsze to robiliśmy w biurze, po pracy albo w weekendy. Kazał mi robić nadgodziny albo wzywał mnie na nadgodziny do firmy. Obiecywał mi gwiazdkę z nieba. I w końcu mu pozwoliłam. Był miły i...

Tu nastąpiła maleńka pauza, ton zgorzknienia, zanim dokończyła zdanie. - Uwierzyłam mu, że traktuje to poważnie. Że potrzebuje tylko nieco czasu, żeby pomówić z Margot o rozstaniu. Że musi to zrobić bardzo ostrożnie, bo nie chce jej zranić. Mam opowiadać dalej?

- Nie krępuj się - ponaglił ją Georg. - Lubię bajki na dobranoc.

- A ja lubię ostrych mężczyzn - powiedziała Betty, prostując się. Odwróciła się do niego plecami, podciągnęła nogi i objęła kolana ramionami. - Ale to nie oznacza, że pozwolę im, żeby robili ze mną to, co im się żywnie podoba. Wyrosłam już z tego wieku. Chyba będzie lepiej, jeśli już pójdziesz.

Siedziała obok niego, powstrzymując powietrze, z lekko zgiętymi plecami. Mógł policzyć w kręgosłupie jej kręgi, tak też uczynił, to było lepsze niż liczenie baranów. Było też lepsze niż łamanie sobie głowy. A nawet jeśli coś ją łączyło z Lehnererem jeszcze w poprzednim tygodniu, to było przecież zrozumiałe. Młoda kobieta, przez tyle lat sama. To, że teraz zaprzeczała, było raczej pozytywne.

- Chodź tu - szepnął, chwycił jej ramię i pociągnął ją do siebie, aż jej głowa znowu spoczęła na jego piersi. Lubił to, ten lekki nacisk na żebrach i oddech na piersi. Sonia nigdy tego nie lubiła. - Resztę możesz mi opowiedzieć przy śniadaniu. Jeśli to nie bajka, to nie nadaje się na dobranoc.

Objął ją ramieniem, przyciągnął blisko siebie, poczuł wilgoć na skórze tam, gdzie spoczęła jej twarz. Jedna czy dwie łzy, w żadnym razie więcej, ale sprawiały, że zdawała mu

się istotą tak potrzebującą opieki.

- Kochałaś go?

- Naturalnie - szepnęła. - Oczywiście, że go kochałam. Miałam szesnaście lat. W tym wieku kocha się jeszcze z całego serca. W tym wieku cały świat wali ci się w gruzy, gdy widzisz, że byłaś tylko łudzona nadziejami. A potem człowiek staje się nikczemny, potem chce się zemsty. I jeśli w takiej sytuacji szef junior zaczyna robić do ciebie słodkie oczy... Przecież nie wiedziałam, jak to działa, tego, że dla Herberta dziewczyna stawała się naprawdę interesująca dopiero wtedy, kiedy Thomas sygnalizował, iż opłaca się ją wziąć na ząb. Thomas odgrywał rolę osoby kosztującej jedzenie przed posiłkiem. Nie robił tego celowo. Mocno go dotknęło, kiedy mu oznajmiłam, że między nami wszystko skończone, że przespałam się z Herbertem. Thomas mnie nawet ostrzegł, ale na to było już niestety za późno.

Przerwała, odetchnęła płytko, po czym mówiła dalej: - Wmanewrowałam się w położenie bez wyjścia. Ale daruj mi szczegóły, nie potrafię o tym mówić. Thomas powiedział wtedy - no tak, to, co się zwykle mówi. Że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi, że mogę na nim polegać, gdyby były kłopoty. Czy to już wystarczy?

Skinął głową. - Jutro też jest dzień.

- Nie jestem przygotowana na śniadanie - powiedziała. - Z przyjemnością poczęstuję cię kawą. I kanapką z pomidorem.

Rzeczywiście nie miała w domu nic poza tym. Nie przeszkadzało mu to, że musi zadowolić się kawą. Z kanapki z pomidorem dobrowolnie zrezygnował. W ciągu tygodnia zazwyczaj też tak jadał, dopiero przed południem kupował sobie kilka kanapek.

Śniadanie zjedli w kuchni. I gdy tak przed nim siedziała, mógłby od razu podsadzić ją znowu na stół. Nie zrobił tego, bo pozostała w nim resztką ociążałości po pięknej nocy. Porywająca kobieta. Zapomniał o irytującej chwili tej nocy. Wstydził się potwornie, że chciał ją uderzyć. Odpychające zdanie z jej ust po dokładniejszym zastanowieniu nie zdało mu się ani obsceniczne, ani jakies inne, prawdopodobnie było tylko wyrazem tego, że ją zranił. Jeszcze teraz miał ochotę się spoliczkować za swoje niestosowne pytanie o jej romans z Lehnererem. To naprawdę nie był właściwy moment.

Przez długie minuty przyglądał się jej, jak kładzie plasterki pomidora na kromkę chleba i kroi na kawałki mieszczące się w ustach. Sprawiała wrażenie tak świeżej i wypoczętej, tylko raz przejechała grzebieniem po włosach i już była piękna. Zbyt piękna i zbyt perfekcyjna, by dać ją sobie odebrać przez jakiegoś leśnego sprintera. Do tego jeszcze

głupca, który nawet nie zauważył, że ciąga po okolicy martwego już człowieka.

Musiał jej to jakoś uświadomić. Nie łagodnie, ale raczej drastycznie. Wtedy zostawi Lehnerera w spokoju. Zaczął ostrożnie, bardzo oględnie, wyzbył się drwiny w głosie, zrezygnował z gniewu, tylko spokój i obiektywizm, nie chciał ryzykować ponownej sprzeczki, a tym samym prawdopodobnie ostatecznego wyrzucenia z domu.

- Przykro mi, że muszę cię jeszcze raz spytać, Betty. Masz romans z Thomasem Lehnererem?

W ogóle mu nie odpowiedziała, spojrzała tylko przelotnie i zimno w jego twarz, wskazując mu głową drzwi.

- Nie - powiedział poważnie - nie w ten sposób. Potrzebuję jasnej odpowiedzi, Betty. - By nadać swoim słowom odpowiednią wagę, dodał: - I nie pytam cię jako mężczyzna, rozumiesz?

I to jak rozumiała, zrozumiała od razu. Przecież przeczuwała to przez cały czas, tylko przejściowo dała się zwieść poczuciu bezpieczeństwa wynikającemu z jego zachowania. Na zewnątrz nic nie dało się po niej poznać, mimo że nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Emocje wrzały w jej wnętrzu, dobrze ukryte.

Gardło się jej zacisnęło, ostatni kęs niemal utknął jej w przełyku. Z trudem go przełknęła, popijając kawą, by pozbyć się raptownej suchości w ustach. A więc tak to u niego wyglądało. Miał swoją przyjemność, a teraz znów stał się służbistą.

Udała, że potrząsa głową, jakby jego pytanie nie było warte jasnej odpowiedzi. Musiał to, chcąc nie chcąc, zaakceptować. Obserwowała go uważnie, widziała, jak się męczy.

- No dobrze - stwierdził po kilku sekundach, jak najdalszy od tego, by tak łatwo się poddać i zostawić sprawę swojemu losowi. - Ale miałem wrażenie, że Lehnerer nie jest ci niechętny i jest też gotów wiele dla ciebie zrobić.

Teraz umiarkowanie zaprotestowała. - Naturalnie! Nie neguję, że Thomas wiele dla mnie robi. I to od lat. O reszcie możesz zapomnieć. Thomas jest żonaty i bardzo szczęśliwy w swoim małżeństwie. Na tyle, na ile ja to mogę ocenić. Nie interesuje się innymi kobietami. Kocha Margot i ubóstwia swoje dzieci.

- Jedno nie wyklucza drugiego - odparł cicho Georg.

- Co masz na myśli? Możesz się wyrazić dokładniej? - Naprawdę nie była całkiem pewna, do czego czyni aluzję, jeszcze raz do romansu, czy do śmierci jej męża.

Chwycił jej dłoń, przyciągnął ją do siebie ponad stołem i mocno przytrzymał. - Posłuchaj, Betty, ja... - zrobił sztuczną przerwę, trochę aktorstwa było konieczne w jego zawodzie. Dwie sekundy przerwy, potem kontynuował. - Właściwie nie powinienem ci tego

mówić, mam nadzieję, że jest to dla ciebie jasne. Jeśli z tobą o tym rozmawiam, to tylko dlatego, że byłem z tobą w tym czasie, który wchodzi w grę. Mogę więc z całą pewnością cię wykluczyć.

W jej oczach coś błysnęło, zimna nienawiść czy może brak pewności, nie był w stanie tego ocenić. Mówił powoli i z namysłem dalej: - Jesteśmy pewni, że twój mąż... Cóż, miał ponad cztery promile we krwi. Przy takiej ilości nikt normalnie nie spaceruje po okolicy. Czysto teoretycznie musiał być przynajmniej nieprzytomny, kiedy znalazł się w stawie.

W ten sposób było to perfekcyjnie wyrażone. Tak formułując, było to morderstwo. Ona także to pojęła, wyraźnie to było widać. Wpatrywała się w niego przestraszona, filiżankę, którą właśnie uniosła, odstawiła ze słyszalnym brzękiem na spodeczek. - Co to znaczy, normalnie i czysto teoretycznie? Zwłoki zostały wydane. Zostanie pochowany we wtorek. Samochód też mogę odebrać. Chcę to zrobić jutro rano. Przecież by mi go nie dali, gdyby nie wszystko było w porządku.

- To wydanie nie ma żadnego znaczenia - przerwał jej Georg. - Ale więcej naprawdę nie mogę ci powiedzieć. Nie mamy jeszcze wszystkich wyników, przykro mi. Pozwól mi to tak wyrazić: wychodzimy z założenia, że ktoś przeniósł twojego męża z samochodu do stawu. Ten ktoś musiał być bardzo silny i mieć po temu ważki powód, czy może postrzegasz to inaczej?

Nie odpowiedziała od razu, zaczęła potrząsać głową, mruknęła dopiero po kilku sekundach: - Zwariowałeś. Ważki powód, to jest... - Jej głos stał się nieco wyższy, kiedy stwierdziła: - Masz na myśli Thomasa! Naturalnie, że to o nim pomyślałeś. Dlatego cały czas się go czepiasz. Zapomnij o tym! To całkowicie wykluczone. Byli bliskimi przyjaciółmi. Oczywiście, że Thomas nie zawsze pochwalał to, co wyrabiał Herbert, ale to jeszcze nie powód. - Krótko się roześmiała. - To śmieszne. - Na końcu w jej głosie znowu słychać było takie zdenerwowanie, niemal jakby w następnym momencie chciała mu ponownie, tym razem ostatecznie, pokazać drzwi.

- Betty - powiedział uspokajająco i uścisnął jej rękę. - Nie twierdzę, że Thomas Lehnerer zabił twojego męża. Tylko nie widzę nikogo innego, kto sam byłby w stanie przenieść taki ciężar na odległość czterdziestu metrów. Ciało nie było ciągnięte, to pewne. Ale nie kłóćmy się o to, dopóki nie ma pewności.

Uśmiechnął się do niej, ufnie i trochę jak spiskowiec, brakowało jeszcze tylko mrugnięcia okiem. - Stwierdzimy, kto dotykał garnitur twojego męża. Tu nie pomoże żadna ostrożność. Jakies ślady zawsze zostają, mikroskopijny kłaczek, włos, łuska skórna. Wystarczy kropla krwi czy próbka potu. Pewnie już słyszałaś o genetycznych odciskach

palców. Te badania są bardzo czasochłonne i kosztowne, ale zawsze przynoszą rezultaty.

Połowa jego twierdzeń to były czyste wymysły. Zakładał, że ona o tym nie wie.

I tak też było. Pomyślała o sposobie, w jaki Thomas jej opisał swoje postępowanie nad stawem. Łuski skórne, próbki potu! Sfrustrowana skrzywiła się, szepcząc: - To śmieszne zakładać, że Thomas... To już prędzej bym pomyślała, że mój teść...

Ostatnie dwa słowa wypowiedziała po chwili wahania. Przerwała w połowie zdania, pomilczała przez dwie pełne namysłu sekundy. Kiedy ponownie przemówiła, jej głos brzmiał znowu spokojnie, niemal rzeczowo, a przy tym nadal z wahaniem i pytająco. - Przecież powiedział, że Thomas był u nich tej nocy. A więc był poinformowany. Znał tę chatę i otaczający ją teren. I wysłał robotników. Jeśli podejrzewasz Thomasa, to kilku robotników jest tak samo podejrzanych. Mogłabym ci wymienić tuzin nazwisk mężczyzn, na których mojemu teściowi wystarczyłoby tylko gwizdnąć.

Sposób, w jaki usiłowała mu to przekazać, wprawił go raptem we wściekłość. Gdyby skończyła na swoim proteście, byłoby to wiarygodne. Ale serwować mu zaraz innego podejrzanego! W tym momencie był całkiem pewien swojej sprawy. Ona wiedziała. I usiłowała chronić Lehnerera. To, co mówiła, nawet jakoś rozsądnie brzmiało.

Bliscy przyjaciele! Zaczynając ojciec, głowa rodziny, kochający żonę i dzieci, uwielbiający swoją szefową, nazywający ją od czasu do czasu z czystego sentymentu duszką. A co się tyczy robotników i jej teścia... Stary rzeczywiście nie mrugnął nawet powieką. Wyrafinowana żmija! Może ktoś połknąłby tę przynętę, ale nie on. On miał wrażenie, że się nią zaraz zakrztusi.

Betty zobaczyła, że na jego twarzy maluje się wściekłość, poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Jego dłoń nadal spoczywała na jej ręce. Zrobiło jej się niedobrze na myśl, co mogłoby się stać, gdyby go odesłała tej nocy. Trudno to było sobie wyobrazić. On był groźniejszy niż cała skrzynka dynamitu.

Chciała coś powiedzieć, poczynić jakąś uwagę, która by go ugłaskała. Tylko że nic jej nie przychodziło do głowy. Jej mózg był pusty jak wydmuszka. Ale, do licha, jeśli zgadzało się to, co powiedział, to nie powinien tu wcale siedzieć.

Powoli pustka w jej głowie poczęła się znów zapelniać myślami. Gdy został poczyniony pierwszy krok, dalej już poszło błyskawicznie. Romans z Thomasem, o to zapytał ją najpierw, ale mimo to za późno. Uśmiechnęła się.

- Co mam teraz o tym sądzić? - Nie dała mu okazji do odpowiedzi. - Od kiedy o tym wiesz? Czy powinnam raczej spytać, od kiedy przypuszczasz, że ktoś mu dopomógł? I mam jeszcze jedno pytanie. Nie wolno ci o tym ze mną rozmawiać, ale iść ze mną do łóżka to ci

wolno, tak?

Mówiąc to, obserwowała jego twarz. - Sądzę, że podejrzewasz mnie o romans z Thomasem. Podejrzewasz jego, że zamordował mojego męża. Załóżmy, że nie robisz tego z zazdrości, ale że naprawdę masz ważne powody. Potem zapraszasz mnie na kolację, a po niej nie masz nic pilniejszego do roboty, niż sadzać mnie tu na stole. Jak to pasuje jedno do drugiego?

Nadal się uśmiechała, teraz trochę intensywniej, z cieniem ognia w spojrzeniu i masą rozczarowania, które ściągało w dół kąci jej ust. - Nie o to chodzi, że się skarżę, w końcu dostałam to, czego chciałam. Ale mimo to czuję się trochę wykorzystana. Czy to nowa technika przesłuchiwania? Szkoda! Myślałam, że może być z tego coś więcej.

To wystarczyło. On naprawdę był szybkim typem, pojmował od razu. - Ja też tak myślałam - powiedział - i dlatego uważałem, że powinniśmy wyjaśnić sobie kilka spraw.

- Wyjaśniliśmy je? - spytała.

Jeszcze raz uściśnił jej dłoń, uśmiechając się przy tym, niemal zakłopotany. - Mam taką nadzieję.

Aż do południa dawał jej dosyć okazji, by dalej rozpraszała jego podejrzenia. Nie te dotyczące obecności Thomasa nad stawem, tylko te odnoszące się do jej romansu. Raz w kuchni, zaraz po tym, jak sprzątnęła ze stołu naczynia. Potem pod prysznicem, wreszcie jeszcze raz w sypialni, kiedy pomagał jej ścielić łóżko. Była wyposzczona, tu nie musiała niczego grać. Podniecał ją jego styl, to, że żądał, nalegał, czułości stawiał na końcu, a łagodności nie znał w ogóle. Być pożądaną i po prostu wziętą, cóż za obłędne uczucie.

W południe pojechali do miasta, jego samochodem, zjedli gdzieś coś, przy czym Georg sprawiał wrażenie tak luźnego i odprężonego. Nie dała się jednak temu zwieść. Co i rusz zauważała krótkie, uważne spojrzenia, którymi ją obrzucał. Nieustannie rozmyślał, wałkował tę jedną kwestię w swoim mózgu w tę i z powrotem, wyraźnie to widziała. Jeśli patrzył jej bezpośrednio w twarz, to zazwyczaj z uśmiechem. A i to się zaraz zatracalo, kiedy spuszczała wzrok - albo z jego perspektywy wyglądało to tak, jakby kierowała spojrzenie na coś innego.

W drodze powrotnej zatrzymali się przy cukierni, wzięli ze sobą kilka ciastek. Popołudnie spędzili na tarasie. Betty obserwowała go uważnie i zauważyła, jak jego skupienie się zmniejsza, jak staje się ociążały.

Było słonecznie, jak na pierwszą niedzielę kwietnia przyjemnie ciepło. Leżeli blisko siebie na dwóch miękkich leżakach. Betty miała na sobie tylko czarny strój kąpielowy,

podkreślający jej figurę i nadający lekko opalonej skórze matowy połysk. Ale noc i przedpołudnie opróżniły już kielich pożądania. Aż do kawy milczeli.

Ona rozmyślała o przedpołudniowej rozmowie, o łuskach skórnych i próbkach potu oraz o konsekwencjach, które musiały z tego wyniknąć. On trochę drzemał, mrugał w słońcu albo do niej, sprawiał wrażenie względnie zadowolonego.

Po wypiciu kawy Betty spojrzała na ogród, westchnęła i stwierdziła: - Muszę koniecznie skosić trawę.

- Robisz to sama?

- A kto by inny? Wszystko robię sama. A wiesz, co zrobię w następnej kolejności? Zasadzę kilka krzaków. Zawsze chciałam to zrobić. Tylko nigdy nie miałam czasu. Jeśli mężczyzna powinien zasadzić drzewo, to kobiecie na pewno wystarczy parę krzaków. - Cicho się roześmiała. - Wyrównam to przecież za pomocą domów, nawet jeśli buduję je nie sama. - Potem wskazała prawą ręką na trawnik bezpośrednio przed tarasem. - Zaraz tu, z przodu, żeby nie było tu tak monotonicznie zielono. Piękne, wielkie krzewy. Może oleandry, ale je można kupić chyba tylko w donicach. I nie są takie wysokie, jak sobie wymarzyłam. Bez będzie lepszy! To by była akurat odpowiednia pora, bo bzy kwitną już przecież w maju.

Westchnęła jeszcze raz. - Miejmy nadzieję, że nie jest już za późno na bez. Nie wiem dokładnie, kiedy się go sadi, chyba we wrześniu. Ale na pewno teraz też jeszcze można, bez jest wytrzymały. Wykopię głęboki dół. Bez silnie się ukorzenia.

Uśmiechnęła się smętnie. - Moi rodzice mieli taki krzew w ogrodzie. Przepiękny, bujny krzak. Był już stary. I pewnego dnia moja matka uznała, że jest za stary. Chciała się go pozbyć, bo potrzebowała miejsca na ziemniaki. Mój brat porządnie się napocił, zanim wyciągnął z ziemi te wszystkie korzenie. To był prawdziwy krater.

Smutek już minął. W jej oczach były takie iskierki, jak śmiech, który powstrzymywała w gardle. Spojrzała na niego z ukosa. - Pomożesz mi kopać?

W tym momencie ujrzał ją stojącą na tarasie, ze szpadlem w ręku, grudki ziemi porzucane u stóp, krople potu na czole. To wyobrażenie mu się nie spodobało, budziło wspomnienia jego małżeństwa, dużego domu. Ogród też był wielki i stanowił zawsze jego działkę. Sprawiało mu to przyjemność, bo przez lata był to jego ogród. A potem Sonia uświadomiła mu, że do niego należy tylko to, co ma na grzbiecie i wozi ze sobą. Dwie walizki ubrań i samochód, tyle mu zostało. Był przekonany, że jego opory wynikały tylko z tego.

- Nie sądzę, bym miał czas na twój ogród - powiedział głosem o ton bardziej grubiańskim, niż zamierzał.

Betty zachowała się tak, jakby nic nie zauważyła, cicho się roześmiała. - Nie szkodzi,

to było głupie pytanie. Jeśli każdego wieczora pokopię przez godzinę, to za kilka dni wykopię taką dziurę, że będzie się czym pochwalić. Sam zobaczysz.

To mógł być tylko dowcip. Słysząc to też było w jej głosie. Kobieta, która w życiu prywatnym musiała się tak ograniczać, że starczało jej tylko na kanapki z pomidorem, nie mogła na poważnie nosić się z zamiarem kupowania krzewów bzu do ogrodu. A kopanie ranną ręką byłoby czystym brakiem rozsądku. Było mu przykro, że tak grubiańsko na nią naskoczył. Wyraźnie starała się tylko zabawić go małą pogawędką. W każdym razie i on się o to starał.

- Twoja ręka na pewno się ucieszy - powiedział. - Czy potrafisz kopać jedną ręką?

Wzruszyła ramionami. Uśmiechnął się wbrew wzrastającemu niepokoju, wbrew obrazowi, który widział oczyma duszy. On ze spadłem w jej ogrodzie! Ona spogląda ku niemu z tarasu. Potem nadciąga Lehnerer, uśmiecha się do niego po kumpelsku i wchodzi z nią do domu. Przeklęta zazdrość! Teraz jeszcze popsuje mu popołudnie.

- Kup sobie lepiej za te pieniądze kilka soczystych steków - zaproponował, usilnie starając się zachować luźny, niedbały ton. - Będiesz z tego miała więcej pożytku niż z jednego krzaku bzu.

Podniosła prawą rękę, odgięła trzy palce. - Z trzech, mój drogi, nie z jednego, z trzech. Dwa mają być białe, a jeden liliowy, on będzie rósł pośrodku, tak było wtedy w ogrodzie moich rodziców.

Potem nieoczekiwanie znowu spowaźniała. - Powiesz mi, jakie są wyniki tych badań? Czy ci nie wolno? Co to w ogóle za badania? Jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszałam. To znaczy, jak można wyizolować próbkę potu z garnituru?

Georg poczuł, że przeczuwał, iż coś jeszcze z tego będzie. Nie mogła przecież tak po prostu zostawić tej rozmowy, którą toczyli przy śniadaniu. Nie, mając w pamięci przepocony sportowy dres Lehnerera. W pierwszej chwili był jej tylko wdzięczny za to ostatnie pytanie. Oszczędziło mu konieczności odpowiadania na dwa pozostałe.

- Nie pytaj mnie o to - powiedział. - Nie jestem chemikiem i nigdy też nie przyglądałem się chemikom przy pracy. Ale sądzę, że nie jest to nawet trudne. A zawdzięczamy to szmuglerom narkotyków. Często się zdarza, że materiały są nasączone środkami odurzającymi. Jeśli można wyodrębnić tę truciznę, to da się to zrobić i z innymi substancjami.

- Rozumiem - szepnęła. - I sądzisz, że coś znajdą? Naprawdę myślisz, że ktoś tam był, kto Herberta...

Kiedy przerwała, Georg powiedział po prostu: - To, co ja myślę, nie gra żadnej roli,

Betty. To się okaże.

Potrząsnęła głową. - Nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Nie mogłaś też sobie wyobrazić, że twój mąż naprawdę chciał się zabić.

Przez kilka sekund milczała, a potem powiedziała: - Nie, nie mogłam! A jeśli masz rację, wysuwając swoje podejrzenia, to ja miałam rację. Tak naprawdę nie chciał umrzeć. Dlaczego w ogóle wyszedł z domu? Czy sądził, że nie żyję, kiedy leżałam nieprzytomna? Czy dlatego wpadł w panikę?

- To możliwe - odparł.

- Może myślał, że to będzie okoliczność łagodząca, jeśli zainscenizuje samobójstwo - kontynuowała. - Uważał, że te tabletki są niegroźne, założył się o głowę. I może sądził, że najpierw się go będzie szukać przy tej chacie.

Jak dotąd Betty brzmiała nieco bezradnie. Ale potem zaczęła zmierzać w ściśle określonym kierunku. Może częściej tam bywał, z jakąś dziewczyną. Miał kiedyś romans z taką małą z biura. Ona mieszkała jeszcze z rodzicami. Tam nie bardzo mógł się z nią spotykać. A na to, żeby pójść z nią do hotelu, była jeszcze za młoda. Do domu nigdy żadnej nie przyprowadzał. W tej chwili nie pamiętam jej imienia, Brigitte jakaś tam. Mogę sprawdzić, jeśli chcesz. Nie była u nas długo, tylko niecałe pół roku. Ładne stworzenie, ale za głupie, by pojąć najprostsze powiązania. Wołała zawracać w głowach robotnikom.

Znowu milczała przez sekundę, jakby chciała mu dać okazję, by przemyślał jej słowa. Potem mówiła dalej: - Miała też romans z jednym z robotników. Nie wiem dokładnie, z którym. Ale ktokolwiek by to był, kiedyś przyłapał ją z Herbertem gdzieś tam, w okolicy, w samochodzie. Złapał ich, tę małą i mojego męża też. Herbert twierdził, że się przewrócił, ale ta mała też przyszła w poniedziałek z podbitym okiem do firmy i opowiedziała, co się naprawdę zdarzyło. I ktoś doszedł do wniosku, że ja powinnam się o tym dowiedzieć.

Georg czuł się coraz bardziej nieswojo, był przekonany, że Betty znowu tylko próbuje odwrócić jego uwagę od Lehnerera. Postępowała bardzo zręcznie, podsuwając mu po kawałeczku inną teorię. Najpierw tę z teściem i kilkoma oddanymi robotnikami. Potem ograniczyła się raptem do jednego, który miał kiedyś powód, by uderzyć. A później zemsta. Brzmiało to nawet prawdopodobnie, ale Georg wolałby, żeby raczej milczała.

To też następnie zrobiła, wstała i odniosła do kuchni naczynia po kawie. Było po piątej. Po kilku minutach poszedł za nią. A wkrótce potem pożegnał się, bo wzywały go obowiązki, obserwacja pani Rasche. Wyszła z nim jeszcze na zewnątrz, do samochodu, pocałowała go, zanim wszedł, patrzyła za nim, gdy odjeżdżał. Nie umówili się na kolejne spotkanie.

Bo i po co? I tak był zmuszony przyjechać tu jeszcze parę razy. Prawdopodobnie bez zapowiedzi. Z niechęcią zgarbiła ramiona, mijając dom, poszła do garażu, otworzyła bramę, która nie była zamknięta na klucz. Nie była w stanie usiąść z powrotem na tarasie i rozkoszować się przyjemnym wieczorem. Była zbyt napięta, musiała się czymś zająć, odwrócić swoją uwagę od próbek potu i łusek skórnych.

Krzaki bzu, dwa białe i jeden liliowy. W rogu garażu stały narzędzia, kosiarka do trawy, szpadel, małe grabki i grabie. Wzięła szpadel i wyszła z garażu, znowu przez drzwi wiodące na tył domu, bezpośrednio na taras.

Po silnych opadach deszczu na początku marca ziemia była zbita w grudy, teraz wyschła i bardzo stwardniała. Betty mogła kopać tylko małe grudki, które odrzucała na bok. Za każdym razem, gdy ujmowała szpadel lewą ręką, czuła ranę. Ale tymczasem ignorowała ból.

Jak długo mogły trwać te badania? Czy on rzeczywiście dopiero teraz na poważnie zajął się pracą? Zaginał parol na każdego, kto brał udział w poszukiwaniach. Każdego pytał, czy znał Brigitte taką a taką. Znał, kochał i pobił z zazdrości. Był to jakiś motyw, ale niedostateczny. Nie zdawało się też, by chwycił tę przynętę. A nawet jeśli, to w ten sposób jedynie zyskiwała na czasie, nie było to żadne rozwiązanie.

Kopała, aż zapadły głębokie ciemności, aż ból w obu rękach zmusił ją do przerwania pracy. Na prawej ręce powstały bąble. Lewą chronił wprawdzie szeroki plaster, ale czuła w niej klucie i rwanie jak podczas zapalenia. Zdjęła plaster i obejrzała ranę w świetle lamp na tarasie. Ropiała. Strup był w wielu miejscach popękany. Brzegi rany były zaczerwienione i nieco opuchnięte. Zwyczajnie zostawiła szpadel tkwiący w ziemi i weszła do domu, żeby na razie opatrzyć rękę.

Wieczór spędzony z Diną Brelach rozerwał wprawdzie nieco Georga, ale to nie wystarczyło, by całkowicie zniwelować poczucie niesmaku. Uczucie to stale powracało, a wraz z nim szereg pytań, na które nie było odpowiedzi. A jeśli nawet, to były to odpowiedzi, które jeszcze pogłębiały jego niepokój.

Przebiegła zmija czy nieświadomy niczego anioł? Czy Betty rozmawiała z Lehnerem o skórnych łuskach i próbkach potu? Z pewnością! Prawdopodobnie natychmiast do niego zadzwoniła, kiedy tylko wyjechał. Jeśli nie, to opowie mu to najpóźniej następnego ranka. „Policja cię podejrzewa. I mają nową metodę badań”. A potem razem zaczną się zastanawiać, co teraz należy zrobić. Razem! Dwóch na jednego. A tym jednym był on. Wykorzystany, pomyślał. Nie był już pewien, kto tu kogo wykorzystuje. Szalał za nią, ale

głupi nie był.

Dina Brelach zauważyła z czasem, że Georg jest bardzo przybity. Nie pytała o powód, tylko spróbowała go rozweselić. Uczyniła to w swoisty sposób. Siedzieli tak godzinami obok siebie w samochodzie, obserwując fasadę domu. - Rzucimy się w końcu komuś w oczy - stwierdziła. - Może powinniśmy udawać zakochaną parę.

Spojrzał na nią z ukosa, potrząsając głową. - Ale ma pani pomysły. Może po prostu powinniśmy rozprostować nogi.

Potem wałęsali się po ulicy w tę i z powrotem. - Niech pan przynajmniej obejmie mnie ramieniem - zażądała Dina.

- A czemu to ma służyć?

Dina machnęła ręką. - Niech pan o tym zapomni. To dopiero krzyż pański z wami, rozwodnikami. Albo marudzicie kobiecie, jacy to jesteście samotni, a potem zaraz chcecie jej wskoczyć do łóżka. Albo zataczacie szeroki łuk wokół wszystkiego, co choćby z daleka przypomina kobietę.

A potem przyjęła służbowy ton. Została w sobotę na komendzie dwie godziny dłużej od niego, słyszała jeszcze, jak akcja telefoniczna ich kolegów przyniosła pozorne efekty. Rzeczywiście był w mieście taki dziennikarz, który nosił się z zamiarem napisania artykułu o nędzy w bogatym społeczeństwie. Tym samym ten biedak popadł w niezłe tarapaty. Natychmiast nasłano mu do mieszkania dwóch ludzi, którzy chcieli go zabrać na konfrontację, ale nie wiedzieli dokąd. Ten ważny świadek nie miał przecież stałego adresu. W sobotę wieczorem zapanował porządny chaos.

- Chce pan usłyszeć moje zdanie?

Georg właściwie nie chciał niczego słuchać, wolałby się zastanowić, uspokoić, dojść do jakiegoś wniosku.

- Nie ma żadnego reportera - powiedziała Dina. - Nasz świadek chciał tylko zarobić parę marek. Nie wierzę też, że będziemy mieli piątą ofiarę. Rasche osiągnęła swój cel. I jak dotąd nic jej nie można udowodnić. Musiałaby zwariować, żeby teraz jeszcze podejmować ryzyko.

To także mu nie pomogło. W każdym zdaniu istniały punkty, z których można było wysnuć dalsze wnioski. Może pani Rasche była wariatką. Może to Dina zwariowała, że tak się przypięła do tej kobiety. Może on oszalał na punkcie kobiety, której lepiej było nie wchodzić w drogę. Która z niewinnym spojrzeniem dziecka zasypywała go najokropniejszymi kłamstwami. „O czym ty mówisz, przecież nie mam żadnego romansu z Thomasem!“. Która do tego stopnia potrafiła człowiekowi zamącić w głowie, że nie był w

stanie odróżnić, co jest białe, a co czarne. Że nawet się zastanawiał, czyby jej nie kryć, gdyby coś. A to coś nazywało się morderstwo. Zaplanowane morderstwo, zrealizowane z pomocą kochanka. Zatuszowane przez zwariowanego policjanta.

Aż do drugiej trzymali się w pobliżu domu, w którym pani Rasche wraz z córką wynajmowała trzypokojowe mieszkanie. Światło w oknach zgasło już o jedenastej. Zaraz po drugiej nadeszła zmiana.

Georg odwiózł Dinę do domu. Zanim wysiadła, spytała jeszcze: - Co pan właściwie sądzi o kobietach, które mówią mężczyźnie zupełnie bez ogródek, że się im podoba?

- Nie wiem - odpowiedział. - Jeszcze nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Dina stała już przy samochodzie, jeszcze raz się pochyliła i uśmiechnęła do niego: - Niech pan to kiedyś zrobi. I powie mi potem, do czego pan doszedł, dobrze?

A potem znikła, poszła w stronę wielorodzinnego domu, w którym miała niewielkie mieszkanie i w którym mieszkali też jej rodzice. Miała chód nastolatki, a za którymś z tych okien spał jej mały synek. Dzieci nigdy nie były jego marzeniem. Co do tego i on, i Sonia zawsze się zgadzali. Byle tylko nie wydawać na ten świat małego krzykacza, który nocą pozbawia człowieka snu, a dni zapęłnia zafajdanymi pieluszkami, wyrzynającymi się zębami, ospą wietrzną i innymi bolączkami.

Dla Diny jej dziecko było zadaniem, którego była bardzo świadoma, ale które jakoś spełniała obok innych rzeczy. Słyszał kiedyś, jak o tym mówiła, gdy szło o to, ile nadgodzin wolno narzucić młodej matce i jak zobowiązania w stosunku do dziecka mogą wpłynąć na rozwój kariery. - Nie ma problemu - powiedziała Dina. - Ja nie tylko mam dziecko, ale i sama nim jestem. A moja mama mieszka tylko piętro pode mną.

A syn Betty nie żył! Wmanewrowana w sytuację bez wyjścia, tak to wyraziła. To było pewnie jedno z tych przypadkowych dzieci, które są za krótko na świecie, by pozostawić szczególne wrażenia czy uczucia. Urodzone przez podlotka, uśmiercone przez psa.

Gdyby Betty chciała mieć jeszcze potem dzieci, to na pewno by je miała, już przed laty. Ale jej niepotrzebne były dzieci, ona miała to olbrzymie, wymagające intensywnej opieki dziecko, swoją firmę. A on miał zawód, który nie pozostawiał mu zbyt wiele czasu na żonę i rodzinę. To była idealna kombinacja. I tak mogło już pozostać, musiał się tylko przemóc, by wziąć parę spraw takimi, jakie są. Na przykład to, że Thomas Lehnerer wyszedł z tego bez szwanku. I Lehnerer nie byłby pierwszym mordercą, który uszedł przed prawem.

Pewien lekarz sądowy powiedział kiedyś: - Gdyby na każdym grobie ofiary mordu, na której akcie zgonu widnieje „naturalna przyczyna śmierci”, płonąła świeca, to niektóre cmentarze jaśniałyby nocą jak w dzień.

Następnego ranka powiedział Dinie: - Całą noc się nad tym zastanawiałem. Sądzę, że staromodny sposób bardziej mi odpowiada.

Dina się uśmiechnęła. - Nie domyśla się pan nawet, co pan traci. Szkoda! Ale pomyślałam sobie, kto pyta, nie błądzi. A uważam, że warto było spróbować. - To powiedziaławszy, znikła, by w którymś urzędzie wszcząć jakieś poszukiwania. Ale tego poniedziałkowego ranka Dina miała pecha na całej linii. Nie dowiedziała się niczego, co miałyby znaczenie.

Za to on dowiedział się wiele pożytecznych rzeczy. Nie musiał się w tym celu fatygować i wychodzić z biura ani czekać do wieczora.

Krótko przed dziesiątą przed jego biurkiem zjawiała się Eugenie Boussier. W przeciwieństwie do matki Theissena jego przyjaciółka nie miała żadnych oporów, by porozmawiać ze stronnictwym dochodzeniowcem. To, że przyszła dopiero prawie po tygodniu, by złożyć swoje zeznanie, miało liczne przyczyny.

Tej nocy, kiedy Thomas Lehnerer był u niej, by się dowiedzieć o Theissena, nie zdradził jej ani słowem, dlaczego szuka Herberta. Eugenie dowiedziała się tego dopiero w środę wieczorem od matki Theissena. Ta była do środy chora, a po jej telefonie zachorowała Eugenie.

Była jeszcze bardzo młoda, zaraz po dwudziestce. Herbert Theissen musiał być od niej dwa razy starszy. I była ładna, egzotyczna ze swoją czekoladową skórą i krótkimi, kręconymi włosami. Jedną z tych szczupłych, ciemnych twarzy, jakie się czasem widuje u ekskluzywnych modelek. Tylko jej figura nie mogłaby obecnie konkurować z figurą modelki. Eugenie Boussier była obecnie w siódmym miesiącu ciąży, z Herbertem Theissenem, to nie ulegało dla niej najmniejszej wątpliwości.

Byli ponad rok ze sobą, spotykali się niemal co wieczór i co weekend. Nie w kasynach gry, w nich byli tylko kilka razy na samym początku. Herbert trochę stawiał, trochę przegrał, trochę wypił, wszystkiego po trochu.

Eugenie Boussier mówiła z melodyjnym francuskim akcentem. Od trzech lat mieszkała w Niemczech i pracowała jako manikiurzystka w salonie fryzjerskim. Tam też poznała Herberta Theissena, tam pielęgnowała jego dłonie.

W ostatni weekend musiała pielęgnować jego. To były smutne dni i noce. Herbert był chory, nie chciał jeść, tylko pić, wielokrotnie wymiotował, nawet pluł krwią. Ale ten ostatni weekend spędzony z nim był też pełen nadziei. Zaraz po trzeciej w poniedziałkowe popołudnie opuścił ją i przy pożegnaniu solennie obiecał, a nawet przysiągł, że porozmawia wreszcie ze swoją żoną o rozwodzie.

Kiedy Eugenie Boussier doszła do tego miejsca swojej opowieści, musiała przerwać, jakby rozwód był hasłem. Zadzwoił telefon na biurku Georga. Poprosił Eugenie o chwilę cierpliwości, podniósł słuchawkę. I niemal natychmiast chciał ją odłożyć.

Sonia! Po roku i sześciu miesiącach przypomniała sobie ponownie, że istniał ktoś, kogo w razie potrzeby mogłaby spytać o radę. Myśl, że tymczasem mogła odprawić swojego właściciela butiku i powrócić raptem pamięcią do dawnych czasów, tylko przelotem pojawiła się w jego głowie. A gdyby za tą myślą szła jakakolwiek nadzieja, to Sonia zburzyłaby ją już w pierwszym zdaniu. Chodziło tylko o psa.

Ten kochany, łagodny zwierzak. Georg przecież go zna i zawsze dobrze się rozumieli, kiedy nocą musiał go ominąć na korytarzu. Ten Harro, dusza, a nie pies, nieprawdaż? Jeszcze trochę po szczeniacku lubiący zabawę, ale ogólnie pogodny, niewymagający i dla wszystkich miły.

Niestety sytuacja wyglądała tak, że właściciel tego uosobienia przyjaźni musiał wyjechać na targi mody do Madrytu. Nie były to właściwe targi mody, tylko taka impreza, ale ważna, i Sonia koniecznie musiała mu towarzyszyć. Tylko że nie mogli wziąć ze sobą psa. Ale nie mogli go też zostawić samego. W tak rozpaczliwej sytuacji zastanawiali się już nawet, czy mogą to biedne zwierzę narazić na to, by spędziło kilka dni w hotelu dla zwierząt. Ale Harro tak się przyzwyczaił do domu, w obcym otoczeniu czułby się nieszczęśliwy.

To było jak w dawnych czasach. Problemy Soni, jej poglądy, troski, ich całe życie i jego życie, tu otwierała się przepaść nie do pokonania. Nieszczęśliwy pies i kobieta w zaawansowanej ciąży, której nadzieje na przyszłość dokładnie przed tygodniem zostały pogrzebane.

Georg nie chciał niczego więcej w tym momencie, jak tylko tu i teraz, i raz na zawsze uświadomić Soni, że ich małżeństwo się rozpadło i że nie mają ze sobą już nic wspólnego. Że jeśli o niego chodzi, to mogą tego kundla jej przyjaciela wysadzić po drodze na autostradzie, jeśli jadą samochodem. A jeśli nie, to mogą go równie dobrze przywiązać na lotnisku. Już on się o to postara, żeby się przyczepiono do nich obojga za znęcanie się nad zwierzętami.

Było dla niego jasne, do czego ona zmierza. I żeby nie stwarzać żadnych fałszywych iluzji, spytał ją najpierw: - Dlaczego mi o tym opowiadasz? - I zaraz dodał dobitnie: - Nie mam czasu, żeby się troszczyć o tego zwierzaka. I nie mam miejsca, żeby go wziąć do siebie.

Jeśli chodzi o brak czasu, to Sonia o tym oczywiście wiedziała, ale to nie było takie straszne. Wystarczyłoby, żeby dwa razy dziennie napełnił miskę Harro i może na krótko wypuścił go raz na dwór. A co do miejsca, to dom był przecież dostatecznie duży. Georg

mógłby na kilka nocy zająć któryś z gościnnych pokoi.

Najpierw chciał odmówić, krótko i zwięźle, prosto i dobitnie. Tak jak ona to uczyniła z nim przed osiemnastoma miesiącami. Ale jednak tego nie zrobił. Miał poczucie, że powinien już nabrać dosyć dystansu do sprawy. Musiał być w stanie wejść do domu i stanąć przed Sonią bez natychmiastowego ataku wściekłości.

Wściekłość była największym problemem. Czepiła się go jak rzep psiego ogona. Po prostu nie mógł się jej pozbyć, nieważne, jak bardzo się starał. Całymi miesiącami był wściekły na Sonię i jej chuchrowatego bubka w jedwabnych koszulach. Teraz to Thomas Lehnerer był tym, którego najchętniej posłałby tam, gdzie pieprz rośnie. Ale co się stanie, jeśli rzeczywiście mu się uda dowieść temu leśnemu sprinterowi umyślnego zabójstwa albo usiłowania zabójstwa, a Lehnerer pociągnie ją za sobą?

- Wpadnę do ciebie - powiedział do Soni. - To spokojnie porozmawiamy. Któregoś najbliższego wieczoru, jak znajdę chwilę czasu. Teraz go nie mam. - Sonia wyraziła zgodę.

Już odkładając słuchawkę, zapomniał o niej i znowu był myślami przy Betty. Eugenie Boussier mówiła o rozwodzie. Tego nie dało się tak łatwo pominąć milczeniem. Betty była pracowita, ambitna i kompetentna, ale w razie czego nie na wiele by jej się to pewnie zdało. Jej mąż był rodzonym potomkiem, ona była tylko spowinowacona. Straciłaby firmę. Nie od razu mógł się intensywniej zająć tą myślą i jej skutkami czy konsekwencjami. Eugenie Boussier jeszcze nie skończyła.

Podjęła znów wątek, mówiąc o tym weekendzie, który w większości spędziła na parzeniu herbaty na chory żołądek Herberta, całych litrów herbaty. Niestety Herbert wypił z tego tylko parę łyków. Wolał opróżnić kilka do połowy pełnych butelek. Był tak zdenerwowany, tak zdeprymowany, bo czekała go intensywna wymiana zdań z żoną, która właściwie nigdy nie była mu prawdziwą żoną. Najpierw była za młoda, sama była jeszcze niemal dzieckiem, a potem za zimna i jak maszyna.

Herbert był w miarę pewien, że może wytoczyć kilka argumentów, których Betty nie będzie w stanie odeprzeć. Nie zdradził Eugenie, jakie to argumenty, zasugerował tylko, że Betty w związku z tym wybaczy mu nawet jego ostatnie sięgnięcie po pieniądze z firmowej kasy.

Pieniądzy na płace Herbert zresztą nie przegrał. Już dawno nie był w żadnym kasynie. Co tylko udało mu się zdobyć w ciągu ostatnich miesięcy, natychmiast wręczał swojej kochance. To miała być ich podstawa finansowa na wspólną przyszłość. Mężczyzna, który snuł plany! Wyglądało to na zadowalające perspektywy i na snucie zupełnie innych niż samobójcze zamiarów.

Na zewnątrz Georg udawał spokojnego, chłodnego i opanowanego. Wewnątrz jednak czuł, jak potężne imadło ścisną mu serce i żołądek. Jeszcze kilka pytań. Czy Theissen w ten weekend po raz pierwszy mówił o rozwodzie?

Nie, stale o tym mówił, od kiedy wiedział, że znowu będzie ojcem. Koniecznie chciał tego dziecka. W pierwszych tygodniach był nawet przekonany, że to uczyni z niego zupełnie innego człowieka.

Na początku ciąży poczynił Eugenie wielkie obietnice. Ale nie miał dosyć siły, by zrealizować swoją najpiękniejszą obietnicę - małżeństwa. Bał się, stale się bał. Swojej żony, swojego ojca, przyszłości bez chleba i pracy w mikroskopijnym mieszkaniu Eugenie, a najbardziej tego demona, którego nosił w sobie.

Gdyby tylko Eugenie nie była tak szczerą. Był to szczególny rodzaj szczerości, nieporównywalny z tym, co w przypadku Betty odbierał jako otwartość. Eugenie Boussier nie emanowała siłą, lecz rozpaczą, nie była opanowana, ale załamana. Z jej życia nie znikła przeszkoda, lecz człowiek, którego kochała.

Herbert dużo płakał w ciągu minionych tygodni, to także powiedziała z tą szczególną szczerością, której obce były wszelkie wybiegi. Powtórzyła mu nawet jego słowa.

- Zabij mnie, Eugenie. Przyniosłem ci same nieszczęścia, moja mała. Powinniśmy razem odejść, gdzieś daleko. Tam, gdzie będziemy zupełnie sami, tylko my i nasze dziecko.

Początkowo Eugenie nie wiedziała, o jakim miejscu on mówi. Pokazał jej to dwa tygodnie przed swoją śmiercią, nie na mapie, ale w formie dwóch kapsułek, które kupił od jakiegoś podejrzanego typka. To miejsce nazywało się cyjanek potasu. A Eugenie wzięła jego dłoń, położyła na swoim brzuchu, dała mu poczuć życie w środku, jego dziecko. Potem wspólnie, płacząc, w toalecie spuścili z wodą obie kapsułki. Teraz może w to piękne miejsce udało się kilka szcurków. A Herbert przysiągł na wszystko, co mu było kochane i drogie, na życie swojego nienarodzonego dziecka i przyszłej matki, że nigdy, przenigdy nie wpadnie już na tak głupi pomysł.

Jego matka wiedziała o tym i surowo zabroniła Eugenie mówić gdziekolwiek i kiedykolwiek o tej „głupocie”. Ludzie, słysząc to, wyciągnęliby tylko fałszywe wnioski. Eugenie postrzegala to inaczej.

- On już nie chciał umrzeć - zapewniła ze wzrokiem zamglonym łzami. - Niech pan mi wierzy, on już tego nie chciał. Teraz chciał być mężczyzną i dobrym ojcem.

Tak do końca Georg w to nie wierzył. Mimo to obiecał, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by wyjaśnić sprawę śmierci Herberta Theissena.

A potem siedział znowu sam przy swoim biurku, a wszystko w środku nadal mu się

ściskało. Rozwód! Jeszcze dobrze pamiętał, jaki to był dla niego cios. A w jego przypadku chodziło tylko o dom, z którego nie chciał się wyprowadzić, tylko o wygodę posiadania będącej w każdej chwili do dyspozycji żony. Dla Betty gra toczyła się o wszystko.

- Betty musiała przerwać swoją naukę - rozległ się gdzieś w jego głowie głos Margot Lehnerer. I ani słowa o tym, że dokończyła tę naukę kiedyś później. - Betty rzuciła się w wir pracy!

Osiemnaście lat na próżno!

Usiłował sobie wyobrazić, jakby to było. O trzeciej Herbert wyszedł od swojej przyjaciółki, o piątej przyjechał do domu. Dojazd nie mógł mu zająć dwóch godzin. Może po drodze zatrzymał się w tej czy innej knajpie. Kilka głębszych dla kurażu, trochę opóźnić ten moment, a potem marsz, do walki. Z wieloma promilami dla wzmocnienia, połową filiżanki herbatki z rumianku i pożegnalnymi pocałunkami swojej przyjaciółki. Betty spała na sofie, kiedy wszedł. Theissen ją obudził.

Ani słowem nie wspomniała Georgowi o planach rozwodowych Herberta!

- Mam dosyć. Skończę z tym!

O wiele prawdopodobniejsze było jednak, że Theissen na jej wyrzuty powiedział: - Mam dosyć. Rozwiode się. - Obojętne, przyszłość bez pracy czy mikroskopijne mieszkanie. Jego ojciec mógł mu zrobić piekło, ale ostatecznie to on był jego synem. I miał jeszcze matkę, która z pewnością nie zostawiłaby go w tarapatach.

A Betty? Jej pewnie ziemia usunęła się spod stóp! Co zrobiła? Przyglądała mu się, jak pozwala sobie na jeszcze jeden łyk za nowe szczęście? Z jedynej pełnej butelki w poza tym całkiem pustym barku! A tabletki leżały w zasięgu ręki na stoliku. Przypadek? A potem błyskawiczna decyzja? Jak skłoniła go do tego, by połknął tabletki? Przystawiła mu do gardła mały nożyk? Nonsens! Taki mężczyzna jak Theissen tylko by się roześmiał, nawet jeśli był pijany w sztok, wtedy pewnie tym bardziej. Jeden ruch ręki i odebrałby jej ten śmieszny nożyk.

Pistolet! Mówiła o pistolecie. To był przekonujący argument, by skłonić mężczyznę do połknięcia leku. A potem?

Zrobiło mu się niedobrze pod wpływem tych myśli. Poczekała na Lehnerera. Przybiegł o siódmej, zawsze się zjawiał o tej porze. Oczywiście, że jej pomógł, wierny przyjaciel w każdej życiowej sytuacji. Przenieśli Theissena do samochodu, zawieźli do chaty. Po powrocie Lehnerer ją pobił, pobiegł do domu i przez telefon stwierdził, że szefowej coś się musiało przydarzyć.

Brak odcisków palców wewnątrz lamborghini i na zewnątrz wozu! I co z tego? Dzisiaj

każdy małolat w przedszkolu już wie, że trzeba naciągnąć rękawiczki, jeśli się zamierza zrobić coś złego. Ostatecznie można to było codziennie zobaczyć w telewizji.

Ale w tym wypadku mogli przecież od razu wrzucić Theissena do stawu. Nikt by o nic nie pytał! Pozytywny wynik okrzemkowy. Mnóstwo glonów krzemowych w drogach oddechowych. O tym pewnie nie pomyśleli, żaden człowiek nie jest w stanie pamiętać o wszystkim.

Jak to ona powiedziała: - W ciągu ostatnich lat nieraz doprowadzał firmę na skraj ruiny. - A ona ciągle ją z tego wyciągała. Jakoś by przetrwała i zdobyła te brakujące pieniądze na płace pracowników, gdyby chodziło tylko o to. Upłynęłyby ostatnie rezerwy, sprzedała swoją biżuterię. Nie brakowało jej nigdy pomysłów, by ratować zrujnowane przedsiębiorstwo. Ale rozwód oznaczał koniec dla niej samej. Przecież była tylko synową.

A on z nią poszedł do łóżka!

ROZDZIAŁ 7

Niecałą godzinę po opuszczeniu przez Eugenie Boussier jego biura Georg siedział już naprzeciwko starego Theissena. Na najbardziej dręczące go pytanie otrzymał odpowiedź już po kilku minutach. Od kilku lat istniał testament, w którym Betty była wyznaczona jako jedyna spadkobierczyni.

Rodzony syn wprawdzie także by coś dostał. Dom rodziców i działkę, na której on stał. Tym samym otrzymałby rekompensatę więcej niż dostatnią, uważał jego ojciec. W czysto materialnym znaczeniu ten nierób wyszedłby na tym nawet znacznie lepiej niż jego pracowita żona.

Firma składała się z kilku maszyn i tego płaskiego budynku, za co oczywiście by się coś jeszcze dostało, gdyby się to sprzedało. Ale nikt by się na tym szczególnie nie wzbogacił. Prawdziwy kapitał stanowiła siła mięśni i umysłów, energia i gotowość działania, dążenie do celu i żelazna wola. To Betty stanowiła prawdziwą wartość, ona była majątkiem firmy.

- Pracowita dziewczyna - powiedział stary. - Mam tylko nadzieję, że nie rzuca jej pan niepotrzebnie kłód pod nogi. Co w ogóle znaczy to wypytywanie? Myślę, że się obędzie bez kłopotów.

- Jest kilka niejasności - odparł Georg.

- A mianowicie? - Ten głos, nie tak zupełnie obojętny jak w poprzedni wtorek, ale nadal dostatecznie chłodny. - Proszę posłuchać, minął już tydzień. Jutro zostanie pochowany. I tym samym sprawa powinna właściwie zostać zamknięta. Jeśli są jeszcze jakieś niejasności, z pewnością mogę panu pomóc je usunąć i nareszcie doprowadzić to do końca. Zakładam, że moja żona dosyć panu marudziła i jeszcze nasłała na pana tę czarnuchę. Niech pan szybko zapomni o tym, co te dwie panu naopowiadały. Teraz ja panu coś opowiem.

Georg nie miał czasu na wtręty czy protesty. Czarnucha odbiło się w nim gorzkim echem. Miał już na języku ostry komentarz. Ale starzec mówił bez przerwy dalej.

- Mój syn był błaznem omijającym wszelkie decyzje szerokim łukiem. Obojętne, co ostatnio opowiadał czy obiecywał swojej przyjaciółce. Jeszcze nie przejechał drogi do domu, a już trzy razy zmienił zdanie. Gwarantuję to panu. Nigdy by się nie zdobył na odwagę, żeby

się rozejść z Betty. W tym wypadku znalazłby się bowiem na ulicy, bez feniga przy duszy. Swoją palacę mógłby od razu spisać na straty, ciąży na nim poważna hipoteka. Betty może ją spłacić, on by tego nie potrafił. Tu drzwi byłyby przed nim ostatecznie zamknięte, nawet po mojej śmierci. Już ja bym się o to postarał. Nie dostałby nawet zachowka, przy wybitnie niewłaściwym postępowaniu roszczenia co do niego wygasają. Naturalnie doniósłbym na niego, że sprzeniewierzył pieniądze. Kazałbym mu zająć każdego feniga, którego bym znalazł w jego kieszeni. Nie zaznałby radości aż do śmierci. A gdyby jeszcze raz pokazał się na terenie firmy...

Nie dokończył tego zdania, uśmiechnął się tylko złym uśmiechem, było to dostatecznie sugestywne. Przez kilka sekund panowało milczenie. Kiedy Georg nadal nie reagował, stary wyjaśnił: - Chcę panu uświadomić rzecz następującą. Mieliśmy do czynienia z mężczyzną tuż po czterdziestce, który zawodowo do niczego nie doszedł. Był całkowicie zależny od tego, co osiągnęła jego żona. Nie chciał z nią żyć. Rozstać się z nią nie mógł, bo z niej żył. Teraz ten człowiek zapłodnił młode stworzenie, które wywierało na niego presję. Presja ze wszystkich stron, rozumie pan? Co więc zrobił ten mężczyzna?

Nie musiał odpowiadać na to pytanie. Stary skinął głową, pewnie wychodząc z założenia, że Georg pojął, o co chodzi.

- Czy pańska synowa wie o tym testamencie?

Starzec szybko wzruszył ramionami. - Zakładam, że tak. Zna moje nastawienie, a więc powinno to być dla niej jasne.

Georg miał nieco inne spojrzenie na tę sprawę. Poglądy nie dawały gwarancji. - Czy ktoś jeszcze o tym wie? - spytał.

- Mój syn o tym wiedział. I Thomas Lehnerer pewnie także. To on mnie wówczas zawiózł do notariusza.

Tym samym sprawa wyglądała całkiem inaczej. Poczciwy Thomas prawdopodobnie natychmiast opowiedział swojej Duszce, że teść rozporządził majątkiem na jej korzyść. Małe słówko „prawdopodobnie” jakoś się zagubiło. Brak motywu! To było wszystko, co mógł pomyśleć Georg. Betty nie miała motywu. Pełna butelka w pustym barku to był pewnie tylko przypadek. Może sama od czasu do czasu wychylała łyżeczek wódki. Dla odprężenia po ciężkim dniu pracy.

Potworne przedpołudnie odsuwało się w przeszłość. To ukłucie w środku, te wszystkie bzdurne myśli. Pistolet! W tym wypadku powinna go była od razu zastrzelić. Jak najbardziej wiarygodny rodzaj śmierci dla człowieka, który nie widział żadnego wyjścia.

Ale niejasności jeszcze nie całkiem znikły. Poprosił starego o nazwiska robotników,

którzy brali udział w poszukiwaniach. Po niewielkim wybuchu gniewu starzec mu je podał. Było ich sześć.

Opuszczając dom, niemal zderzył się w holu z matką Herberta Theissena. Zdaje się, że stała pod drzwiami i podsłuchiwała. Popatrzyła na niego tak wyniośle i pogardliwie, że bardziej wrażliwego człowieka zmusiłoby to do schowania się w jakiejś dziurze. Georg nie liczył się z tym, by poświęcić mu choć jedno słowo. A jednak tak się stało - i było to nawet więcej niż jedno słowo. Mówiła cicho, pewnie nie chciała, by usłyszał ją mąż.

Wysuniętą brodą wskazała na drzwi, które Georg właśnie zamknął za sobą. - Dla niego od pierwszego dnia była człowiekiem w jego guście. Wyciosana z tego samego drewna. Najpierw nie chciał jej dać nawet miejsca, żeby się uczyła zawodu. Jej ojciec był pijakiem, brat też nie był lepszy. I powiedział, że cała rodzina do niczego się nie nadaje. Nie wiem, jak go przekonała do zmiany zdania. Nie swoim młodym ciałem, na coś takiego nigdy nie reagował. Ale pewnego dnia przyszedł i powiedział, że ta dziewczyna zasługuje na szansę. Że nie można wszystkich wrzucać do jednego worka.

Był to tylko szept. Georg miał problemy, by ją zrozumieć. Nie był też pewien, czy słowa są skierowane do niego, czy mówi sama do siebie. Jej spojrzenie dawno już wbiło się w podłogę. - Ona zawsze osiąga to, czego chce. Nawet ja poszłam wtedy na jej lep. Szatan musi być po jej stronie. W końcu on też jest mężczyzną. I stale był jej przychylny. Ale ona nie zdała się tylko na to. Złożyła mu ofiarę, niewinne dziecko, mego wnuka, rzuciła bestii na pożarcie.

Brzmiało to tak, jakby ta stara kobieta postradała zmysły. Ale nie sprawiała takiego wrażenia. Stała tam całkiem spokojnie. Jej spojrzenie oderwało się od kamiennej podłogi, powoli się uniosło i wbiło w twarz Georga. Jasny wzrok i pełen boleści uśmiech. - Wiem, że mi pan nie wierzy. Jeśli jakiś mężczyzna był z nią dłużej niż przez pięć minut sam na sam, to można go spisać na straty. Po co więc zadawać sobie trud? Ale chcę, żeby pan wiedział. Żeby potem nie mógł pan powiedzieć, że nikt pana przed nią nie ostrzegł. Co pan pocznie z tą wiedzą, to pańska sprawa. Zabiła mojego syna, najpierw swojego, a potem mojego. Nie potrafię tego dowieść, ale czuję to, tutaj.

Uderzyła się pięścią w piersi. - Czuję to, jakbym przy tym była. I będzie jeszcze więcej ofiar. Ona znowu to musi zrobić. Szatan pragnie krwi, nie spocznie. To, co raz chwycił w szpony, tego już nie wypuści. Niech pan o tym pomyśli, kiedy następnym razem stanie pan przed nią.

Georg mógł tylko przytaknąć. A potem stał przed tym ponurym posągami, który nie miał już żadnego spadkobiercy. Głos starszej kobiety brzmiał w jego głowie, jej błagalny ton i

święta powaga. „Najpierw swojego, potem mojego. Szatan pragnie krwi”. Na jakie pomysły wpadają niektórzy ludzie. Rzucić bestii na pożarcie! Czy miała przy tym na myśli psa, czy samego szatana? Przeżył już niejedno i słyszał niejedną bzdurę, ale czegoś takiego jeszcze nigdy.

Czuł pilną potrzebę natychmiastowego wyjazdu do Betty, do firmy, żeby choć na krótko ją zobaczyć. Musiał jej też powiedzieć o tych pieniądzach, których zwrotu mogła zażądać. W ten sposób poprosić ją jakby o przebaczenie za własne potworne podejrzenia. Mógłby też wtedy za jednym zamachem porozmawiać z robotnikami.

Betty nie spotkał. Szefowa miała liczne sprawy do załatwienia poza biurem, dowiedział się Georg. Dziewczyna w recepcji nie była pewna, czy szefowa wróci jeszcze do firmy. Z panem Lehnererem także nie można było porozmawiać, bo jego również nie było. Nie, nie pojechał razem z szefową. Ona wyruszyła już wczesnym rankiem, pan Lehnerer dopiero po południu. I nawet jeszcze pytał, dokąd udała się szefowa.

Sześciu robotników, którzy brali udział w poszukiwaniach Herberta Theissena, Georg mógł wypytać na placu budowy. Pojechał tam, porozmawiał z tymi ludźmi. Pierwszy dobiegał już pięćdziesiątki, drugi i trzeci nie byli wiele młodszy. Czwarty od dwóch lat był żonaty, a przed czterema miesiącami został ojcem bliźniaków. Piąty był dopiero od trzech miesięcy zatrudniony w firmie. Szósty był chuderlawym człowieczkiem i Georg stawiał sobie pytanie, czy w ogóle byłby on w stanie unieść wiadro z piaskiem. Tyle że ten chuderlak nie musiał podnosić ciężkich rzeczy, nie mógł jedynie cierpieć na zawroty głowy. On bowiem kierował dźwigiem.

Tak czy siak, Georg nie wierzył, że mógłby to być któryś z tych robotników. Uważał też za wątpliwe, by Betty w to wierzyła. To był tylko wybieg, pomyślał, obserwując, jak chuderlak zręcznie, niczym łasica, wspina się do kabiny dźwigu. Thomas Lehnerer, pomyślał, wracając do samochodu po rozkopanym błocie. O zwariowanych wypowiedziach teściowej Betty niemal już zapomniał. Ale zapomnieć o Thomasie to było dla niego niemożliwe.

Testament, który czynił ją jedyną władczynią niewielkiego, ale w samej rzeczy bezwartościowego imperium. A Lehnerer o tym wiedział. Może marzył o tym, że pewnego dnia zasiądzie u jej boku i podzieli się jej władzą. Tyle że ona nie myślała o rozwodzie. Dlaczego nie?

To przecież śmieszne, że przez te wszystkie lata nie sięgnęła po legalną możliwość, aby uchronić konta firmy przed dalszymi zakusami męża. Albo i nie śmieszne. Jeśli jakaś kobieta dawała się przez lata bez końca oszukiwać, ciągle przymykała oczy. Mężczyznę, który tylko wykorzystywał ją finansowo, chroniła nawet przed uzasadnionym gniewem jego

ojca, trzymając język za zębami, znosząc liczne eskapady, i w miarę możliwości łątała dziury, które on robił, to miała po temu dobre powody. Albo była to resztką miłości, albo raczej poczucie winy.

Zagryzione na śmierć niemowlę! Nie wolno zapominać, jaka była wtedy młoda, miała tylko siedemnaście lat. W tym wieku coś takiego osadza się głęboko w człowieku. A potem przez całe życie nosi się to w sobie. Przez połowę dotychczasowego życia pokutowała za chwilę nieuwagi. Nieszczęsna duszyczka. Duszka Lehnerera.

Zaraz po piątej po raz pierwszy zadzwonił do jej domu. Nikt nie podniósł słuchawki. Miał jeszcze coś do zrobienia na komendzie i tymczasem zajął się swoimi obowiązkami. O szóstej spróbował jeszcze raz, znowu bez powodzenia. To były pewnie bardziej czasochłonne sprawy, te, które musiała załatwić poza biurem. O siódmej kolejny telefon. Nikt nie odebrał. A on widział przed sobą jej łóżko, te wszystkie lustra. I zanego Thomasa dokładnie pośrodku. I nie leżał tam sam! Niektórzy ludzie nie podchodzili po prostu do telefonu, kiedy byli zajęci ważniejszymi sprawami.

O wpół do ósmej nie mógł już dłużej wytrzymać. Kilka minut po ósmej pojechał do niej. Zatrzymał wóz nie bezpośrednio pod jej domem, ale dobrych sto metrów dalej, żeby nie zostali uprzedzeni przez szum silnika, jeśli byli razem. Musiała być w domu. Jej auto stało na podjeździe. Ale w żadnym z frontowych okien nie paliło się światło, ani w jej sypialni, ani w kuchni. A na jego dzwonek przy drzwiach wejściowych nikt nie zareagował.

Miał ochotę walnąć pięściami w drzwi i wrzasnąć: - Otwórz, ty bestio. Dobrze wiem, że tam jesteś. - Oczywiście ani nie uderzył w drzwi, ani nie rozdarł się. Wetknął pięści do kieszeni spodni i obszedł dom od tyłu, będąc stanowczo zdecydowany, że zrobi tak jak Lehnerer, po prostu wejdzie do środka. Niekoniecznie ją zawoła, raczej jej poszuka, jeśli drzwi od tarasu będą otwarte.

I były. Nie musiał jednak skradać się do domu ani po schodach do jej sypialni. Betty była w ogrodzie. I była sama. Początkowo niemal ją przeoczył w resztkach dziennego światła, które sprawiało, że skraj lasu zdawał się czarny, a trawnik nurzał się w szarości. Wystawała z trawy, jakby zapadła się w nią aż po kolana. W tym momencie ten zwariowany widok wywołał w nim taką ulgę, że wbrew swojej woli wybuchnął śmiechem.

Miała na sobie jedną z typowych dla niej spódnic, w kolorze beżowym, przylegającą do ciała, sięgającą nieco ponad kolana. Do tego rdzawoczerwona bluzkę i opaskę na czole, żeby włosy nie wpadały jej w oczy. W dłoni trzymała szpadel. Na długości dobrych dwóch metrów bezładnie rozgrzebała ziemię. Wokół na trawie leżały kupki piachu. Jej buty miały

ten sam kolor co bluzka, były to eleganckie czółenka na średnim obcasie. I tak tkwiła wśród rozgrzebanego błota.

Gdy tak przed nim stała, a raczej bardziej pod nim, spoglądając ku górze z częściowo przerażoną, częściowo zadziwioną miną, nie mógł postąpić inaczej. Tylko się śmiał i śmiał, i śmiał, potrząsając przy tym głową. Przecież on to wziął za żart. Krzaki bzu!

- Ale z ciebie zwariowany pisklak - wydyszał, kiedy uspokoił się wreszcie na tyle, że mógł znowu mówić. A potem zobaczył opatrunek na jej lewej dłoni, brudny i niedbale założony. Taki wołający o pomstę do nieba brak rozsądku, podobna nierozwaga jak to poczucie winy trzymające ją tak długo u boku męża.

- No wyjdź już stamtąd - zażądał. - Sądzę, że na dziś dosyć się już nakopałaś.

Betty również się roześmiała, nie tak wesoło jak on, nieco niepewnie. Nie usłyszała, jak nadchodzi, nie słyszała też samochodu. Bardzo się przestraszyła, kiedy raptem stanął na tarasie. - Jak się za coś bierzesz, to trzeba to doprowadzić do końca - powiedziała. - Krzaki już zamówiłam. Dzisiaj rano i tak miałam coś do załatwienia w mieście, więc od razu poszłam do sklepu ogrodniczego. Gdybym natychmiast tego nie zrobiła, to znowu by nic z tego nie wyszło. Znalazłam trzy wspaniałe egzemplarze. Dostarczą je w piątek. Jeszcze się zdziwisz.

- Już się dziwię. A co na to twoja ręka?

Westchnęła, wzruszyła ramionami, popatrzyła na brudny bandaż z przygnębioną miną, coś z niego oderwała i upuściła na ziemię. - Niezupełnie się ze mną zgadza. Ale ochraniam ją na tyle, na ile to możliwe.

Przeszedł tych kilka kroków dzielących go jeszcze od rowu, wskoczył do niej na dół i wziął ją w ramiona. Tylko przez chwilę ją poczuć, jej ciepło przez cienki materiał bluzki i jego koszuli. Była spocona. Jej czoło lśniło. Bluzka była zabrudzona na ramieniu. Nie dbając o to, odebrał jej szpadeł.

- Muszę jednak ci pomóc - stwierdził i dla formalności wyrzucił w górę kilka grudek ziemi. Ale nie przyjechał tu, żeby kopać. Po trzecim ruchu łopatą zaproponował jej handel wymienny. - Jeśli mnie poczęstujesz kawą, to opowiem ci kilka nowin, które z pewnością cię ucieszą.

- Czy to ja muszę zrobić tę kawę?

- Niekoniecznie, w ostateczności zrobię ją sam.

- Dobrze - powiedziała, obdarzając go promiennym uśmiechem. - Jakie to nowiny? - Mogło chodzić wyłącznie o wyniki badań laboratoryjnych, skoro był tak wesoły i rozluźniony. Niczego nie znaleźli! Thomas był głęboko przekonany, że nic nie znajdą. Łuski

skórne, próbki potu. Thomas tylko się z tego uśmieł. Jak Betty wpadła na taki pomysł?

Naturalnie tego nie mogła mu powiedzieć. A Thomas machnął ręką. - Nie martw się, duszko. Nie istnieje nic takiego, a niczego innego nie będą mogli znaleźć.

- No powiedz już - nalegała jak dziecko, które już trzy dni wcześniej chce wiedzieć, co dostanie na urodziny. - Czy zamknięto już dochodzenie?

Nie odpowiadał, wetknął szpadeł w ziemię, jednym ruchem wyskoczył z rowu i pomógł jej się wydostać. Przy tym zaraz ponownie wziął ją w ramiona. Jej nos też trochę się świecił. Buty były całe oblepione ziemią.

Wreszcie Georg powiedział: - Tak szybko to nie będzie. Ale wiesz, że twój teść przed kilku laty sporządził testament?

- I to są te twoje nowiny? - spytała.

- Poczekaj - odparł, powoli przesuwał ją na taras. - Nie tak szybko. Jeszcze nie skończyłem. I wiesz, kogo uczynił swoim spadkobiercą?

Celowo powiedział spadkobiercą. Tu była niewielka resztką niepewności, czy naprawdę przez osiemnaście lat dała się związać swojemu poczuciu winy. Właściwie Betty nie była takim typem człowieka. Jeśli o niczym nie miała pojęcia, to teraz musiała koniecznie wytypować swojego męża. Georg trzymał ją wprawdzie mocno i tak było dobrze, ale głęboko we wnętrzu czuł jednak, jak wszystko mu się zaciska, jak niewidzialna pięść gotuje się do zadania mu ciosu.

Skrzywiła twarz w domyślnym uśmiechu, obie ręce oparła na jego ramionach. Nie wiedziała, do czego Georg zmierza. Oczywiście, że stary sporządził testament. Wkrótce po wypadku Thomas zawiózł go do notariusza i opowiedział jej o tym. Ale Thomas nie był przy tym obecny, kiedy ustanowiono testament. A kto został spadkobiercą, nad tym nie trzeba się było długo zastanawiać przy jednym tylko synu.

Nie rozumiała, co to wszystko ma znaczyć. Dlaczego Georg o to pyta. Musiała być jakaś przyczyna. I tylko Bóg raczy wiedzieć, ile zależało od jej odpowiedzi. Nadal zachowała na twarzy uśmiech, udało jej się nawet przybrać kusząco-drwiący ton: - A co się ze mną stanie, jeśli nie będę tego wiedziała? Aresztujesz mnie z powodu szpiegostwa?

Potrząsnął głową, przycisnął usta do jej skroni, smakując mieszankę soli i pudru. - Z powodu szpiegostwa nikogo się nie aresztuje - mruknął. - W takich wypadkach kładziemy ludzi na stół. - Jego spojrzenie było przy tym aż nadto wyraźne. Przesunął ją jeszcze trochę w tył, aż jej stopa uderzyła o najniższy stopień tarasu.

- I o to chcesz się od razu postarać? - spytała. - Jeszcze przed obiecaną kawą?

- Kawa w tym czasie może się parzyć.

Na tarasie ją puścił, ale natychmiast ujął jej dłoń i pociągnął ją za sobą do otwartych drzwi wiodących do salonu. Nawet nie dał jej dosyć czasu, żeby zrzuciła ubłocone buty, przeciągnął ją przez pokój i korytarz do kuchni. Tam wypuścił jej rękę i podszedł do ekspresu do kawy.

Sprawa testamentu zdawała się nie być aż tak ważna, w przeciwnym razie nie zostawiłby jej tak łatwo w spokoju. A może chciał wrócić do tego później?

- Nie tutaj - powiedział, kiedy obróciwszy się w jej stronę, stwierdził, że usiadła na krześle. Wstała więc i usiadła na krawędzi stołu.

- Tak już lepiej - powiedział.

Kiedy zaczął rozpinąć jej guziki bluzki, objęła jego twarz obiema dłońmi, pocałowała go, a potem poprosiła: - Nie tak! Pozwól mi przynajmniej najpierw wziąć prysznic. Jestem cała spocona.

- Sama jesteś sobie winna - mruknął tylko. - Nikt ci nie kazał przekopywać całego ogrodu.

Bluzka była rozpięta, biustonoszowi nie poświęcił chwili czasu, podciągnął jej tylko w górę spódnicę, pytając przy tym: - Mam nadzieję, że masz dobrego adwokata? Nie znam się na odpowiednich paragrafach. Dobry adwokat z pewnością wie lepiej ode mnie, jak powinnaś postąpić.

W ogóle nie zwrócił uwagi na fakt, że mu nie odpowiada. Ściągając jej figi i rozpinając pasek swoich spodni, mówił dalej: - Nie musisz wcale sprzedawać lamborghini. Możesz nim sama jeździć, jeśli masz ochotę. Akurat by do ciebie pasował. Pieniądze jeszcze są i jest to własność firmy, jeśli jestem w stanie to ocenić. Twój mąż nie miał prawa z nich korzystać. Możesz zażądać zwrotu wszystkiego. I pewnie jest tego wiele więcej, niż sobie wyobrażasz. Twój mąż nie był już od prawie roku w kasynie. Grzecznie oddawał wszystko przyjaciółce, żeby ta mogła odkładać na wspólną przyszłość.

Przez dwie, trzy sekundy wsunęła się pomiędzy nich wąska, ciemna twarz, na którą patrzył zaledwie kilka godzin temu, z całym swoim smutkiem i rozpaczą. W ciągu tych sekund czuł się bardzo podle, jak okropny zdrajca, jak Judasz, który za trzydzieści srebrników zdradza swego pana. Zaraz to jednak minęło, kiedy w nią wszedł. Teraz czuł już tylko ją.

Jego słowa dotyczące adwokata sprawiły, że cała zeszywniała. Uszło to jego uwadze, bo całą energię poświęcił na zdercie z niej fig. A potem znowu wszystko potoczyło się tak szybko. Najpierw nie czuła nic oprócz strachu. Potem nadeszła ulga, bezgraniczna ulga, nie tylko dlatego, że miała jeszcze pieniądze, ale raczej, że on nic nie przeczuwa. Wreszcie mogła

się skoncentrować na tym, co on robi. Nareszcie wzrosło jej podniecenie, ale on już skończył.

- Zostań tak - szepnęła, przyciągnęła go nogami bliżej siebie, położyła głowę na ramieniu, zamknęła oczy. - I opowiadaj dalej.

Nie poruszała się, tylko jej mięśnie się skurczyły, a oddech przyspieszył. Opowiedział jej jeszcze trochę o Eugenie Boussier, o planach rozwodu jej męża. Potem o swojej wizycie u jej teścia i jak on to postrzega. Na koniec o jej spadku. Nie było widać, czy go słucha.

Mówił cicho, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. To było fascynujące, tak się jej przyglądać. Oddychała z lekko otwartymi ustami, oczy miała zamknięte, nie wydała z siebie żadnego dźwięku, tylko kilka razy drgnęła raptem jak pod wpływem przepływającego prądu, rzuciła głowę w przód i wtuliła twarz w jego ramiona. Przy tym przez jej usta przebiegł jakby jęk. Jej nogi drżały, ramiona również. Znowu uniosła głowę, otworzyła oczy, spojrzała na niego lekko szklanym spojrzeniem.

- To było dobre - mruknęła, przyciągnęła do siebie jego głowę i zaczęła go całować.

Ale w tej chwili nie miał nastroju do pieszczot. Na razie był zadowolony i chciał otrzymać jeszcze tylko kilka odpowiedzi, żeby usunąć ostatnie niejasności. Nie dała po sobie poznać, czy jego zachowanie zepsuło jej nastrój, ta gwałtowna zmiana męczyzny w policjanta. Spokojnym, neutralnym głosem udzieliła mu informacji.

Butelka wódki w barku?

- Nigdy nie troszczyłam się o barek. Gdy się miało ojca alkoholika, a potem jeszcze męża, to nie kupuje się wódek. Poza tym nie miałam na to pieniędzy. Herbert napełniał barek, poza tym też sam robił sobie zakupy. To puszczkę kawioru na śniadanie, ale tylko bielugę, to na obiad wyborne gotowe danie, filet wołowy w ryżu, naturalnie wołowina wyłącznie argentyńska. Czy może myślisz, że jeszcze dla niego gotowałam? Tego nie robiłam nawet dla siebie.

To brzmiało wiarygodnie. A plany rozwodu?

- Nie mówił o rozwodzie ani w ostatni poniedziałek, ani nigdy przedtem. Gdyby uczynił taką propozycję, obojętne, w którym momencie, z pewnością nie rzucałabym mu kłód pod nogi. Wręcz przeciwnie.

Mówiąc to, miała jeszcze dokładnie przed oczami tamtą scenę, a w uszach głos męża:

- Zniknę, w porządku? - To pewnie o to chodziło. Poczynił też kilka aluzji, z których można było wnioskować, że wie o testamencie swego ojca. Ten idiota! Wiedział, a nigdy nie zdradził się ani słówkiem. Mógłby jeszcze żyć, gdyby wcześniej już...

Ale zadawanie sobie pytania, dlaczego przez te wszystkie lata trzymał buzię na kłódkę i znosił ten związek, było zbyt ciężkie. Ponieważ natychmiast wyrzuciłaby go na ulicę. Bo nie

mógł jej pozwolić dożyć tego triumfu, nie po osiemnastu latach walki. On chciał być tym, który się śmieje ostatni. - Piję za jutrzejszy poranek! - Słyszała to nadal wyraźnie. Czy on rzeczywiście wyobraził sobie, że sięgając po raz ostatni do kasy, zada jej śmiertelny cios? Właśnie on? Ten wieczny przegrany!

Dla Georga wszystko znowu było w jak najlepszym porządku. Lepiej już być nie mogło. Teraz miał nastrój na pieszczoty. Tyle że nie dane mu było rozkoszować się nimi zbyt długo. Nadal stał przy stole, a ona siedziała na nim, obejmując jego kark ramionami, a nogami biodra, wodząc ustami po jego twarzy, kiedy u drzwi wejściowych zabrzmiał dzwonek.

Wzdrygnęła się. To nie łagodny gong do drzwi tak ją wystraszył, ale raczej natychmiast powracające wspomnienie tego, co mu opowiedziała tej długiej nocy z poniedziałku na wtorek. Przede wszystkim to jedno zdanie: - Ale gdybym się z nim rozstała, to co by się stało z firmą?

Zapomniał o tym. Musiał o tym zapomnieć, w przeciwnym razie musiałoby mu się rzucić w oczy, jakie znaczenie ma to pytanie. Ale on stał tu przed nią ze spuszczoneymi spodniami, pozwalał się całować z zamkniętymi oczami.

- Po prostu nie otworzymy - mruknął, kiedy gong rozległ się po raz wtóry.

- Zwariowałaś. - Szepnęła tylko. Dla niej było jasne, kto stoi tam pod drzwiami. W grę wchodził tylko jeden. - Przecież zobaczy, że na dworze stoi moje auto. Poczekasz, aż wejdzie przez taras? Drzwi są jeszcze otwarte. Mnie to obojętne, to ty jesteś tym, który się tu kompromituje.

W ułamku sekundy była na podłodze, obciągnęła już spódnice, zapięła guziki bluzki, idąc korytarzem. Spoglądając przez ramię, cicho zażądała: - No rusz się.

Ponownie rozległ się dzwonek. - Chwileczkę! - krzyknęła. - Już idę.

Miała rację, Georg zdawał sobie z tego sprawę. Nie mógł sobie pozwolić na to, by go przyłapano w jednoznacznej sytuacji, jeszcze nie. A już na pewno nie Lehnerer. Doszła do drzwi wejściowych. Usłyszał, jak rozmawia, całkiem naturalnie. Na swój sposób rzeczywiście była bestią. - Przykro mi, jeśli musiałaś czekać. Byłam w ogrodzie. Dlaczego po prostu nie wszedłeś od tyłu? Przecież normalnie tak robisz.

Potem wróciła, a Lehnerer wszedł zaraz za nią. Georg doprowadził swój strój do porządku, zgarnął z podłogi jej figi i wetknął je sobie do kieszeni spodni. Tym samym zostały usunięte zdradzieckie ślady. Ale nie mógł się powstrzymać, by nie podejść do szafki i nie wyjąć naczyń. Kawa już dawno przeleciała przez filtr. Thomas wpatrywał się w niego, nie dało się przeoczyć wrogości w jego wzroku.

Georg się uśmiechnął, nakrył dla dwóch osób, mówiąc: - Oszczędził mi pan jeżdżenia,

panie Lehnerer. I tak chciałem się jeszcze do pana wybrać.

Od tego również nie mógł się powstrzymać. Tylko kilka pytań. - Najlepiej niech mi pan zapisze, jaką drogą pan jechał tamtej nocy. Od tego momentu, kiedy został pan sam. I proszę jeszcze wypisać imiona tych dziewcząt, które pan odwiedził.

Lehnerer nadal nie spuszczał z niego wzroku, już nie tak nieprzyjaznego jak na początku, raczej nieco drwiącego. - Odwiedziłem tylko tę Boussier. Innych nie zastałem. Ale już to raz powiedziałem.

- Wiem - stwierdził Georg - ale potrzebuję tego na piśmie. Muszę pana prosić, by w najbliższych dniach zjawił się pan na komendzie i podpisał swoje zeznania.

Mówiąc to, podszedł do ekspresu do kawy, wyjął dzbanek, wrócił z nim do stołu i napelnił obie filiżanki.

Thomas Lehnerer nadal stał przy drzwiach. Kiedy Georg usiadł, podszedł bliżej, również wziął sobie krzesło, spojrzął na Betty i się uśmiechnął. Był to bardzo pewny siebie uśmiech.

- Czy też mogę dostać kawy?

- Naturalnie - powiedziała, przynosząc mu filiżankę.

A potem siedzieli tak we troje. Georg zadał kilka pytań, udało mu się też nieraz nadać im groźne brzmienie, na przykład przy pytaniu o grupę krwi. Miał nadzieję, że Lehnerer poczuje się nieswojo i zniknie.

Ale ten nawet nie zamierzał wyjść, w zadumie mieszał swoją kawę, mimo że nie dodał do niej ani mleka, ani cukru. Spokojnie odpowiadał na pytania Georga, niekiedy nieco drwiąco, czasem z lekkim znudzeniem, ale zawsze pewnie. Ale nie była to pewność mężczyzny, który nie jest świadom żadnej winy. Była to pewność mordercy, który ufał, że niczego mu nie można dowieść.

Georg znał tę postawę z licznych przesłuchań. Na początku zawsze czuli się pewnie, ale później... Tylko że teraz byli na początku i nie pozostało mu nic innego, jak na krótko przed ósmą się pożegnać, przelewając wszelkie nadzieje na raport z laboratorium. Tylko kilka szarych niteczek!

Betty odprowadziła go do drzwi, wzruszając z żalem ramionami, przycisnęła palec najpierw do swoich, a potem do jego ust.

Zamknąwszy za nim drzwi, oparła się o nie na chwilę i głęboko odetchnęła. Potem powoli wróciła do kuchni.

Thomas spoglądał na nią ponurym wzrokiem. - On się już tu czuje jak u siebie w

domu, nawet wie, gdzie stoją filizanki. Miałem poczucie, że przyszedłem w nieodpowiednim momencie. Przeszkodziłem wam w czymś?

Był wściekły, bardzo wzburzony, mimo że udało mu się to powiedzieć dosyć opanowanym głosem. Widać to było po nim. Znała go dostatecznie dobrze, by wiedzieć, jak zareagować na jego gniew.

- Owszem, przeszkodziłeś - odpowiedziała spokojnie, podeszła do stołu i stanęła koło niego. - I byłabym ci naprawdę bardzo wdzięczna, gdybyś tymczasem odzwyczyił się od wieczornych odwiedzin.

- Ach - udał zdumionego Thomas, a jego głos ociekał sarkazmem. - Czy to może oznacza, że on cię co wieczór odwiedza?

- Skończ z tymi idiotyzmami - przywołała go do porządku. - Dokładnie wiesz, o co mi chodzi. Był tu w poprzedni wtorek i we środę, i za każdym razem ty też się zjawiałeś. I do tego jeszcze wchodzisz przez taras, wołając „Duszko”. Masz go za głupca? Myślisz, że nie potrafi do trzech zliczyć?

Thomas na moment zagryzł wargi. - Już raz ci mówiłem, że on nic na nas nie ma. Dla niego to zupełnie bez znaczenia, jak ja cię nazywam.

W jego głosie nie było już sarkazmu, tylko nieskrywana wściekłość. - Chyba że on sam ma na ciebie chętkę. A ma. Miał od samego początku. Jeszcze dobrze nie wszedł w drzwi, a już zaczął rozbierać cię wzrokiem. A tobie się to podoba, jeszcze go prowokujesz. Czy może myślisz, że jestem ślepy? Przecież widzę, co tu się dzieje. Ostrzegam cię, Betty, nie graj ze mną w żadne gierki. Dużo zaryzykowałem i nie uczyniłem tego na darmo.

Przez kilka sekund przyglądała mu się zaskoczona, potem z namysłem potrząsnęła głową: - Nie, pewnie nie na darmo. Mogłoby to cię kosztować dobrych dwadzieścia pięć lat. I nie wyobrażaj sobie, że mógłbyś mnie w to wciągnąć, jak robi się gorąco. Mam alibi na ten czas. Nikt inny, tylko on sam siedział tu u mnie. Abstrahując od tego, nie miałam motywu. W każdej chwili mogłam wyrzucić Herberta na ulicę. Właśnie się o tym dowiedziałam. Stary sporządził testament na moją korzyść.

Thomas nadal był wściekły: - To cudownie dla ciebie. Ale tak łatwo nie dam się odwieść od tematu.

Roześmiała się. - Ja też nie! Pozostańmy przy tym temacie: zakochany policjant. W tym miejscu się z tobą zgadzam. Podoba mi się to. I czynię wszystko, co mogę, by podtrzymać jego dobry humor. Jestem dla niego miła, pozwalam mu robić kawę, jeśli ma ochotę się jej napić. Daję mu poczucie, że widzę w nim nie tylko policjanta. Może w ten sposób mogę go skłonić do tego, żeby wcześniej zdradził mi parę informacji. To pomogłoby

nam obydwójgu.

Thomas zaczął się uśmiechać. - Jakich informacji? O łuskach skórnych i próbkach potu?

Betty podeszła do swojego krzesła i usiadła. - Na przykład - powiedziała. - Nie bez powodu pytał cię o grupę krwi.

Jego uśmiech stał się o niuans szerszy. - A więc to on nabił ci tym głowę. Tak też myślałem. Przecież sama byś nie wpadła na taki zwariowany pomysł. Betty, nie widzisz, jak on cię chce wykiwać? Nie istnieją takie badania. Błefuje, bo chce cię zbić z tropu. Są w stanie dużo zrobić, ale cudów zdziałać nie umieją. Są pewne granice.

- To ty tak mówisz - stwierdziła. - Ty przecież na co dzień zajmujesz się tą materią. Ale nawet jeśli masz rację, to podejrzenie skierowane przeciwko tobie tym samym nie znikło z powierzchni ziemi. A może znajdzie się coś innego. Jeśli znajdzie choćby najmniejszy dowód, że byłeś nad stawem...

Przerwała, czekając na jego reakcję. Nie było żadnej. Uśmiech znowu zniknął. Jego mina była neutralna i pełna wyczekiwania. Powoli mówiła dalej: - Może powinieneś na kilka dni wyjechać. Wtedy zobaczymy, czy on tylko bieruje. Ma coś przeciwko tobie, to pewne. Ale czy cię rzeczywiście podejrzewa, czy widzi w tobie tylko rywala, o tym przekonamy się dopiero wtedy, gdy nie będziesz mu tańczył przed nosem. Zasygnalizuję mu, że ma u mnie szansę. Może je wykorzystać dopiero wtedy, gdy zamknie tę sprawę. A zamknąć ją może dopiero wtedy, kiedy wszystko będzie w porządku.

Thomas znowu się uśmiechał, tym razem ani wesoło, ani sarkastycznie. - Dobrze to sobie wymyśliłaś. Ja zniknę na parę dni, a wtedy ty będziesz miała wolną rękę. Przecież on nie zadowolony się sygnałami, dobrze o tym wiesz. Ale to już raz przerabialiśmy, Betty. Nie musimy tego koniecznie powtarzać.

Spoglądała na niego, jakby nie zrozumiała, co powiedział. Po kilku sekundach potrząsnęła głową, stwierdzając zarazem ze zdumieniem w głosie: - To było podłe. Kto wtedy kogo odesłał z kwitkiem? Kto kogo całymi miesiącami wodził za nos? Kto komu obiecywał gwiazdkę z nieba? Do licha, miałam dopiero szesnaście lat! Wierzyłam ci. Dokładnie wiesz, czemu wtedy zadałam się z Herbertem. Bo sądziłam, że w ten sposób mogę cię zranić. Chciałam cię zranić, chciałam ci zadać taki ból, jaki ty zadałeś mnie. Tak głupim jest się tylko w wieku szesnastu lat. Tobie to przecież było bardzo na rękę. Przynajmniej nie musiałeś podejmować żadnej decyzji.

- To nieprawda, Betty - zaprzeczył. - To jest...

Machnęła ręką, przerywając mu. - Ach, przestań. Nie mam ochoty odgrzebywać

starych historii. Mamy ważniejsze sprawy, o których musimy pomyśleć. Jeśli twoja jedyna troska polega na tym, że pójde do łóżka z policjantem, to mogę tylko powiedzieć, że rzeczywiście jesteś bardzo pewny swego. Ale pozwolisz, że ja nie będę. A jeśli podczas tych badań jednak wyjdzie na jaw coś istotnego? Wiem, że w to nie wierzysz, ale założmy, że jest taka możliwość. Jeśli wtedy będziesz pod ręką, to cię złapie. Mam nadzieję, że to dla ciebie jasne. Ale jeśli cię nie będzie...

Nie dokończyła tego zdania, pochyliła się naprzód, kładąc mu rękę na kolanie. - Thomas, wiem, co dla mnie zrobiłeś. Nigdy w życiu o tym nie zapomnę. I nie chcę, żebyś za to poszedł do więzienia. To jeszcze jeden powód, żeby cię na kilka dni odesłać. O wiele lepiej bym się czuła, gdybyś się z tym zgodził.

Zobaczyła, że chce jej odpowiedzieć, więc szybko zaczęła mówić dalej: - Mówię to śmiertelnie poważnie. Boję się, Thomas. Jeśli będzie trzeba, jeśli w ten sposób będę mogła zapobiec temu, żebyś wpadł po uszy w kłopoty, to pójde i z nim do łóżka.

- Fantastycznie - odpowiedział z należąca porcją sarkazmu. - A jak daleko sięga twoja ofiarność, na raz, dwa razy, a może na więcej?

- Raz pewnie by wystarczył - stwierdziła. - Potem się go pozbędę.

- I sądzisz, że on podziękuje za twoją łaskę i dobrowolnie odejdzie? Na takiego to on nie wygląda.

- Herbert też na takiego nie wyglądał - powiedziała. - A mimo to początkowo było to wiarygodne samobójstwo.

Thomas pojął, do czego zmierza, i nie wierząc własnym uszom, potrząsnął głową. - Zwariowałaś? Ten człowiek jest policjantem.

- Ale nie jest nieśmiertelny - odpowiedziała. - Jest rozwiedziony, sfrustrowany, samotny, rozczarowany, zgorzkniały. Z nim byłoby jeszcze łatwiej niż z Herbertem. Nikt by nie stawiał zbyt wielu pytań, gdyby znaleziono go martwego w jego wozie, mogłoby to być zatrucie spalinami. Do tego nie potrzebuję żadnej pomocy.

Potem cicho się roześmiała. - Ale prawdopodobnie wystarczy, jeśli pójde z nim raz na kolację.

Popatrzyła mu w twarz z lekko przechyloną głową. - Bądź miły i zaufaj mi. Wiem, co robię. Nie jest najgorzej, kiedy funkcjonariusz policji widzi same różowe serduszka.

Potem wyjaśniła mu, jak to sobie wyobraża. On zamiast niej powinien pojechać na kilka dni do Holandii, oficjalnie byłaby to podróż służbowa, nieoficjalnie mały urlop i czas oczekiwania. - Jeśli pojedziesz w czwartek rano, to będziesz miał dwa dni czasu, żeby obejrzeć domy i odbyć dokładne konsultacje. Zadzwoń do van Beurena i powiem mu, że

przyjeżdżasz. Na pewno będziesz mógł u niego zamieszkać - do piątku. Jeśli ten glina rzeczywiście czegoś ode mnie chce, to skłonię go do tego, żeby w piątkowy wieczór wybrał się ze mną na kolację. A kiedy już zajdziemy tak daleko, to dowiem się też, o co chodzi z tymi badaniami.

Uśmiechnęła się do niego tym dziecięcym uśmiechem, któremu nie można było się oprzeć, stanowiącym mieszankę niewinności i pożądania. - Zarezerwuję miły hotelik na wybrzeżu. Co myślisz o Renesse? A jeśli wszystko będzie w porządku, to w sobotę do ciebie dojadę. Spędzimy piękne dwa dni. Zgoda?

A jeśli nie wszystko jest w porządku? - Thomas nadal był sceptyczny, zdenerwowany i niezdecydowany oraz nieco zatroskany, że mogła tekst o martwym policjancie traktować poważnie. Ale nie zdawało się to możliwe.

- Wystarczy jeden telefon - powiedziała - i będziesz wiedział, co i jak. W takim wypadku zatroszczę się o to, żebyś w najbliższym czasie nie musiał się martwić o finanse, ani o Margot i dzieci.

Znowu się uśmiechnęła, koniuszkami palców pogłaskała jego nogę. - Ale ty nie wierzysz, że mógłby ci czegoś dowieść, a więc nie miejmy czarnych myśli. Lepiej się nastawmy na piękny weekend.

Potem wstała, usiadła mu na kolanach i otoczyła ramionami jego szyję. Kilka tych lekkich pocałunków, które tak lubił. Powoli przeszedł do czułości, przyciągnął ją do siebie, twarz wtulił w jej szyję. Dwa piękne dni, powiedziała Betty, a pomiędzy nimi była noc. Jeszcze nigdy nie spędził z nią całej nocy. Nie wiedział, jak to jest, zasypiać przy niej i budzić się obok.

- A co mam opowiedzieć Margot, jeśli zostanę na weekend? Przecież nie uwierzy, że mam tak długą podróż służbową. Tak głupia to nie jest.

- Jestem pewna, że coś wymyślisz. - Poczula, jak jego ramiona obejmują ją mocniej. - Zadzwoń po prostu do niej w piątek i powiedz, że van Beuren zaprosił cię na weekend.

Skinął głową. - Brzmi nieźle.

Kiedy zaczął rozpinąć jej bluzkę i jedną rękę przesunął w górę uda, przytrzymała ją, mrużąc: - Nie teraz, jestem potwornie spocona, muszę najpierw wziąć prysznic. A potem muszę sobie założyć świeży opatrunek.

Podsunęła mu lewą dłoń. A kiedy spytał, jak doprowadziła do zakażenia rany, opowiedziała mu o krzakach bzu. Trzy sztuki, a przecież bez ma tak rozgałęzione korzenie. To musiała być głęboka dziura.

Podczas gdy Betty poszła pod prysznic, Thomas Lehnerer wyszedł na zewnątrz,

obejrzał sobie dziurę i potrząsnął głową. A potem zaczął kopać. Następnie założył jej świeży opatrunek, sam poszedł na górę do łazienki, a stamtąd od razu do sypialni. Betty już leżała na łóżku, spoglądając ku niemu z uśmiechem. Właściwie było już za późno, już dawno powinien być w domu. Margot będzie się dziwiła, gdzie się tak długo podziewa.

Wziął ją w ramiona, był jak zwykle delikatny, nie spieszył się, zostawił sobie dużo czasu. Ona odpowiadała na jego pieszczoty z zamkniętymi oczami. W pewnym momencie Thomas szepnął: - Kocham cię.

- Ja ciebie też - odpowiedziała szeptem Betty, przyciągnęła go mocniej do siebie i powtórzyła: - Ja ciebie też.

Thomas Lehnerer został jeszcze przez kwadrans. Dla swojej żony znalazł wymówkę, którą Margot przyjęła z nieruchomą twarzą, mimo że ani przez chwilę nie uwierzyła, że był właśnie w kilku miejscach, w których jako dzieci spędzali dużo czasu z Herbertem.

Po południu we wtorek odbył się pogrzeb Herberta Theissena. Georg Wassenberg prawie o tym zapomniał. Dla niego wtorek zaczął się od pośpiechu. We wczesnych godzinach porannych ktoś uprawiający w parku jogging odkrył tam na ławce piątego trupa. Jeszcze przed szóstą wezwano Georga na komendę.

Wkrótce po nim przybyła Dina. Podejrzewana pani Rasche była śledzona także w poniedziałek, wróciła jednak do swojego mieszkania wczesnym wieczorem i już go nie opuszczała, to było pewne. Tym samym i tak skąpe podejrzenia zostały ostatecznie obalone. Dina przyjęła to spokojnie: - Każdy się może pomylić.

Późnym popołudniem zadzwoniła Sonia, by się dowiedzieć, czy Georg chce wieczorem omówić z nią szczegóły opieki nad psem. O psie zupełnie zapomniał, nie był też pewien, czy tego wieczora zdąży.

- Jeśli się zrobi późno - zapewniła ochoczo Sonia - to nic nie szkodzi. Nigdy nie chodzimy spać przed północą. Ale lecimy w czwartek wcześniej rano. Na pewno nie zechcesz odbierać klucza w ostatniej minucie. A jutro wieczorem nie mam czasu, bo muszę się spakować.

O dziewiątej zadzwonił do Betty, chciał spytać, czy ma ochotę mu towarzyszyć. Telefon dzwonił przez chwilę, zanim wreszcie podniesiono słuchawkę. Betty nie mogła złapać tchu.

- W czym ci przeszkodziłem? - spytał. Natychmiast poczuł nieufność, ale spojrzenie na zegar i jej wyjaśnienie znowu go ugłaskały. Była tylko w ogrodzie.

- A co tam robiłaś? Przecież już ciemno. Tylko mi nie mów, że znowu kopałaś. Zostaw te bzdury, pomyśl o swojej ręce.

Z jej ręką nie jest tak źle, zapewniła. A na tarasie ma oświetlenie. Poza tym chciała skierować myśli w inną stronę, odwrócić uwagę od tej godziny na cmentarzu. Nie miała ochoty towarzyszyć mu do jego byłej żony.

- Nie gniewaj się - poprosiła. - Nie spodziewałam się, że tak się tym przejmę. Jego przyjaciółka też była. Kiedy ją zobaczyłam z tym dużym brzuchem...

Przerwała, usłyszała jej głośny oddech, trzy, cztery głośne oddechy. - Pragnę teraz tylko trochę spokoju, rozumiesz?

Oczywiście, że rozumiał. Nie był też zły, tylko rozczarowany. To byłby triumf, poznać ją z Sonią. Przy tym wyraz twarzy Soni po pierwszym zdumieniu, że jest w damskim towarzystwie, cień zazdrości. A po pożegnaniu Sonia policzyłaby najpierw swoje zmarszczki, urządziła swojemu bubkowi wykład o liposomach czy innych idiotyzmach i upewniła się z jego ust, że jest najpiękniejsza. Tylko że wtedy nie mogłaby już w to wierzyć.

- Może jutro wyrwę się stąd trochę wcześniej - powiedział przy pożegnaniu. Sam w to nie wierzył. - Zadzwoń do ciebie. Śpij dobrze.

- Ty też - powiedziała.

W środę znalazł jedynie czas na krótką rozmowę. Bardzo krótką. Zatelefonowała do niego, żeby zapytać, czy przyjdzie wieczorem i kiedy. Roześmiała się cicho i bardzo zmysłowo: - Chcę się tylko upewnić, że nie zaskoczysz mnie znowu brudnej i spoconej w ogrodzie.

- Przykro mi - odparł. - Dzisiaj mi się nie uda.

Środa była nie mniej zaganiana niż wtorek. Był świadek, prawdziwy świadek, który mógł się przydać. Był razem z piątą ofiarą. Późnym popołudniem w poniedziałek trzymali się w pobliżu domu pastora, gdzie im się niekiedy udawało zdobyć kilka marek, a czasem tylko talerz zupy.

Tak około szóstej zagadał ich młody mężczyzna. Podał się za dziennikarza, pokazał jakąś legitymację i twierdził, że zbiera materiały do serii artykułów o bezdomnych. Świadka uratowała przed nieszczęściem odpowiednia porcja dumy i brak ochoty zdawania relacji obcemu człowiekowi tylko po to, żeby inni mogli przeczytać w gazecie, jak czyjeś życie zeszło na psy. Ofiara pozostała sama z rzekomym dziennikarzem. Świadek był w stanie dostarczyć dokładnego opisu, przypomniał też sobie samochód, szarą hondę.

Popytano w urzędach komunikacji. Szara honda, starszy model, świadek pamiętał dwie cyfry z tablicy rejestracyjnej, siódemkę i trójkę.

Późnym popołudniem do komendy wpadła Dina Brelach. Powszechnie zdenerwowanie zdawało się jej w najmniejszym stopniu nie dotyczyć. Spokojnie przyjęła kilka zaczepek

dotyczących swojej absurdalnej teorii o kochającej i mordującej matce. Zanim znowu znikła, zjawiała się przed biurkiem Georga i podsunęła mu jakąś kartkę. Uśmiech na jej twarzy był raczej zmęczony niż zwycięski.

- Chłopak córki Rasche jeździ szarą hondą - powiedziała Dina. - Oto jego numery. - Była tam siódemka, nie było trójki, ale za to ósemka.

- Cyfry są wyblakłe - wyjaśniła Dina. - Z pewnej odległości łatwo się pomylić. Słyszałam, że samochód stał po drugiej stronie ulicy. Świadek widział ten numer tylko z boku. Potrzebowali piątej ofiary, by odwrócić od siebie uwagę. Prawdopodobnie za często następowałam tej Rasche na odcisk. Albo zauważyła, że jest obserwowana. Więc on się tym zajął.

Georg obejrzał cyfry, przeklinając pod nosem. Potem wziął tę kartkę i poszedł z nią do szefa komisji specjalnej.

Kiedy wrócił do biura, pośrodku jego biurka leżała koperta, gorąco wyczekiwany raport z laboratorium kryminalnego landu. Przeczytał go dwa razy. Wyniki badań lamborghini nie były obszerne. W gruncie rzeczy włosy pochodziły od Theissena, a nitki z jego garnituru.

Również badania ubrania nie przyniosły zbyt wiele. Było kilka nitek, żywa wełna i trevira. Nie mogły one pochodzić od Lehnerera. Dresy do joggingu produkowano z innych materiałów. Kilka włosów, krótkie kawałki końcówek w kolorze srebrny blond, które często się łamią przy rozdwarzających się włosach, musiały pochodzić od Betty. Poza tym trochę ciemnych, kręconych, należały prawdopodobnie do przyjaciółki Theissena. Na jednym rękawie marynarki zabezpieczono jeden jedyny włos łonowy. Georg wychodził z założenia, że również ten włos pochodzi od Eugenie Bouscier.

Jak dotąd raport niczego nie wniósł do sprawy. Ale były jeszcze buty Theissena. Znaleziono na nich liczne nitki z dywanu, kilka ziarenek piasku, żadnej trawy ani grudek ziemi. Analiza plam od trawy na spodniach nie mogła wyjaśnić, czy Theissen pełził na kolanach, czy godzinami leżał w jednym miejscu.

A więc był w tym samym punkcie, co przed kilkoma dniami. Wykiwany. Jakby Lehnerer tego nie zrobił, w każdym razie nie zostawił żadnych śladów. Może tak było lepiej. Zapobiegło to wciągnięciu Betty w to bagno. Rozsądek podpowiadał mu, że powinien zamknąć akta sprawy i pozostawić ją samą sobie. Ale jego instynkt burzył się przeciw temu. Chciał przypiąć temu leśnemu sprinterowi przynajmniej jedną łatkę na przyszłość.

O wpół do piątej stanął pod drzwiami Lehnerera. Pan prokurent jeszcze nie wrócił. Tego się Georg spodziewał, a przy tym, co zamierzał uczynić, wolał nawet, że go tymczasem

nie było. Otworzyła mu Margot Lehnerer. Jej twarz nadal sprawiała wrażenie smutnej i poważnej, ale teraz dołączył jeszcze do tego strach. Poprosiła, by wszedł, usiłowała od razu wybadać, co go skłoniło do tej wizyty.

Taka głupia to Margot nie była, żeby nie pojąć znaczenia pewnych rzeczy. Dwie plastikowe plandeki w garażu, które Thomas przyniósł w ten przeklęty poniedziałek po swoim bieganiu po lesie. Trudno było raczej założyć, że je gdzieś w tym lesie znalazł. Narzędzia, olbrzymie obcęgi, których Margot nie widziała nigdy przed poniedziałkiem. A co miało jeszcze większą wagę, to fakt, że Thomas nie był od tego momentu sobą, nie był tym łagodnym, kochającym mężczyzną, z którym żyła od lat. Unikał jej, nie potrafił spojrzeć w oczy. Starał się udawać, że wszystko w porządku. A przy tym sprawiał wrażenie tak spiętego, tak pełnego winy. Margot Lehnerer jednak raczej odgryzłaby sobie język, niż choćby jednym słowem zasygnalizowała, co od wielu dni chodzi jej po głowie, a nocą spędza sen z powiek. To potworne podejrzenie, że Thomas miał coś wspólnego ze śmiercią Herberta.

Georg nie podszedł nawet do drzwi salonu, stanął pośrodku korytarza, odpowiedział na pełen lęku wzrok kobiety kamienną miną. - Muszę panią prosić, by dała mi pani ubranie, które nosił na sobie pani mąż w poniedziałkowy wieczór w zeszłym tygodniu.

W głębi ducha Margot liczyła się z tym, że coś takiego nastąpi. Tylko nie chciała się sama przed sobą do tego przyznać, odpędzała od siebie każdą myśl na ten temat. Teraz, kiedy do tego doszło, wpatrywała się w nieproszonego gościa. - Jakie ubranie?

- To był szary dres - pomógł jej Georg.

- Po co jest panu potrzebny?

Nie odpowiedział jej. A ona nie wpadła na pomysł, by go spytać, na jakiej podstawie żąda od niej stroju jej męża. - Jest na górze w szafie. Ale już go uprałam.

- Nie szkodzi - powiedział Georg. - Potrzebujemy go tylko do porównania włókien.

- Porównanie włókien - powtórzyła Margot bezbarwnym głosem. Zbladła, nie potrafiła tego powstrzymać. - Nie wiem dokładnie... Szary dres. Mój mąż ma wiele szarych dresów. Może lepiej niech pan na niego poczeka. Powinien lada moment wrócić.

- Naturalnie - powiedział Georg.

Thomas Lehnerer wrócił kilka minut po piątej. Zobaczył samochód Georga, ale nie martwił się z tego powodu. Także żądanie policjanta ani na chwilę nie zbiło go z tropu. Posłał żonę, by przyniosła żądany dres. Georg poczekał, aż wróci. Miał jakieś przecucie. Jej zachowanie, jej widoczny strach. Wiedziała o czymś albo przynajmniej czegoś się domyślała.

Kiedy wręczyła mu dres w reklamówce, kiedy Thomas Lehnerer spytał go z drwiącym uśmiechem: - Potrzebuje pan jeszcze czegoś, panie komisarzu? Może pary butów? - wówczas

Georg odpowiedział mu takim samym uśmiechem, równie drwiąco i wyniośle. - Nie zaszkodzi, jeśli zapakuje mi pan parę butów, które miał pan na sobie tamtej nocy. Wie pan, która to była para?

Thomas potrząsnął głową.

- To proszę niczego nie szukać - powiedział Georg. Butów nie potrzebujemy tak koniecznie. Dres całkowicie wystarczy jako dowód.

Nareszcie jego uśmiech zgasł. - Jaki dowód? - chciał wiedzieć Lehnerer.

Georg z rozkoszą pozwolił się rozpląnąć tym słowom na języku: - Czy mówi panu coś pojęcie okrzemka, panie Lehnerer?

Jeszcze jedno zaprzeczenie i pierwsze oznaki niepokoju. Georg nadal się uśmiechał. - Jestem laikiem w tej dziedzinie i nie jestem pewien, czy tak szybko potrafię w przystępny sposób wyjaśnić panu, co to oznacza, gdy w raporcie z laboratorium figuruje stwierdzenie: Dowód okrzemkowy negatywny.

Odczekał jeszcze dwie sekundy, rozkoszując się utratą pewności siebie swojego partnera. - Proponuję - dodał wówczas - byśmy omówili to szczegółowo jutro rano. Oczekuję pana o dziewiątej na komendzie.

Margot Lehnerer odprowadziła go do drzwi. Drżała, łapiąc za klamkę, by mu je otworzyć. Georg przyjaźnie skinął jej głową, a potem podszedł do swojego wozu, zadając sobie w duchu pytanie, czy Lehnerer właśnie kartkuje słownik Dudena.

A powinien! Znajdzie w nim tylko objaśnienie, że okrzemka jest glonem krzemowym. A więc będzie tak samo mądry, jak i przedtem. Nie spodziewał się, by Thomas miał do dyspozycji podręczny słownik stosowanej medycyny sądowej. Dokładnie rzecz biorąc, był to tani triumf. Tylko jedna bezsenna noc dla naszego leśnego sprintera.

Byłby jeszcze czas, by złożyć krótką wizytę Betty. Miał też pierwotnie taki zamiar, mimo że przez telefon wyraźnie jej powiedział, że dzisiaj w żadnym razie nie może przyjechać. Mała niespodzianka, jemu to nie przeszkadzało, gdyby musiał ją spoconą wyciągać z rowu w ogrodzie. Tylko że w ostatniej chwili przeszła mu ochota.

Dla Betty śmierć jej męża mogła być wielką ulgą. I życzył jej tego z całego serca. Ale inni. Szkoda mu było żony Lehnerera, tak samo jak Eugenie Boussier i matki Theissena. Zawsze kilka osób pozostawało ze swoją rozpaczą, podczas gdy inni przechodzili nad tym zdarzeniem do porządku dziennego.

Wrócił jeszcze raz na komendę i posłał dres Lehnerera do Dusseldorfu. Zbędna praca dla ludzi w laboratorium, ale co tam. Potem pojechał do swojego mieszkania, spakował kilka rzeczy i wyruszył w drogę do domu, w którym przez wiele lat mieszkał z Sonią. Tę noc

spędził w jednym z gościnnych pokoi.

W czwartkowy poranek czekał nadaremnie. Thomas Lehnerer nie zjawił się o umówionej porze. O dziesiątej Georg zadzwonił do firmy. Telefonistka była bardzo uprzejma, natychmiast połączyła go z biurem Lehnerera. Potem usłyszał kolejny damski głos, sekretarkę pana prokurenta. Z panem Lehnererem nie mógł niestety porozmawiać. Był w podróży służbowej i spodziewano się go z powrotem dopiero w poniedziałek albo wtorek. Tego dokładnie sekretarka nie wiedziała.

W pierwszej chwili zagotował się z wściekłości. - To proszę mnie połączyć z panią Theissen.

To też niestety nie było możliwe, szefowej nie było w biurze. - Czy mam jej coś przekazać? - spytała sekretarka Lehnerera.

- Nie, dziękuję bardzo.

To, co było do przekazania, chciał przekazać osobiście. Ale najpierw odbył krótką naradę z prokuratorem. Zlekceważył wszelkie opory i obawy, że Lehnerer mógłby ją wciągnąć w tę sprawę. Niech tylko spróbuje, ten sprinter, nie zdziała zbyt wiele. Georg już mu założy kaganiec.

Nie miał wystarczających dowodów dla sędziego, by spowodować areszt, a prokurator był sceptyczny. - Myśli pan, że uciekł?

Naturalnie, że tak myślał. Laik, który sądził, że pod pojęciem negatywnego dowodu okrzemkowego kryje się nie wiadomo co.

- Co pani Theissen mówi o tej podróży służbowej?

- Nie udało mi się z nią porozmawiać.

- To niech pan to najpierw zrobi. Jeśli pani Theissen nie ma pojęcia o tej podróży, to sprawa wygląda nieco inaczej. Ale tylko nieco, mówię to panu całkiem otwarcie. Nie mamy jeszcze nic w garści, absolutnie nic. Tylko fakt, że ktoś musiał przenieść zmarłego z jednego miejsca w drugie. A i to nie jest właściwie nawet faktem, tylko logicznym wnioskiem. Dowieść tego nie sposób.

Na krótko przed południem Georg po raz drugi zadzwonił do firmy. Betty nadal nie było. Pojechał do domu Lehnerera. Otworzyła mu Margot. Wyglądała na zapłakaną. Łatwy łup, pomyślał, co się jednak okazało mylnym wnioskiem.

Nie udało mu się wydusić z niej ani słowa, tylko stwierdzenie, że podróż służbowa była już planowana jakiś czas temu. Z pewnością nie miało to nic wspólnego z jego wczorajszą wizytą. Chyba tylko pod wpływem zdenerwowania Thomas zapomniał o tym

powiedzieć. Margot uczyniła mu nawet lekki wyrzut. Skoro ta wizyta na komendzie była tak ważna, to powinien był powiedzieć Thomasowi, że ma być do dyspozycji i w żadnym wypadku nie wyjeżdżać za granicę.

Georg sądził, że się przesłyszał. Za granicę?

Oczywiście, że nie do Ameryki Południowej, wyjaśniła szybko Margot Lehnerer. Tylko tu obok. Do Holandii. Do Roosendaal. - Jakie w ogóle stawia pan mojemu mężowi zarzuty? Czy sądzi pan może, że miał do czynienia ze śmiercią Herberta?

Jej głos się załamał. I to spojrzenie, te wszystkie pęknięte żyłki w gałkach ocznych, zaczerwienione miejsca przy nozdrzach. Tak wygląda tylko ktoś, kto bardzo długo płakał.

- Nie tylko tak sędzę - powiedział spokojnie Georg. - Ja to wiem. I pani także o tym wie, pani Lehnerer. Pani mąż ma romans z Betty Theissen.

Nie było zdziwienia, przerażenia ani oporu w jej wzroku. Tylko pełne namysłu, energiczne zaprzeczenie. Potem już tylko patrzyła z przekorną miną w stronę okna, omijając go wzrokiem. Jeszcze dłuższy pobyt u niej nie miał sensu.

Wrócił na komendę. Najpierw próbował dodzwonić się do Betty do domu. Jak się należało spodziewać, nikt nie odebrał. Potem próbował jeszcze dwa razy w odstępie godziny w firmie, za każdym razem bez skutku. Ciągle otrzymywał lapidarną odpowiedź: - Pani Theissen nie ma w biurze.

Za drugim razem ostatecznie się zdenerwował. - A gdzie, do diabła, jest pani Theissen?

Tego nikt tak dokładnie nie wiedział. Podobno miała różne sprawy do załatwienia.

- Przypadkiem nie towarzyszy panu Lehnererowi w podróży służbowej? - spytał.

Nie, z pewnością nie, zapewniono go. Była o dziewiątej w biurze, ale niedługo. Zabrała tylko kilka dokumentów.

Dopiero późnym wieczorem udało mu się do niej pojechać. Była już prawie dziesiąta. I Betty była w domu. W jednym z górnych okien od strony ulicy paliło się światło. Nie wiedział, w którym pokoju jest to okno, i nawet go to nie interesowało. Jak zwykle jej auto stało na podjeździe, ale nie samo, lamborghini dotrzymywał mu towarzystwa. Na jego dzwonek nie było początkowo żadnej reakcji.

Odczekał całą minutę pod drzwiami, a potem poszedł od tyłu. Salon pogrążony był w ciemności, drzwi od tarasu były zamknięte. Przed tarasem widniała pokaźna dziura w ziemi, wyglądała niemal jak okop strzelecki. Szpadel tkwił z boku w kopczyku ziemi.

Kilka razy zawołał jej imię, potem znowu podszedł do wejściowych drzwi, przycisnął kciuk do dzwonka, powtarzał to tak często, aż wreszcie na schodach zapaliło się światło.

Podeszła do drzwi w szlafroku z białego frotte. Włosy miała mokre, twarz tak drobną i bladą, że w pierwszym momencie porządnie się przestraszył. Wyglądała na chorą, poważnie chorą. To nieco stłumiło jego piekielną złość.

- Niedobrze się czujesz?

- Boli mnie głowa - szepnęła. - Mam potworną migrenę, gorszą niż przed tygodniem. I jest mi niedobrze. Już dwa razy wymiotowałam.

Zamrugła oczami, jakby miała też kłopoty w widzeniu. - Myślałam, że ciepła kąpiel dobrze mi robi. Przykro mi, że nie zeszłam natychmiast na dół. Nie jestem dziś taka szybka.

Nie wyglądało na to, by chciała go poprosić do środka. I okłamała go, był tego pewien. Nie mogła być w łazience. Światło świeciło się w jednym z pomieszczeń od frontu. To jednak szybko się wyjaśniło. Oświetlone okno należało do łazienki dla gości, tamtejsza wanna była mniejsza.

- Nie musiałam w niej pływać - mruknęła.

Przesunął ją za ramię w głąb korytarza, a sam wsunął się obok niej. W korytarzu zobaczył, że jej szlafrok jest zabrudzony z przodu na piersi. Wyglądało to na wymioty. Także przy kołnierzu była plama. Ale to wyglądało na...

- Zakrwawiłaś się tu na górze - powiedział.

- Co? - jej głos brzmiał całkiem matowo.

- Krew! Tu na górze, na kołnierzu.

Pokazał na strużkę. Obróciła głowę, z trudem wodząc wzrokiem za jego wyciągniętym palcem. Zdawało się, że ma trudności z poruszaniem głową.

- Cholera - zaklęła cicho, obejrzała zaczerwienioną opuchliznę na lewej dłoni, zwinęła ją w pięść. Nie miała bandaży ani plastra. - I znowu się to otworzyło.

Potem zaproponowała. - Przejdźmy do salonu. Muszę się położyć.

Ujął ją za łokieć, zamknął drzwi wejściowe i odprowadził do salonu, zaczynając przy tym przesłuchanie: - Gdzie byłaś przez cały dzień?

- Tutaj.

- To nieprawda. Dzwoniłem tu.

- Może akurat byłam na zewnątrz.

- Naprawdę straciłaś rozum! Chyba w tym stanie nie kopałaś?

- Nie - powiedziała bezbarwnie. - Nie w ogrodzie. Ja... Georg, proszę, nie krzycz na mnie, pęka mi głowa.

Kiedy wyciągnęła się już na sofie, wyjawiał jej powody swojej wściekłości. Nie dało się uniknąć tego, że przybrał ton ostrzejszy niż zazwyczaj. - Byłem wczoraj u niego,

poleciałem mu przyjść dziś rano na komendę. Ani słowem nie zdradził, że wybiera się w podróż.

- Tak, wiem - szepnęła. - Powiedział mi to dziś rano.

- Kiedy się z nim widziałeś?

- O ósmej. Był tu i zabrał dokumenty. Wzięłam je wczoraj ze sobą. Powiedział, że musi wyjechać później, bo kazałeś mu przyjść o dziewiątej. Ale ja już go umówiłam w południe u naszych partnerów w interesach. Powiedziałam mu, że załatwię to z tobą. Przykro mi, jeśli popełniłam błąd. Ale to bardzo ważna dla nas sprawa. Musiał pojechać. Swoje zeznania może przecież podpisać i później.

Georg się krótko roześmiał. - Gwizdę na jego zeznania.

Betty zamknęła oczy i położyła ramię na czole. Jej powieki drżały, jakby trudno jej było ponownie otworzyć oczy.

- Proszę, mógłbyś mówić trochę ciszej? - poprosiła ponownie. - I wyjaśniłbyś mi może, czemu się tak denerwujesz? Czego chcesz od Thomasa?

Ściszył nieco głos, ale mimo to nadal pobrzmiwał w nim gniew. - A czegoż by? I nie opowiadaj mi znowu o robotnikach, którzy są na każde gwizdnięcie twego teścia. - Był zbyt zdenerwowany, by usiąść, chodził w kółko przed stolikiem, nie spuszczając jej przy tym z oka.

- Thomas był tam koło stawu - powiedział zdecydowanym tonem. - Tu się nic nie da zmienić. Jego żona powiedziała, że ta podróż była już dawno zaplanowana. Jak dawno? Od niedzieli czy poniedziałku? Ostrzegłeś go, Betty? Poradziłaś mu, żeby zniknął?

- To przecież bzdura - zaprotestowała żałośnie. - Georg, proszę, nie krzycz tu tak. I usiądź. Porozmawiajmy rozsądnie, dobrze? Thomas nie był nad tym przeklętym stawem. Gdyby tam był, toby mi o tym powiedział. Nie miał powodu, by mnie oszukiwać. Pytałam go. Chyba wolno mi było po tym całym cyrku, jaki tu urządziłeś. Spojrzał na mnie jak... Ach, zapomnij. Thomas w ogóle nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego. Uwierz mi, że się mylisz. Wysłałam go do Holandii.

Mówiła powoli, bezbarwnym głosem, niemal tak jak tej nocy, kiedy zginął jej mąż. - To spotkanie było uzgodnione już wiele tygodni temu, nie mogliśmy tak nagle go odwołać. Właściwie sama chciałam pojechać. Ale ja nie mogę teraz się stąd ruszyć, za wiele jest spraw do załatwienia. Wczoraj był tu handlarz, który oglądał samochód. Dzisiaj chciał znowu przyjechać z interesantem. Cały dzień tu czekałam. O czwartej zadzwonił, że dzisiaj nie zdąży, że może jutro. Miałam spotkanie z adwokatem z powodu tych pieniędzy. Musiałam je odwołać. W tej chwili nie wiem, jak się nazywam, tyle się dzieje naraz. Dlatego Thomas

musiał się wybrać w tę podróż. Wróci w poniedziałek. Możesz być tego pewny.

Georg nadal jeszcze był wściekły, nawet bardzo. Ale gdy patrzył na nią na tej sofie. Naprawdę bardzo źle się czuła. Nie odgrywała przed nim komedii. Różne rzeczy można było udawać, ale nie śmiertelną bladość. Jej okropny stan nieco złagodził jego gniew. - Mam ci zrobić kawy? - zaproponował.

Uśmiechnęła się boleśnie. - To miło z twojej strony. Ale zaraz bym ją zwróciła. Nawet tabletek nie mogłam utrzymać w żołądku. Muszę iść do łóżka. Porozmawiamy jeszcze jutro, dobrze? Thomas ci nie ucieknie. Nie ma żadnego powodu. Wierz mi.

Niemający o niczym pojęcia aniołek, pomyślał. Ale pomyślał to z dużą dozą ironii. Był pewien, że Betty ostrzegła Lehnerera. Przynajmniej rozmawiała z nim o podejrzeniach i otwarcie się do tego przyznała. W tej sytuacji taki służbowy wyjazd był mu bardzo na rękę. A jeśli ona jeszcze nalegała na tę podróż. Niestety, nie dało się już tego zmienić. Może sam powinien sobie dać za to kopa w tyłek. Negatywny wynik okrzemkowy! Przekłęta zazdrość.

- To poczekajmy do poniedziałku - powiedział. - A teraz marsz do łóżka. Mam ci pomóc wejść na górę i założyć świeży opatrunek?

- Sama dam sobie jakoś radę. Gdybyś był tak miły i zatrzasnął za sobą drzwi. Poleżę tu jeszcze przez chwilę. Zobaczymy się jutro?

- Tego nie mogę ci obiecać. U nas w tej chwili rozpętało się istne piekło.

Niemal niezauważalnie skinęła głową, szepcząc: - Czytałam o tym. To pewnie i w weekend nie będziesz miał czasu?

Niepewnie pokręcił głową. Uśmiechnęła się z pewnym żalem. - Nie szkodzi. Nie jesteś do niczego zobowiązany. Najpierw praca. Jestem przyzwyczajona do tego, że tę troszeczkę wolnego czasu jakoś spędzam sama. Taka niedziela poświęcona wyłącznie na leniuchowanie z pewnością dobrze mi zrobi. Może pojedę do mojej matki. Tak, to mogłabym zrobić. Tak długo już u niej nie byłam. A gdy ja złożę wizytę matce, ty nie będziesz musiał mieć wyrzutów sumienia, że nie masz czasu.

Przed wyjściem podszedł do sofy i lekko pocałował ją w usta. - Rychłego powrotu do zdrowia - szepnął.

- Dziękuję - odparła.

Ani w piątek, ani w sobotę nie udało mu się nawet krótko do niej zadzwonić, żeby spytać, czy już się lepiej czuje. Śledztwo toczyło się pełną parą. Dwie cyfry na tablicy rejestracyjnej szarej hondy nie znaczyły jeszcze zbyt wiele. Dokładnie rzecz biorąc, była to tylko jedna cyfra. Starano się wyeliminować przypadek, zacieśnić krąg. Dziesiątki pojazdów

trzeba było sprawdzić i wykluczyć ze stuprocentową pewnością, zanim zajęto się chłopakiem córki pani Rasche. Oczywiście ten młody człowiek, podobnie jak pani Rasche, byli obserwowani dwadzieścia cztery godziny na dobę.

W niedzielę Georg znalazł troszkę czasu. Tylko kilka godzin po południu. Zadzwoił do Betty, żeby nie jeździć na próżno. Telefon dzwonił i dzwonił, już założył, że tak jak zapowiedziała, pojechała do matki. Wtedy jednak podniosła słuchawkę. Jej głos był zaspany, powiedziała, że po południu się położyła. Oczywiście, że już się dobrze czuła, atak migreny dawno minął. Zgodziła się też na jego wizytę. A nawet więcej, w jej głosie brzmiała niezaprzeczalna tęsknota.

- Przywieziesz nam kawałek ciasta? - poprosiła.

- Dobrze - powiedział.

I nie tylko ciasto. Musiał też przywieźć ze sobą psa. Nie było to absolutnie konieczne, mógł go zostawić w domu. Ten biedny zwierzak siedział tam zamknięty już od czwartku, tyle że raz wczesnym rankiem i raz późnym wieczorem Georg wypuszczał go do ogrodu.

Wassenberg nie był zawołanym przyjacielem zwierząt, tak jak i nie był wielbicielem małych dzieci. Ale za każdym razem, kiedy wracał do domu, a pies pozdrowił go skowytem i skamlaniem, machając ogonem, jakby witał swojego wybawcę z opresji i z wielkiej radości, że go znów widzi, lizał jeszcze Georgowi rękę, to w głębi duszy szkoda mu było zwierzęcia.

Trochę wybiegu. Ogród Betty był przecież dostatecznie duży. Nie był tylko pewien, czy może jej to zrobić, miał jednak nadzieję, że tak, że to zrozumie, po osiemnastu latach nabierania dystansu. Wyjaśnił jej, jak się sprawy mają, poczuł przez telefon, że ma opory.

Tego, że Margot Lehnerer opowiedziała mu o jej dziecku i jego potwornej śmierci, nie wiedziała. - Jeśli będziesz go trzymał ode mnie z daleka - powiedziała po nieskończonej długiej pauzie. - Wprawdzie nie jestem strachliwa, ale mam złe doświadczenia. To było bardzo łagodnie powiedziane.

- Będę za pół godziny - dodał. - Jak myślisz, uda ci się do tego czasu zaparzyć kawę, którą da się wypić?

Cicho się roześmiała. - Nie bądź bezczelny. Jeszcze nigdy żaden człowiek nie skarżył się na moją kawę. I jeszcze nikt nie dostał po niej krwotoku z nosa.

Już podczas jazdy pies zachowywał się jak oszalały. Na tylnym siedzeniu nie wytrzymał nawet dwóch minut. Potem siedział na fotelu pasażera z przodu, starając się polizać Georga po twarzy. Nawet w przypadku rąk było to bardzo niemiłe, mimo że natychmiast mógł je umyć. Ale po twarzy - nie miał tu nawet wilgotnej chusteczki, by prowizorycznie się odświeżyć, zanim powita go Betty.

- Przestań mnie świnić - zażądał, odsuwając psa ramieniem. - Na miejsce, zrób pięknie siad. No siad, Harro, siad, no zostaw wreszcie. Siadaj już, ty głupi kundlu. Zaraz będziemy na miejscu i będziesz mógł pobiegać.

Betty stała już w drzwiach, kiedy zatrzymał samochód przed domem, spoglądając na niego z mieszanymi uczuciami. Jej spojrzenie skierowało się na psa, oczy rozszerzyły się ze strachu i przerażenia. Nie poinformował jej, że przyjedzie z wilczurem. Dla pewności ujął psa za obrozę, żeby zaraz na nią nie skoczył. To był naprawdę zwariowany kundel, wielki przyjaciel ludzi. Obojętne, kto stanął przed jego nosem, każdy został obwąchany i oblizany. Smycz trzymał w drugiej ręce razem z tacką, na której było ciasto.

Jej oczy wcale nie skierowały się w górę, głośno przełknęła ślinę. - Nie powiedziałaś mi, że to owczarek niemiecki.

- To dla ciebie jakiś problem? - spytał.

Skinęła głową, zagryzła wargi, zastanawiając się, czy ma go poprosić, żeby zostawił psa w samochodzie. Ale Georg nie byłby zachwycony z tego powodu, a ona nie chciała go zdenerwować.

Zapewnił ją pospiesznie: - Nic ci nie zrobi. Jest bardzo pokojowo nastawiony, naprawdę.

Pies machał ogonem, spoglądał ku niej, jakby pojmował każde słowo i mógł to tylko potwierdzić.

Na jej ustach pojawił się uśmiech, nadal jeszcze niepewny. - Już w porządku.

Kawa była gotowa i nie za słaba. Nakryła stół w salonie. Georg zarejestrował to z lekkim rozczarowaniem. Na dworze była piękna pogoda.

- Nie moglibyśmy usiąść na tarasie?

Podszedł do drzwi, nadal trzymając psa za obrozę. Drzwi stały otworem. Do środka napłynęło łagodne powietrze. A przed tarasem rosły trzy potężne krzaki bzu.

Georg się uśmiechnął. - Rzeczywiście wygląda to wspaniale - powiedział. - Chodź, pomogę ci. Wyniesiemy cały ten kram. Wtedy będę mógł podziwiać twój bez z bliska. Masz coś przeciwko temu, żebym spuścił psa? Nie zbliży się do ciebie, od razu pobiegnie do ogrodu.

Skinęła głową, zbierając ze stołu naczynia. A potem siedzieli na zewnątrz na słońcu. Pies wywijał koziołki na trawniku, biegał w tę i z powrotem, łowił muchy, z zachwytem tarzał się w trawie.

Betty zadawała sobie wiele trudu, by stale go nie obserwować. Ale jej oczy ciągle na nowo kierowały się do ogrodu. Teraz był całkiem z tyłu, biegał wzdłuż ogrodzenia po

krawędzi trawnika, zawrócił na przełaj przez trawę. Język zwisał mu z pyska, wyraźnie widać było kły. Przed stopniami tarasu przystanął, spojrzał w górę na Georga.

- Tak, tak - powiedział policjant - dobry z ciebie chłop. Pobiegnij jeszcze trochę. Wyszalej się porządnie. A do niej: - Od czwartku był zamknięty w domu. Gdybym miał dla niego trochę więcej czasu, nie narażałbym cię na to. Wiem o... - nie wiedział, jak ma to wyrazić, krótko się zająknął i dokończył zdanie, mówiąc po prostu: - ... tej sprawie. Żona Lehnerera mi opowiedziała.

Spuściła wzrok na swój talerz. Jej głos nabrał histerycznego odcienia, mówiła za szybko, bez tchu. - Nie chcę o tym mówić, Georg. Nie mogę.

- Oczywiście, że nie. Rozumiem to.

Roześmiała się, sucho i gardłowo. - Rozumiesz! Oczywiście! Dokładnie wiesz, jak to jest, kiedy stoi przed tobą takie bydlę z twoim dzieckiem w pysku. A wszyscy tobie przypisują winę. Wszyscy! Mogłaś przecież uważać. Nie zostawia się niemowlęcia z psem bez opieki. Najpierw zawsze się mówi, że on nikomu nic nie zrobi, że jest taki łagodny. A potem się twierdzi, że każdy rozsądny człowiek wie, iż zwierzęta są nieobliczalne.

Pies nadal stał jeszcze pod schodami. Popatrzyła na niego, jakby mogła go przepędzić wzrokiem. I rzeczywiście, wilczur się wreszcie odwrócił i podreptał kawałek w bok, doszedł do krzaków bzu, potem pobiegł wzdłuż nich, z nosem przy błocie. Przebiegł w tę i z powrotem, raz dookoła krzaków. Krótko szczeknął, spojrzał na Georga, pomachał ogonem. Potem zaczął grzebać w luźnej ziemi, węszyć i odbiegł kawałek do tyłu.

W tym samym momencie Georg usłyszał brzęk. Betty upuściła filizankę. Wpatrywała się szeroko rozwartymi oczami w dół ogrodu, potrząsając przy tym głową. Raptem zerwała się z fotela, stanęła sztywna i wyprostowana, zaczęła krzyczeć: - Przykro mi, nie mogę. Nie wytrzymam tego. Nie mogę patrzeć, jak on tam biega. On zawsze biegał po ogrodzie. O mój Boże! Zrób coś, zrób coś wreszcie. Zabierz stąd to bydlę!

Chciał ją wziąć w ramiona, uspokoić. Odepchnęła go, mając nadal tak szeroko otwarte oczy, usta jej drżały. Trzęsła się na całym ciele.

- Przykro mi - wybąkała. - Myślałam, że potrafię. To już tak dawno temu. Nie chciałam zepsuć nam popołudnia. Tak mi przykro.

Potem zasłoniła ręką usta i zaczęła płakać. Georg przywołał do siebie psa, trzy razy na niego krzyknął, potem zszedł na dół i wziął go na smycz, bo sam z siebie nie chciał przyjść. Betty nadal stała sztywna i wyprostowana na tarasie, a twarz miała jak z kamienia.

ROZDZIAŁ 8

Margot Lehnerer bała się już od prawie dwóch tygodni. Był to żaloszny strach kobiety, której raptem zaważyło się całe życie. Szalony strach, który całkowicie ją paraliżował, napelniał pustką, czynił niezdolną do walki. Aż do środy zeszłego tygodnia było źle. A potem zrobiło się nieznośnie.

Najpierw przyszedł ten policjant i zażądał szarego dresu do joggingu Thomasa. Po jego wyjściu do Thomasa zadzwoniła Betty. Jej mąż nie powiedział dużo, rzucił tylko: - I znowu miałaś rację. Najlepiej natychmiast wyjadę. - Posłuchał jeszcze przez dwie sekundy, co szefowa ma mu do powiedzenia i odłożył słuchawkę. Potem bez żadnego wyjaśnienia poszedł na górę do sypialni i spakował walizkę.

Margot wiedziała już od lat, że jest zdradzana. Tyle że zawsze sądziła, iż jego romans z Betty nie zagraża ich małżeństwu. Betty przecież nie potrzebowała mężczyzny, który stale byłby przy niej. Betty chciała tylko od czasu do czasu trochę seksu. Niedobrze było, że to musiał być akurat Thomas. Ale z tym Margot mogła żyć, jak długo on zadawał sobie wiele trudu, by ukryć przed nią swoje skoki w bok. Teraz, zdaje się, był zdania, że tyle trudu nie jest już konieczne.

Walizkę miał wziąć rzekomo w podróż służbową, o której wspomniał przelotnie już w poniedziałek. - Możliwe, że w najbliższym czasie będę musiał wyjechać na kilka dni do Roosendaal.

A potem zapakował jeden z tych wielkich plażowych ręczników i dwie pary kąpielówek. Margot stała przy nim, mając poczucie, że coś wewnątrz niej pęka. Jakoś udało się jej go zapytać, czy nie uważa, że jest jeszcze nieco za zimno, by pływać.

Spojrzał na nią takim umęczonym i pełnym winy wzrokiem. - Nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej, Margot. Porozmawiamy spokojnie po moim powrocie. Prawdopodobnie w poniedziałek. Zadzwonię do ciebie.

Dopiero wtedy zrozumiała, że walizka nie jest przeznaczona na jutro. - I musisz już teraz wyjechać? Wieczorem? Zaraz po tym, jak był tu ten policjant i zabrał twój dres?

- To nie ma z tym nic wspólnego - stwierdził, zmierzając do drzwi. Kiedy stanęła

przed nim, zagrządzając mu drogę i żądając wyjaśnień, powiedział: - To nie ma sensu, Margot. Teraz nic ci nie mogę wytłumaczyć. Daj mi czas do poniedziałku. To chyba niezbyt wygórowane żądanie.

A potem odsunął ją od drzwi, zszedł ze swoją walizką na dół i pożegnał się z dziećmi. Dla niej miał tylko spojrzenie rannego zwierza. Thomas nie potrafił ranić ludzi. A wiedział, jak bardzo ją w tym momencie zranił. Potem wyszedł z domu.

Podróż służbowa, zapoczątkowana w środowy wieczór, po telefonie Betty, ze strojem kąpielowym w walizce. Śmieszne, taka tania wymówka. Kiedy dzieci poszły do łóżek, Margot Lehnerer wyszła z domu. Thomas pojechał do Betty, była tego całkowicie pewna. Nie miała samochodu do dyspozycji. Wyprowadziła rower synka z garażu.

Dochodziła dziesiąta, kiedy dotarła do celu. Od strony ulicy dom Betty pogrążony był w ciemnościach. Brama od garażu była zamknięta. Małe autko Betty i lamborghini stały w całkowitej zgodzie, zaparkowane obok siebie na szerokim podjeździe. Margot ostrożnie oparła rower o ścianę, jak złodziej przekradła się koło garażu. Od tyłu oprócz drzwi znajdowało się tam też okno.

Niewiele się dało rozpoznać w ciemności. Nie wetknęła do kieszeni latarki, w tym całym pośpiechu nie pomyślała o tym. Ale i bez latarki można było rozpoznać masywne kontury samochodu. W każdym razie garaż nie był pusty. Margot gotowa była przysiąc, że w garażu stoi volvo jej męża.

Także tylna ściana domu pogrążona była prawie całkiem w ciemności. Tylko w jednym oknie na piętrze paliło się światło. Margot dobrze знаła ten dom. Byli w dużej łazience. To potwornie zabolalo, jak zbity pies przemknęła z powrotem, wsiadła znowu na rower.

Po przyjeździe do domu sięgnęła po telefon. Ale potem zwyciężyła duma. Nie dojdzie do tego, żeby teraz zadzwoniła do Betty i błagała go, żeby wrócił. Mogła poczekać, on i tak wróci, i to już bardzo niedługo. A wtedy przyjdzie jak zbity pies. Bo Betty go odprawi.

W czwartek rano zadzwoniła do firmy. Dokładnie ważyła słowa: - Czy mój mąż jest jeszcze w biurze? Zapomniał o czymś.

Brzmiało to naturalnie i w żadnym razie nie było głosem niczego nieświadomej i zdradzanej żony. Odpowiedź początkowo nieco ją uspokoiła. Thomas już nie przyjechał do biura. Szefowa była tu krótko i powiedziała, że pan Lehnerer wyruszył wczesnym rankiem.

A potem przyszły łzy. Do południa to, co najgorsze, minęło. Kiedy dzieci wróciły ze szkoły, Margot wzięła się w garść i czekała na telefon od męża. Chociaż zwykle: - Dojechałem cało i zdrowo.

Telefonu nie było. Zamiast tego przyjechał jeszcze raz ten policjant. Gotował się z gniewu, porządnie jej zadał bobu. Ale ona opanowała nerwy.

Potem nadszedł długi piątek i potworna sobota. Margot była pewna, że Thomas wrócił już z Roosendaal i znowu był u Betty. Była też dosyć odważna, by się do końca upewnić. Ostatecznie nie szło wyłącznie o jej dumę, szło też o ich dzieci.

W sobotę wielokrotnie telefonowała do Betty, ale ani razu nie podniesiono słuchawki. Późnym popołudniem wybrała się na spacer. Dzieci koniecznie chciały z nią iść. Margot najpierw powiedziała nie, ale potem pomyślała, że to może niezły pomysł, by zabrać je ze sobą. Dzieci przywiodą go do rozsądku. Ale Thomasa nie było, nikogo nie było. Garaż był pusty, a obydwa samochody na podjeździe także znikły.

Dwie pary kąpielówek i ręcznik kąpielowy. Na słońcu z pewnością można było już poleżeć. Nie trzeba było koniecznie wchodzić do wody. Kilka razy przysła jej do głowy myśl, że to było tylko wynagrodzenie, weekend za wierną służbę. Ale to tu, to była sprawa, z którą nie była w stanie dyskutować. Jej mąż, ten dobroduszny, łagodny, pomocny Thomas, mordercą!?

Potworna niedziela, ani słowa od niego. Dzieci krążyły po domu całkowicie zbite z tropu i skonsternowane. Margot z trudem jedynie powstrzymywała się od łez. Późnym wieczorem jeszcze raz zadzwoniła do Betty. Było już po jedenastej. Tym razem miała szczęście, jeśli można to tak nazwać. Nawet się nie przedstawiła, tylko od razu spytała: - Gdzie jest Thomas? U ciebie?

- Nie.

- Kiedy wróci?

Przez kilka sekund w słuchawce panowała cisza, jak znak zapytania. Potem Betty spytała ostrożnie: - Co to znaczy, kiedy wróci? Jeszcze go nie ma?

- Nie! I dotąd do mnie nie zadzwonił. Obiecał, ale tego nie zrobił.

- Nie rozumiem - powoli powiedziała Betty.

Margot gorzko się roześmiała. - Uczyń mi tę grzeczność, Betty, i nie rób ze mnie idiotki. Od lat Thomas codziennie biega trzy godziny po lesie. I dwa, trzy razy w tygodniu jego dres jest wprawdzie przeпоcony, ale on sam nie. Nie musimy się wzajemnie oszukiwać. Będiesz tak miła i przekażesz mu moje słowa? Powiedz mu, że ja bardzo szybko zapominam. Może kiedyś przypomni sobie, że ma rodzinę. Jeśli o mnie chodzi, możemy postępować nadal tak jak dotąd, jeśli to konieczne. Oczywiście byłoby wspaniale, gdyby to nie było konieczne. Teraz przecież możesz wybierać.

I znowu na kilka sekund zaległa w słuchawce cisza. Margot już chciała odłożyć

telefon, kiedy Betty powiedziała: - Chwileczkę, ja... Przykro mi, Margot. Nie wiedziałam, że ty... Nie wiem, co mam teraz powiedzieć. Dlaczego nigdy nic nie powiedziałaś?

- A czy to by coś zmieniło?

- Nie wiem. Ja... - znowu Betty zaczęła się jąkać, po chwili jednak słowa z jej ust popłynęły szybciej. - Nigdy nie miałam zamiaru zniszczyć waszego małżeństwa. Musisz mi uwierzyć, Margot. Powiedziałam to też Thomasowi, kiedy przyjechał tu w środę wieczorem. Mówił o rozwodzie. Usiłowałam mu to wyperswadować. Nie chcę za niego wychodzić, Margot, nigdy nie chciałam. Chciałam spędzić z nim weekend w Renesse, ni mniej, ni więcej. Jemu to nie wystarczało. Dyskutowaliśmy przez pół nocy. Myślałam, że się z tym zgadza. I myślałam też, że niesłusznie byłoby robić mu nadzieję. Dlatego nie pojechałam z nim do Renesse.

- To gdzie wczoraj byłaś? - spytała Margot. - W domu cię nie było.

- Nie cały czas, robiłam zakupy.

- W soboty sklepy zamykają o drugiej - stwierdziła Margot.

- Ale kawiarnie nie - dodała Betty. - A na kawiarnię już wieki całe nie mogłam sobie pozwolić.

To, co mówiła Betty, mogło się zgadzać albo i nie. Margot nie wiedziała, co o tym sądzić. Wzięła od Betty numery telefonów przedsiębiorstwa budowlanego w Roosendaal i hotelu w Renesse.

Następnego ranka, ledwo dzieci wyszły z domu, zadzwoniła najpierw do hotelu. Thomasa nie było, wcale go tam nie widziano. Bo i po co miałby być, skoro już w środę pojął, że Betty ani myśli dotrzymać obietnicy. Ale Thomasa nie było także w Roosendaal. Margot otrzymała tę samą informację, co w hotelu, w ogóle go tam nie było. I nie wrócił także tutaj, skoro Betty dała mu do zrozumienia, że nie powinien sobie czynić co do niej żadnych nadziei.

Margot Lehnerer siedziała przez kilka minut przy telefonie, nie wiedząc, co dalej. Jeszcze raz zadzwonić do Betty? Albo do firmy? Po co? Przez głowę przebiegło jej kilka myśli bez składu, była to rozpaczliwa próba wczucia się w położenie męża. Daleko to nie prowadziło, ciągle wracała myślą do policjanta i tego potwornego podejrzenia. Poczekać, mając nadzieję, że Thomas nic nie zrobił, że potrzebuje tylko paru dni, by przetrwać swoje rozczarowanie. Że się odezwie, kiedy zbierze się na odwagę, by poprosić ją o wybaczenie.

W poniedziałkowy wieczór pod jej drzwiami znowu zjawił się ten policjant, aż kipiąc ze złości. Czekał, naturalnie, że czekał, czuł, że go zwodzą, pewnie węszył spisek. Wiedział już, że Thomas nie pojechał do Roosendaal. Nic nie wiedział o hotelu w Renesse. A więc

Betty milczała. Margot poszła w jej ślady. I nawet nie musiała kłamać. Naprawdę nie wiedziała, gdzie teraz może przebywać jej mąż.

Georg Wassenberg zadał sobie trud, by poskromić swój gniew, przemawiał do niej łagodnie, anielskim głosem, ale rzucił też kilka gróźb. Nakaz aresztowania! Kiedy wreszcie poszedł, Margot miała duże problemy z uspokojeniem dzieci. A przy tym sama miała taki nastrój, jakby ktoś zwałił jej na plecy wóz kamieni.

Ukrywa się, tego słowa użył policjant, mówiąc też, że to praktycznie oznacza przyznanie się do winy.

Był to jeden z tych tygodni, które Georg najchętniej wykreśliłby z kalendarza. Poniedziałek, biegania na komendzie. Maglowali chłopaka córki Raschego. Uparty gnojek, ale jeszcze go zmiękczą. A nawet jeśli nie, to i tak nie odgrywało to wielkiej roli. Został jednoznacznie zidentyfikowany jako rzekomy dziennikarz.

Georg nie miał nic wspólnego z przesłuchaniami, mógł się skupić na swojej osobistej sprawie. Oczywiście Lehnerer się nie zjawił. Jeden telefon do firmy i do Holandii. Betty udawa bezradną i nieco zaszokowaną, miał ochotę ją za to pobić. Rozmowa z prokuratorem. Czy to wystarczy do nakazu aresztowania, czy nie? Starczyło tylko na dobrą radę. - Niech pan jeszcze raz wypyta jego żonę.

Tak też uczynił, ale bez skutku. Z domu Lehnerera pojechał dalej, do Betty, już nie służbowo, ale i nie całkiem prywatnie. Nadal udawała, że o niczym nie ma pojęcia. W ogóle nie potrafiła wytłumaczyć sobie faktu zniknięcia swojego prokurenta, mimo najlepszych chęci. To nie było w jego stylu, tak zostawić na pastwę losu żonę i dzieci, firmę i szefową.

Nie mógł jej zbić. Ale jego złość potrzebowała jakiegoś ujścia. Znalazł je na kuchennym stole. Nie sadzał jej na blacie, tylko po prostu przycisnął do stołu. Krzyknęła, kiedy w nią wchodził, nie był to wyraz podniecenia, ale bólu.

Potem poczuł się nieco lepiej, zrobił kawę, posiedział z nią w salonie. Temat Thomasa został po półgodzinie wyczerpany. Wiedział, że go oszukuje, ale nie mógł jej tego dowieść. Potem jeszcze raz go przeprosiła, że w niedzielę puściły jej nerwy.

- Naprawdę myślałam, że mi to nie powinno już przeszkadzać. To już tak dawno temu. Mój Boże, w ciągu tych wszystkich lat widziałam więcej niż jednego psa, wprawdzie nie w moim ogrodzie, ale nie myślałam o tamtym dniu. Od ostatniego wtorku myślę o nim niemal bez przerwy. Od kiedy widziałam jego przyjaciółkę z brzuchem. Jego dziecko. Zawsze się tylko tak mówiło: jego dziecko. Jakbym ja nie miała z tym nic wspólnego. To było także moje dziecko. I gdyby nie umarło, to mielibyśmy razem szansę. Nie mielibyśmy przez wszystkie te lata przeżywać piekła. Wtedy, po jego urodzeniu, był jak odmieniony. Nie grał, nie pił,

codziennie rano jechał do firmy. A kiedy wracał późnym popołudniem do domu, jego pierwsze kroki wiodły zawsze do dzieciennego pokoju.

Opowiadała to samo, co Margot Lehnerer, tyle że brzmiało to całkiem inaczej. A on nie chciał tego słuchać ani tak, ani siak. - Przestań już za to przepraszać - powiedział naburmuszony. - Nie powinienem był przywozić tego kundla.

W niedzielę powiedziała: - Nie chcę o tym rozmawiać. A teraz on nie chciał. Ani o jej dziecku, ani o tym, co się z nią działo. Znowu był rozdarty, tym razem pomiędzy wściekłością a triumfem. Z jednej strony świadomość, że Betty kryje Lehnerera, z drugiej satysfakcja, że skłonił rywala do ucieczki.

Został u niej do jedenastej. Kilka pocałunków na sofie, trochę czułości. Była taka łagodna i przylepna, pewnie chciałaby, żeby został u niej na noc. Nie mógł się przełamać, by to zrobić.

Także wtedy, kiedy żegnała się z nim w drzwiach - namiętym pocałunkiem, pełnym tęsknoty spojrzeniem i pytaniem: - Zobaczymy się jutro? - Nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć. W ogóle już nic nie wiedział.

Naturalnie chciał jej. I chciał, do cholery, usłyszeć od niej, że przez długie lata miała romans z Lehnererem. Że jak najbardziej uważała za możliwe, iż pocziwy Thomas usiłował usunąć z drogi jej męża. I że to minęło, ostatecznie się skończyło, bo teraz jest on.

We wtorek zadzwoniła do niego do komendy. Jej głos był bardzo przygaszony i przygnębiony, bo odkryła coś dziwnego. Nie chciała o tym mówić przez telefon. - Miło by było, gdybyś mógł wpaść dziś wieczorem.

Jeśli chodzi o czas, nie był to żaden problem. Koledzy byli tymczasem zajęci celem Diny Brelach, bardzo inteligentną i zimną jak lód panią Rasche. Dowody przeciwko niej były bardzo skąpe, podobnie jak w przypadku Lehnerera. Jej przyszłemu zięciowi mogli przynajmniej dowieść, że miał kontakt z piątą ofiarą jako jedna z ostatnich osób. Ale tej kobiety nigdy nikt nie widział w tych kręgach.

O ósmej Georg pojechał do Betty. Sprawiała wrażenie nadal tak przybitej, jak poprzednio jej głos przez telefon. - Już sama nie wiem, co mam sądzić - zaczęła, pytając, czy pamięta ten czek od jubilera.

Ćwierć miliona. Te pieniądze nadal nie zostały wpisane na plus na rachunku firmy. A przy tym minął już ponad tydzień, w czwartek będą dwa, od kiedy Thomas miał przedłożyć czek w banku.

Nie, nie, ona sama się tego nie podjęła. Włożyła czek tylko na noc do sejfu, a rano wzięła go ze sobą do firmy. A ponieważ Thomas i tak musiał pojechać do banku, więc dała

mu go.

- A on ci potem nie przedstawił żadnego świstka? Przecież dostaje się jakieś potwierdzenie, kiedy przedkłada się czek, jakiś mały formularz? - spytał Georg.

Nie. Ale Thomas nie musiał jej nic przedkładać, tylko oddać w księgowości. A tam nic nie było. Mówiąc o tym, ciągle szarpała kraniec bandaża. Był to dosyć gruby opatrunek, przybrudzony i niedbale założony. Wzrok miała opuszczony. Można było wykluczyć, że Thomas zapomniał zawieźć czek do banku. Nikt przecież nie zapomina o kwocie ćwierć miliona, kiedy jest ona tak koniecznie potrzebna.

Poza tym mówiła to z dużymi oporami, podniosła przy tym głowę, kierując oczy na twarz Georga. Było to bardzo przygnębione spojrzenie, w którym można było wyczytać jakby pierwsze, ciche przyznanie mu racji. Czek został zrealizowany. Już rozmawiała z jubilerem. A on twierdzi, że jego konto zostało już obciążone tą sumą.

Georg nie od razu pojął, potrzebował dwóch sekund, żeby zrozumieć, co Betty mu usiłuje powiedzieć. Podejrzewała Lehnerera, że zdefraudował tę kwotę.

- Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć - powiedziała. - I nie podejrzewam go o to. Przecież wie, jaka jest sytuacja firmy. Dobrze, sprzedałam samochód, zapłaciłam robotnikom. I dostanę też z powrotem pieniądze od tej Boussier. To prawie pół miliona. Nie czyni nam żadnych kłopotów. Ale o tym Thomas jeszcze nie wiedział, wyjeżdżając w czwartek.

Po tych słowach nastąpiło rozdzierające serce westchnienie. - I co ja mam teraz zrobić?

- Złożyć doniesienie - powiedział chłodno Georg.

Potrząsnęła głową. - Nie mogę, Georg. Przykro mi. Thomas był przez wszystkie te lata... On zawsze był...

- ...drogim, miłym człowiekiem - dokończył za nią Georg te jąkania - który nigdy by nikogo nie skrzywdził, kochał żonę i dzieci, i dałby sobie rękę uciąć za firmę i szefową. Który był nawet gotów zabić, kiedy nadarzyła się sprzyjająca okazja. A kiedy pojął, że z tego powodu może ponieść konsekwencje, usunął się. A do tego potrzebował trochę gotówki.

Milczała, spoglądając na swoją lewą dłoń, szary, zabrudzony bandaż. I znowu nerwowo szarpała jego luźny kraniec. W końcu stwierdziła: - Jeśli potrzebowałby trochę gotówki, by wyjechać, tobym mu ją dała. I dobrze o tym wiedział, ale ćwierć miliona! Nie wiem, co mam na to powiedzieć.

- A może powiedz prawdę? - naskoczył na nią. - Przecież i tak ją znam. Ty może i jesteś przekonująca w twojej roli, ale żona Lehnerera nie jest najlepszą aktorką. Spytałem ją, Betty, czy coś cię łączy z jej mężem. Możesz trzy razy zgadywać, co mi odpowiedziała.

Nieco się skuliła - A więc dobrze - oznajmiła wreszcie. A potem krzyknęła: - Tak! Tak, do cholery, sypiałam z nim. Od czasu do czasu. Kiedyś do tego doszło. Ktoś mi kiedyś powiedział, że nie jest tak łatwo zapomnieć o pierwszym mężczyźnie. Może to było to. Ale przecież oprócz niego nie miałam nikogo. Ja też jestem tylko człowiekiem. Od czasu do czasu chciałam po prostu wiedzieć, czy jestem jeszcze kobietą. Ale nie chciałam niczego zniszczyć. Zawsze myślałam, że jego małżeństwo jest wystarczająco stabilne. Naturalnie mówił mi czasem, że mnie kocha. Ale coś takiego się po prostu mówi w takich sytuacjach. Ja też to mówiłam i sądziłam, że obydwójce nie traktujemy tego zbyt serio.

Znowu panowała nad swoim głosem, głośno odetchnawszy, mówiła spokojnie dalej: - Nie mogę uwierzyć, żeby oszukał mnie na ćwierć miliona. Raptem zaczął mówić o rozwodzie. Usiłowałam mu to wyperswadować. Na Boga, on przecież ma rodzinę. Potwornie się posprzecaliśmy. Zaczął mi wyliczać, ile dla mnie zrobił. Nie patrz tak na mnie, nie przyznał się do żadnej winy. Czynił mi tylko wyrzuty, że ja upatrzyłam sobie ciebie. Nie jestem ślepy, powiedział. Jeśli mężczyzna już wie, gdzie w domu stoją filizanki. Był tak wściekły, naprawdę wyszedł z siebie, jeszcze nigdy go takim nie widziałam.

- Kiedy to było? - Georg także się uspokoił, cała wściekłość uleciała, jak ręką odjął. Widział, że głośno przetyka ślinę, zagryza wargi, jakby bała się odpowiedzieć.

I znowu doszedł tylko jej szept: - W ubiegłą środę. Wieczorem, krótko po twojej wizycie u niego. Przyjechał tu z walizką. Twoje odwiedziny porządnie go zdenerwowały. Stwierdził, że masz na mnie ochotę i starasz się za pomocą wrednych sztuczek usunąć go z drogi. Ale on nie da się tak łatwo.

- A potem?

Wzruszyła ramionami. - Przecież ci mówiłam, że się pokłóciliśmy. Przez całą noc się sprzecaliśmy. O szóstej rano wyjechał. Wtedy właściwie sprawiał znowu wrażenie całkiem rozsądnego.

- Był u ciebie przez całą noc?

Skinęła tylko głową, spoglądając na niego przestraszonym wzrokiem. Po kilku sekundach oświadczyła: - Nie bój się. Nie poszłam z nim do łóżka, Georg. Jeśli mi nie wierzysz, to i tak nie jestem w stanie tego zmienić. - A potem spytała: - Co teraz zrobisz?

- Ja? - spytał ironicznie. - Ja nic nie zrobię. Ty coś zrobisz. Złożysz doniesienie o defraudacji.

- Nie! - Mocno potrząsnęła głową. - Nie, nie zrobię tego w żadnym razie. I nie muszę. Na pewno każesz go przecież ścigać. A kiedy go znajdziecie, odda mi wszystkie pieniądze.

- Nie powinnaś się na nas zdawać - powiedział. - Nasze możliwości są ograniczone.

Żeby go kazać poszukiwać, musiałbym najpierw mieć coś w ręku.

Spojrzała na niego, nie pojmując. - Ale przecież masz. Co jest z tymi specjalnymi badaniami? Sądzisz, że był w stawie i masz ten negatywny wynik...

- Z moją opinią - przerwał jej - prokurator niewiele może zdziałać. Nie mam dowodów przeciwko Lehnererowi. Nawet jednej niteczki. A nawet gdybym miał, to nie jest zakazane transportowanie zmarłego z jednego miejsca w drugie. A dokładnie to uczynił. I to mu właśnie chciałem wyjaśnić w czwartek. Dowód okrzemkowy negatywny, gdyby się dowiedział, co to oznacza, toby nie musiał zwiewać na łeb, na szyję.

Przez kilka sekund tylko wpatrywała się w niego, a potem szepnęła: - Ty świniou. Ty podły, wredny gnojku. Zmarłego! Wykiwałeś go. Doprowadziłeś go do tego, że zostawił tu wszystko, wszystko, co dla niego było ważne.

- To była jedyna możliwość - odpowiedział z uśmiechem. - Nie otrzymałbym od niego innego przyznania się do winy. A ja przynajmniej chciałem wiedzieć. Niechętnie daję robić z siebie idiotę.

Już mu nie odpowiedziała, odwróciła głowę w bok. Dopiero kiedy podszedł do drzwi, zawołała za nim: - Chcę dostać z powrotem moje pieniądze.

- Możemy coś zrobić dopiero wtedy, kiedy będziemy mieli doniesienie - odkrzyknął i zatrzaskał za sobą drzwi.

Następnego ranka przysłała do niego do komendy zakuta jak w pancierz z lodu w swój gniew. Nie miał ochoty się z nią kłócić, posłał ją kilka pokoi dalej. Defraudacja nie była rzeczą dla komisji do spraw morderstw. Poradził jej też, żeby najlepiej od razu porozmawiała z prokuratorem, żeby sprawa nabrała tempa. Skinęła na to głową.

Zielone volvo zostało wciągnięte na listę poszukiwanych i znalezione już w czwartek. Późnym popołudniem nadszedł meldunek. Samochód Lehnerera stał przy lotnisku w Dusseldorfie. Wszystko było jasne. Należało jeszcze tylko sprawdzić, którym samolotem poleciał i dokąd przelano te ćwierć miliona z konta jubilera.

Georg pojechał do Margot Lehnerer, wyjaśnił jej sytuację, mając nadzieję na jakąś wskazówkę z jej strony, a przynajmniej na aluzję, gdy skonfrontuje ją z faktami. Zamiast tego zaprezentowała mu kamienną minę. Potem ze swej strony zadała kilka pytań. - Co się stało z dresem mojego męża? Już przeprowadzili państwo swoje porównania?

Georg tylko kiwnął głową.

- I jaki był wynik?

Wyjaśnił jej to, czując się przy tym dosyć podle. Nadmienił też, że inny jest już teraz

stan rzeczy.

Margot Lehnerer zachowała spokój. - Mój mąż nigdy by nie sięgnął po pieniądze firmy.

- To nie były pieniądze firmy, pani Lehnerer. To były prywatne rezerwy, które upłynniła pani Theissen.

- Ach tak - powiedziała tylko Margot. Uśmiechnęła się przy tym, krótko i jakby z zadowoleniem. Zdawało się, że jest to dla niej pewne zadośćuczynienie.

W piątek zadzwonił do Betty. Tylko po to, by jej powiedzieć, że ma dużo czasu, aż do poniedziałku rano. Była to tylko próba, nic więcej. Liczył się z jej gniewem i odmową. Spadaj, ty wredny gnojku. Nie nastąpiło nic w tym rodzaju.

Na początku jej głos zabrzmiał tylko drwiąco. - To świetnie dla ciebie - stwierdziła. - A teraz chcesz wiedzieć, czy i ja mam czas?

- Tak!

- W zasadzie bym miała - wyjaśniła. - Ale szkoda by mi było spędzać go ze wściekłym gliną. Zachowałeś się jak słoń w składzie porcelany i wyobrażasz sobie do tego, że miałeś rację.

Nastąpiła krótka przerwa, za krótka, żeby jej odpowiedzieć. Nie wiedziałby nawet, co ma powiedzieć, usprawiedliwianie się w ogóle nie wchodziło w grę.

A potem Betty kontynuowała: - Wczoraj wieczorem była u mnie Margot Lehnerer. Chciała, żebyśmy wycofała donos. Tak też postąpię. Mówię ci tylko, żebyś wiedział. Te pieniądze spiszę na straty. Nie potrzebuję sprawdzać, gdzie się podziały. Nazwijmy to wynagrodzeniem za wierną służbę. Jeśli Thomas rzeczywiście się postarał usunąć Herberta, to całkowicie sobie na nie zasłużył. Jeśli jesteś w stanie zaakceptować moją postawę, to możesz wpaść. Ale z góry cię ostrzegam, jedno słowo o Thomasie i znajdziesz się za drzwiami. Raz na zawsze. Chcę mieć wreszcie święty spokój.

- Zgoda - powiedział tylko.

To był spokojny weekend. W sobotę załatwili sprawunki na mieście. W niedzielę stali razem w kuchni, pichcąc sobie coś na kuchence. Czasem było wręcz śmiesznie i niedorzecznie. A po południu przytulnie. Betty sprawiała wrażenie zadowolonej i odprężonej, leżąc tak koło niego na tarasie. Z zamkniętymi oczami, wystawiając twarz do słońca. Była spokojna i piękna, mógłby tak godzinami się jej przypatrywać. Tylko przypatrywać, wyobrażając sobie, że będzie tak już zawsze.

A potem kolejny poniedziałek. Wszystko szło zwykłym trybem. Komisja specjalna została rozwiązana. Dwóch podejrzanych poddawano nieprzerwanie przesłuchaniom. Georg

nie miał już z tym nic wspólnego. Podobnie jak Dina Brelach.

Krótko przed jedenastą zadzwoniła do niego Margot Lehnerer. Przez telefon sprawiała wrażenie spokojnej, opanowanej i bardzo zdecydowanej. Poprosiła go, by do niej przyjechał.
- Chciałabym panu coś pokazać.

Zanim wybiła dwunasta, stał w garażu Lehnerera, przed regałem. Przed dwoma porządnie złożonymi plastikowymi plandekami. Zadając sobie pytanie, dlaczego Margot to robi. Przecież już wiedziała, że jej mężowi nie sposób niczego dowieść. Nie dotykała tych plandek. On również się tego wystrzegał. Już sam ich widok starczał, by wyobrazić sobie to, co już kiedyś widział oczyma duszy.

Betty nieprzytomna koło stolika, Herbert Theissen nieprzytomny w fotelu, Thomas Lehnerer przed zamkniętymi drzwiami na taras, jak zwykle o siódmej. Ale wtedy powinien był już mieć te plandeki przy sobie. Innymi słowy, powinien był wiedzieć, co tam zastanie. Jasnowidz?!

Margot Lehnerer zaprzeczyła, jakoby widziała te plandeki przed tym konkretnym poniedziałkowym wieczorem. Prowadząc go z garażu do domu, wskazując mu miejsce w salonie, stwierdziła: - Wiem, że takie plandeki są używane na budowach. Stamtąd też pewnie pochodzą. I jestem całkiem pewna, że znajdzie pan na nich odciski palców Betty. Jeśli Thomas rzeczywiście ma coś wspólnego ze śmiercią Herberta, to pomagał jej usunąć go z domu. Nic więcej. Zawsze robił to, czego od niego zażądała. A potem stał się dla niej niewygodny, niebezpieczny jako wtajemniczony w przestępstwo. Przecież dla Betty sprawa wyglądała w ten sposób, że pan mógłby jemu dowieść morderstwa. Musiała się go pozbyć, bo nie była pewna, czy będzie milczał, kiedy stanie się to dla niego sprawą życia i śmierci.

Georg i bez tego miał problemy, czuł pieczenie w żołądku. Tego, że Betty w awaryjnych sytuacjach niejednokrotnie mijała się z prawdą, sam już miał okazję doświadczyć. Sprawa butelki po wódce stała się raptem znowu aktualna. Ale to, do czego zmierzała Margot Lehnerer, szło zdecydowanie za daleko.

- Brzmi to tak, jakby chciała pani oskarżyć panią Theissen, że zlikwidowała niewygodnego współsprawcę.

Nie odpowiedziała od razu, najpierw się tylko uśmiechnęła. Była to mieszanka politowania i żalu. Potem racjonalnie stwierdziła: - To zdaje się przekracza pańskie wyobrażenia? Dla pana Betty jest niewiniątkiem, prawda? Jak często miał już pan z nią do czynienia? Nie, proszę nie mówić, wcale nie chcę tego wiedzieć. Raz w zupełności wystarczy. Nie znam mężczyzny, którego Betty nie przekabaciłaby w ciągu pięciu minut na swoją stronę. Z kobietami idzie jej gorzej. Może my, kobiety, mamy szósty zmysł.

Margot Lehnerer kiwała głową, jakby mogła sama sobie potwierdzić te słowa. Georg po prostu siedział na miejscu, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. To pieczenie w żołądku, te myśli, wspomnienie matki Theissena, która użyła niemal tych samych słów.

Po dobrej minucie Margot mówiła dalej. - Mój mąż się nie ukrywa, panie Wassenberg. Już dawno by się do mnie odezwał, choćby ze względu na dzieci.

Spoglądała na niego, jakby oczekując, że przytaknie. Kiedy się nie doczekała, stwierdziła: - Thomas nie żyje. Jestem o tym przekonana. Gdybym nie była tego pewna, nie siedziałby pan tutaj. Mogłam usunąć te plandeki, niszcząc tym samym prawdopodobnie jedyny dowód w tej sprawie. Tak też chciałam uczynić. Ale potem zadałam sobie pytanie, czemu Thomas sam tego nie zrobił. Od kiedy zniknął, miałam dużo czasu, by to przemyśleć. I sądzę, że znalazłam odpowiedź. Te dwie plandeki to był jego środek nacisku. Tym samym miał Betty w ręku. Ale o jednym nie pomyślał, Betty nie daje się szantażować. Zabiła go.

Było jak najbardziej zrozumiałe, że ta biedna kobieta wymyśliła sobie teorię, z którą mogła żyć. Przez lata zdradzana, na końcu zostawiona. Szkoda mu jej było, naprawdę szkoda. Musiała jednak pojąć, że czepia się absurdalnej idei.

Ostrożnie starał się ją od tego odwieść. - Pani Lehnerer, rozumiem pani położenie. Ale nie zapominajmy, że zniknął nie tylko pani mąż, ale wraz z nim ćwierć miliona marek. Pani Theissen jest gotowa wycofać donos, tego przecież pani chciała.

Margot Lehnerer się roześmiała, trochę za głośno i trochę za ostro. Zabrzmiało to jak kaszel. - Tak, tego chciałam. Trochę się z tym pośpieszyłam. Z czasem wszystko stało się jasne. Najpierw się zdziwiłam, że Betty stała się raptem taka ustępliwa. A potem mnie oświeciło. Jeśli pan sprawdzi, gdzie się podziewają te pieniądze, to na końcu się okaże, kto je tam ulokował. Tego nie może ryzykować. Jak dotąd wszystko się tak świetnie udawało. Niewierny mąż chce zostawić żonę i dzieci. Wielkoduszna kochanka myśli o biednych dzieciach i go zostawia. Mężczyzna jest urażony, myśli o zemście. Ten czek jest mu bardzo na rękę. Wszystko do siebie pasuje, prawda? Ale kiedy Betty się za coś zabiera, to zawsze jest to perfekcyjne. Niczego nie zostawia przypadkowi, planuje z dużym wyprzedzeniem, już miesiące naprzód, jeśli to konieczne. Thomas tak nie robił. I gdyby zabrał ten czek, to już wcześniej musiałby pomyśleć o ucieczce. Nie było do tego powodu. Pan się tu zjawiał dopiero w środę z tym śmiesznym twierdzeniem o dowodzie. A kilka godzin później Betty powiedziała mu rzekomo, że go nie chce.

I znowu zdawało się, że czeka na odpowiedź, na zgodę z jego strony. Kiedy to nie nastąpiło, mówiła dalej, powoli i z namysłem: - Myśli pan może, że to nie takie proste, zabić człowieka. Tu może pan mieć rację. Dla mnie i dla pana byłoby to niemożliwe. Ale Betty się

nie zastanawia, co to znaczy pozbawić kogoś życia. Jeśli jest to w jej oczach konieczne, po prostu to robi. Kiedy wówczas była w ciąży... Dziecko było jedynym sposobem, by złapać Herberta na męża. A przy tym wcale nie chciała mieć dzieci. Chciała mieć firmę. Opowiadała panu kiedyś o swoim ojcu? Jak umarł i gdzie?

Kiedy skinął głową, uśmiechnęła się: - I z pewnością był pan kiedyś w jej biurze, widział pan przez okno ten stary dźwig. Kiedy siedzi przy biurku, ma go dokładnie na oku. Mógłby pan tak pracować?

Nie wiedział, co ma na myśli, pytając uniósł brwi. Kontynuowała: - Nie będę twierdzić, że Betty ubóstwiała swojego ojca. Jak na to za często ją lał. Nienawidziła go, a to też intensywne uczucie. A potem zadyndał na wysięgnicy ze stryczkiem na szyi. A co go tam pognało na górę? Firma Theissen! Co to musiało być za potężne narzędzie, że potrafiło usunąć z tego świata tak odrażającego i mocarnego faceta. Od tego momentu Betty miała tylko jeden cel. I już go niemal osiągnęła, kiedy jej teściowa uparła się, że ma przestać pracować, a Herbert okazał raptem ambicję i wytrwałość.

W głębokim westchnieniu dało się słyszeć także zmęczenie. Margot Lehnerer wydała się raptem stara i wyczerpana. - Przez te wszystkie lata myślałam, że sobie tylko coś wydumałam. Mam dwoje dzieci. Nie byłam w stanie sobie tego wyobrazić. Ale mimo to wiedziałam, że się wówczas nie pomyliłam. Betty wytresowała psa. Doprowadziła do tego, że zabił jej własne dziecko.

Margot uniosła głowę, spoglądając na Georga. Wilgotne oczy, kilka ciężkich oddechów. - Nie wierzy mi pan. Trudno w to uwierzyć. To niesłychane, potworne. Trzeba by to zobaczyć na własne oczy. Ja widziałam. Przyszłam tam kiedyś w niedzielne popołudnie. Thomas i Herbert pojechali na jakąś sportową imprezę. Nudziłam się i pomyślałam, że odwiedzę Betty, ona też jest sama. Starsi Theissenowie pojechali na targi maszyn budowlanych, zdaje się do Hamburga. Nie pamiętam dokładnie. Kupiłam jeszcze dwa kawałki ciasta. Lubiła, kiedy się przychodziło do niej z jakimś ciastem.

Jeszcze jedno takie westchnienie. Georga przeszły lekkie dreszcze. Ten głos, tak matowy i monotony, przypomniał mu ponownie, tym razem o wiele intensywniej, scenę z matką Theissena. A potem zobaczył siebie z tacką z ciastem i smyczą w ręku. I przy tym oczy Margot Lehnerer. Napełniły się łzami, które po prostu popłynęły, nawet ani razu nie mrugnęła.

- Była w siódmym miesiącu ciąży, sama jeszcze była prawie dzieckiem. Słodko wyglądała z tym wielkim brzuchem. Kiedy przyszłam, usłyszałam, że bawi się z psem w ogrodzie. Tak, Hasso, dobry piesek. Tak, dobrze, przynieś pani. Myślałam, że bawią się

patykiem. Ale to nie był patyk. Nie zadzwoniłam do drzwi wejściowych, obeszłam dom. I zobaczyłam ją tam. Betty rzucała na trawę lalkę, jedną z tych lalek-niemowlaków z miękkim korpusem. Przynieś mi ją, krzyknęła znowu. I Hasso pobiegł, złapał lalkę za głowę i przyniósł jej. Pochwaliła go. Dobry piesek, pięknie. A potem powiedziała: - Czyja to laleczka - szarpiąc przy tym korpus lalki. I Hasso też szarpał, potrząsał głową w tę i w tę. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam. Najpierw o tym nie myślałam. A kiedy ten mały w ten sposób... To było tak niesłychane, potworne. Pomyślałam, że tego nie mogła zrobić, tego nie. Tego nie zrobiłby żaden człowiek. Miała to dziecko w swoim brzuchu. Musiała czuć, jak kopie. To był taki słodki chłopczyk.

Słowa tamtej starej kobiety nabrały raptem innego, bardzo realnego znaczenia. Rzuciła bestii na pożarcie. Margot Lehnerer nie była może jedyną osobą, która obserwowała zabawę z psem. Ale słyszeć to i zastanawiać się nad tym, to była jedna sprawa, a uwierzyć w to - całkiem inna. Georg nie był w stanie uwierzyć. To był tak pełen harmonii weekend. Jak stwierdziła Margot, było to zbyt niesłychane, zbyt potworne. I prowadziło do wniosku: Kto na kilka tygodni przed narodzeniem swojego dziecka tresuje psa, by się go pozbyć, ten nie cofnie się przed usunięciem mężczyzny, który po prostu jest niewygodny.

Ani przed pozbyciem się dwóch mężczyzn...

Pojawiło się kilka dziwnych szczegółów. Żadna linia lotnicza nie przewoziła pasażera o nazwisku Lehnerer, nie z Dusseldorfu. Może Thomas Lehnerer zostawił mylny trop albo używał fałszywych papierów. Ale to było nieprawdopodobne. Nie miał tak wiele czasu ani niezbędnych kontaktów. Pieniądze zostały przekazane na konto banku w Luksemburgu. Nazwiska właściciela konta nie dało się uzyskać ani też informacji, czy to ćwierć miliona leżało jeszcze nienaruszone na tym koncie.

Meldunki te napłynęły we wtorek, krótko potem, gdy Betty wycofała swoje doniesienie przeciwko Lehnererowi. Tego wieczoru mógł już pojechać do niej. W poniedziałek, po długiej rozmowie z Margot Lehnerer, nie potrafił tego uczynić. Jednak we wtorek znowu mógł. Nawet był w stanie siedzieć z nią na sofie, pozwalając się całować i przy tym ją obejmować, ale nie spać z nią. Chętnie by to uczynił, ale był jak impotent.

Nastąpiło to po tym, jak wetknął jej żartobliwie do rąk swój kalendarzyk, żeby mogła rzucić okiem na jego metody pracy. Nie miał zanotowanych żadnych terminów spotkań, tylko różne notatki. Potem znowu schował kalendarzyk do kieszeni spodni, bardzo ostrożnie, owijając go niezauważalnie w czystą chusteczkę, by przedłożyć go w środę komisji do badań technicznych.

Czuł się przy tym tak podle, tak wrednie, tchórzliwie i chamowato, bo nie potrafił pomówić z nią otwarcie. Ale jak miałby z nią o tym rozmawiać? - Potrzebuję twoich odcisków palców do porównania. - Przecież natychmiast by go wyrzuciła za drzwi.

Z plandek udało im się zdjąć kilka wyraźnych odcisków palców. Większość ich należała do Lehnerera. Stwierdzenie tego nie było proste. Przecież jego samego nie mieli do dyspozycji. Jego żona wręczyła im kilka osobistych przedmiotów Lehnerera, co do których można było założyć, że tylko on ich dotykał. Flakonik z jego wodą kolońską, jego dezodorant, parę butów. A do innych odcisków na plandekach potrzebował swojego kalendarzyka. Był on oprawiony w gładki, błyszczący plastik. Jej palce pozostawiły na nim ślady, wyraźnie widoczne nawet gołym okiem.

Kiedy oddawał kalendarzyk do badania, pocieszał się jeszcze myślą, że zgodność odcisków palców nie musi koniecznie oznaczać, iż Betty zabiła swojego męża. Mogła też mieć te plandeki w swoim samochodzie, w garażu, w piwnicy, gdziekolwiek, gdzie znalazł je Lehnerer.

Ale nie stwierdzono zgodności. W niektórych płukankach do włosów w opakowaniach znajdowały się jednorazowe rękawiczki. Dokładnie tę parę, którą wetknęła do rąk Thomasowi, nosiła także sama Betty, kiedy przygotowywała lamborghini do transportu. O tym Georg nic nie wiedział. Poczuł tylko ulgę, gdy usłyszał wynik. Negatywny.

Tylko że było tam jeszcze kilka rzeczy niedających mu spokoju. Kanapki z pomidorem i krzaki bzu. Przecięta ręka, a w niej łopata. Rana po prostu się nie goiła, wyglądała gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Teraz smarowała ją nawet maścią, żeby powstrzymać zakażenie.

Pies dawał mu najwięcej do myślenia. Tak kopał koło tych krzewów. Przy tym słowa Margot były niemal bez znaczenia. - Pojechałam w tamtą stronę do niej do domu. Nasz samochód stał w garażu, a w dużej łazience paliło się światło. Poza tym cały dom pogrążony był w ciemnościach.

Betty mówiła mu, że nie poszła z Lehnererem do łóżka. Ale do łazienki nie szło się kłócić. To było potworne podejrzenie. Było jednak absolutnie wykluczone, by sam, osobiście mógł się upewnić.

W czwartek, nie widząc innej możliwości, porozmawiał z Diną Brelach. Thomas Lehnerer zaginął dokładnie przed dwoma tygodniami. Już samo mówienie o tym było torturą. I do tego jeszcze z Diną. Wysłuchiwała go. Z kamienną twarzą, tylko w jej oczach błysnęło zrozumienie. Jeśli tak się sprawy mają, drogi panie kolego, to mogę pewnie pożegnać się z moimi nadziejami. Ale nie padła żadna ostra uwaga, jak się tego obawiał.

Dina nie odrzuciła też kategorycznie możliwości wyrządzenia mu przysługi. Zapytała tylko: - Jak sobie pan to wyobraża? Mam tam kopać? Czy mam tam kogoś posłać?

Na litość boską! Żadnej akcji policyjnej. - Sam to zrobię - powiedział. - W ciągu dnia to możliwe, wtedy jest w firmie. Ale jeśli tam rzeczywiście coś jest, to ja naprawdę jestem w to zbyt głęboko zaangażowany. Mój Boże, nie pojmuje pani? Mam romans z tą kobietą. Nie chcę żadnego ryzyka, ani w jedną, ani w drugą stronę.

- To niech pan to po prostu zostawi - rzuciła lakonicznie Dina.

Georg uśmiechnął się niewesoło. - Nie mówi pani tego poważnie.

Dina również się uśmiechnęła. - Nie. A więc, jak to się ma rozegrać bez żadnego dla pana ryzyka?

To już dokładnie sobie obmyślił. Była pewna możliwość. Matka Theissena! I kilku robotników. Wśród pięćdziesięciu sześciu musiał się zwykle znaleźć ten czy ów, który nie poszedłby za szefową w ogień.

- Proszę zadzwonić do starszej pani Theissen - polecił Georg. - Niech pani umówi ją na spotkanie w mieście. Jeśli stary czegoś się dowie, to sprawa jest przegrana. Proszę jej wyjaśnić, że oficjalnie nie możemy nic zrobić, bo nie mamy nic w garści. I przede wszystkim proszę jej wytłumaczyć, że musi to wziąć na siebie, jeżeli dojdzie do jakiegoś przecieku. Jest wystarczająco wściekła, by na to pójść.

- A kiedy? - spytała jeszcze tylko Dina.

- W weekend. W sobotę wieczorem. Ja pójdę z Betty Theissen na kolację, przyjadę po nią o siódmej i postaram się o to, żebyśmy przed pierwszą nie wrócili do domu. To sześć godzin, powinno wystarczyć, by zasadzić z powrotem krzewy tak jak przedtem. Tam na zewnątrz jest dosyć światła. Na tarasie jest zewnętrzny wyłącznik. Kiedy wrócimy, wszystko musi wyglądać tak jak poprzednio.

- Przecież pan sam nie wierzy, że coś tam znajdziemy - stwierdziła Dina. - Po co więc ten cały trud?

- Bo sama wiara nic mi nie da - powiedział.

W sobotę wieczór! Chętnie by to opóźnił, ale się nie dało. Ta potworna fantazja. Była potrzebna w jego zawodzie, trzeba było umieć wyobrazać sobie najróżniejsze rzeczy, postawić się w cudzym położeniu. Także w jej.

Długoletni kochanek mówi o tym, że zostawi żonę i dzieci, i ma w garści środek szantażu. Ale ona ani myślała dać się szantażować. Tak dokładnie wyraziła się Margot Lehnerer.

Przy tej perspektywie wszystko wskazywało na działanie w afekcie. Tylko że już w

niedzielę mówiła o krzewach i w poniedziałek kopała. Za każdym razem, gdy dochodził do tego momentu, Margot Lehnerer szeptała w jego głowie: - Ona planuje z dużym wyprzedzeniem, już miesiące naprzód, jeśli to konieczne.

W piątek Dina dała mu zielone światło. Matka Theissena była podobno bardzo zdecydowana i gotowa na wszystko. Dina chciała jak najdokładniej poinstruować robotników. Dwóch ludzi zgłosiło gotowość uczynienia przysługi starszej pani Tneissen, chuderławej operator dźwigu i starszy mężczyzna, którego brat z winy ojca Betty stracił życie. Obydwaj uchodzili za odpowiedzialnych i bardzo dyskretnych. Dina chciała być w pobliżu, niekoniecznie na posesji, ale w samochodzie przed nią.

Wieczorem wspomniał o dobrej kolacji w miłej restauracji. Z pięcioma daniami, bo przecież za pierwszym razem dostała tylko trzy. Betty tak się ucieszyła z jego zaproszenia i była rozczarowana, że nie został na noc. Ale tego nie potrafiłby zrobić. Pójść z nią do łóżka, pytając się, jak często Lehnerer leżał w tym łóżku, kiedy ostatnim razem i gdzie leży teraz.

- Przyjadę po ciebie o siódmej - obiecał, zegnając się z nią w piątek. - Będę bardzo punktualnie.

Nie tylko był punktualnie, był godzinę za wcześnie. Już o szóstej zatrzymał samochód przed jej domem. Otworzyła mu drzwi i Georg najchętniej by powiedział: - Rozmyśliłem się. Tutaj spędzimy miły wieczór.

Nie była jeszcze gotowa, znowu miała na sobie ten biały szlafrok, tym razem był śnieżnobiały. Żadnych zabrudzeń na kołnierzu czy gdzie indziej. To była tylko krew z jej dłoni, coś innego w ogóle nie wchodziło w grę. Ta przeklęta rana, która rozmiękła w ciepłej kąpieli.

Dina powiedziała: - Ja bym to załatwiła pod prysznicem. W wannie jest trudniej, bo potem nie dałoby się go wyciągnąć. A zwabienie mężczyzny pod prysznic nie powinno być zbyt skomplikowane. Idź pierwszy, kochanie, ja zaraz do ciebie dołączę. Szybko wziąć z kuchni nóż. I zanim się zorientuje, co się dzieje, jest już po wszystkim.

Taka przestronna kabina prysznicowa, dosyć miejsca dla przynajmniej trzech osób. I absolutnie gładkie ściany. Żadnych fug, w których mogłyby się zachować odpryski krwi. Po prostu idealne miejsce. Było potworne, rozmyślać o tym, mając ją przed sobą, tak piękną, tak czułą.

Długi pocałunek na powitanie. Nie mogła mieć nic wspólnego ze zniknięciem Lehnerera. Ani ze śmiercią męża. I z pewnością nic ze śmiercią jej dziecka. Była wtedy taka młoda, może sama jeszcze lubiła się bawić. Siedemnaście lat, w tym wieku przecież człowiek

się nie zastanawia, kiedy bawi się z psem.

Jej ramiona na jego szyi. Szlafrok luźno tylko przewiązała paskiem. Pasek się rozwiązał, jej skóra nadal jeszcze była wilgotna. - Mamy jeszcze czas - szepnęła. - Ubiorę się w ciągu pięciu minut.

Nie był w stanie. Dina powiedziała: - A potem go dobrze zapakowała, żeby nie uświł jej całego domu, kiedy go będzie wyciągać. W dywan albo koc, a na wierzch dla pewności jeszcze w taką plandekę z budowy. Dół był już gotowy, musiała tylko go stoczyć. I oczywiście zasypać ziemią.

- Mamy czas przez cały weekend - mruknął. - A ja zamówiłem stolik na siódmą. - Popatrzył za nią, jak wchodzi po schodach, widział siebie krocącego blisko niej, w górę. O pierwszej czy wpół do drugiej w nocy, kiedy przyjadą z powrotem i znajdą posesję pogrążoną w całkowitych ciemnościach. A przed tarasem trzy krzaki bzu i nic więcej.

Podczas gdy ona się szykowała, Georg poszedł do kuchni i przez kilka minut stał przed blokiem na noże, zanim się przemógł, żeby wyciągnąć pierwszy z nich. To był ten największy. Stabilny nóż o szerokiej klindze, bardzo ostry i zupełnie czysty. Klinga była przytwierdzona trzema nitami do uchwytu. Pozostałe cztery noże były w tym samym stylu, tylko nieco mniejsze.

Kiedy zeszła na dół, czuł się tak, jakby przez cały dzień połykał kamienie, jeden po drugim. Wszystko w jego wnętrzu było tak ciężkie, tak skamieniałe.

Nie pozostali długo w domu, zaraz wyszli.

Pół godziny drogi, już wtedy zauważyła, że coś z nim nie w porządku. Spytała, czemu jest tak przygnębiony. Z powodu tych dwóch czy trzech wozów, które teraz zajeżdżały pod dom, z powodu dwóch mężczyzn wysiadających z nich, zaopatrzonych w szpadle. Z powodu Diny wydającej im polecenia.

Zamiast tego opowiedział jej o pani Rasche i jej przyszłym zięciu. O pięciu martwych mężczyznach na ławkach w parku, wyjątkowo skromnych dowodach i upartym milczeniu obydwu podejrzanych.

A potem siedział naprzeciwko niej przy jednym stole. To bolało, zwyczajnie bolało, tak na nią patrzeć, wyobrażając sobie, że zaraz pojedą do domu. Pojadą do domu, naprawdę to pomyślał. Fantastyczny dom, od pierwszej chwili dobrze się w nim czuł. I trzy krzaki bzu przed tarasem. Teraz obydwaj mężczyźni wykopali pierwszy, tak, z pewnością, prawdopodobnie już wszystkie trzy.

Nie mógł się doczekać pierwszej, nie wierzył, że tak długo wytrzyma. Pięć dań, wyszukane menu. Betty wiodła lekką pogawędkę, od czasu do czasu upijała mały łyżeczek

wina. Jej szminka pozostawiała na kieliszku lekki ślad. Ta pełna, mocna czerwień znowu mu przeszkadzała. Dziwne, za pierwszym razem tak nie było. Ale od tego czasu wielokrotnie go denerwowała.

Przypomniał sobie, jak przed nią stał tej pierwszej nocy, jak pomagał jej wstać z sofy, trzymał w ramionach. Ta doskonale zrobiona twarz! Była godzinami nieprzytomna? Słyszał, jak mówi, zamroczenie w jej głosie tamtego poniedziałkowego wieczoru zagłuszało lekki ton obecnej pogawędki.

- Jest pan żonaty?

- Nie.

- Szczęściarz z pana.

- Jestem rozwiedziony.

- Też kiedyś o tym myślałam. Ale gdybym się z nim rozstała, to co by się stało...

Wyśmienity deser, ale jemu od niego zrobiło się niedobrze. A raczej od jej głosu, który jak duch straszył w jego głowie. Nie miała pojęcia o testamencie starego, nawet bladego pojęcia - w tamten poniedziałek, ale jaskrawo czerwone usta.

I jeszcze kawa na koniec. Minęła północ. - Jedźmy już - powiedział.

Nie był już w stanie dłużej tego znieść, potrzebował pewności. Ona nie mogła tego zrobić. Może męża, ale do tego miała dobre powody. Ale nie dziecko. I nie Thomasa Lehnerera. To było absolutnie wykluczone. Lehnerer był dla niej w ciągu tych wszystkich lat kimś więcej niż tylko dobrym przyjacielem. Robił zawsze to, czego od niego żądała. Pomógł jej nawet pozbyć się męża. I potrafiła to docenić, broniła go, stale twierdziła, że jest niewinny, wycofała swoje doniesienie - zostawiając mu te ćwierć miliona, żeby gdzie indziej mógł sobie stworzyć nową egzystencję. Nie mogło być inaczej.

I jak się do niego uśmiechała, tak zmysłowo i obiecująco. W drodze powrotnej zmusił się do wyobrażania sobie jej domu i posesji pogrążonych w zupełnych ciemnościach. A pod krzakami bzu każda grudka ziemi leży znowu tak, jak leżała wcześniej. Jeśli chłopcy tam zawalili sprawę, jeśli Betty zacznie coś podejrzewać...

Pół godziny drogi z tą grudą w środku, z tym zduszonym gardłem. A potem ten widok! Iluminacja widoczna już z daleka. Cała posesja aż po obrzeża lasu była oświetlona przez wielkie reflektory. I wszystkie te wozy na drodze, do wyboru, do koloru.

Czuł spojrzenie, jakie mu rzuciła z ukosa, jak szpilki lodu na policzku. Jej głos zabrzmiał nieco histerycznie. - Na litość boską, co się tam dzieje?

Byli jeszcze dobry kawałek od domu. Nie mógł jej natychmiast odpowiedzieć. Jego struny głosowe były zablokowane. Zdjął nogę z gazu, zmienił bieg na niższy. - Wygląda na to

- powiedział wreszcie - że kilku ludzi kopie w twoim ogrodzie.

Nie odpowiedziała mu, skonsternowana, wpatrując się jedynie w niego z boku. - Nie straciłaś przytomności - powiedział - nie na kilka godzin. Miałaś na twarzy makijaż, który był w idealnym porządku. I nie miałaś pojęcia o testamentcie.

Samochód już się tylko toczył. Nacisnął hamulec, zatrzymując go, wyłączył światła, żeby nikt ich nie zauważył i zwrócił się do niej. - Zabiłaś swojego męża, prawda?

Ostatnia możliwość. Nie wiedział, czego dokładnie jeszcze od niej chce. Ale jeśli podjechałby jeszcze kawałek, to inni przejęliby ster wydarzeń. Zobaczył, jak potrząsa głową, bardzo powoli, ale zdecydowanie.

- Nie zrobiłam tego. Co ci przychodzi do głowy? Co tu się dzieje, do cholery? Co to ma znaczyć, to, tam z przodu?

Z każdym zdaniem mówiła coraz głośniej, przy ostatnim pokazała przez przednią szybę w stronę domu.

- Nie możesz się domyśleć? - mruknął.

Jeszcze raz potrząsnęła głową, bardzo zdecydowanie. - Nie, nie mogę. Ty to zaaranżowałaś? Naprawdę cholerny z ciebie gnojek. Nie możesz nic zrobić Thomasowi, to teraz próbujesz ze mną. I czego oni szukają?

Jej zachowanie go zirytowało. Ani śladu niepewności czy poczucia winy. Nie pojmował tego. Te reflektory, które zmieniały noc w jej ogrodzie w dzień. Pojazdy na drodze przed nim, to wszystko dowodziło przecieź, że coś musieli znaleźć.

- Szukają Thomasa - powiedział. I tak już nie miał nic do stracenia. Nawet jeśli ci tam z tyłu urządzili tylko małpi cyrk albo chcieli się przekopać do Australii, to on i tak dostanie od niej kopa. Tego mu nigdy nie wybaczy, nigdy w życiu.

Roześmiała się, naprawdę głośno i serdecznie, jakby opowiedział pyszny dowcip. - W moim ogrodzie? To fantastycznie, rzeczywiście, rewelacja. Czy proponowano ci już awans? Przy twoich pomysłach możesz daleko zajść, z taką inteligencją i fantazją. Jak na to wpadłeś? No, opowiedz.

Nadal jeszcze się śmiała, ale potem machnęła ręką. - Nie, daj spokój, jeszcze na koniec zwrócę to smaczne jedzenie.

Potem przechyliła się do tyłu, sięgając po swój płaszcz i torebkę. Wsiadając, obydwie rzeczy położyła na tylnym siedzeniu. - Było miło z panem, panie komisarzu - powiedziała. - Ale teraz już lepiej wysiądę. Resztę drogi przejdę piechotą. To już przecieź niedaleko.

Kiedy chciała otworzyć drzwi, przytrzymał jej ramię, dodając jednocześnie gazu. - Przykro mi - powiedział cicho. - Jeszcze przez te dwie sekundy będziesz musiała znosić moje

towarzystwo. Najpierw zobaczymy, dlaczego nadal tam są. Jeśli nie ma po temu sensownego powodu, to dla mnie możesz iść, dokąd ci się podoba.

Z włączonymi światłami przejechał ostatni kawałek.

Dina Brelach stała przy jednym z wozów, paląc papierosa. Podeszła do niego powoli, kiedy wysiadał. Była żółtawo blada, zaciągała się papierosem, jakby zawierał on środki mogące uspokoić podrażniony żołądek. Popatrzyła przymrużonymi oczami przez tylną szybę w głąb jego samochodu, rzuciła papierosa na ziemię, przydeptała, wyciągając przy tym swoją służbową legitymację. Potem otworzyła drzwi od strony pasażera. - Jest pani zatrzymana, pani Theissen.

Na razie tylko zatrzymanie. Nakazu aresztowania jeszcze nie było. Może się nie udało zmobilizować sędziego, by wydał nakaz. A może po prostu nikt jeszcze o tym nie pomyślał. To już nie grało dla niego żadnej roli.

Georg powoli obszedł dom. Przed tarasem na trawniku leżały trzy krzewy bzu, był tam wykopany rów, długi na ponad dwa metry i przynajmniej na metr głęboki. Ale poza tym nie było nic więcej.

Po robotnikach nie było śladu. Poza tym w ogrodzie nie było nikogo. Furtka w ogrodzeniu wysokości człowieka stała otworem. Poszedł przez trawnik w stronę obrzeża lasu. I nareszcie miał wrażenie, że pojmuje, o co chodzi.

Była tam wydeptana ścieżka, poszycie po lewej i prawej stronie było dosyć gęste. Ale potem doszedł do miejsca, gdzie się przerzedzało. Nie było z natury mniej bujnie rozrośnięte. Zostało wyrwane. I przypomniał sobie brud na ramieniu jej rdzawoczerwonej bluzki. Coś takiego powstawało, kiedy człowiek się pochylał i ocierał o gałęzie.

Za tym przerzedzonym poszyciem był pusty kawałek ziemi, niezbyt duży, z dziurą pośrodku. Z powodu wykopanej ziemi brakowało miejsca do stania. Specjalista od zabezpieczania śladów stał z boku koło dziury, drugi w środku tego wykopu. Na jego brzegu leżały dwa niebieskie plastikowe worki.

- Ramię - powiedział jeden z mężczyzn - i noga. Więcej dotąd nie znaleźliśmy. Wygląda na to, że reszta została już usunięta. Pewnie tylko przejściowo to tu składowała. To był pomysł Diny. Kiedy w ogrodzie nic nie znaleźli, Dina stwierdziła, że Betty przecież nie jest taka głupia, by zakopać go tu, gdzie stale bywa Wassenberg. - Mężczyzna uśmiechnął się zakłopotany. - Trudno będzie go zidentyfikować.

Wieki później Georg stał koło drzwi łazienki, przyglądając się, jak usuwają gumową uszczelkę u progu kabiny prysznicowej i precyzyjnym narzędziem skrobą wąską szparę w szklanych drzwiach. Jak ta odrobina, którą się dało wyskrobać, została starannie umieszczona

w torebce, a ta odłożona na bok.

Potem przysła kolej na jedną stronę marmurowej obudowy i płytkę podłogową. Obydwie rzeczy po prostu wymontowano, pod płytką był odpływ. Rozkręcili tę rurę, obejrzeni zawartość. Była tam tylko woda. Ale na ściankach rury były osady, w których być może znajdowały się jeszcze cząsteczki krwi.

Była jeszcze druga łazienka koło sypialni Herberta Theissena. Tam znaleziono jednoznaczne ślady. Drobinę materiału, odpryski kości. Wychodzili jednak z założenia, że Thomas Lehnerer został zamordowany w jej łazience.

Był już wtorek. W niedzielę i poniedziałek ją przesłuchiowano. Jak dotąd nic. Zaprzeczała wszystkiemu, po prostu wszystkiemu. Nie wiedziała, jak te dwie kończyny trafiły do lasu. Jakiś szaleniec mógł tam zakopać części swojej ofiary. Ona nie miała z tym nic wspólnego.

Jakiś szaleniec! A tymczasem stwierdzono już, że to ramię Thomasa Lehnerera. Porównano odciski palców ręki z tymi, które już posiadano. Były identyczne. Ktoś powiedział: - Uparte ścierwo. Ale zaprzeczanie nic jej nie pomoże.

Nie! Dowody były jednoznaczne. Druga łazienka. Pomysł Diny. - Nie mogła ryzykować zostawienia go w tej łazience, którą pan znał, panie Wassenberg. Istniało niebezpieczeństwo, że pan po prostu wejdzie na górę. Pewnie od razu w czwartek go przeniosła, jak już nie krwawił.

Kiedy pakowali kawałki rur, Georg już dłużej nie wytrzymał. Wszystkie te obrazy przed oczami. Jak się obracała pod strumieniami wody i jego dłońmi, trzymając zranioną rękę zawsze nieco w górze. Piana, spadająca szerokimi strumieniami z jej skóry i znikająca w odpływie. Był to obraz, który napełniał go wewnętrzną pustką. Nie ból, tylko pustka. Zupełnie niepojęte! Jak to wyraziła Margot Lehnerer: - Trzeba to zobaczyć na własne oczy, by uwierzyć.

On tego nie widział. Nie to, co się musiało rozegrać w kabinie prysznicowej w tamten środowy wieczór, kiedy Margot Lehnerer pojechała rowerem swojego syna, żeby przekonać się o tym, że została zdradzona. Widział tylko niebieskie worki na śmieci. Resztki leśnego sprintera, atlety z przedmieść. Zadżganego i pokrojonego, podzielonego na kawałki jak sztuka mięsa w rzeźni. Prawdopodobnie zrobiła to dopiero w czwartek i zebrało jej się przy tym na mdłości.

Najgorsza była powracająca myśl, iż to on wydał wyrok śmierci na Thomasa Lehnerera. On ze swoją cholerną wściekłością, zazdrością i tym blefem. Negatywny dowód okrzemkowy. I obaj nie wiedzieli, co to oznacza.

Musiał to wiedzieć, nawet gdyby miał z niej to wydrzeć siłą. Dlatego pojechał z powrotem do komendy policji. Jasne było, że nie chcą zostawić jej z nim sam na sam. Wcale nie chciał zostać z nią sam. Właściwie w ogóle nie chciał jej więcej widzieć.

Byli u niej we czworo. Dwóch kolegów, Dina Brelach i adwokat. Tego załatwił jej stary Theissen. Jeden z tych ostrych szczekaczy, nieodmiennie czymś groził, stale żądał, by natychmiast zwolnić ją z aresztu. Chciał pociągnąć do odpowiedzialności policję i państwo za szkody powstałe w firmie pod jej nieobecność. Sześćdziesiąt pięć miejsc pracy, tuzin niedrogich domków jednorodzinnych, o to teraz toczyła się gra. Jej za to stale tłumaczył: - Nie musi pani na to odpowiadać, pani Theissen. - Tak też czyniła, mimo że jej położenie było beznadziejne.

Kiedy Georg dotarł do drzwi, usłyszał głos Diny. Spokojnie i rzeczowo odczytywała zeznanie Margot Lehnerer, wspominała o działalności swoich kolegów. Od niedzielnego poranka na dużym obszarze przeszukano z psami teren lasu. W volvo Lehnerera znaleziono na podłodze ziemię i kilka jodłowych igieł. A w łazience jej męża...

Georg przystanął na korytarzu i czekał, po prostu tylko tam stał, nie mogąc się zdecydować, by otworzyć drzwi, nie potrafiąc myśleć, tylko wspominając. Jak bezradnie i bezbrinnie wyglądała, leżąc na sofie, kiedy po raz pierwszy wszedł do jej domu. Jak to Thomas Lehnerer w tę środę wszedł przez taras, wołając ją: „Duszko”! I jak wszedł do kuchni, mając wypisane zakłopotanie na twarzy. I jak w niedzielę mówiła mu o tym, by zasadzić kilka krzaków bzu. Tylko dla odwrócenia uwagi. Musiała wykalkulować sobie, że jej ręka nie wyjdzie bez szwanku z tego szaleństwa. Stworzyła sobie alibi na wypadek zakażenia rany.

W którymś momencie Dina wyszła na korytarz, żeby przynieść kawy albo może potrzebowała przerwy, by odetchnąć od tych okropieństw. Dina się potknęła, widząc go stojącego przy drzwiach, usiłowała się uśmiechnąć, ale jej się to nie udało. Drzwi nadal były otwarte. Nie zauważył, jak rusza z miejsca. Ale zobaczył, że Dina potrząsa głową, poczuł też, jak kładzie mu rękę na ramieniu. Usłyszał, że mówi: - Niech pan tego nie robi, panie Wassenberg.

Nie zwracając uwagi na Dinę, otworzył drzwi jeszcze trochę szerzej. Wszyscy go zauważyli, ci trzej mężczyźni i ona. I ona zaczęła się uśmiechać, bardzo łagodnie i boleśnie. Wyraźnie widział, że drżą jej wargi. Sprawiała wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła nic z siebie wykrztusić, najpierw musiała wyciągnąć rękę, potrząsając przy tym głową.

- Nie chciałam tego, Georg, proszę. Musisz mi uwierzyć, nie chciałam tego. Ja się

tylko broniłam.

Adwokat Betty położył jej rękę na ramieniu, usiłując ją skłonić do milczenia. Straciła tę rękę, jednocześnie z jej oczu potoczyły się łzy. Tak wiele łez naraz. - On zupełnie stracił kontrolę - wyjąkała. - Rzucił się na mnie i...

- Nie mów mi, że cię zaatakował - przerwał jej. W tym momencie był spokojny, wewnątrz zupełnie zimny. - Nie straciłby ci nawet włosa z głowy.

- Czemu jesteś tego tak pewny? - spytała. Jej адвокат ponownie położył jej dłoń na ramieniu. Nie zwracała na niego uwagi, oczy miała wlepione w Georga. - Usiłował zabić mojego męża. I był przekonany, że z czystej wdzięczności zaprowadzę go do urzędu stanu cywilnego. Kazałam mu odejść. Oświadczyłam mu, że nie pójdę na policję. Wyśmiał mnie. Nie muszę tego robić teraz, kiedy policja jest moim stałym gościem. Krzyknął na mnie, że jeśli sobie wyobrażam, że on się da tak łatwo spławić, to powinnam była raczej na niego nie liczyć. Prędkiej by mnie...

Jej głos się załamał, łzy nadal płynęły po policzkach, jej oczy jakby przyssały się do jego twarzy. - Wyjął nóż z bloku i zmusił mnie, bym poszła za nim na górę. Jeszcze raz, na pożegnanie, powiedział, a kiedy twój nowy przyjaciel jutro przyjdzie, to będzie sobie mógł zeskrobać resztki. Jakoś mi się udało odebrać mu nóż. Nawet nie wiem, jak to się stało. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale nie mogłam. Nie chciałam ci przecież przysporzyć kłopotów. Ja...

- Opowiedz to moim kolegom - powiedział. - Jeśli miło się przy tym do nich uśmiechniesz, to może ci uwierzą. - Odwrócił się i odszedł dwa kroki od drzwi.

A wtedy Betty zawołała za nim: - Georg!

Dina stała nadal w tym samym miejscu, znowu potrząsając głową, jakby mogła w ten sposób zapobiec, by jeszcze raz zawrócił do drzwi. Zrobił to i ponownie uczynił krok w jej stronę.

- Jestem w ciąży, Georg - powiedziała.

Poczuł, że wszyscy się w niego wpatrują, widział, jak adwokat począł się uśmiechać. - No i? - spytał. - Dlaczego mi o tym mówisz? Mam się postarać o kolejnego psa?

Spojrzała na niego, tak skonsternowana i dotknięta. Zanim jeszcze zdążyła odpowiedzieć, rzekł: - Bardzo mi przykro. Ale więźniom nie wolno trzymać zwierząt.

Potem ostatecznie się odwrócił i odszedł. Dina Brelach poszła za nim, po kilku krokach go dogoniła, ponownie kładąc mu rękę na ramieniu. - Chciałam pójść napić się kawy. Od czasu do czasu trzeba zrobić sobie przerwę. Napijemy się razem?

Roześmiał się krótko i niewesoło. - Jeśli sam nie będę musiał jej parzyć.

Nie musiał, w stołówce były automaty do kawy i personel. Dina uśmiechała się nieco niepewnie, może z odrobiną troski. Nie wiedziała, co Georg chciał przez to powiedzieć.